



Podróż na dno oceanu
Dwa rekordy, które zmieniły świat

NUNO GOMES OLO SAWA

Autobiografia rekordzisty świata w nurkowaniu głębokim

POZA BŁĘKIEM! AUTOBIOGRAFIA

„Jestem dumny z przyjaźni z Nuno i pełen szacunku dla ustanowionych przez niego rekordów”.
THÉO MAVROSTOMOS – jedyny człowiek,
który osiągnął głębokość 701 m
w nurkowaniu saturowanym

360°
człowiek
na krawędzi

Ta książka jest jak thriller. Wyprawy nurkowe do najgłębszych jaskiń świata są jak rosyjska ruletka — z tą różnicą, że rewolwer ma nie jeden, lecz więcej naboí. Nuno Gomes, rekordzista świata w nurkowaniu głębinowym, opisuje śmierć wielu swoich kolegów. Wszyscy wiedzieli, co im grozi. „Potwór ukrywający się w mrocznej otchłani jaskini dopadnie cię prędzej czy później” — mówił Amerykanin Sheck Exley, zanim sam zginął. Co sprawia, że ludzie podejmują tak wielkie ryzyko?

MICHAŁ MATYS
Gazeta Wyborcza

To nie jest kolejna książka o kolorowych rybkach i wielkim błękiecie, która ma zachęcić do kupna maski przed urlopem. Nuno Gomes opisuje ze szczegółami najbardziej ekstremalne zanurzenia — również takie, za które herosi podwodnego świata zapłacili życiem. To aktywność, która tak się ma do rekreacyjnego nurkowania w Egipcie, jak wyścig Formuły 1 do jazdy rodzinnym kombi po bułki do sklepu.

PIOTR KOŚCIELNIAK
Rzeczpospolita

Rewelacyjna! Prawdziwa książka o nurkowaniu. Autobiografia jednego z najlepszych nurków świata pozbawiona jest zarówno fałszywej skromności, jak i tanich przechwalek, co czyni z niej prawdziwą perelkę. Nuno Gomes pisze tak, jak nurkuje — spokojnie, pewnie, konkretnie. W książce nie brakuje licznych polskich akcentów, co czyni ją dla nas wyjątkową. To książka, do której będę wracać często i z prawdziwą przyjemnością.

MAŁGORZATA POPIENIA
Wielki Błękit

W dramatyzmie dokonań Gomesa kryje się fascynująca droga pokonywania przeciwności materii i własnej słabości. Ktoś powie: niepotrzebne ryzyko, inny doda: idiotyczna gra. A dla mnie to zapis niezwykłej pasji i pełni życia daleko poza granicą własnego komfortu. Polecam!

DAWID ZARAZŃSKI
Dziennik Turystyczny

Nuno Gomes — od porzuconego dziecka do rekordzisty świata w nurkowaniu na obiegu otwartym. Zapierająca dech w piersiach opowieść o walce człowieka z brutalnymi siłami przyrody oddziałującymi na ludzki organizm na głębokości poniżej 200 metrów. O tym, jak jedną złą decyzją przekreśla się powrót człowieka na powierzchnię. O tym, jak cienka jest linia między sukcesem a porażką w nurkowaniu poniżej 200 metrów. Czy możliwe jest przełączenie się na czysty tlen na głębokości 60 metrów i wyjście z tego bez szwanku? O tym i o wielu jeszcze ciekawszych aspektach nurkowania zarówno jaskiniowego, jak i głębokiego dowiedzie się właśnie z tej książki.

MARCIN PAWELCZYK
Divers24

Zawsze wzorowałem się na Nuno. Jego osiągnięcia zmotywowały mnie do przeprowadzenia własnego rekordowego nurkowania.

AHMED GABR
rekordzista świata w nurkowaniu głębokim

Z Nuno Gomesem połączyła mnie wielka przyjaźń blisko 15 lat temu, gdy pod jego okiem uczyłem się technik głębokiego nurkowania jaskiniowego. Spędziliśmy w sumie kilka miesięcy na pełnym odludziu w RPA, blisko granicy z Botswaną. Potem były wyprawy na atol Bikini, Morze Czerwone (gdzie asystowałem podczas bicia rekordu świata w najgłębszym nurkowaniu) i wiele innych wspólnych spotkań i dyskusji. Nuno to postać niezwykła, człowiek zawsze uśmiechnięty od ucha do ucha, bardzo życzliwy i pełen empatii. Historia jego życia i osiągnięć nurkowych stanowi klamrę spinającą dwie epoki nurkowania: romantyczny okres rozwoju w drugiej połowie XX wieku, gdy większość procedur i technik nurkowych była odkrywana bezpośrednio w praktyce przez takie osobistości jak Sheck Exley czy właśnie Nuno Gomes, oraz nowoczesny XXI wiek, który charakteryzuje się gwałtownym rozwojem technologii (w szczególności w nurkowaniu trimikсовym i rebreatherowym). Pamiętam nasze niekończące się dyskusje na temat ryzyka nurkowania z użyciem obiegu zamkniętego, podczas których Nuno zawsze przedkładał prostotę i skuteczność nad finezję nowinek technologicznych. Później, podczas nurkowań, praktyka pokazywała, że zwykle to Nuno ma rację. Zwyczajowo takie sytuacje komentował potem skromnie: „Dzisiaj wszyscy wiele się nauczyliśmy”.

LESZEK CZARNECKI

rekordzista świata w nurkowaniu jaskiniowym

Dostąpiłam zaszczytu odbycia podróży w głąb oceanu i odnalezienia tam siebie. Jestem przekonana, że na pewnym poziomie inni głębocy nurkowie — schodzący pod wodę z butlami czy bez — ruszają w swoją podróż z tych samych powodów. Podziwiam ocean i jego dary i cieszę się, że mogę czytać o doświadczeniach Nuna.

TANYA STREETER

rekordzistka świata w nurkowaniu bezdechowym

Nuno wyznaczył ścieżkę, którą podążają nurkowie techniczni marzący o rekordzie świata. Trudno jest z niej zbroczyć.

WILL GOODMAN

rekordzista świata w nurkowaniu na obiegu zamkniętym

Rozsądna, dojrzała opowieść o trudach i niebezpieczeństwach nurkowań technicznych — głębokich, jaskiniowych, rebreatherowych — z której płynie wniosek, że w nurkowaniu „nie ma nic, za co warto umrzeć”.

DOMINIK „HONZO” GRACZYK

twórca grupy SPELEOnurkowanie

Gdyby ktoś mnie zapytał jako dwudziestolatkę, czy zostanę najgłębiej nurkującą kobietą na świecie, wyśmiałabym go. Tylko że potem natknęłam się na Nuna. Był pierwszą znaną mi osobą, która nie dostrzegała ograniczeń. W tamtych czasach Sheck Exley przesuwał granice nurkowania jaskiniowego, wykonując coraz głębsze zejścia. A Nuno — zupełnie zwykły gość, z którym nurkowałam — go ścigał.

Nie miałam naturalnej ciekawości świata. Nie byłam urodzonym odkrywcą i poszukiwaczem przygód. Wszystko to przyszło z czasem, gdy zaczęłam obserwować, jak Nuno bije własne rekordy i robi to tak, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Nie musiałam czytać o eksploracji. Miałam przed sobą żywego człowieka przesuującego granice nurkowania. Zawsze byłam świadoma, że obecność tego badacza granic ludzkich możliwości jest kluczowym elementem mojej własnej drogi. Dopóki jednak nie zaczęłam pisać tej krótkiej przedmowy, nie zdawałam sobie sprawy, jak ogromne miało to znaczenie.

Zawsze miałam pewne wyobrażenie o tym, kim są mentorzy. Dziś się zastanawiam, czy mentorzy nie są czasem ludźmi, po których najmniej się spodziewasz odegrania tej roli. A jeśli najsilniej kształtują cię ludzie, którzy realizując swoje marzenia, ośmielają cię do tego samego?

Nuno był niewidoczną siłą, która kształtowała moją podróż uwieczoną ustanowieniem rekordu świata. Urzeczywistniał swoje marzenia i w ten sposób mnie inspirował — nie, rzucał mi wyzwanie! — bym znalazła swoje własne marzenia i odważyła się je zrealizować. Wszystkiego, co wiem o głębokim nurkowaniu, nauczyłam się od Nuna. Wcale nie chciałam głęboko nurkować — jaskinie były, no cóż, mroczne i niebezpieczne. Kochałam morze, a nie zwariowane nurkowanie jaskiniowe! Tylko że za każdym razem, gdy jechałam nurkować, Nuno ćwiczył obok mnie do swoich planowanych zejść, więc zaczęłam nurkować w jaskiniach i po raz kolejny w życiu zakochałam się w nurkowaniu. Co ważniejsze, zaczęłam nurkować z Nunem i wzięłam udział w jego podróży ku rekordowi jako nurek zabezpieczający. Wyprawy z Nunem dały mi podstawy, na których zbudowałam własną drogę ku głębokiemu nurkowaniu. Przesiąkłam nie tylko nurkowaniem, ale i odkrywaniem. Nuno jest urodzonym odkrywcą. Nigdy się nie poddaje ani nie zniechęca, gdy świat stara się dać mu do zrozumienia, że to, czego pragnie, jest nieosiągalne.

Wyprawa tam, gdzie nikt jeszcze nie dotarł, wymaga odwagi. Nie tylko odwagi zmierzenia się z fizycznymi zagrożeniami i ryzykiem śmierci — o taką odwagę nietrudno. Mówię o innym rodzaju odwagi: o odwadze zakwestionowania tego, co inni uznają za granicę ludzkich możliwości. O odwadze, która odróżnia cię od innych i łamie wszystkie zasady, a której źródłem jest zaufanie do samego siebie i ciekawość tego, co ma się wydarzyć.

Sporo się dowiedziałam o odwadze i wierze w siebie. O rzeczach, które nie przychodziły mi naturalnie, lecz które trudno było zlekceważyć, obserwując, jak Nuno wprowadza swoje marzenia w życie. Zobaczyłam wolność, której nigdy wcześniej nie widziałam i którą uznawałam wcześniej za niemożliwą. W ten sposób weszłam na ścieżkę, która zaprowadziła mnie ku śmiałości przeżywaniu własnego życia.

Obserwując Nuna, nauczyłam się, że głęboki nurek odpowiada za każdą część swojego nurkowania, bo to do niego należy wiszące w toni życie — jeśli coś pójdzie nie tak, nie może obwiniać nikogo poza sobą. Dla Nuna jest oczywiste, że sam napełnia butle, sprawdza poprawność składu mieszanek oddechowych i roztawia depozyty na opustówce. Sprawuje całkowitą kontrolę nad swoimi nurkowaniami. Takie podejście prezentowane jest nadzwyczaj rzadko.

Normalną wówczas praktyką było nabijanie butli przez centra nurkowe i przeprowadzanie głębokich nurkowań z instruktorem, który zabierał nurka tam i z powrotem i podejmował kluczowe decyzje, które powinny należeć wyłącznie do nurka. Był to świat, w którym depozyty roztawiane były wyłącznie przez nurków zabezpieczających. Wyglądało to tak, jakby zadanie głębokiego nurka ograniczało się do samego zanurkowania — wszystko inne zostało już wcześniej załatwione. Ten świat wydaje mi się dziś dziwny, bo ludzie nie ponoszą w nim pełnej odpowiedzialności za swoje nurkowania i dlatego też nie są w stanie w pełni zrozumieć, co robią i dlaczego — po prostu kopiują i naśladują innych. Nuno nauczył mnie (chyba specjalnie się nad tym nie zastanawiając), że kiedy schodzisz naprawdę głęboko, osobą, którą naśladujesz, jesteś ty sam.

Obserwując życie Nuna, nauczyłam się, że niemożliwe jest możliwe. Nauczyłam się, że głębokie nurkowanie jest trudne i wyczerpujące fizycznie. Dowiedziałam się tego, spędzając dziesiątki godzin w zimnej wodzie w charakterze nurka zabezpieczającego. Pojęłam, jak

wygląda dyscyplina i samokontrola, i w ten sposób rozumiałam, że jeśli schodzisz na swoją głębokość, to robisz też swoją dekompresję — choćby czas dłużył się niemiłosiernie, organizm odmawiał posłuszeństwa, a zimno przenikało do szpiku kości. Efekty? Nigdy nie przyszło mi podczas nurkowania do głowy, by się ewakuować na powierzchnię, gdy sprawy się komplikowały — wiedziałam, że trudności są w pakiecie.

Nauczyłam się tego wszystkiego, nie zdając sobie sprawy z samego procesu nauki, a kiedy Nuno pewnego dnia zapytał mnie, dlaczego nie spróbuję pobić światowego kobiecego rekordu głębokości, dowiedziałam się, jak trudne jest dokonanie niemożliwego. Określenie własnej drogi nurkowej zajęło mi dziesięć lat. W międzyczasie zrozumiałam, że mentorzy nie są ludźmi, którzy pokazują ci metodę, lecz ludźmi, którzy robią to, o czym marzysz. Zaczęłam nurkować, bo kochałam ocean i pewnie tam by się to wszystko skończyło, gdyby nie to, że Nuno nurkował obok i zanim się obejrzałam, wciągnęło mnie odkrywanie nieznanego. Z obserwatora i pomocnika stałam się bohaterem zdarzeń.

Nie sposób w pełni wytłumaczyć, czym jest głębokie nurkowanie. Nie jestem nawet pewna, czy wszyscy głębocy nurkowie nurkują z tych samych powodów, ale podejrzewam, że robimy to, chcąc skorzystać ze sposobności bycia wolnym. Głębokie nurkowanie pozwala ci dowiedzieć się, kim jesteś, nabrać odwagi i poszerzyć granice własnej wolności. Głębokie nurkowanie było dla mnie przedsmakiem tego, co może się zdarzyć, kiedy przestajesz się przejmować tym, co należy, a zaczynasz badać to, co możliwe. Zawdzięczam to Nunowi! Pobudzał moją ciekawość i skłaniał mnie do samodzielnego mierzenia się z wyzwaniami. Jest prawdziwym pionierem i odkrywcą, który do przesuwania granic poznania zainspirował nie tylko mnie, ale całe pokolenie nurków.

Nuno sprawił, że niemożliwe stało się możliwe, i ustanowił rekord świata, który okazał się trudny do pobicia. Mam nadzieję, że dowiesz się z jego historii równie dużo jak ja. Mam nadzieję, że twoja ciekawość świata zostanie pobudzona i skłoni cię do zrobienia czegoś, co zawsze uważałeś za niemożliwe — i to nie raz.

VERNA VAN SCHAİK

rekordzistka świata w nurkowaniu głębokim

NUNO GOMES I OLO SAWA

POZA BŁĘKITEM

W PRZEKŁADZIE
DOROTY KONOWROCKIEJ

Mayfly
WARSZAWA 2014

Tytuł oryginału:
BEYOND BLUE

Copyright © 2014 by Nuno Gomes and Olo Sawa
Edited by Joanne Garland and Gregg Cocking

Zdjęcie na okładce:
MIGUEL ÂNGELO SILVA

Grafika:
WOJCIECH OCHRYMOWICZ

Skład wydania:
JOANNA MERKLEJN

Korekta językowa:
MAŁGORZATA GRYGIEROWSKA-AUGUSTYNOWICZ

ISBN 978-83-62827-26-8

Wydawca:
Mayfly sp. z o.o.

02-093 Warszawa, ul. Pasteura 4/6/54

Dedykuję tę książkę mojej rodzinie, przyjaciołom, partnerom nurkowym, nurkom zabezpieczającym, ekipom filmowym i sponsorom, a także moim kolegom inżynierom, którzy na przestrzeni lat wspierali mnie i zachęcali do podejmowania kolejnych wyzwań. Bez Was nic bym nie osiągnął.

Dla naszych najdroższych — z niezachwianym przeświadczeniem, że wszystko, co dobre, jest możliwe.

SPIS TREŚCI

Prolog

1. Sheck

Nurkowanie z Sheckiem Exleyem w Republice Południowej Afryki

2. Po omacku

Zaginiony w Sterkfontein

3. Archaiczny czworonóg

W poszukiwaniu latimerii

4. Mroczne miejsca

Nurkowanie na dno Boesmansgat

5. Przyjaciele

Z Leszkiem Czarneckim w kotlinie Kalahari

6. Cienka czerwona linia

Pierwsze podejście do rekordu świata

7. Trzy setki

300 metrów poniżej poziomu morza

8. Poza błękitem

Moje życie rodzinne

Nurkowania poniżej 200 metrów

Najgłębsze nurkowania jaskiniowe

Najgłębsze studnie krasowe świata

PROLOG

Mama porzuciła nas, kiedy miałem zaledwie sześć lat. Kilka lat później spóźniła się pół godziny na rozprawę w sądzie rodzinnym dotyczącą przyznania opieki nad nami. Ojciec wychowywał moją siostrę, młodszego brata i mnie najlepiej jak potrafił.

Byłem dwukrotnie żonaty, byłem też w międzyczasie w długoletnim związku, jestem dumnym ojcem trójki dzieci (dwóch córek i syna), mam również dwoje wnucząt. Ustanowiłem odnotowane w *Księdze rekordów Guinnessa* rekordy głębokości nurkowania jaskiniowego i nurkowania z akwalungiem w wodach otwartych. Obecnie jestem praktykującym zawodowo inżynierem budownictwa lądowego i wodnego i chociaż jestem instruktorem nurkowania jaskiniowego i szkole instruktów, nurkowanie pozostaje dla mnie przede wszystkim sposobem na spędzanie czasu wolnego. Trzech spośród trzynastu nurków na świecie, którzy dokonali potwierdzonych zejść na głębokość przekraczającą 240 metrów, już nie żyje.

Ci, którzy chcą zejść głębiej — o ile zdobyli już niezbędne doświadczenie — powinni prawdopodobnie zacząć od 120 metrów. To granica, do której nurek może mieć jeszcze ze sobą zapas wszystkich gazów potrzebnych podczas nurkowania. Ze względu na konieczność przeprowadzenia dekompresji czekają cię co najmniej 3 godziny w wodzie.

Następnym krokiem będzie zapewne 150 metrów; na tej głębokości prawdopodobne jest pojawienie się pierwszych objawów zespołu neurologicznego wysokich ciśnień (HPNS) — im głębiej zejdziesz, tym będą dotkliwsze. Jeśli wreszcie kiedykolwiek dotrzesz na głębokość 240 metrów, to niezależnie od tego, z jakiej mieszanki będziesz korzystać, doświadczysz poważnej narkozy azotowej, HPNS i retencji dwutlenku węgla w płucach.

Sytuacji poniżej 240 metrów głębokości można się domyślać. Tylko pięciu nurków na świecie zeszło na taką głębokość kilkakrotnie: Jim Bowden, Sheck Exley, Dariusz Wilamowski, John Bennett i ja (łącznie wykonałem cztery nurkowania poniżej tej głębokości). Dwie z wymienionych osób już nie żyją.

Jeśli będziesz napierać dalej, kolejnym krokiem będzie śmierć. Jak daleko możemy się posunąć, zanim do tego dojdzie? Życie jest układanką, w której wszyscy dokonujemy wyborów określających naszą przyszłość — lepszą lub gorszą. W chwili dokonywania wyboru nie znamy jego konsekwencji. Czy podejmowałem lepsze decyzje niż inni nurkowie? Czy rezultaty mogły być inne? Nie wiem. Nie mogę zmienić podjętych już decyzji. Rozgrzebywanie spraw z przeszłości nie ma sensu — lepiej snuć plany na przyszłość.

ROZDZIAŁ 1

SHECK

Nurkowanie z Shekiem Exleyem
w Republice Południowej Afryki

Późnym popołudniem 6 sierpnia 1993 roku wisiałem w toni zalanej jaskini Boesmansgat, gdy nagle moją uwagę przyciągnęła para błękitnych płetw. Było w tym coś dziwnego. Kiedy bowiem nurek się wynurza, zazwyczaj przy powierzchni ukazują się najpierw jego głowa i korpus. Tym razem z ciemności wyłoniły się płetwy, a za nimi nogi i ciało przepchnięte przez wąski przesmyk jaskini przez innego nurka. Gdy nie dostrzegłem automatu w ustach nurka, zrozumiałem, że doszło do tragedii.

To było moje pierwsze nurkowanie w międzynarodowym zespole nurkowym. W jakimkolwiek zespole międzynarodowym, warto dodać, bo urodziwszy się w Republice Południowej Afryki, nie miałem w zasadzie żadnych kontaktów z krajem, w którym sztukę nurkowania jaskiniowego doprowadzono do perfekcji, czyli ze Stanami Zjednoczonymi. Nasza izolacja wynikała nie tylko z czasochłonności podróży z Johannesburga do Miami (19 godzin w samolocie), ale przede wszystkim z sankcji nałożonych na RPA w epoce apartheidu. Kiedy naszym ambasadorem w Stanach Zjednoczonych został Harry Schwarz, sankcje wymierzone w mój kraj zostały zniesione, Bill Clinton doprowadził do uchwalenia pakietu pomocy dla RPA o wartości 600 milionów dolarów, a rząd RPA podpisał w 1991 roku układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Jednym z efektów ocieplenia stosunków dwustronnych był przyjazd do RPA legendy nurkowania jaskiniowego, Shecka Exleya, który przemierzył Atlantyk, by podjąć próbę pobicia dwóch ustanowionych wcześniej przez siebie rekordów świata. Rok później w przeciwną stronę poleciał Nelson Mandela. Sheck zamierzał ustanowić rekord najgłębszego nurkowania w jaskini oraz rekord najgłębszego nurkowania na powietrzu. Obie próby miały mieć miejsce w Boesmansgat, niemal bezdennej, zalanej jaskini położonej na terenie RPA. Sprawy komplikowało dodatkowo położenie jaskini na wysokości 1550 metrów n.p.m., wydłużające całkowity czas nurkowania co najmniej o 30 procent ze względu na konieczność przeprowadzenia przedłużonej dekompresji, sprowadzającej się do niekończącego się wiszenia w toni wodnej na różnych głębokościach.

Na przystankach dekompresyjnych niewiele jest do roboty. W każdym razie nie w ciemnym i wąskim wlocie do jaskini Boesmansgat. W Morzu Czerwonym u wybrzeży Egiptu (to jedno z moich ulubionych miejsc) można podążać wzrokiem za ławicami bajecznie kolorowych tropikalnych rybek śmigających wśród przepięknych raf koralowych. W Boesmansgat widać tylko ciemną powierzchnię nagiego dolomitu w pionowym tunelu. Po zanurzeniu się w niewielkim, sympatycznym jeziorze nurek opuszcza się ponurym szybem w otwierającą się pod nim otchłań mierzącą w najgłębszym miejscu prawie 300 metrów głębokości.

Każdy nurek jaskiniowy, niczym współczesny Tezeusz, korzysta ze zwieszającej się pionowo w toni liny opustowej zapewniającej mu stabilną i bezpieczną pozycję podczas dekompresji — takiej liny jak ta, której właśnie się trzymałem.

Opustówka nie służy do wspinania się na przystankach dekompresyjnych; to raczej nić Ariadny wskazująca wyjście z jaskini. W połączeniu z zegarkiem i głębokościomierzem lina opustowa wyznacza granicę dzielącą zaginionych i ostatecznie martwych od bezpiecznie opuszczających jaskinię żywych. Podczas obowiązkowych przystanków na niewielkich głębokościach podniecenie towarzyszące eksploracji i uniesienie z powodu osiągnięcia zamierzonej głębokości stopniowo się rozplywa. Dekompresja oznacza zazwyczaj koszmarną nudę, lecz jednocześnie jest próbą ludzkiej wytrzymałości — również nerwowej — a od jej prawidłowego przeprowadzenia zależy powodzenie całego nurkowania. Na przystankach dekompresyjnych często zdarza mi się drzemać i budzę się tylko od czasu do czasu, by sprawdzić czas i wskazania manometru, poprawić umocowanie sprzętu i znaleźć wygodniejszą pozycję, w której uprząż z zestawem dwubutlowym jest możliwie najmniej dokuczliwa. Niekiedy zamyślam się tak głęboko, że zapominam o kontroli oddechu, i do przytomności przywraca mnie dopiero nagła potrzeba zaczerpnięcia powietrza. Biorę wówczas głęboki wdech, podpływam z powrotem na odpowiednią głębokość i kiedy już znajdę swoje poprzednie miejsce na linie opustowej, wracam do odbywania dekompresji, zapominając po drodze, o czym właściwie rozmyślałem. Podczas dekompresji w procesie oddychania uwalniane są stopniowo resztki azotu i helu rozpuszczone w tkankach. Po jakimś czasie bąbelki tych gazów w tkankach są już na tyle małe i nieliczne, że można bezpiecznie wynurzyć się na powierzchnię.

Głębokim nurkowaniom towarzyszą zawsze wielkie nadzieje i wielkie obawy. Napięcie i niepokój udzielają się zarówno doświadczonym wyjadaczom, jak i kompletnym nowicjuszom. Nie zawsze myśli się o tym, co się stanie, jeśli człowieka dopadnie choroba dekompresyjna, choć niektórzy twierdzą, że ta myśl nigdy ich nie opuszcza. Nurka przeprowadzającego odpowiednio dużo głębokich nurkowań choroba ciśnieniowa dopadnie prędzej czy później. Większość przestępców jest świadoma, że trafienie za kratki to tylko kwestia czasu, i świadomość ta nieodmiennie im towarzyszy. Z nurkowaniem głębokim jest tak samo — prawdopodobnie pewnego dnia wynurzysz się na powierzchnię, wrzeszcząc: „Muszę jechać do komory hiperbarycznej!”. Zazwyczaj zdarza się to zupełnie nieoczekiwanie. Nawet jeśli ściśle przestrzegałeś wszystkich zasad, mogą cię wynieść z wody na noszach. Wystąpienie choroby dekompresyjnej jest możliwe nawet wówczas, gdy zostaną przedsięwzięte dodatkowe środki

ostrożności w postaci wydłużenia czasu dekompresji lub spowolnienia tempa wynurzania się. Podczas dekompresji człowiek nie jest w stanie się tak naprawdę odprężyć. Obserwuje uważnie swoje ciało, czujnie wychwytuje każde podejrzané swędzenie, prostuje ręce w łokciach i nogi w kolanach, wypatrując złowróżbnych oznak. Nic. Zazwyczaj nic. Na szczęście.

Ebena Leydena nie znał nikt z wyjątkiem Boetiego Sheuna, jego partnera nurkowego z Namibii. Pojawili się na wyprawie na zaproszenie Charlesa Maxwella, wyspecjalizowanego nurka jaskiniowego z Kapsztadu kierującego całością wyprawy. Szczerze mówiąc, zaproszenie otrzymał tylko Boetie Sheun, a Eben Leyden po prostu przyjechał razem z nim. Po cichu rywalizowałem z Sheunem, najgłębiej nurkującym mężczyzną w Afryce, o to, który z nas zejdzie głębiej lub zaliczy bardziej ekstremalne nurkowanie. Na wyprawach tego rodzaju nie można pojawić się bez zaproszenia. Jeżeli przyprowadzasz kogoś, kto nie został zaproszony, oznacza to, że albo ręczysz za tę osobę, albo po prostu nie przestrzegasz zasad. Albo jedno i drugie. Nikt jednak nie zaprotestował. Członkowie wyprawy uznali zapewne, że skoro Leyden miał tupet, żeby przyjechać tak po prostu bez pytania, to dla własnego dobra powinien teraz dowieść swojej wartości. Sam Boetie miał opinię znakomitego nurka. W 1998 roku razem z Diaanem Hanekonem zszedłem na głębokość 123 metrów, ustanawiając nowy rekord Afryki. Rok później Boetie, wraz z innym nurkiem technicznym, Ebenem Benade, zszedł na głębokość 132 metrów w jeziorze Guinas. Podniosłem poprzeczkę, nurkując na 155 metrów w Boesmansgat. I Eben Leyden, i Boetie Shaun mieli swoje aspiracje: pierwszy miał nadzieję, że uda mu się wejść do społeczności nurków technicznych, drugi zaś chciał pobić mój rekord.

Do wypadku doszło na głębokości 60 metrów, w obecności Boetiego. Zanurkował z Ebenem, przeciskając się przez wąskie wejście do jaskini poprzedzające otchłań Boesmansgat. Do dziś nie wiadomo, co się właściwie stało. Prawdopodobnie na początku nurkowania przymocowali swoją linkę do poręczówki, sprawdzili poprawność działania automatów i pokazali sobie gestem, że wszystko jest w porządku. Główna lina opustowa została zamocowana już wcześniej. Możliwe nawet, że zatrzymali się na chwilę w miejscu, w którym zaczyna się sklepienie jaskini, na głębokości 52 metrów. Boetie prawdopodobnie ruszył przodem, nie oglądając się już, by się upewnić, czy Eben płynie za nim.

Kiedy dotarł na głębokość 60 metrów, zorientował się, że jest sam. Widział światło latarki Ebena rozbłyskujące w ciemnościach. Poruszała się gwałtownie, jakby trzymająca ją osoba wpadła w panikę. Wbrew żelaznej zasadzie nurkowania jaskiniowego — zasadzie jednej trzeciej opisanej w książce Shecka Exleya *Basic Cave Diving: A Blueprint for Survival* — Eben całkowicie zużył mieszanke oddechową ze swojej pierwszej butli. Musiał zatem natychmiast przełączyć się na korzystanie z drugiej butli, ale nie mógł znaleźć drugiego automatu oddechowego, który utkwiał za jego plecami w uprząży podtrzymującej twinset. Powinien był rozpocząć oddychanie z drugiej butli znacznie wcześniej, po wykorzystaniu jednej trzeciej powietrza z pierwszej butli. W panice stracił panowanie nad sobą i próbował wynurzyć się na powierzchnię. W jaskini powierzchnia wody rzadko znajduje się dokładnie nad głową nurka. Szczególnie w Boesmansgat nurek może przez wiele dni bez powodzenia szukać wyjścia w sklepieniu jaskini — i nawet gdyby miał wszystkie latarki świata, jego szanse niespecjalnie by wzrosły. Jedyną pewną metodą dotarcia do wyjścia jest trzymanie się poręczówki, linki wiodącej ku życiu. Komora jaskini Boesmansgat ma 253 metry długości, 79 metrów szerokości i prawie 300 metrów głębokości, co sprawia, że jest szóstą pod względem głębokości zalaną jaskinią słodkowodną na świecie.

Boetie wydobył ciało z głębokości 60 metrów, ale nie wynurzył się na powierzchnię natychmiast. Kiedy go zobaczyłem, ukończył już połowę przystanków dekompresyjnych, nie wypuszczając Ebena z objęć. Może mógł się wynurzyć, przekazać ciało zespołowi na powierzchni, a potem wrócić pod wodę, żeby ukończyć zalecaną dekompresję. Nurkowie zawodowi postępują tak niemal rutynowo. Wyskakują z wody po odbyciu początkowych przystanków dekompresyjnych i w komorze hiperbarycznej, na powierzchni, przechodzą rekompresję i pozostałą część dekompresji. Zostało to świetnie udokumentowane w nagraniach kanałów National Geographic i Discovery. Pierwsze objawy choroby dekompresyjnej występują zazwyczaj dopiero po mniej więcej pięciu minutach od nieprawidłowej dekompresji i tyle czasu mają do dyspozycji nurkowie przemieszczający się do komory. Obarczone jest to oczywiście pewnym ryzykiem, ale generalnie da się zrobić.

Może gdyby Boetie staranniej przejrzał sprzęt swojego partnera, dostrzegłby zaklinowany w uprząży automat, lecz od nurków jaskiniowych oczekuje się samowystarczalności i polegania na własnej ocenie. Zazwyczaj nurkujemy w parze, ale jeśli stracimy partnera z pola widzenia, to w gruncie rzeczy nurkujemy solo i jest to sytuacja, na którą wszyscy nurkowie jaskiniowi powinni

być przygotowani. Każdy prędzej czy później straci podczas nurkowania kontakt ze swoim partnerem. To nieuniknione; pozostaje jedynie pytanie, kiedy do tego dojdzie.

Niewiele mogłem pomóc. Na widok wyłaniających się znikąd błękitnych płetw gwałtownie się rozbudziłem. Skróciłem niemal do zera przystanek na głębokości 6 metrów i całkowicie pominąłem przystanek na 3 metrach. Nawet Sheck obawiał się, że urwanie 40 minut z zaplanowanej dekompresji przyniesie tego wieczoru dwie ofiary śmiertelne i lada moment dołączę do człowieka w błękitnych płetwach, ale czułem się dobrze. Przez półtorej godziny stawaliśmy na głowie, żeby reanimować Ebena. Część z nas robiła masaż serca, inni wdmuchiwali powietrze przez sztywne usta. Lekarz, który przyjechał na miejsce, mógł już tylko oficjalnie potwierdzić zgon. Eben Leyden stał się ofiarą tego, co niektórzy uznaliby za „jazdę po bandzie”. Kolejną ofiarą nurkowania. Ofiarą sportu ekstremalnego, jakim jest nurkowanie jaskiniowe.

Rodzina Ebena Leydena nigdy nie skontaktowała się z uczestnikami wyprawy. Policja nie obciążyła ani Boetiego, ani żadnego innego nurka z zespołu odpowiedzialnością za śmierć Ebena. W głębi serca miałem wyrzuty sumienia, że nie zrobiliśmy więcej. Być może poczucie winy dręczyło również Shecka, który bardzo powściągliwie opisał swoje nurkowanie i całą wyprawę w magazynie amerykańskiego Krajowego Towarzystwa Speleologicznego (National Speleological Society) oraz w innych publikacjach nurkowych. Na dziewięciu stronach raportu przedstawionego przez Shecka imię Ebena zostało wymienione tylko raz. Co więcej, Sheck błędnie podał nazwisko Ebena nie jako „Leyden”, lecz „Benade”, myląc go z partnerem Boetiego z Namibii. Informacja o jego śmierci w ogóle nie została podana. Być może Sheck miał poczucie, że Eben w gruncie rzeczy nie był członkiem wyprawy.

Tego wieczoru w domu położonym na farmie Mount Carmel należącej do Andriesa van Zyla, na której terenie znajduje się jaskinia Boesmansgat, panowała wiele mówiąca cisza. Wszyscy zastanawialiśmy się nad tym, co może się zdarzyć podczas nurkowania jaskiniowego. Opanowały nas mroczne myśli o nieuchronności śmierci i o tym, że tylko pozornie jesteśmy niezwyciężeni. Rozmowa kulą. Bez wątplenia Eben sam się prosił, nieomal wyszedł śmierci naprzeciw, ale śmierć to śmierć i jej nieodwołalność ucina wszelkie dyskusje. Może mogliśmy zrobić dla niego coś jeszcze? Nadal się zastanawiam, czy mogliśmy w jakiś sposób zapobiec tej tragedii. Tej i wielu innym. Nawet jeśli nic więcej nie dało się zrobić, biorąc pod uwagę okoliczności i stres towarzyszący całej tej sytuacji, wątpliwości pozostają. Trudno pozbyć się myśli, że można było

zrobić coś inaczej i zapobiec tej śmierci.

Czasami wydaje mi się, że w tamtych czasach mieliśmy jakiś przełącznik nieśmiertelności. Po jego włączeniu parliśmy głębiej i dalej — i udawało nam się, jeśli tylko mieliśmy „to coś” i odrobinę szczęścia. Kiedy zaczniesz analizować zagrożenia towarzyszące nurkowaniu na tych głębokościach i myśleć o nich częściej niż o celu, który zamierzasz osiągnąć, sprawy mogą się potoczyć w bardzo złym kierunku. Dave Shaw przed swoim drugim nurkowaniem w Boesmangat zaczął dosłownie spisywać testament. „Jeśli nie wrócę, zostawcie moje ciało w jaskini. Przekażcie mojej żonie, że...”. Nie, z taką postawą daleko się nie zajdzie. Bitwa jeszcze się nie zaczęła, a ty już oddałeś pole. Nie miałem w zwyczaju dzwonić do domu, jak Dave Shaw, przed każdym zejściem pod wodę i po każdym wynurzeniu się na powierzchnię. W ogóle podczas nurkowań jaskiniowych w Namibii czy RPA rzadko dzwoniłem do domu. Czasem telefony komórkowe po prostu nie miały zasięgu, co było niezłą wymówką, a poza tym po prostu wiedziałem, że wrócę do domu, i wiedziała to również moja ówczesna żona, Elizabeth.

Boetie Sheun i Eben Benade, jego partner w biciu rekordów głębokiego nurkowania, nigdy nie zeszli głębiej niż na 132 metry w jeziorze Guinas, zalanej jaskini w Namibii. Po śmierci Ebena Leydena kilkakrotnie rozmawiałem z Boetiem, ale nigdy nie wspominał o tym wypadku. Z niektórymi sprawami trudno sobie poradzić. Czasami łapałem się na myśli, że gdyby Eben Leyden nie zginął, rywalizacja między Boetiem i mną szybko by się nie zakończyła. Z jakiejś innej jaskini być może wyciągnięto by inne ciało.

Tego dnia byłem pewien, że cała wyprawa zostanie odwołana. Myliłem się. Boetie Sheun odjechał z policją i ciałem swojego przyjaciela, a my zostaliśmy. Zarówno Charles, jak i Sheck uznali, że w organizację tego przedsięwzięcia zaangażowano zbyt dużo sił i środków, by tak po prostu się poddać. Odwołanie wyprawy nie wróciłoby Ebenowi życia. Poza tym Eben przyjechał po to, żeby pomóc Sheckowi, a nie po to, żeby go zawrócić z obranej drogi. Scenariusz, z którym część z nas miała się właśnie zmierzyć, był powtarzany wielokrotnie zarówno pod wodą, jak i na powierzchni. Po śmierci Drena Mandića na K2 w 2008 roku jego partner nie porzucił wspinaczki. Nie miałem pewności, jak powinniśmy postąpić, ale szczerze mówiąc, decyzja nie należała do mnie. Jeśli kierownik wyprawy i Sheck postanowili kontynuować ten projekt, to ja nie zamierzałem się z niego wypisywać. Zwłaszcza że w tym momencie każdy nurek był na wagę złota.

Jeśli chodzi o nurkowania głębokie na trimiksie — czyli mieszance azotu, tlenu

i helu odmiennej w składzie od zwykłego powietrza, składającego się głównie z azotu i tlenu — Sheck był autorytetem; przeciwnie niż Charles, który nie nurkował na trimiksie, lecz jedynie na powietrzu. Trimix w tamtych czasach przechodził właśnie gwałtowną ewolucję. Przestawał być tajemniczą mieszanką wykorzystywaną głównie przez głębokich nurków wojskowych schodzących pod wodę w wodoszczelnych gumowych skafandrach i stalowych hełmach z iluminatorami, a zaczynał być czynnikiem oddechowym upowszechniającym się wśród nurków sportowych schodzących na bardzo duże głębokości. I ja, i Sheck, i Boetie Sheun nurkowaliśmy na miksie, jak go wówczas nazywano. Po wyjeździe Boetiego byłem jedynym nurkiem, który mógł zabezpieczać Shecka na dużej głębokości, nurkując na trimiksie.

Po raz pierwszy zobaczyłem Shecka na fotografii w klasycznej książce Martyna Farra z 1980 roku *The Darkness Beckons: History and Development of Cave Diving*. Książka ta, będąca lekturą obowiązkową dla wszystkich nurków jaskiniowych, miała do tej pory trzy wydania, ale we wszystkich trzech jest to samo zdjęcie Shecka. Przedstawia go z profilu, ubranego w piankę, z założonym kompletem sprzętu do nurkowania jaskiniowego włącznie z butlami, z maską na czole. Sheck trzyma w ręku potężną latarkę, a ponieważ włosy ma jeszcze suche, można zakładać, że za chwilę się zanurzy. Ciekawe, że na tej fotografii nie widać kamizelki nurkowej. Może w niektórych wąskich korytarzach jaskiń na Florydzie jej nie potrzebował. Wiele ze swoich pierwszych nurkowań jaskiniowych również wykonywałem bez kamizelki wypornościowej. Uwidocznione na fotografii butle z twinsetu Shecka o pojemności 18 litrów każda były ogromne i trudne do zdobycia. W tamtych czasach nie miałem dostępu do butli o choćby zbliżonej pojemności. W RPA uznawano wówczas za duże już butle 10-litrowe. Mocowane na plecach osiemnastki w zestawie dwubutlowym były dla mnie prawdziwym objawieniem. W latach 80. i na początku lat 90. w Europie używano wtedy przy zejściu do zalanych syfonów butli mocowanych z boku (tzw. konfiguracja boczna). W RPA czuliśmy się spadkobiercami francuskiej i angielskiej szkoły nurkowania jaskiniowego. Priorytetem była swoboda ruchów i łatwość odpięcia butli w wąskich przejściach często występujących w jaskiniach. Najwyraźniej Sheck wzorował się na innych mistrzach.

Opublikowane w książce zdjęcie nie pozwala ocenić postury Shecka. Nie był wysoki. Oczywiście był dobrze zbudowany, zwłaszcza klatkę piersiową miał mocno umięśnioną, ale nie był wysoki, wzrostem zbliżony raczej do mnie. Nurków jaskiniowych nie ocenia się jednak po wzroście ani wadze, lecz po dokonaniach, a tych Shekowi nie brakowało. Kiedy więc Charles Maxwell

zadzwoił do mnie i powiedział, że planowana jest wyprawa do Boesmansgat z udziałem Shecka Exleya, natychmiast się zgodziłem. Musiałem się tylko dowiedzieć, kiedy.

Przed wyprawą niewiele wiedziałem na temat Shecka, z wyjątkiem może tego, co przeczytałem. Wiedziałem, że jako pierwszy człowiek na świecie wykonał ponad tysiąc nurkowań. Dokonał tego, mając zaledwie 23 lata. Wiedziałem, że przeprowadził głębokie nurkowania w słynnych jaskiniach Florydy — Cathedral, Holton Springs i Diepolder — mniej więcej wówczas, gdy zostałem instruktorem nurkowania w wodach otwartych. Był Jochenem Hasenmayerem półkuli zachodniej, wyprzedzającym mnie o wiele długości w eksploracji głębokich jaskiń. Nie rozważałem nawet możliwości zanurkowania na dno Boesmansgat. Ten rodzaj głębokiego nurkowania plasował się zdecydowanie w zupełnie innej kategorii, zarówno jeśli chodzi o nurkowanie jaskiniowe, jak i nurkowanie w ogóle.

Katalog nurkowań, jaki przywiozłem ze sobą w sierpniu 1993 roku, robił znacznie mniejsze wrażenie. Rok wcześniej razem z Rehanem Bouwerem w jaskini Harasib z dumą ustanowiliśmy nowy rekord głębokości Namibii. Rekord wynosił 105 metrów, ale zdarzało mi się już schodzić na większe głębokości. W 1988 roku zszedłem na głębokość 123 metrów w Boesmansgat i było to dla mnie prawdziwe wyzwanie. Z perspektywy Shecka największa osiągnięta przeze mnie głębokość była zaledwie drugim czy trzecim przystankiem dekompresyjnym jednego z przeprowadzonych przez niego nurkowań w meksykańskiej jaskini znajdującej się u źródeł rzeki Mante. W 1987 roku przenurkował tę jaskinię do głębokości 201 metrów, nie docierając do jej dna. Zbliżył się w ten sposób do rekordu głębokości w nurkowaniu jaskiniowym ustanowionego przez Niemca Jochena Hasenmayera, który pięć lat wcześniej zszedł na 205 metrów we francuskiej jaskini Fontaine-de-Vaucluse. Po niesamowitym nurkowaniu w 1987 roku Sheck zaczął się ścigać sam ze sobą. W 1988 roku zszedł na głębokość 238 metrów, rok później na 264 metry. Tym razem sięgnął wreszcie dna jaskini Mante.

W ciągu trzech lat nie próbował schodzić na większe głębokości, co wzbudziło we mnie przekonanie, że na świecie nie ma jaskiń wystarczająco głębokich dla Shecka Exleya. Byliśmy jednak prawie pewni, że w Boesmansgat Sheck znalazł swoje przeznaczenie. Arcyjaskinia. Naprawdę głęboka. Myliliśmy się. Jego utrzymywana w tajemnicy jaskinia znajdowała się 25 tysięcy kilometrów od pustyni Kalahari w RPA: na meksykańskim półwyspie Yucatan, gdzie Jim Bowden odkrył system jaskiń El Zacatón.

W książce Martyna Farra opublikowano też inne zdjęcie, zrobione w 1993 roku. Przedstawia Jima i Shecka uśmiechających się tuż ponad powierzchnią El Zacatón. Sheck unosi w górę cztery palce (400 stóp), co oznacza głębokość 121 metrów, którą właśnie udało im się osiągnąć. Badając otchłań tej meksykańskiej studni krasowej, nurkowali nie na trimiksie, lecz na powietrzu. Tego dnia nie wiedzieli jeszcze, że jaskinia jest znacznie głębsza. Odkryli prawdę następnego dnia, uzbrojeni w długą linę opustową, a El Zacatón zyskał miano najgłębszej zalanej jaskini na świecie. Jej głębokość oszacowano na 319 metrów. W ciągu kilku następnych dni Bowden dotarł na głębokość 152 metrów, a Exley na 215 metrów. Przed końcem sierpnia Jim był już z powrotem w El Zacatón razem ze swoim zespołem. We wrześniu tego samego roku Ann Kristovich została najgłębiej nurkującą kobietą, schodząc na 162 metry, a Jim zszedł na 221 metrów bez żadnych konsekwencji, które mogłyby ujawnić się po nurkowaniu. Exleya nie było wówczas z nimi, bo nurkował w Boesmansgat ze mną i resztą zespołu. Nie podzielił się z nami tymi rewelacjami.

Nawet gdybym wiedział o El Zacatón i znał głębokość tej jaskini, nie miałoby to żadnego znaczenia. Boesmansgat, której potwierdzona głębokość wynosiła co najmniej 263 metry, znajdowała się znacznie bliżej i nie było potrzeby szukać wyzwań, na które nie byłem jeszcze gotowy. Moje najgłębsze nurkowanie jaskiniowe miało mieć miejsce dopiero za trzy lata, więc kiedy Sheck nurkował w Boesmansgat, nie czułem zazdrości, bo miałem świadomość, że ten wybitny nurek gra we własnej, jednoosobowej lidze. Jest to oczywiste, gdy się ogląda nagrania z tamtej wyprawy. Sposób, w jaki poruszał się pod wodą, trzymał poręczówkę... Był tak zręczny i pewny siebie, że wszyscy inni nurkowie wyglądali jak słonie w składzie porcelany. Prawdopodobnie jako jedyny odpychał się płetwami jak żaba. Nie używał rąk, by rozpaczliwie pomóc sobie w zmianie kierunku. Był spokojny. Miał zawsze zgrabnie upięty sprzęt, z którego węże nie wystawały na wszystkie strony, co zapobiegało zaplątaniu się nurka w poręczówkę. Nawet podczas zejścia utrzymywał pozycję poziomą. Ile nurkowań jaskiniowych miał za sobą przed przyjazdem do RPA? Trzy tysiące? Cztery tysiące? Sporo. Więcej niż wszyscy pozostali członkowie zespołu razem wzięci.

Wszyscy przyjechaliśmy na farmę van Zyla tego samego dnia, ale o różnych porach. Ze Stanów Zjednoczonych oprócz Shecka przyleciał jeszcze Alan Riggs, hydrolog z amerykańskiej agencji naukowo-badawczej US Geological Survey. Na przestrzeni kilku ostatnich lat Alan nurkował na Florydzie wspólnie z Shekiem i Paulem DeLoachem. W składzie wyprawy znalazł się również geofizyk Barry

Pardey z brytyjskiej firmy Overseas Technology. Wyprawę prowadził Charles Maxwell przy wsparciu biologa Andrew Penneya, który był jednocześnie jego partnerem nurkowym. Z Namibii przybył Boetie Sheun w towarzystwie Ebena Leydena. Ja przyjechałem sam. Chciało się ze mną zabrać kilku moich partnerów nurkowych, ale nie chciałem brać nikogo, kto nie otrzymał zaproszenia. Nie znaliśmy się wprawdzie osobiście, jednak nawet w czasach poprzedzających erę internetu światek nurkowania głębokiego był niewielki i hermetyczny. Znaliśmy swoje dotychczasowe osiągnięcia. No i wszyscy wiedzieliśmy o dokonaniach Shecka. Nawet jeśli mieliśmy jakieś wątpliwości co do wyniku tego przedsięwzięcia, wszystkie zniknęły na farmie van Zyla.

Jednym z powodów, dla których w ogóle się tam wybraliśmy, było sporządzenie mapy jaskini, ale jeszcze istotniejsze było dotarcie do jej dna. Po tragicznym wypadku, który miał miejsce pierwszego dnia, zaczęliśmy korzystać z obrotowego sonaru pozwalającego badać ściany jaskini. W cieniu ponownie czaił się „Murphy”, który wydaje się być obecny na każdej wyprawie nurkowej, wyczekując okazji, by uderzyć. Nie trzeba było długo czekać. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności sonar zaplątał się w linę opustową. Akurat tylko ja byłem pod ręką i tylko ja mogłem go wydobyć. Sheck miał swoje plany na większych głębokościach i to niefortunne zdarzenie nie mogło zepchnąć go z kursu. Drugiego nurka schodzącego na trimiksie, Boetiego Sheuna, już dawno nie było. Spodziewano się, że znajdzie sonar na głębokości mniej więcej 90 metrów. Wielokrotnie już szukałem różnych rzeczy pod wodą, ale nic nie znajduje się tam, gdzie się człowiek tego spodziewa. Chociaż wiele razy schodziłem na 90 metrów na powietrzu, założyłem, że sonar mógł się zaplątać na głębokości 100 metrów, a nawet głębiej. Uznałem, że nie dam Murphy’emu najmniejszej okazji do interwencji, i postanowiłem zejść na trimiksie. Dziś nie polecałbym nikomu nurkowania na głębokość 90 czy 100 metrów na powietrzu. Ponieważ jednak w latach 90. brakowało nam helu, niektórzy nurkowie mieli mniejsze opory przed schodzeniem na powietrzu na głębokości przekraczające 70 metrów.

Mechaniczna obsługa sonaru jest całkiem prosta. Umieszcza się go ostrożnie w wodzie i opuszcza po linie na wybraną głębokość. Bardzo delikatna głowica obrotowa z całą pewnością nie została zaprojektowana do przeciskania jej przez ciasne wejścia do zalanych jaskiń, więc bardzo istotne jest to, żeby starać się nie obijać jej o skałę. Głowica obraca się bardzo powoli i zbiera dane pomiarowe, odbijając sygnał od lica otaczających ją skał. Zgromadzone dane dostępne są niemal natychmiastowo w komputerze. Na polecenie Barry’ego Pardeya, obawiającego się zniszczenia sprzętu, podczas kolejnych nurkowań

umieszczaliśmy głowicę sonaru na określonych wcześniej głębokościach, żeby zebrać niezbędne pomiary. Pomiary wykonywane były co 10 metrów do głębokości 60 metrów. Od tego punktu sonar był opuszczany w dół na linie spuszczonej w pobliżu zamocowanej na stałe liny opustowej. I znów pomiarów dokonywano co 10 metrów, aż sonar został spuszczony na głębokość mniej więcej 100 metrów, gdzie doszło do poplątania tych dwóch lin. Barry był bardzo zadowolony. Problem polegał na tym, że ten gadżet nie tylko umożliwiał dokonywanie dokładnych pomiarów i wykonywanie cyfrowych odwzorowań jaskini na ekranie komputera, ale też kosztował ponad 50 tysięcy dolarów. Spółki wydobywcze takie jak te, dla których pracował Pardey, wykorzystywały sonary do badania pokładów cennych minerałów znajdujących się pod dnem morza, a tymczasem Barry wykorzystał sprzęt swojej firmy do badania jaskini o zerowym potencjale finansowym. Byłem pewien, że nie jest gotów poświęcić swojego cennego sprzętu nawet w imię nauki. Moje zadanie było „proste”: zanurkować solo na głębokość 100 metrów i ocalić sonar. Tym razem zdecydowałem się na wykorzystanie trimiksu, mając świadomość, że gdybym nurkował na powietrzu, żeby rozplątywać coś, co utknęło na głębokości 100 metrów, byłoby to proszeniem się o kłopoty. Szczęśliwy, że miałem swój wkład w wyprawę, która kręciła się wokół Shecka, przekazałem zdobycz Barry’emu. Cieszył się jak dziecko — do tego stopnia, że ku mojemu zdumieniu nigdy więcej nie pozwolił zanurzyć sonaru w Boesmangat. Jeśli więc chodzi o tworzenie mapy jaskini, przerwaliśmy pracę w jednej trzeciej głębokości. Do zbadania pozostawało jeszcze co najmniej 180 metrów i od tego miejsca musieliśmy już polegać na własnych zmysłach.

Jednym z celów wyprawy było ustanowienie nowego rekordu świata w jaskiniowym nurkowaniu głębokim na powietrzu. Cztery lata wcześniej Bret Gilliam zanurkował w morzu na głębokość 138 metrów, a w 1993 roku poprawił swój wyczyn, schodząc na 145 metrów. Zgodnie z przekazanymi przez niego informacjami, nie doświadczył żadnych objawów narkozy azotowej ani zatrucia tlenem. Sheck w Boesmangat dotarł na powietrzu na głębokość 120 metrów, badając jaskinię w poziomie. To znacznie trudniejsze niż po prostu zejście na określoną głębokość, po którym od razu przystępuje się do wynurzenia.

Niebezpieczeństwo wykonywania głębokich nurkowań na powietrzu związane jest z wysokim ciśnieniem parcjalnemu tlenu i azotu i retencją dwutlenku węgla. Ciśnienie parcjalne tych gazów rośnie wraz z głębokością, czego ostateczną konsekwencją jest utrata przytomności na dużej głębokości. Zagrożenia związane z nurkowaniem na duże głębokości na powietrzu opisał w książce *Amazing*

Diving Stories: Incredible Tales from Deep Beneath The Sea John Bantin, bliski przyjaciel nieżyjącego już Roberta Palmera. Robert, brytyjski nurek jaskiniowy i geolog z Uniwersytetu w Bristolu, był zafascynowany głębokim nurkowaniem na powietrzu i podczas tygodniowego safari nurkowego na Morzu Czerwonym schodził na powietrzu coraz głębiej. „Podczas gdy Robert ponawiał swoje głębokie nurkowania na czystym powietrzu w drugiej połowie tygodnia, dyskusje na ten temat prowadzone przez jego najbliższych przyjaciół w jego kabinie stawały się coraz ostrzejsze. W prywatnej rozmowie postawił nie mieszczącą się w głowie tezę, że schodzenie na 130 metrów na powietrzu jest bezpieczne. Z innymi pasażerami rozmawiał o »kojącym oddziaływaniu narkozy azotowej«”. Historia ta znalazła swój finał na typowej, położonej na dużej głębokości rafie znajdującej się w pobliżu wyspy Giftun w okolicach egipskiej Hurghady. W nurkowaniu brało udział pięciu nurków, wszyscy oddychali powietrzem. Podczas zejścia biorąca udział w nurkowaniu kobieta rozsądnie zdecydowała się przerwać nurkowanie na głębokości 70 metrów. Dwóch kolejnych nurków zeznało, że zatrzymali się na 107 metrach. Czwarty nurek zdecydował się nurkować samodzielnie. Roberta widziano po raz ostatni poniżej pozostałych nurków, najwyraźniej machającego w ich stronę, by kontynuowali zejście. Jego ciała nigdy nie wydobyto na powierzchnię.

Praktyczne podejście do nurkowania, które Sheck Exley i Jim Bowden regularnie prezentowali od wczesnych lat 80., uznaje się dziś za kontrowersyjne. Koncepcja szkoleń przygotowujących do głębokiego nurkowania na powietrzu nadal dzieli społeczność nurków technicznych. Niektórzy twierdzą, że jest to niepotrzebne ryzyko, inni zaś uważają, że jest to konieczne, by wykształcić odporność na narkozę azotową, co do tej pory nie zyskało naukowego potwierdzenia. Dyskusja pozostaje otwarta, tym bardziej że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych i francuska firma inżynierska Comex prowadząca badania podwodne, a zatem dwie główne organizacje, których nurkowie wykorzystują pod wodą mieszanki gazów i które z racji rozległych doświadczeń powinny być autorytetami w świecie nurkowym, niechętnie, jeśli w ogóle, dzielą się informacjami.

O ile głębokie nurkowanie na powietrzu uznawane jest za kontrowersyjne, o tyle już bicie rekordów głębokości na powietrzu traktuje się jak granie w rosyjską ruletkę z więcej niż jednym pociskiem w bębenku. W 1994 roku, rok po nurkowaniu Breta Gilliama, Dan Manion ustanowił obecny rekord świata w nurkowaniu głębokim na powietrzu, schodząc na 155 metrów. Narkoza azotowa obezwładniła go niemal całkowicie, pozbawiając go wspomnień z pobytu na tej

głębokości. Po nurkowaniu Maniona komisja *Księgi rekordów Guinnessa* ze względów bezpieczeństwa zaprzętała publikacji dalszych rekordów w nurkowaniu głębokim na powietrzu.

Dodatkowo kwestię bicia rekordów w nurkowaniu na powietrzu ilustruje wypowiedź Shecka, który w latach 90. następująco opisywał nurkowanie przeprowadzone w 1971 roku: „Z myślą o ustanowieniu kolejnego rekordu świata Archie Forfar opracował genialny, a jednocześnie prosty system zrzuconych ciężarków mający zagwarantować przeżycie nurków. Po utracie przytomności w wyniku narkozy większość nurków nie wypuści z ust automatów i nie przestanie oddychać. Pozostali członkowie zespołu nurkowego muszą zatem już tylko dopilnować, by kamizelka wypornościowa została w pełni dopompowana przed zejściem, a ciężarki pod kolanami nurka odpowiednio zaczepione. W razie utraty przytomności nurek automatycznie wyprostuje nogi, a wówczas ciężarki spadną, w wyniku czego nurek uniesie się na głębokość, z której będę mógł go podjąć”. Tego fatalnego dnia jeden z nurków z Florydy postanowił skorzystać z systemu, a pozostali nie. Zeszli wzdłuż liny opustowej obciążonej silnikiem z oszłamiającą prędkością 60 metrów na minutę, jak zapamiętał to Jim Lockwood, który stracił przytomność na 122 metrach, ale dzięki opracowanemu przez Archiego systemowi mógł zostać reanimowany na powierzchni. Ann Gunderson i jej partner, sam Archie, nie mieli tyle szczęścia. 22-letni wówczas Exley widział, jak umierają. „Z głębokości 122 metrów patrzyłem, jak Archie i Ann oddychają jeszcze na stromo opadającej skalnej ścianie pode mną. Archie opierał głowę o blok silnika i słabo odpychał się nogami, jakby schodził jeszcze wzdłuż liny, a Ann leżała na plecach jakieś 3 metry od niego. Zaczynałem już widzieć tunelowo i ze wszystkich sił starałem się po prostu przeżyć zejście na tę głębokość. Równie dobrze Archiego i Ann mogłyby dzielić ode mnie całe kilometry”.

Na Bahamach Archie miał status żywej legendy. Zbudował Forfar Field Station na wyspie Andros, kompleks pokoi gościnnych i sal wykładowych dla naukowców badających środowisko morskie Bahamów. Kiedy para zdecydowała się pobić rekord Hala Wattsa, schodząc na głębokość 146 metrów na powietrzu, Archie miał 38 lat, a Ann zaledwie 23. „Ann nigdy nie zostawiłaby Archiego i temu należy przypisać ten podwójny wypadek” — wspominał Jim Lockwood. Wydarzenie to było tym bardziej tragiczne, że Archie był żonaty, ale nie z Ann. W następstwie tego dramatu kompleks został sprzedany przez rodzinę Forfar. Nowi właściciele, Walter Bohl i amerykańska organizacja non profit International Field Studies, do dziś zarządzają tą nieruchomością.

W nurkowaniu z akwalungiem utrata przytomności na dużej głębokości może skończyć się śmiercią, o ile natychmiast nie zostanie podjęta akcja ratownicza. To zagrożenie jest tak samo ściśle związane z nurkowaniem jak odmrożenia ze wspinaczką wysokogórską.

Na utratę przytomności na ostatnich metrach przed wynurzeniem narażeni są również nurkowie swobodni. Zjawisko, które potocznie określa się mianem mroczków głębokiej wody, wywoływane jest niedoborem tlenu przy jednoczesnym nagromadzeniu się w tkankach dwutlenku węgla. W nurkowaniu swobodnym zdarza się to często, zwłaszcza gdy czas spędzony pod wodą przekracza 4 minuty. Wielu znakomitych nurków swobodnych zginęło z tego powodu, wielu uratowano dosłownie w ostatniej chwili. Do utraty przytomności dochodziło niemal rutynowo podczas rekordowych nurkowań Francisco „Pipina” Ferrerasa i jego żony, nieżyjącej już Audrey Mestre. Według Carlosa Serry, jego partnera biznesowego, Pipin powołał nawet własną organizację, by zapobiec pomijaniu rekordów, które zakończyły się utratą przytomności nurka. Po rekordowym nurkowaniu u wybrzeży meksykańskiej wyspy Cozumel w styczniu 2000 roku Pipin prawie przez minutę pozostawał nieprzytomny na powierzchni. Stosowana przez niego i jego żonę technika hiperwentylacji uwieczniona na nagraniach wideo z ich nurkowań została przedstawiona między innymi w kultowym filmie *Wielki błękit*. Głębokie wdechy mogą ostatecznie doprowadzić do utraty przez nurka przytomności na stosunkowo niewielkiej głębokości. Biorąc kilka głębokich wdechów tuż przed nurkowaniem, nurek schodzący pod wodę na bezdechu zmniejsza zawartość dwutlenku węgla we krwi i w ten sposób oszukuje odruch bezwarunkowy zmuszający człowieka do zaczerpnięcia powietrza. Konieczność zaczerpnięcia oddechu zostaje odwleczona w czasie, ale z powodu niedotlenienia nurek traci przytomność, zazwyczaj już podczas wynurzania.

Z powodu utraty przytomności na dużej głębokości, jak również z powodu mroczków głębokiej i płytkiej wody straciłem wielu przyjaciół — nie tylko spośród tych, którzy uprawiali nurkowanie głębokie, ale też spośród nurkujących na bezdechu. Jeden z moich najlepszych przyjaciół, Anthony Koch, zmarł podczas oceanicznego polowania na ryby z ościeniem kilka tygodni po naszej wyprawie nurkowej do centrum nurkowego Komati Springs, znanego również pod nazwą „Badgat”, gdzie nurkowaliśmy z akwalungiem. Anthony uwielbiał wodę i z sukcesami uprawiał wiele sportów wodnych. Nurkował z akwalungiem, polował na ryby z ościeniem i był członkiem narodowej reprezentacji RPA w hokeju podwodnym.

To była moja pierwsza wyprawa do Komati Springs. Dla Anthony'ego miała być pierwszą i ostatnią. W tamtych czasach położenie Komati Springs nie było powszechnie znane w społeczności nurków. Nie nurkowaliśmy tam wcześniej i z trudem znaleźliśmy drogę. W tym zalanym kamieniołomie temperatura wody normalnie przekracza 20 stopni Celsjusza. Na pierwszy rzut oka to miejsce ukryte wśród rozległej afrykańskiej sawanny wygląda jak tysiące innych nurkowisk, w których odbywają się kursy nurkowe. Jego imponujące stromizną skalne krawędzie wyrzeźbione w górkim zboczu to pozostałość górniczego wyrobiska. Centrum nurkowe Komati Springs zarządzane przez Dona i Andre Shirleyów oferuje więcej niż większość wyrobisk. Pod powierzchnią wody znajdują się zalane platformy i zatopione obiekty, a widoczność, zwłaszcza zimą, jest wprost znakomita. Tajemnica Komati Springs tkwi głęboko pod powierzchnią wody. To wielopoziomowy, sztuczny system podwodnych korytarzy, zbadany do głębokości 186 metrów. System wykopanych w ziemi tuneli o głębokości przekraczającej głębokość większości naturalnych zalanych jaskiń, jakie można spotkać na Florydzie i we Francji, pozwala zdobyć doświadczenie tym, którzy przygotowują się do jaskiniowej eksploracji. Ośrodek prowadzony przez Shirleyów nie jest wyjątkiem. W RPA znajduje się wiele zalanych kopalni, których szyby sięgają na głębokość ponad 1 kilometra. Problem z innymi zalanymi kopalniami polega na tym, że ich wody są tak kwaśne, iż po odbyciu obowiązkowej dekompresji nurek może wyłonić się z wody bez skóry.

Anthony i ja nie goniliśmy wówczas za rekordami, ale względnie nieszkodliwymi okoniami i brzanami, mając nadzieję, że zaprowadzą nas do zalanego wejścia do kopalni. Nigdy go nie znaleźliśmy, nurkując o wiele za głęboko. Po zaliczeniu kilku głębokich nurkowań wyjechaliśmy stamtąd z poczuciem niespełnienia. Kilka tygodni później, w 1985 roku, otrzymałem telefon z informacją, że Anthony zginął w oceanie podczas polowania z ościeniem z powodu mroczków płytkiej wody. Jego partner nurkowy próbował bez powodzenia wydobyć jego ciało ze zbyt dużej, jak się okazało, głębokości: 35 metrów. Ciało Anthony'ego zostało później wydobyte na powierzchnię przez nurków schodzących pod wodę z akwalungiem. Po wszystkich tych głębokich nurkowaniach, które wspólnie odbyliśmy, Anthony zginął, jak na ironię, nie w wyniku utraty przytomności na dużej głębokości, lecz z powodu mroczków płytkiej wody.

Fotografia uśmiechniętego Shecka Exleya unoszącego się na powierzchni Boesmansgat, zamieszczona w biuletynie Południowoafrykańskiego Towarzystwa Speleologicznego (South African Speleological Association — SASA), nie

pozwała się domyślić, że rok wcześniej, w El Zacatón, Sheck wykonał nieco głębsze nurkowanie na powietrzu. Chociaż nie udało mu się wówczas pobić ustanowionego w 1970 roku przez Hala Watta rekordu nurkowania na powietrzu w jaskini, nie poddawał się. Jaskinia El Zacatón była jednak sekretem tak pilnie strzeżonym, że Exley uznał, iż lepiej będzie powtórzyć nurkowanie w RPA niż ujawnić położenie najgłębszej znanej w 1994 roku jaskini. Wiedział jednak, że aby pobić rekord Hala, będzie musiał zejść na głębokość co najmniej 127 metrów. Sheck zszedł na 121 metrów w El Zacatón, a następnie na 120 metrów w Boesmansgat, nie zbliżając się do 126 metrów Hala Watta osiągniętych w Forty Fathom Grotto w Stanach Zjednoczonych.

Pomysł schodzenia na takie głębokości na powietrzu wydawał mi się niemal nierealny. Wiedziałem, o co w tym chodzi, kilkakrotnie wykonywałem głębokie nurkowania na powietrzu. Na głębokości 100 metrów człowiek wyraźnie słyszy bicie własnego serca i tętnienie krwi w skroniach; poddany narkozie azotowej, ma poczucie, jakby zaraz miał zemdleć. W społeczności głębokich nurków prowadzi się teoretyczne rozważania na temat tego, czy głębokie nurkowanie na powietrzu pozwala z czasem uodpornić się na narkozę azotową, analogicznie do zaprawiania się w piciu przez regularne nadużywanie alkoholu. Uważa się również, że zwiększona zawartość azotu w tkankach przeciwdziała objawom zespołu neurologicznego wysokich ciśnień (HPNS), wywoływanego przez hel. Nurkowanie głębokie na powietrzu składającym się w 79 procentach z azotu zdecydowanie jest sposobem na maksymalizację tolerancji na mieszanki oddechowe z wysoką zawartością tego silnie narkotyzującego gazu. Exley mówił nam, że w El Zacatón doświadczył objawów HPNS i uznał, iż najlepszą metodą ich zniwelowania będzie zaprzyjaźnienie się z azotem. Byłem ślepy. Miałem znikomą wiedzę na temat HPNS. Rekord RPA został ustanowiony przeze mnie w 1993 roku na głębokości zaledwie 123 metrów, a więc zbyt płytko, bym mógł doświadczyć HPNS w jakiegokolwiek formie. Słuchając Shecka, czułem tylko, że schodzenie tak głęboko na powietrzu było aktem wielkiej odwagi, biorąc pod uwagę wszystkie skutki uboczne. Z drugiej strony, może nie miałem specjalnych wątpliwości, bo jednak chodziło o Shecka, który miał na koncie szereg rekordów i reputację najlepszego nurka świata? Przynajmniej ja sam za takiego go uważałem. Kim byliśmy, żeby kwestionować jego metody i możliwości? Zamieniałem się w słuch i chłonałem każde jego słowo jak gąbka.

Sheck wziął kołowrotek i zamocował linkę przy wejściu do jaskini Boesmansgat. Kolejny raz przymocował ją na głębokości 75 metrów, po przepłynięciu 100 metrów ku północnej stronie otchłani. Trzecie mocowanie

miało nastąpić na 120 metrach, łącząc szyb z przeciwną stroną Boesmansgat. Nie udało się. Znalazł odpowiednie miejsce, kawałek wystającej skały, zdołał nawet oplątać ten wystający fragment linką, ale uciął ją nożem po niewłaściwej stronie kołowrotka. Był nieźle uodporniony na narkozę azotową, ale fizyki i fizjologii nie da się oszukać. Sekundę po wykonaniu feralnego cięcia Sheck patrzył na znikający koniec linki. Ten błąd nieomal kosztował go życie. Upuścił kołowrotek, który momentalnie zaczął opadać w toni, i rzucił się w pościg za oddalającą się końcówką. W końcu ją złapał i wzniósł się na poziom 75 metrów, gdzie odwiązał resztę linki. Udało mu się zejść na głębokość 120 metrów na powietrzu, ale tym razem naprawdę otarł się o śmierć.

Jego najgłębsze nurkowanie tamtego sierpnia? Podał, że wykonał dwa nurkowania robocze na głębokość 122 i 126 metrów, rozmieszczając butle z gazami do dekompresji. Wiedzieliśmy o bliskim sukcesie nurkowaniu na 120 metrów. Sheck przyznał jednak, że nadal nie udało mu się wyprzedzić Hala Watta. Jim Bowden w magazynie Międzynarodowego Stowarzyszenia Nurków Nitroksowych i Technicznych (International Association of Nitrox and Technical Divers — IANTD) opublikował informację, że Sheckowi udało się ostatecznie pobić rekord Hala. Dwa dni przed śmiercią osiągnął w jaskini El Zacatón głębokość 128 metrów.

Kolejną dla nas zagadką był jego plan dekompresji. Zachowywał się jak magik wyciągający królika z kapelusza. Spośród całej grupy chyba tylko ja byłem w stanie zrozumieć fizykę dekompresji na trimiksie, ale tylko do głębokości 120 metrów. Cóż to było? Jego ostatni głęboki przystanek bezpieczeństwa? Nawet dziś, w epoce komputerów do nurkowania na trimiksie i powszechnie dostępnych specjalistycznych kursów nurkowania głębokiego oferowanych przez większość ośrodków szkoleniowych dla nurków technicznych, dekompresja nie jest nauką w ścisłym znaczeniu tego słowa. Odnosi się to zwłaszcza do nurkowania głębokiego. Większość podręczników szkoleniowych koncentruje się na umiejętnościach nurków i procedurach stosowanych pod wodą. Problem polega na tym, że nurkowie mogą zyskać w ten sposób złudne poczucie bezpieczeństwa. Mogą nabrać przekonania, że nic im nie grozi, jeśli tylko będą nurkować według podanych zasad, co niekoniecznie jest prawdą. Kluczową kwestią w przypadku nurkowania głębokiego jest bezpieczne wynurzenie się na powierzchnię po przeprowadzeniu odpowiedniej dekompresji. Algorytmy dekompresji i modele matematyczne opierają się na danych zgromadzonych podczas eksperymentów prowadzonych na przestrzeni wielu lat. Dane te obejmują badania Johna Scotta Haldane'a prowadzone na kozach w komorach dekompresyjnych na początku XX

wieku. Między współczesnymi modelami dekompresji występują znaczne różnice, ale wszystkie w mniejszym lub większym stopniu opierają się na pracach Haldane'a lub profesora Alberta A. Bühlmanna, kolejnego istotnego gracza, który poszedł znacznie dalej niż Haldane, zastępując kozy ludźmi i przeprowadzając eksperymentalne nurkowania w suchych komorach dekompresyjnych. Jednym z uczestników jego badań i wiodących nurków był Hannes Keller, matematyk. Keller przeżył pierwsze w historii nurkowanie w dzwonie nurkowym na głębokość 300 metrów, przeprowadzone u wybrzeży Kalifornii w Stanach Zjednoczonych. Niestety, dwóch pozostałych nurków z zespołu miało mniej szczęścia, przyplacając tę próbę życiem. Keller był ostatnim człowiekiem, który brał udział w eksperymentach Bühlmanna. Jego następcy oparli swoje modele dekompresji niemal całkowicie na wyliczeniach czysto matematycznych, jak w przypadku koncepcji mikropęcherzyków, którą zaprezentował po raz pierwszy Bruce Wienke w 1998 roku, modelu o zmiennej przepuszczalności (VPM) Younta i Hoffmana, modeli VPM-A i później VPM-B Bakera oraz modelu pęcherzykowego o zmniejszonym gradiencie (RGBM), którego autorem był również Bruce Wienke. Niektóre komputery nurkowe uwzględniają tę różnorodność modeli, pozwalając nurkowi przełączać się z jednego modelu na drugi i pozostawiając mu w ten sposób pewną swobodę wyboru, ostatecznie jednak wszystko sprowadza się do kwestii nie tyle nauki, ile wiary.

Exley nigdy nie pokazał nam swojego profilu nurkowania w Boesmansgat, podobnie jak czynili to Jochen Hasenmayer czy John Bennett. Profil nurkowania Shecka w jaskini Mante w marcu 1989 roku został opublikowany już po jego śmierci. Chyba właśnie podczas nurkowania w Boesmansgat zrozumiałem, że w wyścigu o rekordy nurkowania głębokiego, który toczył się w latach 90., a nawet i dziś, jedną z głównych przewag, jakie jeden nurek głęboki może mieć nad drugim, jest umiejętność wyliczenia bezpiecznego profilu dekompresji. Nie jest to jednak przewaga ostateczna. Ten sam schemat dekompresji, który zapewnił ci bezpieczeństwo we wtorek, może cię zabić w niedzielę, choćby nurkowanie miało identyczny przebieg.

Jedyną osobą, która nie strzegła zazdrośnie sekretów dekompresji, był Jim Bowden. W 1995 roku opublikował on w „AquaCORPS Journal” profil dekompresji opracowany przez siebie na potrzeby zejścia na 300 metrów, które zaplanowali z Shekiem w El Zacatón. Zaproponowany przez nich profil nurkowania uwzględniał całość zgromadzonej dotychczas wiedzy na temat szybkiego zanurzenia, oddychania powietrzem na dużych głębokościach i zredukowania liczby głębokich przystanków bezpieczeństwa. Bowden i Exley

dopracowali koncepcję przechodzenia z trimiksu na powietrze. Tym razem zaplanowali zmianę gazów znacznie głębiej niż w Mante, a mianowicie na głębokości 80 metrów. Przyjęcie takiego sposobu postępowania miało zapobiec kontrdyfuzji izobarycznej, do której dochodzi, kiedy dwa gazy o różnej gęstości poruszają się w dwóch różnych kierunkach, przenikając przez błony komórkowe w ciele człowieka. Jim opatrzył opublikowany profil nurkowania następującą uwagą: „Nie próbujcie tego w domu, dzieciaki!”. Wiedział, że tylko kilku nurków na świecie mogło ująć z życiem z takiego nurkowania. Przeprowadzając takie nurkowanie, wchodził do elity nurków mających „to coś”. W świecie nurków stał się legendą. Sheck prawdopodobnie nie ująłby tego tak kategorycznie. Niestety nie miał już szansy. Podobnie jak Jim, nie osiągnął tego, co zaplanował. Bowden dotarł na maksymalną głębokość 281,9 metra z zaplanowanych 300 metrów, a jego mentor, Sheck Exley, nie powrócił z głębokości 278 metrów. Nurkowanie zostało uznane przez *Księgę rekordów Guinnessa*, a Jim wkrótce potem rozsądnie całkowicie zarzucił głębokie nurkowanie. Jak Boetie rok wcześniej, miał już prawdopodobnie dość ludzi umierających co chwilę w jego otoczeniu. Potwierdził w ten sposób zasadność ostrzeżenia umieszczonego przed wejściem do florydzkich jaskiń: „W tej jaskini nie ma nic, za co warto umrzeć”. A może jednak jest?

Kiedy jeszcze raz przyglądam się profilowi nurkowania Shecka w jaskini Mante, zauważam kilka rzeczy. Przede wszystkim zejście było raczej powolne. Dotarcie z powierzchni na głębokość 152 metrów trwało 13 minut, a ze 152 metrów na 264 metry (kolejne 112 metrów) — 10 minut. To naprawdę wolno. Ja sam prawdopodobnie zrobiłbym całe zejście w czasie poniżej 10, a nie 23 minut. Wiedziałem jednak, że Sheck próbował w ten sposób ograniczyć HPNS pojawiający się na głębokości około 150 metrów. Powoli wysycając tkanki swojego ciała helem, próbował zmniejszyć jego oddziaływanie. Wpływ helu wywołującego pod dużym ciśnieniem HPNS był jego piętą achillesową. Oddychając powietrzem, był w stanie stawić czoła narkozie azotowej w stopniu pozwalającym na wykonywanie pracy na głębokości przekraczającej 100 metrów, ale źle znosił oddziaływanie helu. Właśnie dlatego wszystkie stosowane przez niego mieszanki oddechowe charakteryzowały się dużą zawartością azotu. Doktor George Hamilton, który pracował z zawodowymi nurkami saturowanymi i doradzał mu przy opracowywaniu profilu dekompresji, był zwolennikiem powolnego zanurzenia. HPNS poważnie dał się Sheckowi we znaki w Mante, jeszcze bardziej w Boesmansgat i prawdopodobnie stał się przyczyną jego śmierci w El Zacatón.

Na liście gazów Shecka nie spotka się triksu (hiperoksycznego trimiksu). Niektórzy nurkowie polecają go jako metodę przeciwdziałania chorobie dekompresyjnej w pierwszych fazach procesu usuwania gazów z tkanek. Spotkałem przynajmniej trzech nurków, którzy zapadli na chorobę dekompresyjną po zastosowaniu triksu. Sheck prawdopodobnie również ich znał. Kiedy przełączył się na powietrze z heliair 10 (10% tlenu, 40% azotu, 50% tlenu), podwoił zawartość tlenu i azotu w mieszance oddechowej. Interesujące jest też to, że podczas wyjścia co 3 minuty zatrzymywał się 1 na minutę. Dobra strona tak częstych przystanków polega na tym, że masz zajęcie. Z drugiej jednak strony, robiąc tak wiele przystanków, łatwo jest popełnić błąd. Sheck z upodobaniem nosił ze sobą skomplikowane profile nurkowania wydrukowane na kilku zalaminowanych stronach. Z zawodu był nauczycielem matematyki i szczegółowe, precyzyjnie opracowane plany dawały mu poczucie kontroli nad sytuacją. Jego profile nurkowania przypominają plany, które rozrysowywał dla nas na białej tablicy w bazie nurkowej w Boesmansgat. Miał dwie takie tablice: jedną na farmie Mount Carmel, drugą już na samym nurkowisku. Był to czytelny przykład zastosowania maksymy Billa Hogartha Maina: „Zaplanuj swoje nurkowanie, nurkuj zgodnie ze swoim planem”. Zdecydowanie podczas tych wypraw nurkowaliśmy zgodnie z planami rozpisanyymi na białych tablicach. Ostatnia rzecz, którą znalazłem w jego profilu nurkowania, popchnęła mnie z powrotem ku głębokim nurkowaniom na powietrzu. Jego gaz dennej heliair 7 (7% tlenu, 26% azotu i 67% helu) dawał mu równoważną głębokość powietrzną na poziomie 80 metrów, co zdecydowanie nie było propozycją dla tchórzów. Z identycznego gazu dennej korzystał w Mante podczas swojego nurkowania na 264 metry, którym ustanowił rekord świata w nurkowaniu jaskiniowym.

Bazy ostatecznego profilu nurkowania wykorzystanego w Boesmansgat dostarczył program Dr. X, oparty na modelu profesora Alberta Bühlmanna. Sheck napisał go samodzielnie, by usprawnić obliczanie harmonogramów dekompresji. Tak bardzo chciałem otrzymać kopię tego programu, że oddałem za nią swój nowy zegarek Casio G-Shock. W tamtym czasie tak naprawdę program ten był już dostępny w normalnej sprzedaży. Pamiętam, jak Sheck wskazał na mnie po swoim głębokim nurkowaniu na powietrzu i zaproponował, żebym wyciągnął jego kołowrotek z dna jaskini. Program pewnie by mi w tym pomógł, ale to nie program nurkuje, tylko człowiek.

Na głębokości 90 metrów dostrzegłem poniżej niewielkie światełka, które wyglądały jak robaczki świętojańskie. Ten widok zarezerwowany jest zazwyczaj tylko dla jednego człowieka w zespole zabezpieczającym: dla nurka głębokiego zabezpieczenia. W 1993 roku byłem jedynym członkiem zespołu zdolnym wesprzeć Shecka na tej głębokości. Nie oznaczało to, że zdołam w jakikolwiek sposób mu pomóc w razie wystąpienia problemów, ale moja obecność była pocieszająca. Posiadanie drugiego nurka — latarni wskazującej drogę — daje isierkę nadziei, której potrzebuje każdy. Nie ma znaczenia, jak jesteś twardy i ile masz doświadczenia — schodzenie w otchłań jest przerażające. Tyle rzeczy może pójść nie tak, tyle spraw, przynajmniej do pewnego stopnia, zależy od zwykłego szczęścia. Czyjaś wyczekująca obecność jest pocieszająca, nawet jeśli ta osoba może zaoferować ci tylko swoją czujną uwagę. Może się bowiem zdarzyć, że nic nie będzie w stanie dla ciebie zrobić.

Oddychałem powietrzem i gdy zauważyłem, że robaczki świętojańskie stają się większe, zacząłem się wynurzać, żeby zrealizować własny harmonogram dekompresji. Byłem na 90 metrach przez prawie 10 minut. Nawet gdyby Sheck stracił kontakt z liną opustową, nadal mógłby się kierować blaskiem mojej czołówki. Nie stracił go jednak. Zrobił to, co zaplanował. Wszyscy byli niesamowicie szczęśliwi. Przekazałem wiadomość Charlesowi Maxwellowi, Alanowi Riggsowi i Andrew Penny'emu czekającym na głębokości 60 metrów. Do końca nurkowania Shecka musiało jeszcze upłynąć mnóstwo czasu, ale najbardziej niebezpieczna część, podczas której nie moglibyśmy mu w żaden sposób pomóc, była już za nami. Gdyby teraz cokolwiek się stało, moglibyśmy wydobyć Shecka z wody i przeprowadzić dekompresję w komorze w Pretorii albo Kapsztadzie; na miejscu czekał helikopter ratowniczy z obsługą i samochody. Po nurkowaniu Sheck powiedział nam, że HPNS dopadł go na poważnie na 210 metrach. Nie widział wyraźnie, patrzył jakby przez lornetkę, a pole widzenia przesłaniały mu czarne kropki. Ciałem zaczęły wstrząsać niekontrolowane spazmy, skóra zaczęła go szczypać, a później piec. Jedyną metodą przerwania tych objawów było rozpoczęcie procedury wynurzania, ale nie mógł sobie pozwolić na ten luksus. Miał do pokonania jeszcze kilkadziesiąt metrów. Dno jaskini przypominało krajobraz księżycowy. Wszystko pokryte było drobnym osadem, spod którego tu i ówdzie wystawały fragmenty nagiej skały. Prawdziwym wyzwaniem było wyhamowanie tuż przed uderzeniem o dno. Ciśnienie było tak wysokie (27,3 bara), że wypełnienie kamizelki wypornościowej gazem dla uzyskania neutralnej pływalności trwało całe wieki. Nie odpiął znacznika, by potwierdzić swój rekord głębokości. Dane z komputera nurkowego Aladin były

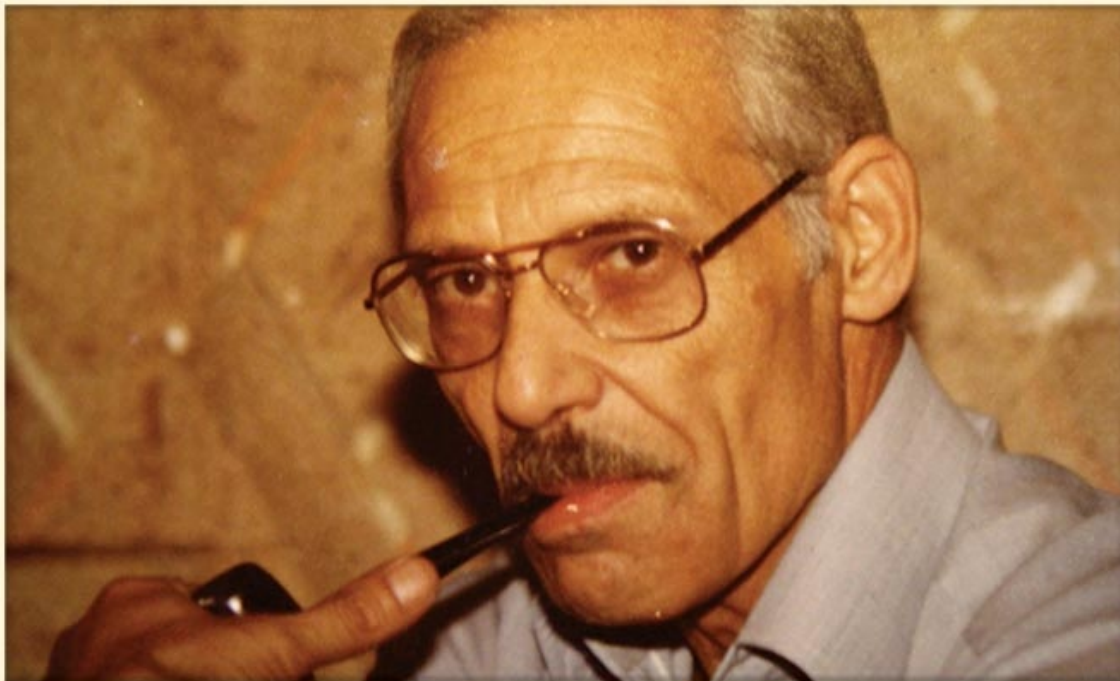
wystarczającym dowodem, że zszedł na tę głębokość. Po nurkowaniu sprawiał wrażenie tak wycieńczonego, że wątpię, by na dnie jaskini nawet rozważał zdejmowanie znacznika z liny opustowej.

W jego własnych wspomnieniach z tego nurkowania przewija się kilka przedmiotów z dna jaskini: zagubiony aparat fotograficzny, ołowiane ciężarki zamocowane na końcu liny opustowej, niewielkie, zaskakująco jasne skały pokryte ciemnym osadem. Pokusa dalszego zbadania jaskini i popłynięcia głębiej nad łagodnie opadającym dnem szybko ustąpiła miejsca lękowi przed zagubieniem się w tej oszłamiająco rozległej komorze i obawom przed pogłębieniem się objawów HPNS. Zwyciężył rozsądek.

Objawy HPNS nie są jedyną karą, która spotyka śmiałków zapuszczających się na tak ekstremalne głębokości. Tam jest po prostu nieznosnie zimno. Chociaż Sheck miał wewnątrz swojego suchego skafandra zamontowany system elektrycznego ogrzewania, po 7 godzinach przebywania w wodzie było mu koszmarnie zimno. Hel przewodzi ciepło dziesięciokrotnie lepiej niż powietrze i z tego powodu oddychanie lżejszym od powietrza helem szybko wychładza ciało od wewnątrz, wyczerpując nurka. Wciąż doskonale pamiętam jego poszarzałą twarz i ciało wstrząsane niekontrolowanymi dreszczami.

Sheck tego dokonał. Od pokonania własnego rekordu ustanowionego w jaskini Mante cztery lata wcześniej dzielił go zaledwie 1 metr. Był pierwszym z trzech nurków, którzy kiedykolwiek dotarli na dno Boesmansgat. Dziś Boesmansgat jest nadal najgłębszą na świecie zalaną jaskinią znajdującą się na dużej wysokości. Ze względu na wymagany czas dekompresji jego nurkowanie było odpowiednikiem zejścia na 315 metrów w jaskini znajdującej się na poziomie morza.

Po dokonaniu tego wyczynu Sheck zapytał mnie, czy chciałbym skorzystać z jego sprzętu, by zejść na dno. Nie byłem na to psychicznie przygotowany, więc odmówiłem. Dwa dni później ustanowiłem jednak mój własny rekord, schodząc na głębokość 177 metrów przy wykorzystaniu danych pochodzących z programu Dr. X. Program się sprawdził. Wyszedłem z tego bez szwanku. Exley był zaskoczony, że wykonałem to nurkowanie, nie zakładając suchego skafandra. Nie wiedział, że go po prostu nie mam. Czy miał świadomość, że dwa lata później znajdę głębsze miejsce w Boesmansgat? Gdzieś głęboko w jego oczach, pod ciemnymi brwiami, coś wówczas dostrzegłem. Uśmiech.



Mój ojciec, Nuno Gomes.

ROZDZIAŁ 2

PO OMACKU

Zaginiony w Sterkfontein

Perspektywa zgubienia się w jaskini budzi we mnie chyba największe - obawy; może się z nią równać tylko lęk przed całkowitym wyczerpaniem zapasu mieszanki oddechowej. Te dwa scenariusze mają jedną cechę wspólną: kiedy się urzeczywistnią, można liczyć już tylko na szczęśliwy traf. Nurków jaskiniowych uczy się zachowywania orientacji przestrzennej w jaskini. Jej utrata równoznaczna jest z gwałtownym spadkiem szans na przeżycie. W gruncie rzeczy zagubiony w jaskini nurek może liczyć wyłącznie na łut szczęścia. Jediną metodą przezwyciężenia tego lęku, który nieodłącznie towarzyszy wszystkim nurkom jaskiniowym, jest przyzwyczajanie się do niego. Kolejne szkolenia i praktyczne szlifowanie umiejętności nurkowania w jaskiniach zdecydowanie pomagają w opanowywaniu lęku, który początkowo ogarnia człowieka na samą myśl o tym, że mógłby się zgubić lub nieoczekiwanie zorientować, iż ma puste butle. Niepodobna całkowicie pozbyć się strachu, który z każdą sekundą nieubłaganie rośnie i z łatwością może się przerodzić w atak paniki. Kiedy sprawy przybierają niekorzystny obrót, każdy wcześniej czy później osiąga granice swojej wytrzymałości. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Sheck Exley — w światku nurkowania jaskiniowego legenda już za życia, człowiek, któremu udało się ustanowić wiele światowych rekordów — mawiał: „Potwór ukrywający się w mrocznej otchłani jaskini dopadnie cię prędzej czy później”.

Obecność resztek tlenu w tkankach ludzkiego ciała nie jest nieograniczona, ale jest go więcej, niż się zazwyczaj sądzi. Znane są przypadki skutecznej i niepociągającej za sobą żadnych trwałych skutków ubocznych reanimacji nurków, którzy nie oddychali przez prawie pół godziny, zanurzeni w lodowato zimnej wodzie. Mój własny rekord w statycznym wstrzymywaniu oddechu wynosi 11 minut i 45 sekund. Nurkowania na wstrzymanym oddechu trwające około 7 minut nie są niczym nadzwyczajnym w przypadku niektórych nurków swobodnych, chociaż większości nurków schodzących pod wodę z akwalungiem trudno będzie wstrzymać oddech na dłużej niż minutę czy dwie. W rzeczywistości jedynym czynnikiem, który realnie ogranicza możliwość przybywania pod wodą na wstrzymanym oddechu, jest ludzki umysł. Nie jest nim ludzkie ciało, w którego tkankach cały czas znajdują się znaczne rezerwy tlenu, lecz ludzki umysł gwałtownie reagujący na niemożność regularnego zaczerpnięcia oddechu.

Kiedy we wczesnych latach 70. zacząłem swoją przygodę z nurkowaniem, najbardziej bałem się rekinów. Film *Szczęki* tylko utwierdził mnie w moich lękach; ignorancja znakomicie podsycą nieumotywowany strach. Kolorowe magazyny publikujące na okładkach fotografie niewiarygodnych bestii podsycaly moją wyobraźnię, dodatkowo potęgując obawy. Wyobrażałem sobie, że kiedy

tylko zanurzę stopę w słonej wodzie, znacznie mnie ścigać cała ławica nienasyconych żarłaczy. Południowa Afryka zdecydowanie nie jest miejscem, w którym widok rekina wywołuje sensację. Możesz mi wierzyć lub nie, ale zanurkowałem w tych wodach ponad 200 razy i nie widziałem ani jednego. Może po prostu wymazałem ich obraz z pamięci, a może specjalnie się nie rozglądałem, by jakiegoś przypadkiem dostrzec. Dzisiaj już wiem, że mój strach wywołany był prawdopodobnie przede wszystkim kompletną niewiedzą. Rekiny — nawet te bardzo duże — nie są zwierzętami, które niczego się nie boją. Przeprowadzają swoje ataki dość zachowawczo i zazwyczaj obierają za cel stworzenia pływające po powierzchni wody lub tuż pod nią. Nurków korzystających z akwalungu i nurkujących na znacznych głębokościach w pobliżu raf koralowych zostawiają zazwyczaj w spokoju. Znacznie mniej szczęścia mają surferzy. Często brani są omyłkowo za pływające żółwie lub foki i padają ofiarą ataku, który czasem kończy się ich śmiercią.

Od nurków przechodzących kursy głębokiego nurkowania na powietrzu lub trimiksie (mieszanka tlenu, azotu i helu) wymaga się opanowania pewnej umiejętności, która wielu z nich przysparza sporo problemów, a nawet budzi lęk. Mowa o umiejętności pływania w tak zwanej czarnej masce. Chodzi o to, by nauczyć w pełni wyposażonego nurka docierania do zbiornika z powietrzem w sytuacji, w której jego maska została całkowicie zalana wodą. Nurek ma popłynąć na oślep wzdłuż poręczówki rozciągniętej z jego zapasowego kołowrotka. Oczekuje się od niego, by przepłynął 20 metrów wzdłuż linki, która kilkakrotnie zmienia kierunek, a której koniec przymocowany jest do butli z automatem oddechowym przyczepionym elastyczną linką. Zawór butli jest zakręcony, więc nurek musi najpierw odczepić automat od elastycznej lonży, a następnie odkręcić zawór — dopiero wówczas będzie mógł zaczerpnąć oddechu. Po przepłynięciu 20 metrów na wstrzymanym oddechu nie pozostaje wiele czasu ani powietrza na ukończenie tego zadania. Większości nurków nie udaje się za pierwszym razem. Odruchowo starają się płynąć szybciej, ale to prowadzi do szybszego zużycia zapasu tlenu zgromadzonego w tkankach. Wstrzymywanie oddechu prowadzi do osiągnięcia dodatkowej pływalności i niekontrolowanego wynurzenia się, więc większość nurków już w połowie poręczówki, unosząc się dobre kilka metrów nad dnem, zaczyna się dusić. Nie mogąc dopłynąć do butli, by wykonać wymagane zadania, ratują się wynurzeniem na powierzchnię. Sztuczka polega na tym, by płynąć równym tempem naprzód, nie zastanawiając się specjalnie ani nad tym, ile jeszcze ma się powietrza, ani nad panującą ciemnością, ani nad czasem potrzebnym na dopłynięcie do butli.

Niektórzy zajmują umysł liczeniem okien we własnym domu, inni rozmyślają o wakacjach, pięknych kobietach, szybkich samochodach lub czymkolwiek innym, co odwróci uwagę ich spragnionych tlenu mózgów. Kiedy już opanujesz tę umiejętność, to o obecności butli, konieczności odczepienia automatu, odkręcenia zaworu i zaczerpnięcia powietrza przypomni ci dopiero uderzenie kasku nurkowego o ściankę butli. Zazwyczaj nurkowie, którym się udaje, nerwowo odczepiają automat od lonży, gwałtownie szukają zaworu, odkręcają go i w końcu, krztusząc się, biorą kilka pierwszych wdechów powietrza zmieszanego ze słoną wodą.

Zgubienie się w suchej jaskini to kompletnie co innego. Teoretycznie jeśli poruszasz się przy ścianie znajdującej się najbliżej twojej prawej ręki, nawet na chwilę nie odrywając od niej dłoni (co nosi nazwę „reguły prawej ręki na ścianie”), w końcu dotrzesz do wyjścia z jaskini — choć może to zająć kilka dni. Problem tej teorii polega na tym, że jaskinie są środowiskami wielowymiarowymi. Mogą rozciągać się w górę i w dół, w prawo i w lewo. Jaskinia może meandrować, poszerzać się i nieoczekiwanie zwężać, tworzyć kominy wysokie na kilkaset metrów i być do połowy lub całkowicie zalana. A wszystko to w całkowitych ciemnościach, jeśli nie liczyć blasku rzucanego przez czołówkę. W suchych jaskiniach nie korzysta się z poręczówek. Ma się więcej czasu do dyspozycji, bo powietrze dostępne jest w niemal nieograniczonej ilości i niemal nieograniczona jest również widoczność. Łatwo mi sobie wyobrazić, że gubię się w suchej jaskini, wędruję przez kilka dni w całkowitych ciemnościach, próbując się zorientować, który z dwóch korytarzy doprowadzi mnie do wyjścia, a potem ostatecznie je znajduję. Ludzie polegają zazwyczaj na swoim wzroku i pamięci wzrokowej; nie widząc, tracimy możliwość posłużenia się pamięcią wzrokową. W rozległych systemach jaskiń ciągnących się na przestrzeni setek kilometrów jest mnóstwo do zapamiętania. Niektórzy ludzie wykształcają specyficzne wyczucie jaskini, szósty zmysł, który ułatwia im orientację, ale nawet oni, odkrywając kolejne części jaskini, zostawiają sobie wskazówki na później. Nie mam tego wyczucia; moim szóstym zmysłem jest poręczówka. Znacznie rzadziej zawodzi.

Nurkowie gubią się nie tylko w jaskiniach, ale również w morzu. Co roku straż przybrzeżna wyławia nurków na wodach otwartych — o ile mają tyle szczęścia, że zostaną znalezieni. Przy silnych prądach morskich nurkowie mogliby dryfować przez wiele tygodni, zanim doczekaliby się pomocy. Pamiętam, jak nurkowałem na wraku SS Lusitania, portugalskiego liniowca spoczywającego na głębokości 42 metrów. Liniowiec zatonął 19 kwietnia 1911 roku po tym, jak uderzył w skały

Bellows Rock znajdujące się niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei w pobliżu Kapsztadu w RPA. Morze w rejonie wraku było tego dnia bardzo wzburzone, co uniemożliwiło zakotwiczenie łodzi nurkowej. Kiedy się wynurzyliśmy po zakończeniu dekompresji, nad wodą unosiła się gęsta mgła. Z trudem rozróżnialiśmy zarysy naszych unoszących się na powierzchni wody głów; łódź, a tym bardziej brzeg, były kompletnie zasłonięte przed naszym wzrokiem. Mogliśmy tylko trzymać się razem i gwizdać rozpaczliwie przez gwizdki przyłączone do naszych kamizelek wypornościowych — w nadziei na przyciągnięcie w ten sposób uwagi załogi. Na otwartym morzu, w ryku bałwanów przewalających się po skałach, nasze gwizdki nie na wiele się zdały. Po kilku godzinach mgła podniosła się wreszcie na tyle, że załoga łodzi nurkowej w końcu nas odnalazła. Mogę Was zapewnić, że zagubienie się na morzu i unoszenie się przez kilka godzin w wodzie o temperaturze 19 stopni Celsjusza jest bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem.

Najbardziej doświadczonym grotołazem w naszym zespole był Peter Verhulsel. W 1984 roku miał za sobą więcej czasu spędzonego w jaskiniach niż ja i Malcolm Keeping razem wzięci. Nie prowadzono wówczas żadnych formalnych kursów dla grotołazów. Peter był członkiem Południowoafrykańskiego Towarzystwa Speleologicznego (South African Speleological Society — SASA) i jako grotołaz miał sporo doświadczeń zebranych podczas licznych wyjazdów tej organizacji. W tamtych czasach nie było również formalnych kursów nurkowania jaskiniowego. Podstawowe zasady nurkowania jaskiniowego brzmiały następująco: korzystaj z poręczówki, stosuj się do zasady jednej trzeciej (w drodze do jaskini wykorzystaj maksymalnie jedną trzecią posiadanego czynnika oddechowego, jedną trzecią zostaw na powrót i jedną trzecią miej w zapasie), pamiętaj o zapasowym źródle światła, trzymaj się blisko swojego partnera (na wypadek, gdybyście musieli oddychać z jednej butli) i nie podrywaj osadu z dna jaskini. Obowiązywała także podstawowa zasada grotołazów chroniąca przed zagubieniem się w jaskini: reguła prawej ręki na ścianie. Niewątpliwie sprawdza się ona w suchych jaskiniach, ale nawet stosując się do niej, można się zgubić, jeśli człowiek nie wykaże się ogromną cierpliwością. W zalanych jaskiniach z łatwością można poruszać się w trzech wymiarach, a wydostanie się z ich labiryntu staje się przez to znacznie bardziej skomplikowane.

W tamtych czasach w dziedzinie nurkowania jaskiniowego byliśmy nowicjuszami. Naszą nicią Ariadny była linka grubości 5 milimetrów rozwijana od wejścia do jaskini Sterkfontein z ogromnego kołowrotka. Niewiele się pod tym względem zmieniło od epoki nurkowania w mosiężnych hełmach w czasach budowy w latach 80. XIX wieku tunelu kolejowego pod rzeką Severn, łączącego zachodnią Anglię z południową Walią. Peter i Malcolm zabezpieczali mnie z powierzchni, wydając linkę. Moim zadaniem było rozpięcie jej od Milner Hall do najdalszego punktu, czyli do kieszeni powietrznej za Elephant Chamber, komorą jaskini, w której znajdowała się skała przypominająca słonia z trąbą, ciosami, uszami i przednimi nogami. Moi partnerzy nurkowi otrzymali wszystkie niezbędne informacje, a ja czułem się pewny siebie. Nurkowanie, które zaplanowaliśmy na sobotę, 29 września 1984 roku, było dokładnym powtórzeniem nurkowań, które zrobiłem trzy tygodnie wcześniej z Craigiem Stevensonem i dwa tygodnie wcześniej z Martinem Clarkiem.

Craig Stevenson był niezawodny jak szwajcarski zegarek, co u swoich partnerów nurkowych bardzo ceniłem. Na każdym spotkaniu pojawiał się punktualnie co do minuty. W czasach, gdy byłem prezesem klubu nurkowego Uniwersytetu Witwatersrand w Johannesburgu, sprawował funkcję mojego zastępcy, więc mieliśmy już doświadczenie we współpracy. Obaj byliśmy inżynierami i działaliśmy jak zgrany tandem. Byliśmy młodzi i skłonni do ryzyka, a wyprawy nurkowe do jaskiń dawały nam szansę nie tylko ponurkować, ale też spędzić kilka wieczorów przy ognisku pod rozgwieżdżonym afrykańskim niebem. Craig miał silne zasady moralne. Spał w jednym namiocie ze swoją dziewczyną, ale dzieliła ich przegroda. Wszyscy uważaliśmy, że to niesłychanie zabawne, iż jego dziewczyna śpi po jednej stronie, a on po drugiej. Martin Clark, mój drugi partner nurkowy i również inżynier, pracował dla lotnictwa wojskowego. Wspólnie z Martinem zapoczątkowaliśmy eksplorację wielu południowoafrykańskich jaskiń, między innymi Bobbejaansgat w pobliżu miasteczka Ottoshoop.

Peter, entomolog, był zupełnie inny niż Craig i Martin. Podchodził do życia na znacznie większym luzie i zdecydowanie nie można było odmówić mu odwagi. Był przyzwyczajony do ciemnych, wąskich miejsc i nie panikował ani pod ziemią, ani pod wodą. Miał niezależną naturę, a jego odwaga czasem przeradzała się w brawurę i beztroskę. Peter i ja jako pierwsi zeszliśmy w Boesmansgat na głębokość 90 metrów. Przed nami najgłębiej — na 60 metrów — zszedł Charles Maxwell. Nasze wykonane na powietrzu nurkowanie było zaledwie 12 metrów płytsze niż afrykański rekord nurkowania na trimiksie ustanowiony na 102 metrach

w Zimbabwe, w jaskiniach Sinoia, w 1969 roku przez Roly'ego Nymana, Iana Robertsona i braci van der Walt.

W tamten weekend w regionie jaskiń Sterkfontein, znajdujących się w pobliżu miasta Krugersdorp w RPA, było bardzo ciepło i pogodnie. W ciągu dnia temperatura sięgała 25 stopni Celsjusza, w nocy spadała do 10. W owych czasach nie było tam muzeum ani wycieczek z zawodowym przewodnikiem, nie było też wykwinnych restauracji, sklepów z pamiątkami ani rozległych parkingów. Można było wynająć przewodnika, ale go nie potrzebowaliśmy — wiedzieliśmy, gdzie szukać wody. Rejon Sterkfontein jest obszarem skał dolomitowych podziurawionych ponorami ukrytymi przed wzrokiem człowieka w gęstych zaroślach, a jedna z takich dziur prowadziła do systemu jaskiń. Człowiek niezachowujący odpowiedniej ostrożności mógł z łatwością wpaść do jednego z szybów, których głębokość wahała się od 10 do 60 metrów. Upadek zakończyłby się prawdopodobnie śmiercią. Taki właśnie los spotkał cztery miliony lat temu jednego z pierwszych ludzi, nazwanego Małą Stopą.

W samo południe zaciągnęliśmy sprzęt pod wejście do jaskini, korzystając ze schodów zbudowanych w XIX wieku przez Guglielmo Martinaglię, włoskiego górnika. Górnicy rozpaczliwie potrzebowali wapienia i z użyciem materiałów wybuchowych wydobywali go z jaskini. Z wapienia otrzymuje się wodorotlenek wapnia niezbędny w procesie pozyskiwania złota, którego złoża odkryto w Afryce w 1884 roku; to odkrycie wywołało gorączkę złota porównywalną jedynie z tym, co działo się niegdyś na Alasce. Podążaliśmy śladami doktora Davida Drapera, uznanego geologa, który przekonał górników, by zrezygnowali z eksploatacji głównej jaskini i zachowali jej podziemne jezioro i unikalne formacje skalne dla przyszłych pokoleń.

Zamiast lamp karbidowych, jak kiedyś, używaliśmy nowoczesnych latarek Ikelite w charakterystycznych czarno-czerwonych obudowach, alternatywnych źródeł światła i butli. Malcolm i Peter mieli tylko pojedyncze butle. Ja też miałem pojedynczą butlę, ale poza nią również zapasowy stage (butlę przypiętą z boku do uprząży nurkowej) na wypadek, gdybym ja sam lub którykolwiek z moich partnerów nurkowych awaryjnie go potrzebował. Według współczesnych norm byliśmy raczej słabo wyposażeni, ale Sterkfontein to nie Boesmansgat. Woda miała głębokość maksymalnie 4 metrów, a nasze nurkowanie miało trwać niewiele ponad 20 minut, maksymalnie 25. Na tej głębokości posiadany przez nas zapas powietrza, czyli 12 litrów na głowę, starczyłby nam na ponad 70 minut nurkowania, czyli nawet nieco dłużej, niż świeciłyby nasze latarki bez wymiany baterii. We wczesnych latach 80. współdzielenie latarki, stage'a czy

głębościomierza było powszechną praktyką. Bliźniacy Niewenhuizen nurkowali w 1983 roku w jaskini Wondergat z jedną, wspólną latarką. Przeprowadzali nocne nurkowanie i połączeni lonżą korzystali z jednego źródła światła. Podczas nurkowania oddzielili się w pewnym momencie od głównej grupy i w niewyjaśnionych okolicznościach zgubili swoją jedyną latarkę. Dwa ciała wyłowiono z dna tej południowoafrykańskiej studni krasowej następnego ranka.

Mapa systemu jaskiń Sterkfontein nie istniała, a właściwie była przez nas właśnie tworzona; w każdym razie ja nie spotkałem się wcześniej z żadną mapą tego regionu. Nikt, włącznie z Towarzystwem Speleologicznym Transwalu (Transvaal Speleological Association), którego członkowie badali te jaskinie, nie sporządził oficjalnej mapy Sterkfontein. Poręczówka, którą rozpiąłem, była naszą jedyną nadzieją na znalezienie drogi powrotnej. W jaskiniach Sterkfontein łatwo się zgubić. Co najmniej dziewięć syfonów łączy główną komorę jaskini i znajdujące się w niej jezioro z suchymi fragmentami, a po drodze jest kilka wąskich przesmyków. Kiedy się patrzy z góry, jezioro wydaje się rozległe, tylko występujące tu i ówdzie stalagmity tworzą labirynt korytarzy i ślepo zakończonych odcinków. Wiedząc o tym, nie rozdzielaliśmy się. Płynęliśmy wzdłuż poręczówki: ja pierwszy, za mną Malcolm, z tyłu Peter.

Sterkfontein jest częścią Kolebki Ludzkości, systemu krasowego, w którym znaleziono ponad tysiąc szkieletów ludzi żyjących przed milionami lat. Większości odkryć dokonano w XX wieku na obszarze wielkości 170 tysięcy hektarów kryjącym 36 jaskiń. System jaskiń Sterkfontein jest największym i prawdopodobnie najważniejszym. W 1947 roku Robert Broom, kurator Muzeum Transwalskiego, i John T. Robinson, jego asystent, znaleźli liczące 2,3 miliona lat skamieniałości przedstawiciela gatunku *Australopithecus africanus*, nazwanego Pani Ples. Rozwiali w ten sposób wcześniejsze wątpliwości, że szczątki te nie należały do praludzi, lecz do małp. Chociaż Pani Ples nie była kobietą, lecz młodym chłopcem, wiek skamielin, w połączeniu z odkryciem Dziecka z Taung, pozwolił położyć podwaliny pod teorię, zgodnie z którą wszystkie istoty ludzkie pochodzą z kontynentu afrykańskiego. Nie da się przecenić kulturowego i politycznego znaczenia tego odkrycia. Pięć lat po upadku apartheidu cały obszar wykopalisk został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Historia ta jednakże rozgrywała się ponad naszymi głowami w suchych korytarzach jaskini Sterkfontein. Badaliśmy znacznie mniejszą, zalaną część jaskini — tak płytką, że w porównaniu z Wondergat czy Boesmansgat mogłaby zostać uznana za idealne miejsce do nurkowania rekreacyjnego.

Peter nie miał przekonania do nurkowania w parach. W listopadzie 1982 roku

rozdzieliliśmy się podczas nurkowania w kopalni Rand Leases. Przez chwilę szukałem go pod wodą, po czym, nie mogąc go znaleźć, wynurzyłem się zgodnie z zasadami nurkowania. Ponad godzinę próbowałem go odszukać zarówno na powierzchni, jak i pod wodą, a kiedy już zacząłem wzywać innych nurków, żeby pomogli mi odszukać jego ciało, Peter w tajemniczy sposób się odnalazł. „Gdzieś się podziewał, do cholery?” — zapytałem, naprawdę wkurzony. „Po prostu nurkowałem” — to była cała odpowiedź. Był trochę samotnikiem. Może właśnie dlatego nie miał zbyt dużo przyjaciół, a ja byłem jedną z niewielu osób, na które mógł liczyć.

Malcolm, którego łączyła jeszcze bliższa relacja z Peterem niż mnie, wiedział, czego się po nim spodziewać, i obiecał mi, że będzie go miał na oku. Było to o tyle istotne, że Peter nie pojechał na wyjazd nurkowy do Sterkfontein trzy tygodnie przed naszą wyprawą. Ja i Craig czekaliśmy na niego przez godzinę i wreszcie pojechaliśmy sami. Tym razem ostrzegliśmy go, że czekamy najwyżej 5 minut.

Wszystko szło całkiem nieźle aż do kieszeni powietrznej znajdującej się 120 metrów od wejścia, w trzeciej nienazwanej komorze, którą znalazłem pięć tygodni wcześniej. Peter zostawał w tyle za Malcolmem i raz nawet się rozdzieliliśmy, ale po jakichś 20 minutach wszyscy wynurzyliśmy się w małej kieszeni powietrznej w jeziorku znajdującym się w trzeciej jaskini, na końcu poręczówki. Komora był owalnego kształtu, niezbyt duża, szerokości może 3 metrów i wysokości 1 metra. Podczas tego rodzaju eksploracji, przy pogarszającej się widoczności, zawsze czuję ulgę, kiedy nurkowanie dobiega końca. Zalane jaskinie nie są szczególnie przyjaznym człowiekowi środowiskiem i dotarcie do miejsca, w którym można wyjąć automat z ust i pogadać z partnerami, jest zawsze miłe. Byliśmy jednak podnieceni odkrywaniem nieznanego. Znajdowaliśmy się w miejscu, do którego przed nami dotarła może jedynie Pani Ples, i to 2,5 miliona lat temu.

Jaskinia jest jednak zdradliwa. Przy wejściu oczarowuje ciszą, spokojem i kryształowo przejrzystą wodą głębokości zaledwie 4 metrów, ale na dnie zalega gruba warstwa osadu zgromadzonego na przestrzeni milionów lat, która tylko czeka na niezgrabny ruch płetwą. W latach 80. nie odpychaliśmy się nogami jak żaby, tylko poruszaliśmy płetwami w tradycyjny sposób, starając się ze wszystkich sił nie podnosić osadu. W płytkiej wodzie, z kompletem sprzętu, nie jest to łatwe. Mieliśmy do pokonania wąskie korytarze i przeszkody, które potęgowały ryzyko podniesienia osadu.

Płynęliśmy z powrotem, jeden za drugim, w tej samej kolejności. Kiedy

dotarliśmy do Elephant Chamber, Malcolm zasygnalizował mi, lekko pociągając mnie za płetwę, że znów brakuje nam Petera. Pokazałem Malcolmowi, żeby poczekał przy poręczówce, i popłynąłem z powrotem, żeby znaleźć Petera. Odpłynął od poręczówki, rzucając na coś snop światła. Oczywiście było zupełnie możliwe, że rzeczywiście znalazł coś interesującego. Wszyscy byliśmy związani z Uniwersytetem Witwatersrand. Malcolm miał otwarty przewód doktorski, a Peter robił studia magisterskie. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że nagle zza skały wyłoni się czaszka braciszka Małej Stopy. Tym razem jednak na dnie nie było nic interesującego i pokierowałem Petera z powrotem ku poręczówce. Wydawało się, że jest w dobrej formie. Nie wytrzeszczał nerwowo oczu ani nie sprawdzał w panice swoich przyrządów. Normalny Peter, pewny siebie jak zawsze.

Kiedy już mineliśmy zwężenie prowadzące do Milner Hall, Malcolm zasygnalizował mi ponownie, że znów brakuje nam Petera. Komora jaskini, nazwana imieniem brytyjskiego arystokraty i administratora kolonialnego Alfreda Milnera, była dość duża, urozmaicona bocznymi korytarzami i niewielkimi pustymi przestrzeniami. Elephant Chamber łączyły z Milner Hall dwie najbardziej prawdopodobne drogi. Nie wiedzieliśmy, czy popłynął za nami, czy też minął nas, korzystając z alternatywnej drogi, czego nie zauważyliśmy. Popłynęliśmy aż do wyjścia, upewniając się, że nie ma go na zewnątrz, w komorze przy wejściu do jaskini. Niepokoił się, ale znaliśmy Petera. Byliśmy przekonani, że za moment do nas dołączy. W końcu zaledwie kilka miesięcy wcześniej zanurkował razem ze mną na 90 metrów w Boesmansgat, a Sterkfontein miała zaledwie 4 metry głębokości. Nie przypominała Wondergat, gdzie zginęło ponad 30 nurków, którzy padli ofiarą narkozy azotowej występującej na dużych głębokościach. Sterkfontein nie była też jaskinią równie trudną technicznie jak Wetsgat czy Bobbejaansgat.

W 1979 roku w Wondergat byłem bliski podwyższenia tych ponurych statystyk. Podczas dość łatwego nurkowania zdałem sobie sprawę, że nie mogę znaleźć drogi do wyjścia i nie widzę liny opustowej. Nie mogłem dostrzec opustówki, a bez pokrzepiającej obecności mojej partnerki nurkowej, Isabel de Freitas, kompletnie straciłem orientację. Przerażającym aspektem zgubienia się w jaskini jest to, że trochę czasu zabiera ci przyjęcie do wiadomości, iż naprawdę się zgubiłeś. Najpierw sądzisz, że powinieneś po prostu popłynąć w tę stronę. Płyniesz przez chwilę i orientujesz się, że nie jesteś tam, gdzie powinieneś się znaleźć. Skręcasz ponownie — z podobnym skutkiem. W końcu patrzysz na manometr i strach wybałusza ci oczy. W Wondergat nie doszedłem do tego etapu.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że się zgubiłem, zatrzymałem się i usiadłem na leżącej na dnie wielkiej skale. Uspokoilem się, wyrównałem oddech i tętno, a potem zaryzykowałem decyzję, która wydawała się w największym stopniu logicznie uzasadniona. Dobrze zgadłem i dotarłem do liny opustowej zwieszającej się nad pochyłym dnem jaskini. Miałem 50 procent szans. Anioł stróż czuwał nade mną.

Łatwo jest spanikować. Pokusa, żeby poddać się emocjom, pozwolić im sobą zawładnąć, jest naprawdę duża. Zbigniew Stychno, nurek techniczny z Polski i jeden z członków mojego zespołu, towarzyszył Danielowi Sieradzkiemu do jaskini Ras Mamlach w Egipcie. Podczas nurkowania Daniel spanikował i próbował wynurzyć się z 60 metrów na powierzchnię. W jaskini takiej jak Ras Mamlach nie ma powierzchni — jest tylko twarda, lita skała. Zespół patrzył w osłupieniu, jak Daniel próbuje przebić ją głową. Jego partner, Robert Klein, próbował go złapać i pociągnąć do wyjścia, ale spanikowany człowiek próbuje ze wszystkich sił dokonać niemożliwego, co w tym przypadku oznaczało próbę przebicia się przez skałę. Niestety, uniemożliwił innym nurkom udzielenie mu jakiegokolwiek pomocy i w końcu automat wypadł mu z ust. Daniel utonął.

Panika czai się nieustannie za każdym załomem skały. Jest zawsze obecna z tyłu głowy, zwłaszcza w przypadku mniej doświadczonych nurków. Szept: „Odpuść sobie, nie walcz, wkrótce będzie po wszystkim”. Im bardziej ktoś jest doświadczony, tym cichszy jest ten szept, ale wytrzymałość każdego nurka, nawet bardzo doświadczonego, ma swoje granice.

W Milner Hall nie było śladu Petera Verhulsela. Z Elephant Chamber nie wydobywał się żaden dźwięk, nie widać było światła ani bąbelków. Założyliśmy, że musi być gdzieś głębiej w jaskini. Szybko zanurzyliśmy się z powrotem, żeby jeszcze raz przepłynąć tę samą drogę wzdłuż założonej teraz na stałe poręczówki. Razem z Malcolmem kilkakrotnie przepłynęliśmy powoli tę trasę, rozglądając się na prawo i lewo za Peterem w warunkach coraz bardziej pogarszającej się widoczności. Ani śladu. Byliśmy już poważnie zaniepokojeni.

Sterkfontein to nie jest jeziorko, z którego można się tak po prostu wynurzyć. To ciemna jaskinia, w której nad głową nurka znajduje się nie lustro wody, lecz lita skała. Ze wszystkimi problemami, które wystąpią podczas nurkowania, trzeba sobie poradzić pod wodą. Jeśli się zgubisz i rutynowe postępowanie zagubionego nurka nie przyniesie efektów, musisz zostać tam, gdzie jesteś. Szanse na przeżycie w Sterkfontein są naprawdę duże ze względu na sporą liczbę występujących w tej jaskini kieszeni powietrznych.

Podobnie jak w meksykańskich cenotach, które w 1991 roku były głuchym

świadkiem cudownego wprost uratowania wenezuelskiego nurka Gustava Badilla od niechybnej śmierci. Śmiałek ten, wraz z przyjacielem, Eduardem Wallisem, wyruszył na poszukiwanie podziemnego jeziora, którego odkrycie zgłosiła brytyjska ekspedycja z 1973 roku. Obaj mieli przeszkolenie nurkowe, Badillo był nawet instruktorem, ale ich doświadczenie ograniczało się do Morza Karaibskiego. A jedynym podobieństwem łączącym Morze Karaibskie i cenoty jest obecność wody. Nurkowie podeszli do jaskini jak do nocnego nurkowania w wodach otwartych. Każdy miał jedną, 12-litrową butlę z jednym zaworem i automatem. Mieli również po trzy źródła światła na głowę i dość niezwykły system lokalizacyjny w postaci 4,5-metrowej liny łączącej uprząż z jaskrawopomarańczowym pływakiem. Woda była chłodna, zbyt chłodna na piankę Gustava, i zdecydowanie mniej przejrzysta niż na Karaibach, widoczność bowiem sięgała niecałych 6 metrów. W dodatku dotarłszy do małej kieszeni powietrznej w głębi jaskini, obaj z przerażeniem skonstatowali, że droga odwrotu zasłonięta jest unoszącym się mułem, ograniczającym widoczność do zera. Kolejne przebyte metry jaskini nie poprawiły ich położenia. Każdy znalazł się w osobnej kieszeni powietrznej i choć nie widzieli się nawzajem, mogli przynajmniej rozmawiać. Ustalili, że od tej pory każdy będzie się ratował na własną rękę. Eduardo miał szczęście i stosunkowo szybko zobaczył rozgwieżdżone niebo ponad dżunglą Jukatenu. Wiedział jednak, że jeśli Gustavo nie znajdzie się jak najszybciej na powierzchni, to jego godziny są policzone. Szczęściem dla Gustava jego rodzina, dowiedziawszy się o wypadku, nie dała za wygraną. Wynajęła samolot, który przetransportował dwóch doświadczonych nurków jaskiniowych, Johna Orłowskiego i Steve'a Gerrarda, z Florydy na Jukatan i ci po kilkugodzinnych poszukiwaniach namierzyli żywego Wenezuelczyka w obszernej kieszeni powietrznej. Łącznie spędził w niej dwa i pół dnia. Taka sytuacja może mieć szczęśliwe zakończenie tylko wtedy, gdy nurek trzyma się blisko miejsca, w którym się zgubił. Nie da się ocalić kogoś, kto postanowił się powłóczyć po niezbadanym terytorium.

Po bezowocnych poszukiwaniach przeprowadzonych na naszej pierwotnej trasie wzięliśmy dodatkowy odcinek linki i sprawdziliśmy korytarze, o których istnieniu wiedzieliśmy. Bez powodzenia. Zakończyliśmy poszukiwania po 4 godzinach, kiedy skończyło nam się powietrze we wszystkich butlach. Musieliśmy zadzwonić na policję. Policja nie przyjechała, ale pojawili się nurkowie z brygady strażackiej. Rzucili tylko okiem na jezioro i odmówili nurkowania. Nie byli nurkami jaskiniowymi, a woda była teraz mętna od osadu; widoczność spadła do około 1 metra przy świetle latarki nurkowej. Przywieźli ze sobą jednak świeże

butle, więc kiedy tylko pojawił się Craig Stevenson, podjęliśmy poszukiwania. Malcolm trząsł się z zimna, więc zanurkowałem tylko z Craigiem.

Rozpoczęliśmy nurkowanie z Peterem około godziny jedenastej. Późnym popołudniem butle ekipy strażackiej były już puste (w każdym razie znajdowało się w nich poniżej jednej trzeciej maksymalnej zawartości powietrza), a ja miałem za sobą 275 minut spędzonych w wodzie. Jeszcze raz zadzwoniliśmy na policję. Po kolejnej godzinie oczekiwania, już po zachodzie słońca, pojawili się nurkowie policyjni.

Razem z nimi przyjechał Roly Nyman. Był nurkiem policyjnym i prawdopodobnie najbardziej doświadczonym nurkiem jaskiniowym w Afryce, a z całą pewnością najgłębiej nurkującym w Afryce człowiekiem, a przy tym prezesem Południowoafrykańskiego Związku Podwodnego (South African Underwater Union — SAUU), organizacji należącej do Światowej Federacji Działalności Podwodnej (Confédération Mondiale des Activités Subaquatiques — CMAS).

Craig proponował, że weźmie Roly'ego na rekonesans, żeby dać mu jakieś wyobrażenie o obszarze, który udało nam się do tej pory przeszukać. Po wstępnym rozpoznaniu terenu przez Roly'ego pod wodę zeszli również inni nurkowie policyjni. O drugiej w nocy widoczność spadła do zera. W takich warunkach nurkowanie było już co najmniej ryzykowne.

W pewnym momencie ja także wycofałem się z dalszych poszukiwań. Po wielu godzinach nurkowania w mokrym skafandrze byłem wychłodzony, wyczerpany i głodny. Siedziałem w kącie jaskini, popijałem gorącą herbatę i obserwowałem rozgrywającą się na moich oczach tragedię. Przez jaskinię przewijało się mnóstwo ludzi. Potężne reflektory strażaków oświetlały wejście, karetka czekała na ciało nurka, ktoś rozmawiał przez radiotelefon, jacyś ludzie wciągali do środka więcej sprzętu, jakiś strażak potknął się, upadł, złamał nogę i został wyniesiony na zewnątrz. Chaos, nad którym próbowano zapanować. Po przebywaniu pod wodą przez prawie 6 godzin w neoprenowej piance grubości 5 milimetrów kręciło mi się w głowie i nie byłem już w stanie udzielić jakiegokolwiek pomocy w dalszych poszukiwaniach. Teraz byłem już tylko obserwatorem.

Sięgnąłem pamięcią do czasów dzieciństwa. Niekiedy gubiłem się podczas powrotów ze szkoły, zwłaszcza gdy wybierałem drogę na skróty; zimą na ulicach Lizbony wcześniej zapada zmrok. Oszczędzałem pieniądze przeznaczone na 45-minutowy przejazd autobusem i ruszałem do domu piechotą. W końcu zawsze trafiałem, choć czasem znacznie później, niż życzyliby sobie tego moi

zaniepokojeni rodzice. Nie musieli się o mnie martwić. Zwiedzanie przedmieść sprawiało mi ogromną przyjemność, a poza tym przecież zawsze w końcu wracałem.

Przed przybyciem policji dowodziłem akcją ratunkową. Teraz był już wczesny ranek, a ciała Petera nadal nie odnaleziono. Tego dnia nurkowanie nie wchodziło już w grę — aż do następnego weekendu, jak się okazało. Roly ogłosił, że od tej chwili jaskinia jest zamknięta dla wszystkich (w tym również dla mnie) z wyjątkiem nurków policyjnych. Nie chciał kolejnych ofiar w ludziach. Przez następnych sześć tygodni nikomu, poza nurkami policyjnymi, nie pozwolono wejść do wody. Dwa tygodnie później, 14 października, pojawiłem się w jaskiniach Sterkfontein bez zaproszenia. Nie przywitano mnie szczególnie serdecznie, ale pozwolono mi zejść pod wodę razem z jednym z nurków policyjnych i wskazać mu prawdopodobną trasę, którą mógł wybrać Peter. W tamtych czasach większość nurków policyjnych nie miała takiego doświadczenia w nurkowaniu w jaskiniach jak my. Dziwna sprawa, ale Craig, Malcolm, Martin i ja zostaliśmy wykluczeni z dalszych poszukiwań. Czy nasz udział mógł coś zmienić? Nigdy się tego nie dowiemy.

Policja na całym świecie wychodzi zazwyczaj z założenia, że gapie i świadkowie są użyteczni tylko o tyle, o ile mogą przekazać jakieś informacje. Opracowanie strategii postępowania i wprowadzenie jej w życie pozostaje w gestii policji, nawet jeśli policja ta ma — pomijając Roly'ego — ograniczone kompetencje w danym rodzaju nurkowania. Zgoda na udział osób postronnych nie mieściła się w przyjętym planie działania.

30 września 1984 roku, tuż po godzinie drugiej nad ranem, policja ogłosiła, że Peter nie żyje. Nie zamierzali ryzykować niczyjego życia, szukając trupa. Poinformowali nas również, że ponieważ zalana jaskinia i system suchych jaskiń nie są ze sobą połączone, szanse na to, iż Peter przeżył w zimnej wodzie 11 godzin, są w zasadzie zerowe. Z jakiegoś powodu nie wzięto pod uwagę istnienia odkrytych przez nas kieszeni powietrznych.

Tego wieczoru ktoś zadzwonił do żony Petera, Shirley, by ją powiadomić, że Peter zaginął w jaskini. Następnego dnia Malcolm, Craig, Liz (moja ówczesna żona) i ja spotkaliśmy się z Shirley w Bellevue, na przedmieściach Johannesburga, by przekazać jej osobiście, że Peter nie wyszedł z jaskini. Wyjaśniliśmy jej również, że mimo wyczerpujących poszukiwań nie zdołaliśmy go odnaleźć. Po raz pierwszy zmuszony byłem stanąć przed kimś, kto miał prawo obwiniać mnie o to, co zaszło. Przecież to ja ponosiłem ostatecznie odpowiedzialność za tę wyprawę: zaprosiłem nurków, przekazałem im plan

wyprawy, rozpiąłem poręczówkę i poprowadziłem nurkowanie. Dlaczego ja i Malcolm przeżyliśmy, a Peter, mąż Shirley, zgubił się i prawdopodobnie zginął?

Nie zapukaliśmy do drzwi Shirley. Spotkała się z nami przed swoim domem, rozmowa trwała krótko. Wówczas jeszcze wszyscy mieliśmy nadzieję. Naprawdę trudno było uwierzyć, że w Sterkfontein ktoś mógł zginąć. Był to w końcu płytki i naprawdę stosunkowo mało rozbudowany system zalanych jaskiń. Uściskaliśmy ją, po czym wsiadła do samochodu — chciała na własne oczy zobaczyć Sterkfontein. Nie dostrzegłem gniewu na jej twarzy, ale niemożliwe, by go nie czuła.

W ciągu kolejnych sześciu tygodni pozwolono mi zanurkować w Sterkfontein tylko raz; nurkowanie trwało zaledwie 15 minut i odbywało się w towarzystwie nurka policyjnego. Po tym zdarzeniu zabroniono mi nawet zbliżyć się do jaskini, nie wspominając już o nurkowaniu. Policja nadal szukała ciała Petera, ale tylko podczas weekendów. Kiedy zapytaliśmy, dlaczego szukają go tylko w soboty i niedziele, wyjaśniono nam, że nurkowie policyjni czekają, aż woda się oczyści, a osad opadnie na dno. W jaskini nie było prądów, więc wystarczył dzień czy dwa, żeby woda nabrała przejrzystości — policja nie chciała po prostu wpuszczać do jaskini żadnych innych nurków czy grotołazów, by zapobiec kolejnym wypadkom śmiertelnym. W mętnych wodach Sterkfontein poszukiwania rzeczywiście były daremne, ale suche korytarze mogły przecież zostać przeszukane. Mimo to również suche korytarze zostały zamknięte, co uniemożliwiło ich zbadanie. Policja oparła swoje decyzje na dwóch przesłankach. Po pierwsze założyli, że Peter nie żyje, a po drugie — że nie istnieje połączenie pomiędzy zalanymi jaskiniami a suchymi fragmentami systemu.

To ostatnie założenie bazowało na tym, że transwalska sekcja południowoafrykańskiej organizacji speleologicznej Cave Research Organization of South Africa (CROUSA), kierowana wówczas przez Roly'ego Nymana, nie znalazła takiego połączenia. Trudno było kwestionować opinię organizacji działającej w tym regionie, chociaż osobom, które dziś uczestniczą w organizowanych w tym historycznym miejscu wycieczkach z przewodnikiem, założenie to może wcale nie wydawać się logiczne. Roger Ellis kierował sekcją transwalską SASA i chociaż Sterkfontein nie znajdowała się na jego terenie, zdecydowanie nie był przekonany, że takie połączenie nie istnieje, nikt nie kwestionował jednak przekonania CROUSA, że systemy suchych i zalanych jaskiń nie łączą się ze sobą. Co więcej, policja odrzuciła możliwość wypompowania całego jeziora o głębokości 4 metrów i długości 120 metrów. Nie było to zadanie niewykonalne. Można było obniżyć poziom wody i pozwolić pontonom

wpłynąć głębiej do jaskini i oświetlić większy obszar. Aby przyspieszyć osiadanie nanosu w wodzie i oczyszczanie się wody, można było zastosować flokulację za pomocą takich substancji chemicznych jak siarczan glinu. Dzięki zastosowaniu tego rodzaju substancji wytrącają się puchate kłaczki przypominające śnieg, dzięki którym cząsteczki zawiesiny takie jak muł i osad szybciej osiadają na dnie.

Nurkowanie przy zerowej widoczności nigdy nie sprawiało mi problemów; odkryłem wręcz, że jest to w jakiś sposób odprężające i pocieszające. Moje pierwsze kiedykolwiek wykonane nurkowanie było nurkowaniem mającym na celu wyłowienie zatopionego przedmiotu z głębokości 20 metrów. W czarnej jak atrament wodzie nurkowałem z automatem dwustopniowym o stopniach połączonych, nie dysponując zanurzalnym manometrem. Moje zadanie polegało na odnalezieniu zgubionego zewnętrznego silnika jachtowego w zalewie nad zaporą na rzece Vaal. Wśród amatorów żeglarstwa była to bardzo popularna miejscówka, na której co roku przeprowadzano regaty. Zalew został uwieczniony w *Księdze rekordów Guinnessa*, ponieważ tu właśnie przeprowadzono rekordowy „najdłuższy na świecie wyścig łodzi żaglowych na wodach śródlądowych”. Wyławianie różnych rzeczy stało się dla mnie z czasem regularną weekendową pracą. Położony 77 kilometrów na południe od lotniska w Johannesburgu zalew i jego przystanie były idealnym miejscem do uprawiania żeglarstwa i nieuchronnie co chwila coś cennego lądowało za burtą. Od czasu do czasu pomagał mi Craig Stevenson, a jeśli akurat go nie było, nurkowałem samotnie, wspierany przez zabezpieczającego mnie z powierzchni pomocnika, którą to funkcję pełnił zazwyczaj mój szwagier, Piet du Preez. Przeważnie szukałem zewnętrznych silników i łańcuchów cumowniczych, zdarzało nam się nawet wydobywać na powierzchnię cały jacht.

Pamiętam, jak kiedyś podnosiliśmy z dna dość duży jacht. Zatonął tydzień wcześniej podczas sztormu, razem z kilkoma innymi drogimi jachtami. Najtrudniejszą częścią stojącego przede mną zadania było wpłynięcie do wnętrza łodzi i podniesienie kilu. Zanurzałem się, płynąłem i wczołgiwałem się do kabiny w kompletnych ciemnościach. Następnym krokiem było przymocowanie do łodzi pustych beczek i napełnienie ich sprężonym powietrzem. Ten skomplikowany manewr także wykonywany był w kompletnych ciemnościach. Chodziło o to, by podnieść łódź w pozycji poziomej, unikając nierównomiernego rozkładu naprężeń. Gdyby operacja ta została przeprowadzona nieprawidłowo, łódź mogłaby pęknąć. Jeśli wszystko szło zgodnie z planem, łódź powoli wynurzała się z ciemności. Nagrodą było nie tylko wynagrodzenie za przeprowadzenie

nurkowania, ale i dodatkowa premia w postaci 10 procent wartości łodzi. Świetnie się przy tym bawiłem, chociaż jestem pewien, że większość ludzi nie uznałaby nurzania się w zamulonej wodzie za szczególną przyjemność.

Kilkakrotnie schodziliśmy pod wodę z całkiem innym zadaniem. Przeszukiwaliśmy dno, by potwierdzić, że rzeczywiście spoczywa na nim zatopiona łódź — firmy ubezpieczeniowe chciały mieć pewność, że właściciel kosztownej motorówki nie ukrył jej w garażu, zgłaszając jednocześnie stratę. Po zlokalizowaniu łodzi można było mieć nadzieję na podwójną premię: za potwierdzenie zgłoszonej straty i za wyłowienie łodzi z dna zalewu.

Najbardziej przerażała mnie nie tyle perspektywa zetknięcia z jakimś odpowiednikiem potwora z Loch Ness, ile okazjonalne spotkania z dwumetrowymi sumami. Czasem do zlokalizowania pod wodą ofiar wypadków lub zbrodni wykorzystywano brzozy — nie miałem pewności, czy potrafią odróżnić nurka od trupa. Kilkakrotnie dotknąłem niespodziewanie pod wodą tych śliskich stworzeń, badając dno w atramentowych ciemnościach. Zazwyczaj paskudnie policzkowały mnie ogonem z siłą, która potrafiła strącić maskę i wyrwać automat z ust.

Po zaginięciu Petera media oszalały. Temat pojawił się na czołówkach wszystkich krajowych gazet. Telefony się urywały, udzielałem niezliczonych wywiadów. Pamiętam nawet, że rozmawiałem z jakimiś jasnowidzami, którzy zapewniali mnie, iż wiedzą, gdzie szukać Petera. W całym tym zamieszaniu nie miałem właściwie pojęcia, jakie działania podejmuje aktualnie policja na miejscu wypadku. Nie mogąc się skupić na przygotowaniach do sesji, wziąłem na rok urlop dziekański. Kiedy szturm dziennikarzy wytracił impet, a policja ogłosiła zakończenie poszukiwań, dotarło do mnie, że w ciągu tych 42 dni tylko 6 dni poświęcono na nurkowanie. Znaleziono też połączenie między jeziorkiem a suchym korytarzem. Ta sensacyjna informacja nie miała dla policji żadnego znaczenia.

W międzyczasie ochotnicy z SASA pod wodzą Rogera Ellisa badali sąsiedni system jaskiń. Kiedy cofnięto zakaz wstępu na teren Sterkfontein, pojechałem tam natychmiast razem z Rogerem. Już pierwszego dnia znalazłem połączenie z suchą częścią, a wkrótce potem Roger, korzystając z suchego wejścia do jaskini, znalazł Petera.

Jego ciało znajdowało się w niewielkiej komorze w pobliżu syfonu, jakieś 100 metrów od najbliższego suchego wejścia. Ślady na ścianach komory wskazywały, że próbował zwrócić na siebie uwagę ratowników. Musiał usłyszeć nurka policyjnego, który przepłynął zaledwie 10 metrów od wejścia do syfonu

w wodzie o głębokości 4 metrów, pozostawiając znacznik. Peter umarł z głodu, tracąc przed śmiercią na wadze 20 kilogramów. Otwarty pojemnik na baterie jego latarki Ikelite służył mu za kubek. Sądząc po długości jego brody, przez trzy tygodnie czekał na próżno, aż go znajdziemy. Jego nowiutka butla i automat były całe porysowane w efekcie podejmowanych przez niego prób przecięnięcia się przez bardzo wąski syfon. Manometr nadal pokazywał 160 z początkowych 200 barów. Butla była prawie pełna. Spędził tu przynajmniej trzy tygodnie, tuż nad syfonem, mając wystarczająco dużo powietrza, by wrócić — a jednak tego nie zrobił. W gasnącym świetle latarki przyglądał się powierzchni wody, zastanawiając się nad tym, czy lepiej będzie zanurkować, ryzykując zgubienie się, czy siedzieć w ciemnościach i czekać. Wybrał to drugie.

Nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności. Sędzia orzekł, że Peter zginął w wyniku nieszczęśliwego splotu okoliczności. Wszystkich ratowników uwolniono od jakichkolwiek zarzutów. Po tym wypadku SAUU nałożyła na wszystkich grotołazów w RPA obowiązek odbywania kursów nurkowania jaskiniowego.

Paradoksalnie moim egzaminatorem podczas kursu nurkowania jaskiniowego był Roly; podpisał się na moim certyfikacie. Po wypadku w Sterkfontein spotykałem go jeszcze wielokrotnie i zawsze było mi go bardzo żal. Tyle spraw potoczyło się wówczas niepomyślnie. Będzie musiał z tym żyć do końca swoich dni. Ja również.

Shirley, żona Petera, podarowała mi jego nóż myśliwski i kilka zdjęć. Ponownie wyszła za mąż, ale już nie za odkrywcę, lecz za artystę. Zbliżyliśmy się do siebie — może dlatego, że przypominałem jej o kimś, kogo straciła. Ciało Petera zostało skremowane i Shirley wrzuciła prochy do oceanu w pobliżu Kapsztadu. Nie przypominam sobie pogrzebu. Jeśli w ogóle był jakiś pogrzeb, uczestniczyła w nim tylko najbliższa rodzina.

Potwór z jaskini dopadł Petera. Skłonił go do porzucenia nici Ariadny i zagłębienia się w leżący powyżej labirynt suchych korytarzy. Storpedował jego próby ponownego zanurzenia się i znalezienia wyjścia. A może nie było żadnego potwora? Nie przemawia do mnie wizja Shecka, któremu jaskinia zdawała się czającym się w ciemnościach monstrum. Jaskinia nie jest też dla mnie łonem Ziemi. Jaskini nic nie obchodzi. Powstała miliony lat przed nadejściem ludzkości i pozostanie tu po jej odejściu. Ciemność kusi, ale nigdy nie zapominam o słońcu, które zostawiam za sobą. Na ścianie jaskini, w pobliżu miejsca, w którym go znaleziono, Peter wydrapał wiadomość: „Shirley, Mamo, kocham Was”.



Ja i Leszek Czarnecki po rekordowym nurkowaniu w 2003 r. W tle unosi się Craig Kahn.

ROZDZIAŁ 3

ARCHAICZNY CZWORONÓG

W poszukiwaniu latimerii

Pieter Venter wieńczył właśnie swój kurs nurkowania na trimiksie ostatnim - nurkowaniem w Zatoce Sodwany. To niemal tropikalne nurkowisko położone jest przy północno-wschodnim wybrzeżu RPA i cieszy się wśród amatorów nurkowania dużą popularnością. Niektórzy nurkowie techniczni, jak Pieter, nurkują tam na głębokich rafach znajdujących się w pobliżu szelfu kontynentalnego. Nie było to proste nurkowanie na oznaczoną głębokość i z powrotem, przypominające większość tego rodzaju nurkowań przeprowadzanych pod koniec kursu, po którym uzyskuje się certyfikat. Zaplanowana głębokość znacznie przekraczała wymagane 75 metrów, chociaż większość instruktorów nigdy nie namawia swoich kursantów do schodzenia na głębokości przekraczające limity rekomendowane dla danego kursu; dość długi był również czas denny. Peter Timm, instruktor Pietera, ufał swojemu kursantowi i był pewien, że jest on w stanie zaplanować i przeprowadzić nurkowanie na 108 metrów przy 8 minutach spędzonych na maksymalnej głębokości. Większość nurków technicznych nawet w cieplejszych akwenach schodzi pod wodę w suchych skafandrach ze względu na całkowity czas trwania nurkowań dekompresyjnych. Venter miał prawdopodobnie jeszcze za mało doświadczenia w tym sporcie i nosił neoprenową piankę, z podniecenia zapominając o zimnie. Pod czujnym okiem Timma, który przyznał już certyfikat Etienne’owi le Roux, Pieter badał nawisy i niewielkie jaskinie kanionu Jesser. Pod jednym z wielu nawisów, na stoku kontynentalnym, Pieter uchwycił spojrzenie obserwującego go wielkiego oka. Przypuszczał, że patrzy na latimerię. Przywołał Timma i już razem zaczęli obserwować dwie kolejne wielkie ryby. Po nurkowaniu, ze względu na brak materiału fotograficznego z głębokości, na którą nurkowali, Pieter nie był w stanie przekonać nikogo — włącznie z Peterem Timmem, który widział te stworzenia na własne oczy — że właśnie mieli okazję obserwować latimerie. Tego dnia, 28 października 2000 roku, nikt poza Pieterem Venterem nie miał pewności, że rzeczywiście były to latimerie.

Stworzenie o ciele pokrytym białymi cętkami łatwo jest w wodzie przeoczyć — zlewa się ze skałami stoku kontynentalnego i tropikalną fauną. Kiedy się już na nie trafi, jego odmienność staje się oczywista. Latimerie pływają zupełnie inaczej niż wszystkie inne ryby — ich ruchy do złudzenia przypominają kroki stawiane przez czworonożne zwierzę lądowe. Parzystymi płetwami osadzonymi na ruchomych, umięśnionych trzonach poruszają naprzemiennie: na zmianę lewą płetwą piersiową i prawą brzusznią, po czym prawą płetwą piersiową i lewą brzusznią.

Latimeria należy do rzędu celakantokształtnych. Łacińskie słowo „coelacanthus” oznacza „pusty kołec”, zgodnie z pierwszym opisem Louisa Agassiza

pochodzącym z 1839 roku. Oczywiście Agassiz nigdy nie widział żyjącego przedstawiciela tego gatunku. Nazwał w ten sposób odnalezioną skamieniałość, której cechą wyróżniającą były puste promienie tworzące strukturę płetw. Latimerie nie posiadają kręgosłupa, lecz strunę grzbietową — prymitywny kręgosłup w formie pustej rurki, który występuje w okresie zarodkowym współczesnych wyższych ewolucyjnie gatunków, a na późniejszych etapach życia przekształca się w kręgosłup chrzęstny lub kostny, aczkolwiek przedstawiciele niektórych gatunków, takich jak latimerie, ryby jesiotrowate, minogi, śluzice czy afrykańskie ryby dwudyszne, zachowują strunę grzbietową przez całe życie.

Pusta struna grzbietowa przynosi latimeriom pewne korzyści, ponieważ jest lżejsza i bardziej elastyczna niż kręgosłup. Najbardziej charakterystyczną cechą latimerii są jednak ich płetwy. Płetwa ogonowa składająca się z trzech płatów przypomina płetwy, jakie można spotkać u ryb dwudysznych i wężowatych stworzeń zamieszkujących afrykańskie wybrzeża. Wyglądem okolic brzucha latimeria przypomina z kolei tiktaalika, pochodzącą z późnego dewonu skamieniałość ryby mięśniopłetwej wychodzącej na ląd na kończynopodobnych płetwach, opisaną przez zespół Neila Shubina.

Sądzą, że pierwsze skamieniałości latimerii pochodzą z wczesnego kambru, bo posiadały strunę grzbietową. Wzbudziło to w naukowcach przekonanie, że latimerie mogły być pierwszymi stworzeniami, które zasiedliły suchy ląd, wypelznawszy z morza. A zatem mogły zapoczątkować ewolucję na lądzie.

Struny grzbietowe występowały powszechnie u stworzeń zamieszkujących Ziemię w kambrze. Chociaż latimerie rzeczywiście posiadają strunę grzbietową, pojawiły się na naszej planecie mniej więcej 150 milionów lat później. Przed pojawieniem się latimerii, w kambrze, życie rozwijało się bujnie w oceanach, a wszystkie stworzenia widoczne gołym okiem były stworzeniami morskimi — na suchym lądzie zadomawiały się dopiero pierwsze mikroorganizmy. Większość kontynentów przypominała ciągnące się po horyzont pustynie. Morza były stosunkowo ciepłe, przez większą część tego okresu biegunów nie pokrywała lodowa czapa. W późniejszym dewonie życie w morzach rozpleniło się, ale pozostawało uzależnione od bogatego w składniki odżywcze dna morskiego. Początkowo sądzono, że latimerie pojawiły się wraz z trylobitami, w kambrze, ale wcale tak nie było. Pojawiły się dopiero w dewonie, około 360 milionów lat temu. W tym momencie dewońskie mięśniopłetwe tiktaaliki były już zdolne do oddychania w razie potrzeby powietrzem.

Współczesna historia latimerii rozpoczęła się w 1938 roku, kiedy to kustosz małego muzeum, Marjorie Courtenay-Latimer, odkryła przedstawiciela tego

gatunku wśród ryb złowionych przez miejscowego rybaka, kapitana Hendricka Goosena. Później James Smith, profesor chemii, potwierdził znaczenie znaleziska w słynnej depeszy do Marjorie: „Najważniejsze jest zabezpieczenie szkieletu i opisanie skrzeli ryby”. Courtenay-Latimer była kustoszem muzeum w miasteczku portowym o nazwie East London położonym na północny wschód od Kapsztadu. Zaprzyjaźniła się z szyprem trawlera Nerine, który pozwolił jej przeglądać owoce swoich połowów w poszukiwaniu interesujących okazów. To, co tego dnia zobaczyła pod stertą rekinów i płaszczyk, było, jak to ujęła, „najpiękniejszą rybą, jaką kiedykolwiek widziałam, długą na półtora metra, bladofioletową, pokrytą opalizującymi, srebrnymi cętkami”. Wówczas 32-letnia Marjorie nie miała pojęcia, co znalazła, i myśl, że ryba, którą trzymała w ręku, mogła być wskrzeszoną skamieniałością z odległej przeszłości, wydawała jej się mocno naciągana. Podobieństwa były jednak niewiarygodne. Ten sam płetwiasty ogon, zawiasowa szczeka, którą latimeria mogła otworzyć bardzo szeroko, kosmoidalne łuski pełniące funkcję grubego pancerza — wszystko to sprawiało, że latimeria stawiała się znakomitą ilustracją efektu Łazarza, którym to mianem określa się w paleontologii zjawisko ponownego pojawienia się zwierzęcia uznanego wcześniej za wymarłe: stworzenie znane dotąd jedynie pod postacią skamieniałości nagle w magiczny sposób objawia się jako żywy organizm w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu.

Marjorie naszkicowała znalezisko i wysłała ilustrację do Jamesa Smitha, 41-letniego dociekliwego profesora chemii z Uniwersytetu Rhodesa w Grahamstown, znanego z zamiłowania do ichtiologii. Ku jej rozczarowaniu uznał on znalezisko za pospolitego granika wielkiego. Dziesięć dni później zmienił jednak zdanie i wysłał do Marjorie depeszę z prośbą o zachowanie ryby do dalszych badań. Rybę już wypatroszono, by można było ją spreparować, a organy wewnętrzne po prostu wyrzucono. Z wnętrznościami czy bez, latimerię szybko okrzyknięto zoologicznym znaleziskiem XX wieku. Z dnia na dzień Smith i Courtenay-Latimer zyskali status celebrytów. Kiedy któregoś dnia zdecydowano się wystawić rybę na widok publiczny, obejrzało ją podobno 20 tysięcy osób.

Nie była to jedyna latimeria, którą Smith miał okazję zobaczyć na własne oczy. W 1952 roku z kapitanem Erikiem Huntem, jednym z akolitów profesora, skontaktowali się dwaj mieszkańcy wyspy Nzwami, należącej do archipelagu Komorów. Złowili coś o nazwie „mame” albo „gombessa” — ciężką rybę w typie granika, która od czasu do czasu pojawiała się w ich sieciach. Ryba była w rzeczy samej słynną latimerią i Smith poleciał na wyspę, by to potwierdzić. Ochrzcił oba znaleziska mianem „Old Fourlegs” („archaiczne czworonogi”), a w 1956 roku

opublikował książkę pod tym właśnie tytułem. Od 1938 roku *Latimeria chalumnae* znajdowana była w tak egzotycznych miejscach jak Komory, Kenia, Tanzania, Mozambik, Madagaskar i KwaZulu-Natal w RPA.

Archaiczny czworonóg nie była jedynym stworzeniem wskrzeszonym z przeszłości. Laotański szczur skalny żył 11 milionów lat temu, a następnie został w cudowny sposób odkryty na targu mięsny w Laosie w 1996 roku. Jeszcze starszy jest beztorbik bambusowy, którego krewni z rzędu beztorbików (nadrząd: torbacze) żyli 55 milionów lat temu. Zarówno szczurowi, jak i beztorbikowi brakuje jednak niezwyklej fizjonomii tej dziwnej ryby.

Pod wodą ludzie widzą różne rzeczy. Wystarczy trochę adrenaliny i odrobina narkozy azotowej, by zobaczyli — lub wyobrazili sobie — jeszcze więcej. Hel jest gazem stosunkowo obojętnym, ale połączenie dwóch innych gazów, tlenu i azotu, sprawia, że nurkowanie na głębokość 108 metrów na trimiksie (mieszance tlenu, azotu i helu) jest w kategoriach wpływu wywieranego przez gazy odpowiednikiem nurkowania na 50 metrów na powietrzu (składającym się z tlenu i azotu). Większość ludzi oddychających powietrzem na głębokości 50 metrów doświadczy pewnych zaburzeń widzenia, być może połączonych z zaburzeniami świadomości. Jednym z najczęściej występujących zjawisk jest widzenie tunelowe, które objawia się znacznym zawężeniem pola widzenia. Innym często występującym problemem jest brak ostrości widzenia. Wszystko wokół, zwłaszcza gdy jest nieco oddalone i słabo oświetlone, wydaje się nieco zamglone i niewyraźne. Kolejny efekt narkozy można zmierzyć dopiero po zakończeniu nurkowania. Polega on na tym, że umysłowi zabiera znacznie więcej czasu przemyślenie zaplanowanych przed nurkowaniem działań i przekazanie ich ciału do realizacji. Wystarczy, by coś zakłóciło lub odwróciło twoją uwagę, żebyś zapomniał, co właśnie widziałeś. Najczęściej wykonywany test, powtarzany przez każdego instruktora z każdym kursantem na świecie, polega na zmierzeniu czasu rozwiązywania prostego równania matematycznego. Pod wodą rozwiązanie prostego zadania zajmuje przynajmniej cztery razy więcej czasu niż na powierzchni; trudniejszych zadań w ogóle nie da się rozwiązać.

Biorąc pod uwagę problemy związane z głębokim nurkowaniem, można zrozumieć, dlaczego Pieter miał wątpliwości i dlaczego po nurkowaniu nie był pewien, co właściwie zobaczył. Peter Timm, który podczas tego nurkowania pełnił funkcję egzaminatora i był dodatkowo odpowiedzialny za Etienne'a le

Roux, był jeszcze mniej skłonny do potwierdzenia tego zdarzenia. Może i widział tę rybę, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Głowę zaprzętało mu przede wszystkim bezpieczeństwo jego dwóch nurków podczas zejścia na dużą głębokość i powrotu na powierzchnię.

W Zatoce Sodwany nikt nigdy nie widział latimerii, a była to jedna z najpopularniejszych miejscówek nurkowych w RPA; odkąd sport ten zyskał popularność, każdego roku przeprowadzano tu tysiące nurkowań. Jeśli ktokolwiek miał uwierzyć w występowanie tam latimerii, należało zdobyć dowód. Aby przekonać innych i samego siebie, Pieter Venter wraz z Pieterem i Erną Smith, Dennisem Hardingiem i Etienne'em le Roux, będącym od dawna partnerem nurkowym Pietera Smitha, zorganizowali wyprawę pod nazwą South African Coelacanth Expedition 2000. Dnia 26 listopada 2000 roku oznaczyli jaskinie i nawisy nad kanionem za pomocą powierzchniowych boi sygnalizacyjnych. Zespołowi towarzyszyli nurkowie zabezpieczający: Gilbert Gunn, Christo Serfontein i Martin Bensch.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności już następnego dnia w jednej z oznaczonych jaskiń nurkowie namierzyli tę nieuchwytną, rzekomo wymarłą rybę. I znów Venter dostrzegł ją jako pierwszy. Był to duży osobnik mierzący prawie 2 metry, przeoczony chwilę wcześniej przez Gunna. Stworzenie odpoczywało w niewielkiej jaskini na krawędzi kanionu. Nurkowie znajdowali się na niebagatelnej głębokości 108 metrów i kończył się im czas denny. Zanim zaczęli się wynurzać, dostrzegli jeszcze dwie inne latimerie o długości mniej więcej 1,5 metra podpłynęliśmy to zbadać. To były latimerie!” — wspominał później Pieter Venter, dodając z właściwą sobie skromnością, że „trzeba było Bura z Wolnego Państwa, by pokazać tym chłopaczkom z Natalu, co mają na własnym podwórku”.

To jednak nie Pieter Venter, lecz niemiecki naukowiec doktor Hans Fricke jako pierwszy sfilmował na Komorach żyjącą latimerię. Po raz pierwszy dostrzegł ją 14 lat wcześniej, w 1986 roku, z pokładu swojej łodzi podwodnej. W poszukiwaniu czworonożnej ryby przeprowadził ponad 400 nurkowań. Nawet jednak przed Frickem, który poświęcił na badania latimerii 40 lat życia, ryby te nadal mają sporo sekretów. Podążając przez dwa dni w swojej łodzi podwodnej za samicą, która zeszła na głębokość 700 metrów, zaczął podejrzewać, że młode ukryte są jeszcze głębiej, znacznie poza zasięgiem jego łodzi. W 2006 roku japońscy naukowcy schwytali młodą latimerię o długości zaledwie 32 centymetrów na głębokości 160 metrów. Fricke był przekonany, że ryba ta nie ma żadnych naturalnych wrogów z wyjątkiem człowieka, ale ślady na skórze schwytanego osobnika zdawały się wskazywać, iż rekiny mogły go uznawać za

smakowity kasek.

Inne z odkryć Frickego było znacznie bliższe prawdy. „Mają najwolniejszą znaną wśród kręgowców przemianę materii. Obliczono, że latimeria w stanie spoczynku potrzebuje dla podtrzymania metabolizmu zaledwie 3,8 mililitra tlenu na kilogram masy ciała na godzinę. Dla porównania tuńczyk potrzebuje 400 mililitrów. Ponieważ latimerie charakteryzują się tak wolną przemianą materii, mogą żyć w środowisku, w którym niewiele jest składników odżywczych. W położonych na dużych głębokościach jaskiniach pochodzenia wulkanicznego niewiele jest źródeł pożywienia, ale latimerie potrzebują zaledwie 12 gram jedzenia dziennie. W tym prawdopodobnie tkwi tajemnica ich ewolucyjnego sukcesu. Żyją tam, gdzie hiperaktywna ryba by nie przetrwała” — powiedział Fricke w wywiadzie dla magazynu „Wired”.

Pierwszą ofiarą zorganizowanej przez nas w 1998 roku wyprawy na poszukiwanie latimerii był Rehan Bouwer, ówczesny dyrektor wyszkolenia południowoafrykańskiego oddziału CMAS, kierujący podczas naszej wyprawy nurkowaniem. Od wielu lat próbował namierzyć nieuchwytną rybę w kanionie Wrighta w Zatoce Sodwany. Tragiczne nurkowanie było dla niego kolejnym zejściem na 140 metrów na trimiksie, poprzedzonym tygodniem intensywnego nurkowania. Nurkował z inną legendą nurkowania technicznego, profesorem Johnnym van der Waltem. W 1969 roku on i jego brat Danny razem z Rolyem Nymanem dokonali niewiarygodnego wyczynu, schodząc na 102,1 metra w jaskiniach Sinoia w Zimbabwe. Miało to miejsce na długo przed tym, jak Jochen Hasenmayer, Olivier Isler i Sheck Exley zaczęli nurkować na trimiksie.

Tego feralnego dnia Peter Timm i Rehan Bouwer postanowili zbadać płaskie i piaszczyste dno kanionu Wrighta do głębokości 140 metrów. Mieli zbadać teren i schwytać okazy zamieszkujące dno morza na tej głębokości. Powyżej nich znajdowały się dwa zespoły nurków zabezpieczających: Johnny van der Walt i Johan Swart oraz Frik Henning i Andries Prinsloo. Peter i Rehan niezależnie od siebie zbierali próbki ze ściany kanionu, a dzieliło ich nie więcej niż 8 metrów.

Nagle Peter zobaczył, jak Rehan przestaje zbierać próbki i gorączkowo zaczyna płynąć w jego stronę. Najwyraźniej w pewnym momencie Rehan zmienił decyzję, a wraz z nią kierunek, bo zaczął płynąć ku powierzchni. Johnny, jeden z nurków zabezpieczających, zobaczył, jak Rehan mija go, wynurzając się. Rehan zatrzymał się na chwilę na tej głębokości, ale nie dostrzegł Johnny’ego i szybko podjął

swoją gwałtowną ucieczkę na powierzchnię. Peter dobił do Johnny'ego. Kiedy przeprowadzali dekompresję, Rehan był już na powierzchni. Krzyczał do zespołu znajdującego się w łodzi, że jego główny automat zaczął się wzbudzać na dużej głębokości i że natychmiast potrzebuje tlenu. Nie byli pewni, czy mówił w afrikaans czy po angielsku, ale w jego głosie nie było słyhać paniki. Chwycili butlę ze stojaka znajdującego się na łodzi i przekazali ją Rehanowi. Dwóch nurków czekających w pogotowiu wskoczyło do wody. Jednym z nich był Frik Henning, który miał oprócz zestawu wypełnionego nitroksem 32 przymocowaną z boku butlę tlenu.

Rehan zniknął pod powierzchnią wody razem z Frikiem, a wszyscy opisali później, że „wyglądało to na kontrolowane zanurzenie”. Oszacowano, że Rehan spędził na powierzchni wody od 30 sekund do 2 minut. Frik zaproponował mu tlen, ale Rehan wolał skorzystać z octopusa (dodatkowego automatu drugiego stopnia) Frika i oddychać nitroksem 32. Nikt nie obserwował ich zejścia poza Andriesem Prinsloo, innym czekającym w odwodzie nurkiem, który po rozwiązaniu na powierzchni problemu z ciekącą maską podjął własne zejście i widział, jak obaj nurkowie oddychają z jednej butli na głębokości 20 metrów.

Oddychanie partnerskie wymaga tego, by nurek korzystający z nie swojego automatu trzymał się sprzętu lub ramienia dawcy gazu. Kiedy nurkowie znajdują się w wąskim przesmyku lub w silnym prądzie, biorca gazu nie może tracić kontaktu z drugim stopniem dawcy. W nurkowaniu rekreacyjnym korzysta z octopusa, dodatkowego drugiego stopnia, który zazwyczaj ma kolor żółty, by łatwo było go znaleźć. Do końca 2009 roku kursantów uczestniczących w kursach PADI, głównej organizacji szkoleniowej kształcącej milion nurków rocznie, uczono dzielenia się głównym automatem. Później współdzielenie jednego automatu podstawowego zostało wykluczone z listy awaryjnych procedur wyjścia PADI ze względu na potencjalne zagrożenia i wysoki poziom trudności tego ćwiczenia.

Nurkowie techniczni oddają natomiast partnerowi swój automat podstawowy, który ma dłuższy wąż. Mówi się, że „oddajesz to, co na pewno działa”, a sam korzystasz z automatu zapasowego, który masz przyczepiony elastyczną linką do własnej szyi. Aby przyspieszyć proces podawania powietrza, dawca pozwala biorcy samodzielnie wziąć sobie automat. Wykonuje się to, lekko pochylając głowę, by uwolnić wąż automatu podstawowego. PADI zaleca, by nurkowie chwycili się wzajemnie za nadgarstki, co ma zapobiec ich rozdzieleniu się. Organizacje nurkowania technicznego, takie jak TDI czy IANTD, uczą, że biorca powinien się zatroszczyć o własne bezpieczeństwo i trzymać dłoń na

przedramieniu dawcy. Zarówno organizacje techniczne, jak i rekreacyjne zalecają, by nurkowie utrzymywali możliwie niewielki dystans, co zapobiega dodatkowym stresom.

Rehan obiema rękami trzymał się kamizelki wypornościowej Frika. Ręce miał zgięte w łokciach, minimalizując odległość dzielącą go od Frika. Komitet CMAS ocenił później, że „prawdopodobnie w celu nienapężania węża octopusa”. Tym samym Frik nie mógł odczytać wskazań manometru Rehana, lecz również uwolnić się, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Z opisu Frika przedstawionego po wypadku wyłania się obraz dwóch splątanych nurków. Rehan, trzymający się kamizelki wypornościowej swojego partnera obiema rękami, i Frik, oplatający swojego partnera w talii nogami. Obaj gwałtownie opadali na dno.

Nie ma prawdopodobnie na Ziemi takiego człowieka, który byłby w stanie „spokojnie i w kontrolowany sposób” wyjść awaryjnie z głębokości 140 metrów. Najczęściej omawiane w piśmiennictwie nurkowym wyjście awaryjne, z głębokości 70 metrów wykonane przez Chrisa i Chrissy’ego Rouse’ów, zakończyło się niemal natychmiastową śmiercią zarówno ojca, jak i syna. Rekord świata w kategorii najgłębszego swobodnego awaryjnego wyjścia z łodzi podwodnej został ustanowiony na Morzu Śródziemnym w 1970 roku przez załogę HMS Osiris, testującą scenariusze ucieczki z zatopionej łodzi podwodnej. Test przebiegł pomyślnie i potwierdził przydatność wyposażenia awaryjnego do głębokości 183 metrów, przy czym potencjał teoretyczny sprzętu oszacowano na 259 metrów. Submarine Escape Immersion Equipment (SEIE) MK-10 jest obecnie wykorzystywany przez marynarkę zarówno brytyjską, jak i amerykańską. Składa się z jednoosobowej tratwy i skafandra chroniącego nurka przed hipotermią. Podczas ucieczki z głębin wykorzystuje się zwykłe powietrze, którym wypełnia się szczelny kaptur skafandra przed wynurzeniem. Przy prędkości wynurzania na poziomie 2,75 metra na sekundę załogantowi łodzi podwodnej wydostanie się na powierzchnię zajmuje mniej więcej minutę. W przeciwieństwie do nurków członkowie załóg łodzi podwodnych nie mają rozpuszczonego w tkankach azotu i helu w wyniku podwyższonego na dużej głębokości ciśnienia. Całkowity czas, jaki załoganci łodzi podwodnych spędzają w wodzie, poddani podczas wynurzania naciskowi systematycznie obniżającego się ciśnienia, nie przekracza 100 sekund. Żaden nurek nurkujący z akwalungiem nie zdołał przeżyć wyjścia awaryjnego z głębokości 140 metrów i tym samym nikt nie zdołał do tej pory udowodnić, że jest to możliwe.

Jeśli o mnie chodzi, najgłębsze ćwiczebne swobodne wyjście wykonałem z głębokości 40 metrów, wyjąwszy sobie wcześniej automat z ust. Jestem

przekonany, że przy odpowiedniej wprawie można wyjść z 70 metrów, ale wymaga to sporo umiejętności i nieco szczęścia. Kiedy człowiek wynurza się z dużej głębokości z „pustymi” butlami, to jeśli ma automat w ustach, może podczas wynurzania — gdy ciśnienie zacznie spadać — pobrać jeszcze nieco gazu z butli. Aby pierwszy stopień automatu działał poprawnie, ciśnienie w butlach musi być większe od ciśnienia otoczenia. Dzieje się tak właśnie wówczas, gdy człowiek się wynurza. Robiłem swobodne wyjścia z „pustymi” butlami z głębokości 40 metrów z automatem w ustach i twierdzę, że znacznie łatwiej jest to zrobić niż całkowicie odrzucając automat; podczas wyjścia można co kilka metrów zaczerpnąć odrobinę powietrza.

Poniżej 40 metrów EAN32 (32% tlenu i 68% azotu) z butli Frika ujawnił swoją toksyczność i nurkom zaczęło się kręcić w głowach. Kiedy kolejny raz spojrzeli na komputer nurkowy, wskazywał już głębokość 65 metrów. Jak wynika z relacji Frika, Rehan wydawał się wstrząśnięty i natychmiast zaczął pokazywać, że powinni zacząć się wynurzać. Próbował podpłynąć w górę, poruszając płetwami. Nie miał gazu w kamizelce wypornościowej i nie mógł jej napełnić, bo nie miał już gazu w butlach, więc rozpoczęcie wynurzania było bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Sprawę pogarszał dodatkowo pełen zestaw ciężkiego sprzętu do nurkowania technicznego i mokry skafander ściśnięty otaczającym ciśnieniem wody i pozbawiony pływalności. Toksyczny wpływ tlenu i zawroty głowy utrudniały podjęcie konstruktywnych działań. Rehan próbował chwycić się swojego partnera, zakładając, że maksymalnie dopompowana kamizelka Frika wyniesie ich obu. Frik nic nie pamiętał, stracił przytomność na dużej głębokości i odzyskał ją dopiero na łodzi, gdy zaczęto go reanimować. Doktor Hermie Britz sprawdziła jego komputer nurkowy, który wskazał osiągnięcie maksymalnej głębokości 65,2 metra.

Byłem zdumiony, że tego dnia w toni Zatoki Sodwany nie zawieszono żadnej awaryjnej liny dekompresyjnej, do której zamocowano by przynajmniej jedną butlę z tlenem. Moim zdaniem jest niezwykle istotne, by na głębokości 6 metrów lub głębiej została umieszczona awaryjna butla na wypadek jakichkolwiek komplikacji. W nurkowaniu rekreacyjnym jest to normalna praktyka, więc co tu mówić o zaawansowanych wyprawach technicznych. Taka lina pomaga nurkom przeprowadzić dekompresję w toni, kiedy ze względu na fale lub silne prądy trudno jest utrzymać obraną pozycję. Na długo trwających przystankach dekompresyjnych nurkowie tak naprawdę powinni być do niej przymocowani — na wypadek utraty przytomności. Trudno mi wyobrazić sobie nurkowanie w otwartym oceanie bez liny opustowej — to schodzenie prosto do otwartego

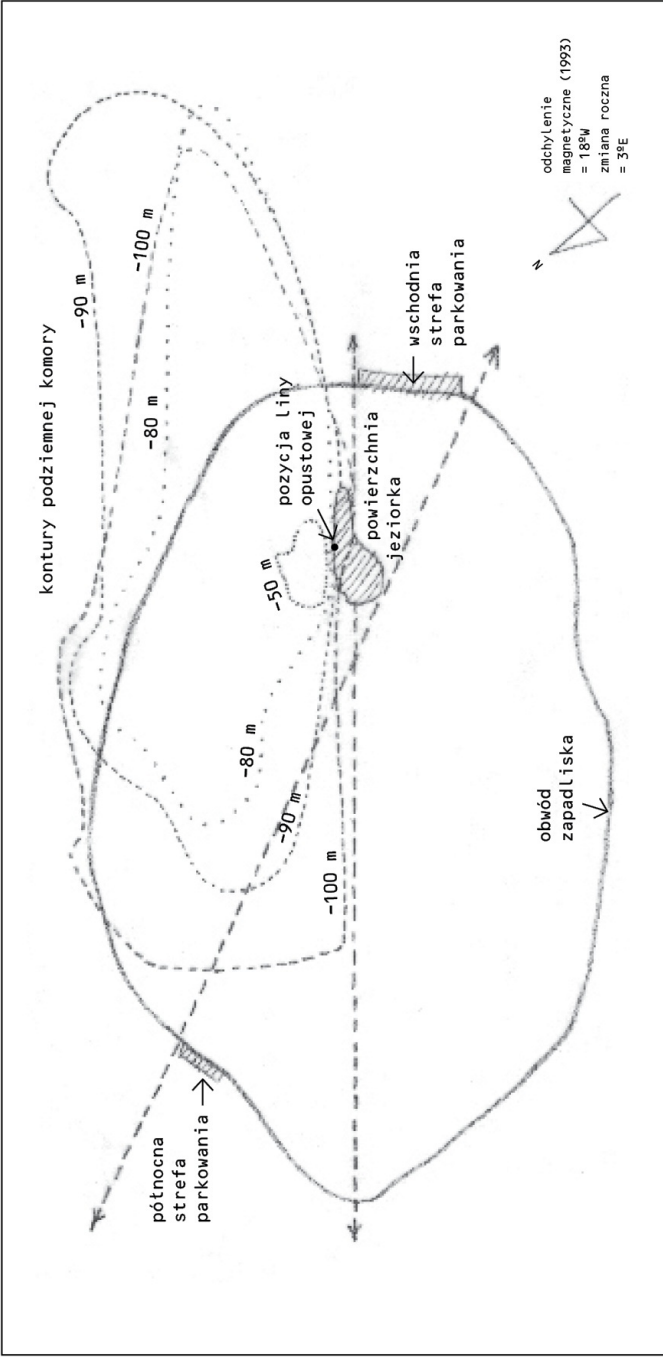
grobu.

Ciała Rehana Bouwera nigdy nie odnaleziono. Przez 5 godzin, z pomocą dodatkowych łodzi, metodycznie przeczesywano obszar w promieniu 15 mil. Zespół spędził na poszukiwaniach kolejne dwa dni, sobotę i niedzielę, nie natrafiając jednak nigdzie na ślad Rehana.

Zapamiętałem Rehana jako nurka chętnie podejmującego ryzyko. Lubił minimalizować ilość sprzętu, skracać czasy dekompresji, polegać raczej na sobie niż na swoich partnerach i utrzymywać bardzo ograniczone rezerwy gazów dennych. Raport ze śledztwa przeprowadzonego przez Roly'ego Nymana i nieformalną komisję śledczą wskazywał, że strategia Rehana opierała się na „przełączaniu się na gaz podróży na dowolnej głębokości przy założeniu, że uda się dotrzeć na bezpieczną głębokość, zanim ujawni się toksyczność tlenu”. Podczas jednego z wyjść przełączył się na tlen na głębokości 60 metrów, bo kończył mu się gaz denny. Przeżył. Normalnie przyjmuje się, że oddychanie tlenem jest bezpieczne na głębokości 6 metrów.

Testy tolerancji tlenowej przeprowadzane są przez nurków zawodowych i służących w marynarce wojennej maksymalnie na głębokości 18 metrów przez okres 30 minut. Ze względów bezpieczeństwa przeprowadza się je w suchych komorach dekompresyjnych, w kontrolowanym środowisku. Gdyby toksyczność tlenu zaczęła być wyraźnie odczuwalna, nurek może w dowolnym momencie wypuścić z ust automat podający tlen i zacząć oddychać powietrzem. W 1988 roku przeprowadziłem własne testy tolerancji tlenowej. Nie miałem dostępu do suchej komory dekompresyjnej, więc przeprowadziłem je pod powierzchnią wody, w zalanej jaskini Wondergat.

Pierwszymi nurkami, którzy w RPA próbowali bić rekordy głębokości, byli Roly Nyman, Ian Robertson i bracia van der Walt. W 1969 roku dotarcie na głębokość 102,1 metra było niesamowitym osiągnięciem. W 1988 roku zszedłem w Boesmansgat na 123 metry. Rok później Boetie Sheun osiągnął głębokość 132 metrów w jeziorze Guinas. Mając tego świadomość, szukałem naprawdę głębokiego miejsca pozwalającego na przeprowadzenie naprawdę głębokiego nurkowania. Znalazłem je w Namibii.



BADANIE BOESMANSGAT (RPA)

nazwa jaskini	Boesmansgat	zespół badawczy	A. Penny, B. Pardy N. Gomes, A. Riggs	Potudniowoafrykańskie Towarzystwo Speleologiczne Oddział w Kapsztadzie
data badania	sierpień 1993	instrumenty	kompas, klinometr, taśma miernicza, sonar SIMRAD MS 900	

Wyprawa o nazwie Namex 92 była pomysłem doktora George'a Brooka z amerykańskiego Uniwersytetu Georgii, który ją sfinansował i zorganizował. Dla mnie, dla Rehana i dla całego zespołu była urzeczywistnieniem marzeń. Wspaniale było badać siedem — w większości dziewiczych — namibijskich jaskiń. Mieliśmy zbadać formacje jaskiń, by ustalić, jak wyglądało kiedyś środowisko południowej Afryki. Naukowcy dostali swoje skały i próbki form naciekowych (stalaktytów i stalagmitów), a my otrzymaliśmy nieograniczony dostęp do helu, by przeprowadzić wszystkie nurkowania, jakie tylko przysły nam do głowy. Pomagał nam ogromny zespół nurków i grotołazów. Po każdym dniu ciężkiej pracy zasypialiśmy kamiennym snem.

Na terenie farmy Harasib, niedaleko namibijskiego miasta Tsumeb, znajduje się ogromny, głęboko rozcięty w górskim zboczu krater. Aby osiągnąć lustro wody, trzeba się spuścić po linie na dno zapadliska. Dotarcie do zbiornika przedstawiało pewne trudności logistyczne, ale kiedy zobaczyłem krystalicznie czystą, błękitną wodę, wiedziałem już, że po prostu muszę w niej zanurkować. Przed zanurzeniem omiotłem toń snopem światła z latarki, dostrzegając opustówkę i butle depozytowe zawieszone na dość dużej głębokości. Wyglądało to bardzo zachęcająco i wprost nie mogłem się doczekać — ciemność mnie wzywała. Nie mieliśmy tylko pojęcia, jak głęboka jest ta jaskinia.

Aby dostać się do lustra wody, opuszczaliśmy się na tyrolce. Jedna lina była przeciągnięta nad krawędzią krateru, druga prowadziła w dół rozpadliny od punktu znajdującego się w połowie pierwszej. Przy każdym zjeździe w dół musieliśmy się przepinać z liny biegnącej w poprzek na linę zjazdową. Jakikolwiek błąd skończyłby się śmiertelnym upadkiem z wysokości 120 metrów. Zjeżdżanie w dół na jednej linie trwało jakieś 10 minut. Powrót na górę zabierał 20–30 minut. Sprzęt nurkowy był transportowany w workach wykorzystywanych przez grotołazów, umieszczanych między nogami. Na dnie rozkładaliśmy swój sprzęt na pochyłej półce znajdującej się mniej więcej 100 metrów poniżej krawędzi zapadliska. Kiedy się to już udało, spuszczaaliśmy się na linie kolejne 20 metrów do powierzchni jeziora.

Rekordowe nurkowanie na głębokość 105 metrów z 10-minutowym czasem dennym przeprowadzone przeze mnie i Rehana w 1992 roku w Namibii trwało 51 minut. Rehan lubił, kiedy sprawy działały się szybko. Miałem wątpliwości co do tak drakońskiego ograniczania czasów dekompresji; nie zamierzałem zostać kaleką ani zginąć. Podczas nurkowań w Harasib wiele się jednak nauczyłem i potem wiedziałem już przynajmniej, że nie jestem szczególnie podatny na chorobę dekompresyjną. Wiedziałem też, że nie jest to ultragłęboka jaskinia,

w której mógłbym przekroczyć głębokość 132 metrów.

W zespole oprócz mnie i Rehana było jeszcze sześciu nurków. Trzech z nich przeszło kursy z zakresu wykorzystania trimiksu, pozostałych trzech nurkowało na powietrzu, schodząc maksymalnie na 40–50 metrów. Trevor, Andre i Dietloff pełnili rolę nurków zabezpieczających nas na trimiksie do głębokości 90 metrów. Nurkowie zabezpieczający mogą udzielić pomocy w sytuacji awaryjnej takiej jak brak gazu i rzeczywiście podczas głębokiego nurkowania w Harasib doszło do takiej sytuacji. Niestety nurkowie zabezpieczający nie mogli udzielić pomocy, bo Trevor musiał przerwać przedwcześnie nurkowanie ze względu na awarię automatu, a dwaj pozostali skrócili swoje nurkowania. Nie byliśmy świadomi tego, że zostaliśmy sami, ale tak właśnie było. Kiedy dotarliśmy na głębokość 100 metrów, Rehan podsunął mi pod nos swój manometr, który pokazywał już tylko 70 barów. Niewiele, biorąc pod uwagę, że nie dotarliśmy jeszcze na docelową głębokość. Potężna odległość dzieliła nas również od powierzchni wody.

Podczas nurkowań eksploracyjnych mam śmieszny może zwyczaj trzymania przez cały czas wszystkich swoich butli przy sobie. Z moich doświadczeń wynika, że gaz na tej głębokości zużywa się bardzo szybko. Na przykład na 90 metrach zużywa się dziesięć razy szybciej niż na powierzchni. Czuję się bezpieczniej, kiedy podczas każdego nurkowania mam zapas gazu. Rehan wolał schodzić bez depozytów i zostawił je wiszące na opustówce przy znaczniku 60 metrów. Kiedy dotarliśmy do jego pierwszego depozytu, nie miał już ani odrobiny gazu. Rehan miał absolutną pewność, że wszystko poszło zgodnie z planem. Nie podzielałem tego przekonania.

Nasze pomiary potwierdził w 2007 roku zespół włoskich grotołazów, który zbadał jaskinię Harasib i obliczył głębokość zapadliska. Lustro wody od krawędzi krateru dzieliła odległość 112,5 metra. Głębokość wody wynosiła około 101 metrów.

Inne moje spotkanie z Rehanem miało zabawniejszy i zdecydowanie mniej groźny charakter. Zdarzyło mu się bowiem w jeziorze Guinas zgubić własny twinset. Zostawił go unoszącego się na powierzchni wody na przymocowanej do niego kamizelce wypornościowej. Jakiś czas później, tuż przed zaplanowanym przez nas nurkowaniem, kamizelka zaczęła przeciekać i zestaw poszedł pod wodę, opadając na dno. Było to moje pierwsze solowe zejście na głębokość 100 metrów. Ucieszyłem się, że Rehan zostawił przymocowaną do zestawu włączoną czołówkę. Dzięki temu znacznie łatwiej było znaleźć i wyłowić twinset i kask.

Peter Timm przeżył Rehana o 16 lat. Spotkał się ze śmiercią 18 lipca 2014 roku, bohatersko próbując reanimować swoją partnerkę nurkową, Adele Stegen, po

nurkowaniu na 61 metrów w pobliżu skalistej rafy Aliwal Shoal u wschodnich wybrzeży RPA. Zginął w tym samym oceanie, w którym był świadkiem śmiertelnego wyjścia awaryjnego swojego przyjaciela. I Peter, i Adele zakończyli nurkowanie zbyt wcześnie, spędziwszy na dnie 27 minut. Żadne z nich nie przeprowadziło wystarczającej dekompresji, oboje skierowali się bezpośrednio ku powierzchni. „Jeśli nie wiesz, co robisz, a nawet jeśli wiesz, możesz bardzo szybko zginąć” — powiedział Peter ze zwykłym sobie czarnym humorem zaledwie kilka tygodni przed śmiercią.

Pogoń za archaicznym czworonogiem miała właśnie pochłonąć życie kolejnej ofiary, Dennisa Hardinga, programisty z Johannesburga, który zginął 27 listopada 2000 roku po wykonaniu nurkowania na trimiksie w kanionie Jesser w Zatoce Sodwany. Dennis szkolił się początkowo pod okiem Rehana Bouwera; w listopadzie 2000 roku miał już wszystkie możliwe certyfikaty nurkowe. Przeszedł nie tylko kursy nurkowania na obiegu otwartym. Niedawno zdobył certyfikat pozwalający mu na nurkowanie z wykorzystaniem nowiutkiego rebreathera Halcyon, maszyny z obiegiem półotwartym polecanej przez organizację nurkową Global Underwater Explorers (GUE).

Urządzenie stało się sławne w 1997 roku podczas Woodville Karst Plain Project, wyprawy badawczej, której celem było stworzenie map systemu podwodnych jaskiń znajdujących się na obszarze krasowym rozciągającym się od Florydy po Zatokę Meksykańską. Rebreather Halcyon posłużył do zbadania jaskiń Wakulla Springs, co obejmowało między innymi długie pod względem pokonywanych odległości nurkowania jaskiniowe do głębokości 100 metrów. Zarówno George Irvine, jak i Jarrod Jablonski, główny architekt systemu Doing It Right (DIR), przetestowali Halcyona zaprojektowanego przez Jacka Kellona jako jednostkę eksperymentalną, która później ewoluowała do postaci urządzenia o nazwie Halcyon RB80. Późniejsza jednostka jest dystrybuowana przez Halcyon Dive Systems od 2001 roku i jest ogólnie znana pod nazwą Halcyon.

Chociaż jest to sprzeczne z raportem z sekcji zwłok, Harding tak naprawdę posługiwał się jedną z wcześniejszych jednostek. Była większa niż standardowy RB80 i zwyczajowo określano ją mianem „lodówki”. Jej mechanizm był biernym systemem półzamkniętym działającym mechanicznie, bez udziału jakiegokolwiek elektroniki. Zbudowano go tylko po to, by osiągnąć możliwość wydłużenia czasu eksploracji na głębokości nieprzekraczającej 100 metrów. Była to planowana

głębokość nurkowania Hardinga w Zatoce Sodwany.

Przed wyprawą po latimerie przeprowadziłem razem z Dennisem szereg nurkowań w Boesmansgat na głębokość 120–130 metrów w poszukiwaniu ciała Deona Dreyera. Rebreather działał wówczas poprawnie i tak naprawdę jeszcze dziś urządzenie Hardinga nadal działa.

Poszukiwanie latimerii przez Hardinga poprzedzone zostało opracowaniem skrupulatnych planów. Jego zespół zasymulował profil nurkowania z wykorzystaniem programu Z-Planner. Szczegółowo opisano procedury awaryjne takie jak współdzielenie gazu, obliczono ciśnienie, przy którym należało ogłosić odwrót, a kierownik nurkowania dwukrotnie sprawdził swoją mieszankę. Mimo to na krótko przed finalnym nurkowaniem Dennis postanowił wymienić mieszankę jeszcze raz. Kolejna, dokonana ad hoc zmiana dotyczyła sposobu wynurzenia się. Dzień wcześniej zespół zszedł na głębokość 110 metrów, ale nie dostrzegł ani śladu ryby. Zamiast posłużyć się zamocowaną na stałe opustówką każdy z czterech nurków wystrzelił własną boję sygnalizacyjną z głębokości około 100 metrów. Mimo zmian wszystko wyglądało dobrze, może poza rezerwami gazu, które jak na tak głębokie i długie nurkowanie wydawały się niewystarczające.

Tego poniedziałku Pieter Venter, Gilbert Gunn, operator kamery Christo Serfontein i Dennis Harding zeszli na dno morskie znajdujące się na głębokości 96 metrów i płynąc wzdłuż urwistego szelfu kontynentalnego, pokonali odległość około 200 metrów, nie przekraczając głębokości 105 metrów. Widziano, jak Harding kilkakrotnie przełączył się z obiegu zamkniętego na otwarty, nie przerywając jednak nurkowania. Po uważnym przebadaniu szeregu niewielkich jaskiń i szczelin nurkowanie w końcu przyniosło rezultaty. Znalezione i nagrano na wideo trzy latimerie. Wreszcie niezbity dowód! Podniecony odkryciem Christo zapomniał o systematycznym sprawdzaniu swojego manometru, nadmiernie przedłużając swój pobyt pod wodą; w chwili niezgodnego z pierwotnym planem odrotu miał w rezerwie zaledwie 60 barów nadającego się do oddychania na tej głębokości czynnika oddechowego, który pozostał w jego głównym zestawie butlowym. Przed nurkowaniem podjęta została decyzja, że nurkowie schodzący na obiegu otwartym zobowiązani są zawrócić, kiedy ciśnienie spadnie do 90 barów. Powinno to wystarczać na dotarcie do punktu, w którym podczas wyjścia można przełączyć się na gaz dekompresyjny, przy założeniu pewnej rezerwy na nieprzewidziane sytuacje. Christowi w tym momencie brakowało gazu. Tak naprawdę zabrakłoby mu gazu nawet wówczas, gdyby zawrócił przy 90 barach. Miał w butlach tylko 6 tysięcy litrów, a potrzebował 7,8 tysiąca litrów, przy założeniu, że tempo oddychania byłoby normalne.

Tymczasem pozostający na dnie Dennis Harding nadal zajmował się przełączaniem z obiegu zamkniętego na otwarty. Może trafił na jakieś opory oddechowe w pętli rebreathera, może na dużej głębokości, przy silnym prądzie, system nie działał tak dobrze, jak Dennis tego oczekiwał.

Christo musiał podjąć decyzję. Potrzebował 8 minut, by wynurzyć się na głębokość równą maksymalnej głębokości operacyjnej (MOD) nitroksu 35 (35% tlenu, 65% azotu), którym wypełniony był jego stage. Potrzebował dodatkowego 1,8 tysiąca litrów gazu lub odwagi, by podjąć próbę oddychania nitroksiem głębiej, niż uznaje się za bezpieczne. Nitroks na głębokości przekraczającej jego MOD jest toksyczny i Christo mógł stracić przytomność podczas wyjścia. Musiałby pominąć wszystkie głębsze przystanki dekompresyjne aż do punktu przełączenia się na inną mieszankę na głębokości 30 metrów. Włącznie z przystankami oznaczało to 20 dodatkowych minut. Uznał, że nie jest gotów na takie ryzyko, i skierował spojrzenie na znajdującego się poniżej Hardinga, który mógłby podzielić się z nim gazem. Dzięki zastosowaniu systemu półzamkniętego teoretycznie miał do dyspozycji osiem razy więcej gazu, niż mieli w butlach jego partnerzy nurkujący na obiegu otwartym.

Kiedy Christo zaczął korzystać z gazu Dennisa, jego własny zestaw dwubutlowy był już pusty. Para rozpoczęła wynurzanie w sytuacji, w której ich jedyna rezerwa gazu znajdowała się w butlach Halcyona. W pewnym momencie podczas wyjścia Hardingowi również skończyła się mieszanka oddechowa; wynikało to z faktu, że spędził dość dużo czasu na dużej głębokości, oddychając w obiegu otwartym i zużywając cenny gaz. Christo przełączył się wobec tego na mieszankę, która w jego przekonaniu była nitroksiem 35. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał przed utratą przytomności, była podjęta przez kogoś próba napełnienia jego kamizelki wypornościowej. Tym kimś był Harding.

Para miała jeszcze pewne szanse na przeżycie tego nurkowania i nieco mniejsze szanse na uniknięcie choroby dekompresyjnej. Dennis był w gruncie rzeczy w dobrej sytuacji. Musiał jedynie wysłać nieprzytomnego Christa z głębokości 40 metrów na powierzchnię. Christo mógł się uratować i być może szybkie wyjście z głębokości 100 metrów spowodowałoby jedynie uraz dekompresyjny ucha wewnętrznego z towarzyszącymi mu zawrotami głowy i utratą równowagi; coś podobnego przytrafiło się kilkanaście lat później Donowi Shirleyowi i Markowi Ellyattowi. Dennis nie wysłał jednak Christa na powierzchnię samotnie, lecz towarzyszył mu do samego końca.

Gotowi do wskoczenia do wody nurkowie zabezpieczający — Pieter Smith, Martin Bensch i Etienne le Roux — nie wierzyli własnym oczom, kiedy zobaczyli

wynurzającego się na powierzchnię Dennisa, a tuż po nim Christa. Obaj nurkowie spędzili na dnie 16 minut i wynurzyli się po zaledwie 24 minutach nurkowania. Harding był na tym etapie przytomny i zamiast z powrotem zejść pod wodę i przeprowadzić rekompresję zdecydował się wyjść na łódź. Po krótkim czasie zmarł. Lekarz oczekujący na brzegu orzekł zgon o godzinie szesnastej.

Na powierzchni Christo oddychał ze swojego automatu. Dzięki interwencji Pietera odzyskał świadomość i postanowił ukończyć dekompresję na głębokości 40 metrów. Butla, z której oddychał Christo wcześniej pod wodą, oznaczona była etykietą EAN50 (50% tlenu, 50% azotu), a nie — jak sądził — EAN35. A zatem maksymalna głębokość, na której można było korzystać z tej mieszanki, wynosiła nie 40 metrów, a 21 metrów. Stracił przytomność ze względu na wysokie ciśnienie parcjale tlenu oraz odczuwalną na tej głębokości toksyczność.

Christo z powodzeniem ukończył dekompresję i został zawieziony do portowego miasta Richards Bay na leczenie w komorze hiperbarycznej. Wypuszczono go następnego ranka bez widocznych objawów choroby dekompresyjnej. Miał szczęście.

Śmierć Dennisa Hardinga wstrząsnęła nami wszystkimi. Dobrze go znałem i nurkowaliśmy razem niezliczoną ilość razy w Wondergat, Komati Springs i Boesmansgat. Zginął bohaterską śmiercią, poświęcając życie, by ocalić partnera. Jego śmierć w żadnym razie nie była wynikiem braku umiejętności nurkowych.

Zdaliśmy sobie sprawę, że wykorzystanie rebreatherów pozostawia wiele nierozstrzygniętych kwestii. Niektórzy nurkowie, tacy jak Leszek Czarnecki, są nawet zdania, że tak skomplikowane urządzenia nie powinny być powszechnie dostępne. Leszek jest przekonany, że powinny być zarezerwowane dla nurków wojskowych, w których przypadku dopuszcza się nieuchronność pewnej liczby wypadków śmiertelnych. Po raz pierwszy zetknąłem się z tematem rebreatherów, czytając o niesamowitych przygodach Hansa Hassa, austriackiego biologa i pioniera nurkowania, człowieka niezwyklego formatu. W latach 40. nurkował z wykorzystaniem rebreatherów produkowanych dla niego przez firmę Drägerwerk. W tamtych czasach dostępne były jedynie rebreathery tlenowe i Hass aż do głębokości 30 metrów oddychał czystym tlenem. Według współczesnych standardów uznaje się to w zasadzie za przepis na samobójstwo.

Był naprawdę twardym odkrywcą. Podczas II wojny światowej służył

w Kleinkampfverband, nurkowym oddziale specjalnym, przeprowadzając zwiady w sojusznicznych portach i eliminując wrogie jednostki poprzez umieszczanie materiałów wybuchowych na ich kadłubach. Napisał 25 książek i nakręcił ponad 70 podwodnych filmów. Jacques Cousteau mógłby być prawie jego kolegą ze szkolnej ławki. Główna różnica polegała na tym, że o ile Cousteau posługiwał się obiegiem otwartym, określanym w języku angielskim terminem *self-contained underwater breathing apparatus* (SCUBA), Hans Hass używał rebreatherów tlenowych. Obaj nurkowie stali się legendą nurkowania i pozostaną bohaterami również dla następnych pokoleń.

Już 40 lat temu Hans Hass zdał sobie sprawę z czegoś bardzo istotnego: za pomocą rebreathera nie da się oddychać w parze i współdzielić gazu. Uniemożliwia to podwójny wąż, w który wyposażone są wszystkie urządzenia obiegu zamkniętego. Oznacza to, że nie można sobie nawzajem pomóc, co stwarza ogromne problemy.

Nigdy nie zastanawiałem się nad zakupem rebreathera. W końcu jakoś obywałem się bez niego podczas wszystkich swoich najważniejszych nurkowań. Tymczasem niektórzy ludzie potrafią zastawić swoje domy, żeby tylko zdobyć pieniądze na jego zakup. Eksploracje coraz częściej przeprowadza się z wykorzystaniem rebreatherów, coraz częściej podejmuje się też próby bicia rekordów i niestety coraz więcej osób ginie, korzystając z tych urządzeń. Statystyki są bezlitosne. Wszystkie wypadki śmiertelne na obiegu zamkniętym przypisuje się „błędowi człowieka”. A może ludzie popełniają błędy, bo obsługa tych urządzeń jest tak skomplikowana? Będący pod wpływem narkozy azotowej, zdenerwowany lub spanikowany nurek z pewnością napotka problemy.

Nie trzeba było długo czekać, by pojawił się ktoś, kto zechce udowodnić, że rebreather we właściwych rękach — tym razem były to ręce instruktora pilotów komercyjnych linii lotniczych — może zostać wykorzystany w głębokim nurkowaniu. Do naszego spotkania doszło pod koniec 2004 roku. Dave Shaw zadzwonił do mnie pewnego wieczoru po przylocie z Hongkongu do RPA, chcąc uzyskać jak najwięcej informacji na temat Boesmansgat. Chciał zejść na dużą głębokość, może nawet podjąć próbę pobicia mojego rekordu. Byłem najlepszym źródłem danych i w zasadzie w RPA nie było nurka, który znałby to miejsce równie dobrze jak ja. Spotkał się ze mną i Lenné Foster-Jones w swoim hotelu w pobliżu Kensington na przedmieściach Johannesburga, gdzie mieszkalem. Tamtego wieczoru spędziliśmy na rozmowie o jaskini kilka godzin, wypijając przy tym kilka kieliszków wina. Był typowym pilotem — nic go nie przerażało. Dotarcie na dno jaskini? Bułka z masłem. Rekord świata? Żaden problem.

Lenné zapamiętała, że byłem z nim szczerzy. Nie zamierzałem niczego przed nim ukrywać i chciałem mu przypomnieć, że w Boesmansgat na przestrzeni lat nurkowało zaledwie 50 osób, z których sześć już nie żyło: dwie zginęły w Boesmansgat, cztery podczas głębokiego nurkowania gdzie indziej. Osiem lat wcześniej byłem bliski podwyższenia tych statystyk, kiedy na głębokości 282,6 metra ugrzęzłem w mule po kolana. Shaw natomiast był bliski postawienia tezy, że człowiek korzystający z rebreathera ma gwarantowaną nieśmiertelność. Miałem poczucie, że jest dokładnie na odwrót, ale się nie spierałem. Przypominało to omawianie zagrożeń czyhających podczas wspinaczki na K2 z kimś, komu właśnie udało się wejść na Kilimandżaro. Oczywiście można wejść na K2. Oczywiście robiono to już wcześniej, ale tak się jakoś składa, że podczas gdy na najwyższy szczyt Afryki wdrapały się dziesiątki tysięcy ludzi, to K2 zostało zdobyte przez zaledwie 278 osób. Nie wiedziałem wówczas, że Dave wykonał tylko 300 odnotowanych nurkowań i miał niecałe 8 lat doświadczenia w nurkowaniu. Ja sam podjąłem pierwszą próbę bicia rekordu po 19 latach nurkowania. Dave w ciągu swojej 8-letniej kariery nurkowej schodził pod wodę średnio 37 razy rocznie. W moim przypadku średnia wynosiła 160. Liczby są bezlitosne.

Dave Shaw nie był pierwszą osobą, która próbowała dotrzeć na dno Boesmansgat. Ja i Sheck Exley już tam byliśmy. Był tam też Deon Dreyer, nieszcześnie młodziak, którego własna brawura i brak właściwego kierownictwa doprowadziły 14 grudnia 1994 roku do śmierci. Tego samego roku Sheck Exley zginął w meksykańskiej jaskini El Zacatón, próbując sięgnąć jej dna.

Cała ta historia zaczęła się od mojej pierwszej próby dotarcia na dno podjętej we wrześniu 1994 roku. Mój komputer nurkowy podał wówczas głębokość 252 metrów. Nurkowanie nie przebiegło bezproblemowo; doznałem urazu dekompresyjnego ucha wewnętrznego, co oznaczało, że nie będę mógł nurkować co najmniej przez trzy miesiące — o ile w ogóle uda mi się dojść do siebie. Wiedząc o tym, w grudniu 1994 roku John Wesley Franklin i bracia Giliomee spędzili w Boesmansgat tydzień, który miał być wypełniony normalnymi nurkowaniami. Prawdziwym celem wyprawy było nurkowanie Dietloffa Giliomee — samotnie lub w towarzystwie Wesleya Franklina — na głębokość 150 metrów. Z tej grupy znałem jedynie Dietloffa, który był członkiem mojej wyprawy do Namibii w 1992 roku. Nie wiedziałem, że w grudniu tamtego roku mają zamiar nurkować w Boesmansgat, chociaż obaj byliśmy członkami Południowoafrykańskiego Stowarzyszenia Nurkowania Jaskiniowego (South Africa Cave Diving Association), organizacji zrzeszającej wielu nurków jaskiniowych z całego kraju.

Nie wiedziałem również — co prawdopodobnie śmiertelnie by mnie przeraziło — że do pełnienia funkcji nurków zabezpieczających zaprosili dwóch nowicjuszy: Deona Dreyera i Robbiego MacPhersona. Skala zaplanowanego nurkowania znacznie przekraczała kompetencje tych niedoświadczonych nurków. Deon miał za sobą zaledwie 15 odnotowanych nurkowań, a zgodnie z planem mieli zejść na powietrzu na 70 metrów i na tej głębokości czekać na obu weteranów. Narkozę azotową potęguje samo oczekiwanie na tej głębokości; z każdą sekundą kolejne porcje azotu docierają do układu nerwowego. Deon był zbyt młody, by przyswoić mantrę procedur dekompresyjnych, zgodnie z którą to nie ostatecznie osiągnięta głębokość ma największe znaczenie, lecz spędzony na tej głębokości czas. Boesmansgat bardzo się różni od zwyczajnych podwodnych jaskiń z ich typowymi korytarzami, trawersami i zaciskami. To zupełnie unikalne środowisko. Jaskinia Boesmansgat jest ogromna i potwornie onieśmielająca. Aby nurkować tam w 1994 roku, należało najpierw zdobyć komplet certyfikatów nurka jaskiniowego. Posiadany przez Deona jednogwiazdkowy certyfikat nurkowy organizacji CMAS pozwalał na nurkowanie w wodach otwartych do głębokości 18 metrów. Nawet na najbardziej wówczas zaawansowanych kursach nurkowania rekreacyjnego na powietrzu, kończących się uzyskaniem trzygwiazdkowego certyfikatu CMAS pozwalającego na nurkowanie w wodach otwartych, zalecano nieprzekraczanie głębokości 40 metrów, w wyjątkowych okolicznościach zezwalając na osiągnięcie maksymalnie 56 metrów. Instruktorem Deona i Robbiego był Dietloff i to on zabrał ich na powietrzu na głębokość 70 metrów

— na nurkowanie w jaskini, w której nigdy wcześniej nie byli.

Pod wodą między instruktorem i kursantem tworzy się szczególna więź. Środowisko, z którym obaj się mierzą, nie jest dla człowieka przyjazne. Jest cudowne, niesamowite — i jednocześnie śmiertelnie groźne. Sheck Exley powtarzał nawet, że jaskinia nieustannie wyczekiwała momentu, w którym mogłaby go zabić. Kursant obdarza swojego instruktora ogromnym zaufaniem, i to nie tylko dlatego, że instruktor dysponuje większym doświadczeniem, ale też dlatego, że instynkt podpowiada łaknącemu wiedzy nowicjuszowi, iż woda nie jest jego środowiskiem naturalnym i powinien trzymać się od niej z daleka — zwłaszcza w ciemnej, zamkniętej przestrzeni zalanej jaskini. Więź zacieśnia się, gdy uczeń przekracza powszechnie uznawane granice, czyli zazwyczaj limit głębokości. Jeśli instruktor twierdzi, że to bezpieczne, kursant nie ma powodu, by w to wątpić. Deon nigdy wcześniej nie schodził na taką głębokość. Dietloff owszem.

To było samobójstwo i wynik był adekwatnie makabryczny. Dietloff zostawił oddychających powietrzem Deona i Robbiego na głębokości 70 metrów. Mieli czekać na pozostałą trójkę, która badała ściany Boesmansgat 10 metrów niżej. Kiedy bracia Giliomee i Franklin wrócili, wydawało się, że wszystko jest w porządku. Zespół zaczął się wynurzać i nagle Dietloff dostrzegł światło poniżej. Przez chwilę sądził, że ktoś przymocował latarkę do opustówki, ale się mylił. Tym, co zobaczył, był opadający na dno Deon. W osobistym, niepozostawiającym wątpliwości raporcie Dietloff napisał: „Chociaż ani Robbie, ani Deon nie posiadali certyfikatów poświadczających ukończenie kursów nurkowania głębokiego lub nurkowania jaskiniowego, byłem absolutnie przekonany o ich umiejętnościach nurkowych, kompetencjach i doświadczeniu. Wolałbym raczej nurkować z tą dwójką niż z niektórymi wykwalifikowanymi nurkami, z którymi miałem okazję się zetknąć”. No to zanurkował.

Rodzina Deona postanowiła nie pozywać Dietloffa. Przyznali, że ich syn miał skłonności do brawury i kilka wypadków samochodowych na koncie, a jego śmierć była prawdopodobnie nieuniknioną konsekwencją „szukania przygód”. Prokurator uznał, że nurkowanie nie jest obowiązkowe, a Deon był pełnoletni. Organizacja CMAS nie podzieliła jednak tych przekonań i skreśliła Dietloffa Giliomee z listy członków, odbierając mu jednocześnie papiery instruktorskie.

Theo van Eeden, inspektor policji z Kapsztadu, który był jednocześnie nurkiem

policyjnym, nie mógł zamknąć sprawy utonięcia Deona Dreyera, dopóki nie dysponował jego ciałem. W styczniu 1995 roku rodzina Dreyera wynajęła za około 6 tysięcy dolarów zdalnie sterowany pojazd do prowadzenia prac i badań podwodnych (ROV) w celu zbadania dna jaskini. Ich kosztowne poszukiwania okazały się bezowocne, lecz pozwoliły stwierdzić, że głębokość jaskini przekracza 282 metry. Theo skontaktował się ze mną ponownie. Spotkaliśmy się 18 lutego 1995 roku w Boesmansgat. W pierwszym, zaplanowanym na tydzień poszukiwaniu ciała towarzyszyli mi dwaj doświadczeni nurkowie jaskiniowi: Craig Kahn i Craig Newham. Ten sam zespół brał udział w drugiej wyprawie w poszukiwaniu ciała, która rozpoczęła się 24 września 1995 roku. Wyszliśmy z założenia, że jeśli ciało nie znajduje się na dnie, to musi spoczywać pod sklepieniem jaskini lub na jednej z wielu półek ciągnących się pod ścianami. Sklepienie Boesmansgat podziurawione jest dziesiątkami szczelin i ciało mogło być dosłownie wszędzie. Zanurkowaliśmy w kominach jaskini, zaczynając na głębokości 50 metrów i wychodząc do góry aż do kieszeni powietrznych. W pewnym momencie sądziliśmy nawet, że znaleźliśmy ciało, ale była to tylko przypominająca człowieka formacja skalna. Żadna z akcji poszukiwawczych nie dała wyników. Znacznie lepiej poznaliśmy jednak jaskinię.

Nasze poszukiwania nie były specjalnie nagłaśniane, nie informowaliśmy mediów o podejmowanych przez nas próbach. Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja w przypadku nurkowania Dave’a Shawa i Dona Shirleya w październiku 2004 roku. Ich nurkowanie było solidnie dofinansowane i brała w nim udział śmietanka nurków technicznych, a celem całego przedsięwzięcia było ustanowienie światowego rekordu głębokości nurkowania na rebreatherze. Przygotowując się do własnego nurkowania, Shaw i Shirley odegrali rolę nurków zabezpieczających na dużej głębokości Vernę van Schaik, która nurkując na głębokość 221 metrów ustanowiła kobiecy rekord świata. Shaw był ciekaw, na jaką maksymalną głębokość można zejść w Boesmansgat, i w 2004 roku skontaktował się z Theo van Eedenem. „Czy pomożesz mi zejść na dno?” — zapytał. „Przy tak niskim jak obecnie poziomie wody zejdziesz maksymalnie na 265 metrów” — odparł Theo, ale nie zniechęciło to Dave’a do szukania głębszego miejsca. Podzielił się również z Theo pomysłem dowiązania się do opustówki i poszukania wokół niej ciała Deona Dreyera; może ROV coś przeoczył. Theo jako nurek policyjny nie schodził na głębokości przekraczające 60 metrów, ale niezależnie od tego, jak niebezpieczne mogłoby mu się to wydawać, bardzo chciał zamknąć sprawę Deona. Brakowało mu tylko ciała.

Wyprawa zakończyła się wielkim sukcesem. Shaw ustanowił światowy rekord

głębokości nurkowania na rebreatherze i nieoczekiwanie znalazł ciało Deona Dreyera, spoczywające w odległości zaledwie 18 metrów od liny opustowej. „Dave zrobił 271 m. Jest na profilu 300 m. Myślę, że jest teraz na 40 m. Znalazł ciało” — tekst napisany na tabliczce nurkowej przez Dona Shirleya wszystko wyjaśniał. Shaw nie zdołał poruszyć ciała. Nietknięte szczątki Deona (nadal miał na głowie maskę nurkową i zamocowany podwójny zestaw butłowy) ugrzęzły w osadzie dennym. Dave’a nie interesowała już pozycja rekordzisty świata w nurkowaniu jaskiniowym. Znalazł ciało i chciał je wydobyć na powierzchnię. Pojawiły się jednak pierwsze zwiastuny przyszłych problemów, Dave bowiem wynurzył się z objawami choroby dekompresyjnej, szczególnie dotkliwie odczuwalnymi w ramieniu. Wymagał leczenia w komorze dekompresyjnej w Kimberley. Theo przypomina sobie, że Dave zadzwonił do niego z Hongkongu, gdzie mieszkał, by uzyskać zaświadczenie z policji. „Musi być tam napisane, że jestem jedyną osobą, która może wydobyć ciało z tej głębokości”. Theo złożył stosowne oświadczenie i napisał Shawowi oficjalne usprawiedliwienie nieobecności w pracy. Później wyznał, że miał poczucie, iż jego zaświadczenie niebezpiecznie przypominało akt zgonu. Podjął jeszcze jedną próbę, aby odwieść Dave’a od tej wyprawy: „Zostaw to, Dave. To sprawa dla policji. Przywiąż tylko jego twinset do opustówki. Dam ci odpowiednią linę”. „Nie, chcę to zrobić sam” — odpowiedział Dave.

W styczniu 2005 roku, po trzech miesiącach od poprzedniej wyprawy, Shaw wrócił nad Boesmansgat. Theo wspomina: „Panowała radosna atmosfera. Wszyscy, naprawdę wszyscy, byli przekonani, że to się uda”. Niektóre południowoafrykańskie bulwarówki zaczęły spekulować, że Shaw ma romans z Debbie van Zyl, obecnie była już żoną Andriesa van Zyla, właściciela posiadłości Mount Carmel Safaris, na której terenie znajduje się Boesmansgat, i właśnie dlatego tak szybko tam wrócił, mimo epizodu choroby dekompresyjnej.

Wypadki potoczyły się jednak zgoła inaczej i powszechna radość ustąpiła miejsca smutkowi. Ostatnie minuty życia Shawa streścił fragment oficjalnego protokołu lekarskiego sporządzonego przez doktora Simona J. Mitchella, doktora Fransa J. Cronje, doktora W.A. Jacka Meintjesa i doktor Hermie C. Britz po wyłowieniu ciała: „Zejścia dokonano wzdłuż głównej liny opustowej z poziomu lustra wody na dno jaskini. Zejście trwało zgodnie z planem 12 minut. W ciągu trwającego 12 minut zejścia słyszalny wzorzec oddechowy nie ulegał zmianom. Ciało [Deona Dreyera] zostało zlokalizowane dzięki temu, że podczas wcześniejszego nurkowania dowiązano je krótką linką do liny opustowej. Nurek otworzył worek na ciało i próbował nasunąć go na ciało. Zadanie okazało się

trudniejsze, niż się spodziewał, ponieważ ciało uległo saponifikacji, miało dużą objętość i wciąż był do niego przymocowany sprzęt nurkowy. Ten krótkotrwały wysiłek spowodował słyszalny stopniowy wzrost częstości oddechów. Po upływie 5 minut przeznaczonych na realizację zadania, nie zdoławszy prawidłowo zabezpieczyć ciała, nurek zaniechał zadania i próbował odpłynąć, odkrywając w tym momencie, że jego latarka zaplątała się w linkę prowadzącą do miejsca, w którym spoczywało ciało. Próby uwolnienia się spowodowały systematyczne pogłębianie się duszności, coraz częściej podczas wydechu pojawiało się odchrząkiwanie. Dwie minuty po przerwaniu prób podjęcia ciała z dna nurek wykonał pierwszą z kilku prób przepłukania pętli rebreathera świeżym diluentem, korzystając z ręcznego zaworu. Słyszalny przepływ tego gazu przez zawór nadciśnieniowy w worku oddechowym wskazywał na to, że z powodzeniem zastąpiono gaz w pętli świeżą mieszanką, ale duszność nie ustąpiła. Mniej więcej 3 minuty po pozostawieniu ciała nurek zaczął się krztusić przy wydechu i około 1 minuty później, w 21. minucie nurkowania, nurek przestał poruszać się i oddychać”.

Kiedy zespół odczytał napis na płytce Dona: „Dave nie wróci”, przygoda raptem się skończyła. Theo ciągle ma w uszach krzyk do tej pory jowialnego Andriesa van Zyla: „Chcę, żeby te trupy zniknęły z mojej farmy. Mają zniknąć!”.

Trzy dni później ciało Dave’a Shawa i bezgłowe szczątki Deona Dreyera wypłynęły na powierzchnię po tym, jak Peter Herbst i nurkowie policyjni wyciągnęli opustówkę. Nurkowanie Dave’a było niepotrzebne. Wystarczyła linka prowadząca od opustówki do ciała, zamocowana przez Dave’a Shawa w 2004 roku. Dreyer nie miał na ręku żadnego łańcuszka z nazwiskiem, nie było żadnego zęba, który można byłoby porównać z kartą stomatologiczną, było jednak ciało i Theo mógł w końcu zamknąć dochodzenie, a rodzina Dreyera zakończyć okres żałoby. Gdzieś w głębi serca mieli nadzieję, że może — może! — Deon przeżył. Dla Theo była to osobista tragedia. Na przestrzeni lat wydobył z wody ponad 500 ciał, ale teraz zginął człowiek, z którym jeszcze niedawno rozmawiał.

Dave Shaw i Don nurkowali na rebreatherach. Chcieli udowodnić, że rebreathery mają znaczącą przewagę nad urządzeniami obiegu otwartego. W należącym do Theo egzemplarzu książki Martyna Farra *The Darkness Beckons* pomny tej misji Dave napisał dedykację: „Cieszę się, że również mogę nurkować w tej jaskini, zabierając coraz doskonalsze rebreathery na nowe głębokości”.

Kiedy Dave Shaw zginął, przeprowadzałem właśnie suche nurkowanie w komorze dekompresyjnej z Craigiem Kahnem i Johanem Boshoffem, redaktorem magazynu „Divestyle”. Kilka minut po naszym wyjściu z komory Craig dostał

telefon od żony, doktor Hermie Britz, będącej lekarzem nurkowym pracującym dla organizacji Divers Alert Network (DAN) w Pretorii. Nie byliśmy zaskoczeni. Właściwie spodziewaliśmy się takiego rozwoju wypadków i Dave również powinien był się go spodziewać. Kiedy po raz pierwszy dotarł na głębokość 270 metrów, był tak znarkotyzowany, że nie pamiętał dokładnie, gdzie przywiązał linę. Gdyby zapamiętał, cała operacja wydobywania ciała sprowadziłaby się do wyciągnięcia liny z wody. Cienka z pozoru linka wytrzymała nie tylko ciężar ciała Deona Dreyera, ale niestety także ciężar ciała Dave’a Shawa. Zarówno Don, jak i Dave nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo narkoza potrafi wpłynąć na ludzkie zachowanie. Pod ciśnieniem 28 atmosfer zadanie tak proste jak przecięcie cienkiej linki może stać się niewykonalne. Skumulowana toksyczność wszystkich wykorzystywanych mieszanek gazów oraz wpływ argonu, helu, azotu i tlenu przeszły ich wyobrażenia. Sarkastycznie brzmi w tej sytuacji credo centrum nurkowego Dona i Andre Shirleyów: „Nasz gaz: zawsze trimix lub nitrox — nigdy powietrze”. Jak można być przygotowanym na głębokie nurkowanie techniczne, nie doświadczwszy nigdy przedtem objawów ostrej narkozy azotowej występującej na dużej głębokości?

Ostra narkoza azotowa, zespół neurologiczny wysokich ciśnień (HPNS) i wychłodzenie organizmu spowodowane oddychaniem mieszanek bogatymi w hel wywarły wpływ również na organizm innego głębokiego nurka, Willa Goodmana z Wielkiej Brytanii. W marcu 2014 roku, korzystając z rebreathera o obiegu zamkniętym, Will Goodman zanurkował głębiej niż Krzysztof Starnawski. „Komputer X1 na powrót się uruchomił i zacząłem się wynurzać; było to najdłuższe 16 minut w moim życiu — napisał Goodman, który podczas wyjścia z 290 metrów nie był w stanie przełączyć gazów ani skontaktować się ze swoimi nurkami zabezpieczającymi. — Ręce mi się trzęsły i temperatura ciała szybko spadała, ale zachowałem spokój i skupiłem się na prędkości wynurzania się i częstotliwości oddechów. Na głębokości 240 metrów inflator skrzydła zaczął przerywać. Kiedy dotarłem do zaplanowanego głębokiego przystanku dekompresyjnego na głębokości 180 metrów, zdałem sobie sprawę, że po prostu nie uda mi się przełączyć na inną mieszankę; utraciłem resztki sprawności manualnej i cały zacząłem się trząść pod wpływem oddziałujących na moje ciało gazów. Kiedy dotarłem na głębokość 150 metrów, wstrząsały mną niekontrolowane dreszcze. Przeprowadziłem trwający minutę przystanek dekompresyjny, wiedząc, że już wkrótce będę w bezpiecznych rękach. Miałem zapalić latarkę i poświecić w górę, wzdłuż liny, w kierunku Simona i Jeffa, co sygnalizowałoby, że u mnie wszystko w porządku, ale po prostu nie mogłem”.

Sensacyjna wiadomość o kolejnej tragedii w Boesmansgat przyciągnęła uwagę prawie wszystkich agencji informacyjnych w RPA i na całym świecie. Gordon Hiles, który zrobił słynną wodoodporną obudowę na kamerę zabraną przez Shawa na dno, opowiedział mi, że znany magazyn „Outside” zlecił Timowi Zimmermannowi napisanie artykułu pod tytułem *Raising The Dead*. Potencjał dostrzegła też agencja literacka William Morris Agency, która wynajęła Phillipa Fincha do napisania książki *Mrok* (Mayfly, 2009). Spotkałem się z Phillipem w swoim domu w Johannesburgu w środku bardzo mroźnej zimy i zrelacjonowałem mu niektóre z moich wcześniejszych wypraw do Boesmansgat. Pojechał na farmę Shirleyów w Komati Springs, poleciał do Hongkongu, by spotkać się z Ann Shaw, wdową po Davie. Spotkał się również z córką Dave’a, która odwiedzała Gordona w Johannesburgu.

Mrok przesiąknięty jest niemal bezkrytycznym uwielbieniem dla Shawa, którego w żaden sposób nie podzielam. Aż trudno uwierzyć, że Phillip, podobnie jak Don Shirley, czuli się tak zobowiązani upamiętnić swojego nieżyjącego przyjaciela, że nie zdolali przyznać, iż to nurkowanie od początku było źle zaplanowane.

Telewizja BBC Channel 4 bardzo chciała ukończyć swój dokument na temat latimerii, a tymczasem jedyny dostępny materiał nakręcony pod wodą znajdował się w rękach biologa doktora Hansa Frickego. Najwyraźniej nie porozumieli się co do warunków jego wykorzystania, ponieważ na początku 2001 roku BBC skontaktowała się z Pieterem Venterem i obiecała sfinansować wyprawę do Zatoki Sodwany. Wcześniejsze nagranie zrobione przez Christa Serfonteina podczas feralnej wyprawy z poprzedniego roku nie było wystarczająco dobrej jakości, a do tego kamera przesunęła się w wodoszczelnej obudowie i kadr był częściowo zasłonięty. Pozyskanie sponsora, co zazwyczaj jest najtrudniejsze, pozwalało Pieterowi mieć nadzieję na zdobycie w końcu nagrania dobrej jakości.

Władze rezerwatu przyrodniczego Zatoki Sodwany były już zaniepokojone liczbą śmiertelnych wypadków nurkowych, do których doszło podczas poszukiwań latimerii. Uzyskanie zezwolenia na nurkowanie w rezerwacie miało się okazać niełatwe, a w gruncie rzeczy prawie niemożliwe.

Zespół Pietera stworzony w celu odnalezienia nieuchwytnych „czworonogów” składał się pierwotnie z ośmiu nurków, z których dwóch już nie żyło, ale propozycja złożona przez BBC była bardzo kusząca. Pieter musiał zdobyć zaufanie władz parku i zabezpieczyć stronę finansową przedsięwzięcia. Zostałem

zaproszony do zespołu i wybrany na kierownika nurkowania. Uznałem, że najważniejsze jest to, by wszyscy wrócili z każdego nurkowania w pełnym składzie — żywi! — i bez objawów choroby dekompresyjnej. Nagranie miało być dodatkową nagrodą o drugorzędym znaczeniu.

Miałem pewne wątpliwości, czy powinienem dołączyć do zespołu. Dwie wcześniejsze próby sfilmowania „czworonoga” zakończyły się katastrofą. Nie chciałem, by doszło do kolejnej tragedii, która obciążyłaby moją reputację. Ze względu na głębokość i silne prądy nurkowanie było bardzo wymagające, a ja nie chciałem, by zakończyło się nieszczęśliwie.

Opracowałem koncepcję przeprowadzenia tego rodzaju operacji, ale nie był to mój projekt i nie chciałem niczego narzucać reszcie zespołu. Doświadczenie podpowiadało mi, że powinienem wprowadzić pewne elementarne środki bezpieczeństwa, które mogłyby podważyć ustalone już w zespole zasady. Użeranie się z doświadczonymi nurkami i zmuszanie ich do porzucenia ulubionych kamizelek wypornościowych i automatów oddechowych oraz zmiany utrwalonych zwyczajów nie mieściło się w mojej definicji „miłych wakacji”. Zespół udzielił mi jednak wotum zaufania i zgodził się przestrzegać kilku podstawowych zasad. Wszyscy mieli mieć taki sam sprzęt. Wszyscy mieli używać identycznych mieszanek oddechowych i stosować takie same schematy dekompresji. Z dokładnością do najdrobniejszych szczegółów należało ustalić zasady korzystania z łodzi, procedury bezpieczeństwa i opiekę medyczną. Wreszcie zyskałem poczucie, że mamy plan, który nadaje się do wprowadzenia w życie.

„Po tym drugim wypadku śmiertelnym byliśmy w koszmarnych nastrojach — wspomina Pieter, którego żona ciągle pytała, dlaczego uparł się uprawiać sport, w którym co miesiąc ktoś ginie. — Najpierw sądziłem, że to normalne. Potem spotkałem Nuna i zdałem sobie sprawę, że w tym sporcie naprawdę można coś osiągnąć, nie zabijając się po drodze”.

Nie pracowałem już na uniwersytecie, ale nadal miałem pewne kontakty i wiedziałem, do kogo zadzwonić. Początkowo władze parku blokowały nasz pomysł, ale po tym, jak południowoafrykańskie media zaczęły wywierać naciski i jak ekipa BBC przeprowadziła wywiad z pracownikami parku, w końcu zgodzili się wydać zezwolenie na nasze nurkowanie. Przynajmniej wstępnie.

Szpica miała się składać z zespołu czterech pracujących na zmianę nurków głębokich. Podczas gdy dwóch przechodziło dekompresję, pozostała dwójka szukała latimerii. Czasy denne ustaliliśmy na poziomie 20 minut, a maksymalną głębokość na 120 metrów. Po dodaniu do tego dziesięciu dni nieprzerwanego nurkowania i bardzo silnych prądów sięgających 5 węzłów na godzinę można

otrzymać przepis na katastrofę. Na szczęście przy okazji tego projektu realizowanego w Zatoce Sodwany obyło się bez wypadków.

Moim celem nie były same latimerie, lecz pomyślne i bezpieczne ukończenie wyprawy. Niewielu znam ludzi, którzy chcieliby prowadzić zespół nurków sportowych w tak trudnych okolicznościach. Naszym pierwszym usprawnieniem dotychczasowych metod działania było ustawienie boi sygnalizacyjnej w miejscu, w którym szelf kontynentalny się urywał i gdzie w jaskiniach i pod nawisami skalnymi miały mieszkać ryby. Już przy pierwszym nurkowaniu szybko zeszliśmy na dół, w ciągu 2 minut dotarliśmy na głębokość 90 metrów, na skraj toni, i zaczęliśmy opuszczać się w bezdenną otchłań. Żadnych skuterów, tylko płetwy. Szukaliśmy przez 20 minut, później powrót na powierzchnię i wystrzelenie boi sygnalizacyjnej z 90 metrów, z płaskiego szelfu. Na początku naszej dekompresji do wody wskakiwało dwóch kolejnych nurków. Jeśli niczego nie znaleźliśmy, następne nurkowanie zaczynało się w punkcie, w którym przerwaliśmy poszukiwania. Każda para przebywała pod wodą 3,5 godziny. To długo. Po trzech kolejnych dniach nurkowania robiliśmy jednodniową przerwę, po czym podejmowaliśmy pracę, nurkując przez kolejne trzy dni.

Pod powierzchnią wody bujnie kwitło życie. Widzieliśmy niesamowite małe rybki, koralowce, rośliny. W oczach został mi obraz żarłacza czarnopłetwego; na zawsze zapamiętam rekiny ścigające nas na głębokość 120 metrów. Woda była czysta, widoczność sięgała 35 metrów, na dużej głębokości panowało chłodne 15 stopni Celsjusza. Na szczęście najdłuższa część dekompresji odbywała się w wodzie o temperaturze 26 stopni Celsjusza, gdzie dawał o sobie znać silny Prąd Mozambicki. Każdy nurek miał własną boję sygnalizacyjną (SMB), wystrzeliwaną wkrótce po dotarciu na platformę szelfu kontynentalnego. Kiedy obserwator na łodzi dostrzegał dwie boje, opuszczał między nimi dryfującą linę opustową. Opuszczeniu liny towarzyszyło zejście pod wodę dwóch nurków zabezpieczających. Nurkowie głębocy przechodzili następnie z SMB na opustówkę i dryfowali czasem nawet 20 kilometrów, zanim wynurzyli się na powierzchnię. Nietrudno sobie wyobrazić, co mogłoby się zdarzyć, gdyby ktoś nie wystrzelił boi i zgubił się na otwartym oceanie. Dlatego właśnie wszyscy nurkowie mieli po dwie boje.

Kilkakrotnie zdarzyło nam się otrzeć o śmierć. Doświadczył tego między innymi Pieter Venter: „Ukończyłem nurkowanie i przyczepiłem jedną z moich pustych butli stage do opustówki. Trzymaliśmy się prostej zasady: wszystko, czego potrzebujesz, trzymasz przy sobie, bo nigdy nie wiesz, co może się zdarzyć. I wtedy poczułem rosnące ciśnienie w uszach. Najwyraźniej szybko opadałem!

Spojrzałem w górę i zobaczyłem opadające zwoje liny, która odczepiła się od boi. Pieter Smith, który był moim nurkiem zabezpieczającym, próbował ją złapać, ale szybko poleciała na dół razem z butlą. Musieliśmy wystrzelić boję SMB i w taki sposób ukończyć dekompresję”.

Jednym z członków zespołu została Erna Smith, żona Pietera Smitha, pierwsza w RPA kobieta, która zdobyła certyfikat instruktora nurkowania technicznego. „Nurkowała na trimiksie. Była moją długoletnią przyjaciółką — wspomina Pieter Venter. — Kiedy zaczęliśmy kompletować zespół, naszym pierwszym przystankiem był Badgat, znany dziś pod nazwą Komati Springs, gdzie Don i Andre Shirley prowadzą centrum nurkowe Technical Diving Africa. Nazwa »Komati« pochodzi od pobliskiej rzeki. Dawne kopalnie azbestu zalano w 1985 roku i obecnie tworzą one otwarty akwen o głębokości 55 metrów oraz rozległy system zalanych korytarzy sięgających głębokości 186 metrów”.

Erna idealnie pasowała do zespołu. Kiedy zaczęliśmy oceniać kompetencje nurków na potrzeby wyprawy po latimerie, szybko stwierdziliśmy, że nawet nie trzeba oglądać tych ludzi podczas samego nurkowania — wystarczy usiąść i poprzyglądać się, jak każdy z nich przygotowuje sobie sprzęt. Naprawdę sporo można się w ten sposób dowiedzieć, bo każde dobre nurkowanie zaczyna się na powierzchni. W świecie nurkowania technicznego nie brakuje silnych osobowości, twardych facetów, osób patologicznie egotycznych, ale każdy macho w zespole powinien się trzymać planu, skoro plan ten został już uzgodniony. Osobiste upodobania należy odłożyć na bok, wszyscy powinni podzielać tę samą wizję. Erna rozumiała to doskonale.

Zdarzały się oczywiście wyjątki. Jeden z nurków z zespołu odmówił na przykład przeniesienia się z SMB na opustówkę. Powiedział, że nie czuje się z tym dobrze. Tym razem daliśmy spokój, bo nie był to jakiś poważny problem. Żyje i ma się dobrze, więc może miał rację.

Podczas pobytu w Komati Springs mieliśmy między innymi przećwiczyć wystrzeliwanie boi po prostym nurkowaniu na głębokość 50 metrów. Dekompresja w takim przypadku jest bardzo krótka, Erna wykonała w swoim życiu wiele takich nurkowań i naprawdę nie spodziewałem się żadnej tragedii. Kiedy już po odbyciu dekompresji wszyscy się wynurzyliśmy, bez żadnego widocznego powodu Erna dostała drgawek, po czym straciła przytomność. Momentalnie podjęliśmy reanimację, ale nie zdołaliśmy przywrócić jej do życia; zgon orzeczono oficjalnie godzinę później. Sekcja zwłok ujawniła, że Erna cierpiała na wadę serca określaną jako przetrwały otwór owalny (PFO); nie jest to wada w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo cecha ta występuje u około 30

procent populacji. Otwór ten znajduje się w przegrodzie międzyprzedsionkowej i w życiu płodowym umożliwia przepływ krwi z przedsionka prawego do lewego. Jeśli nie zarośnie całkowicie w pierwszym roku życia, a zastawka nie przylega ściśle, krew tętnicza może mieszać się z krwią żylną, a zawirowania blokują przepływ krwi, co może spowodować natychmiastowy zator, dający objawy podobne do udaru.

Natychmiast uznałem, że należy przebadać pod kątem PFO cały zespół, i okazało się, że cierpi na to jeszcze jeden jego członek — dotychczas mu się upiekło. Po przeprowadzonej z powodzeniem operacji serca Joseph Emmanuel dalej nurkował i pomagał mi nawet podczas bicia kolejnych rekordów. Od śmierci Erny wszyscy moi kursanci i członkowie zespołów musieli przechodzić badania pod kątem PFO.

Relacje łączące nas z Ezemvelo KwaZulu Natal Wildlife (KZN Wildlife), organizacją zarządzającą Parkiem Narodowym Zatoki Sodwany (Sodwana Bay National Park), zawsze były napięte. Częściowo ze względu na wcześniejsze wypadki śmiertelne w zatoce, ale głównie dlatego, że władzom parku trudno było sobie wyobrazić, iż nasza grupa nurków sportowych może osiągnąć coś, czego osiągnięcie zajęłoby formalnemu ośrodkowi badawczemu minimum dziesięć lat. Odczuwaliśmy również pośrednie naciski ze strony doktora Hansa Frickego, któremu nie udało się sprzedać do BBC swojego nagrania latimerii. Nasza obecność w Zatoce Sodwany groziła mu bezpowrotną utratą tej możliwości.

W pewnym momencie stosunki między nami a władzami parku stały się szczególnie napięte. „Pamiętam wściekłego Nuna na plaży po tym, jak jakiś urzędnik powiedział nam, że mamy natychmiast wyjechać” — wspomina Pieter Venter. W końcu KZN Wildlife pozwoliła nam nurkować, ale niejako w pustce prawnej, nie udzielając nam oficjalnego zezwolenia, o które wnioskowaliśmy.

Pierwszą rybę zobaczył Pieter Venter. W dwuosobowych zespołach jeden nurek filmował, a drugi namierzał kolejne ryby. Kiedy tylko Pieter ją dostrzegł, zamachał dłonią, by operator zbliżył się do wskazanego przez niego miejsca. Gdy latimeria jest sama, przyjmuje pozycję horyzontalną, a kiedy czuje się zagrożona, płynie pionowo głową w dół. Ta miała około 1,4 metra długości i zamieszkiwała niewielką jaskinię. Paradoksalnie Pieterowi wydawała się mniejsza. Widok „czworonoga” zawsze człowieka zadziwia i oszałamia. Naukowcy z Instytutu Ichtiologicznego im. J.L.B. Smitha (J.L.B. Smith Institute of Ichthyology; obecna nazwa to Południowoafrykański Instytut Bioróżnorodności Wodnej — South African Institute for Aquatic Biodiversity) byli zdumieni dostarczonym przez nas materiałem wideo. Zorganizowanie takich samych badań, jakie wykonaliśmy dla

nich w 2001 roku, zajęło instytutowi dziesięć lat. Dopiero w 2011 roku wykorzystali ROV zdolny funkcjonować na głębokości 120 metrów. Co zabawne, być może ze względu na ścisłą współpracę z doktorem Hansem Frickem, instytut nigdy nie opublikował informacji o naszych znaleziskach. Sam Fricke kilkakrotnie zanurzał się w swoim zanurzalnym pojeździe Jago w pobliżu East London. W 1990 roku nic nie znalazł. W 2002 roku, rok po wyprawie BBC, z pokładu Jago udało się nagrać 15 latimerii.

W końcu 19 maja oba zespoły — Gilbert Gunn i ja oraz Pieter Venter i Peter Timm — zobaczyły i sfilmowały latimerie; jednej udało mi się nawet dotknąć. Wyprawa potwierdziła obecność stałej kolonii latimerii wzdłuż wybrzeża RPA, w Zatoce Sodwany.

Pieter Venter nazwał trzy ryby sfilmowane w listopadzie 2000 roku Dennis (po Dennisie Hardingu), Erna (po Ernie Smith) i Grant (po Grancie Brockbanku, szyprie). Ryby zaobserwowane w maju 2001 roku nazwano Stobbs (po mieszkającym w Grahamstown Robinie Stobbsie, badaczu z JBL Institute przez wiele lat zaangażowanym w badania nad latimeriami) oraz Celia (po Celi Lowenstein, reżyserce dokumentu BBC Channel 4 *Coelacanth: The Fish That Time Forgot*).

Po wyprawie Channel 4 nie widziałem już nigdy latimerii. W Zatoce Sodwany nurkuje wielu nurków spodziewających się dostrzec tę nieuchwytną rybę. Niewielu ma tyle szczęścia co my. Wyprawa po latimerie była pamiętną ekspedycją i niezłym pretekstem, by powołać silny zespół głębokich nurków gotowych w imię nauki spędzić dziesięć dni na głębokich nurkowaniach.

Profesor Johnny van der Walt, świadek śmierci Rehana Bouwera, zginął 29 czerwca 2004 roku podczas nurkowania z rebreatherem na jednym z przystanków dekompresyjnych, nurkując z Peterem Timmem w Zatoce Sodwany. Miał nadzieję zobaczyć latimerie.



Z upolowaną kuszą lichią długopyską.

ROZDZIAŁ 4

MROCZNE MIEJSCA

Nurkowanie na dno Boesmansgat



dyby sonar nie wskazał 290 metrów, prawdopodobnie nie ugrzązłbym w mule na głębokości 282,6 metra. Przy ciśnieniu o wartości ponad 29 kilogramów na centymetr kwadratowy proces napełniania mojego pierwszego, a następnie drugiego worka wypornościowego okazał się bardzo czasochłonny. Aby skomplikować sprawy jeszcze bardziej, moja równoważna głębokość narkotyczna (END) wynosiła 64 metry (END jest miarą narkotyczności danej mieszanki oddechowej, takiej jak heliox czy trimix, na danej głębokości; określa głębokość, na której nurkowanie na powietrzu dałoby analogiczny efekt narkotyczny). Szare dno Boesmansgat pojawiło się w moim polu widzenia szybciej, niż się spodziewałem. Będąc już prawie na głębokości 300 metrów, nie miałem czasu, by skorygować swoją pływalność nadmuchianiem worka wypornościowego i spowolnić tempo schodzenia. Wylądowałem na czworakach, głęboko grzęznąc w warstwie mułu i osadu. Cały mój świat się zawalił.

Wszyscy uważają, że osiągnąłem głębokość 282,6 metra. *Księga rekordów Guinnessa* podaje tę liczbę przy rekordzie nurkowania w jaskini. W Wikipedii, a za nią na rozmaitych listach i w podręcznikach, figuruje wartość 282,6 metra jako maksymalna głębokość, na jaką mógł zejść człowiek w studni krasowej. Z mojej perspektywy było to jednak 339 metrów, ale niezależnie od tego, ile razy powtarzałbym tę liczbę, powszechnie przyjmuje się wartość o ponad 50 metrów niższą. Ludziom niezwiązanym z nurkowaniem po prostu trudno jest przyjąć do wiadomości, że z racji położenia jaskini Boesmansgat nurkowanie w niej wymaga zastosowania profilu bardziej podobnego do znacznie głębszego rekordowego nurkowania w morzu, które wykonałem 11 lat później. Wszystko przez to, że Boesmansgat leży na wysokości 1550 metrów n.p.m. Co prawda moje nurkowanie nie trwało aż tyle co 14-godzinna dekompresja Shecka przy zejściu na 264 metry w Mante w 1989 roku, ale i tak było wyczerpująco długie. Porównywalny wyczyn w morzu trwałby mniej więcej 3 godziny krócej i jego całkowity czas wyniósłby zatem nie 12, lecz 9 godzin.

Podczas nurkowania na 300 metrów, dotarłszy na głębokość około 220 metrów, wkracza się w strefę śmierci. Podobną do tej, którą przekraczają na wysokości 6000 metrów n.p.m. wspinacze spieszący zdobyć górę świata. Kiedy jednak wspinaczowi uda się tę strefę opuścić, jest już w miarę bezpieczny. Nurek dopiero wkracza w strefę największego zagrożenia. Po rozprawieniu się z narkozą i zespołem neurologicznym wysokich ciśnień (HPNS) jest narażony na powikłania przy dekompresji. Jego ostatnie 50 metrów przed obozem bazowym, czyli tam, gdzie wspinacz widzi już uśmiechnięte twarze kolegów, to miejsce śmiertelnych zagrożeń o wdzięcznych akronimach DCS i ICD. Jego strefa śmierci

rozciąga się w czasie i przestrzeni, sięgając co najmniej 48 godzin od momentu wypłynięcia na powierzchnię. W dniu, w którym Dave Shaw zginął w Boesmansgat na głębokości 270 metrów, Don Shirley zaczął doświadczać objawów urazu dekompresyjnego ucha środkowego dopiero na głębokości 50 metrów, na długo po rozpoczęciu wynurzania z 242 metrów. Mark Ellyatt podczas nurkowania na 260 metrów w wodach Morza Andamańskiego spotkał się z tym urazem 10 metrów płycej. Błędnik Bennetta odmówił posłuszeństwa jeszcze głębiej, bo na 66 metrach, a utrata równowagi, konwulsje i wymioty dręczyły go przez kolejne 8 godzin spędzonych w wodzie.

Wiedziałem, że dno Boesmansgat znajduje się na głębokości przekraczającej 263 metry osiągnięte przez Shecka Exleya w 1993 roku. Odczyty ze zdalnie sterowanego pojazdu do badań podwodnych oraz wskazania sonaru pozwoliły stwierdzić, że głębokość może sięgać 290 metrów. Kierowało mną pragnienie zdobycia tytułu pierwszego człowieka, który zszedł na prawdziwe dno tej studni krasowej. Sheck potwierdził możliwość osiągnięcia większej głębokości po swoim nurkowaniu, mówiąc, że dno „schodzi łagodnie z dół”. Wiedział, że słucham. Przyjąłem jego ocenę za pewnik, chociaż jego równoważna głębokość narkotyczna sięgała 85 metrów, podobnie jak w Mante.

Podczas wyprawy z 1993 roku mieliśmy do dyspozycji bardzo wyrafinowany sonar, ale umożliwiał on dokonywanie pomiaru jedynie średnicy jaskini, nie pozwalając ostatecznie ustalić jej głębokości. Moje pomiary głębokości wykonane spod sklepienia jaskini potwierdziły różnicę co najmniej 20 metrów pomiędzy punktem osiągniętym przez Exleya a punktem, do którego sam zamierzałem dotrzeć. Oznaczyliśmy pozycję na sklepieniu jaskini za pomocą plastikowej beczki i opuściliśmy z niej na dno linę opustową. Po stanowiącym rekord świata nurkowaniu beczka sygnalizacyjna została przesunięta w inne miejsce przez Lionela Brinka, a linę wyciągnięto, by ustalić dokładne pomiary.

Dwa miesiące przed śmiercią Shecka w El Zacatón, w lutym 1994 roku, przeprowadziłem uwieńczoną sukcesem próbę zejścia na głębokość 230 metrów. Z perspektywy ustanowionego rekordu świata trudno nie uznać tego nurkowania za przygotowanie do nurkowania na 290 metrów, które przeprowadziłem dwa lata później, ale w takich sytuacjach trudno przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Ja tego w każdym razie nie wiedziałem. Sheck zanurkował już na 264 metry w Mante w 1989 roku, a ja nie ośmielałem się nawet marzyć o pójściu w jego ślady. Chciałem po prostu nurkować i sam byłem ciekaw, dokąd mnie to zaprowadzi.

Sposób, w jaki przedstawia się sporty ekstremalne w telewizji, w radiu czy w prasie, skłania w końcu każdego telewidza, słuchacza czy czytelnika do

wyłoszenia komentarza w stylu: „on chyba zwariował”, „to samobójca”, „nawet jakby mi płacili szczerym złotem, to bym się na to nie zdecydował”. Zanim Felix Baumgartner przekroczył prędkość 1 macha podczas swojego skoku ze stratosfery, osiągając tym samym rekordową prędkość swobodnego lotu, wykonał tysiące skoków o systematycznie rosnącym poziomie trudności. To, co dla laika jest aktem brawury, jest zazwyczaj owocem bardzo starannego planowania i rezultatem wielu lat doświadczenia. Pobicie rekordu świata niekoniecznie mieści się w pojęciu „przygody”. Yvon Chouinard, amerykański wspinacz skałkowy i założyciel firmy odzieżowej Patagonia, powiedział kiedyś: „Moim zdaniem przygoda zaczyna się wtedy, kiedy wszystko zaczyna się sypać”. Nie bałem się przygód, ale szczerze wolałem ich unikać. Póki co systematycznie schodziłem na coraz większą głębokość, zdobywając cenne doświadczenie.

Kiedy jednak po zakończeniu nurkowania wynurzyłem się na powierzchnię, czułem się tak, jakbym wytrzymał na ringu boksterskim 15 rund i stoczył ostatecznie przegraną walkę. Zamierzałem zejść na głębokość 220 metrów, tymczasem zszedłem na 230. Czy było to zaplanowane? Nie, nie było, próbowałem po prostu dostrzec dno. Zazwyczaj trzymam się zaplanowanej głębokości nurkowania, ale plan przewidywał ewentualność przekroczenia zakładanej głębokości o 5 procent (co równało się głębokości 231 metrów). Dna nie zobaczyłem i tak. Znajdowałem się 34 metry powyżej miejsca, w którym Sheck Exley był rok wcześniej. Mój czas denny wyniósł 10 minut i był całkowicie zgodny z planem. Jeśli chodzi o czas, mam zazwyczaj w zapasie przynajmniej minutę, ale też zawsze staram się rozpocząć wynurzenie przynajmniej minutę wcześniej. Całkowity czas nurkowania wyniósł 6 godzin i 31 minut.

Znajoma nurek, Verna van Schaik, wspomina: „Gdy Nuno wyszedł z wody, jego stan nie pogorszył się znacząco i wydawało się, że jego wyczerpanie jest wynikiem przede wszystkim głodu i pragnienia po wielu godzinach spędzonych na podwodnej dekompresji. Dziś wydaje się oczywiste, że jeśli spędzasz cały dzień pod wodą, poddając swoje ciało ekstremalnym warunkom występującym na dużym głębokościach, to musisz jeść i pić, by utrzymać energię na odpowiednim poziomie. W tamtych czasach tylko dwóch ludzi na świecie przeprowadzało tak głębokie i długotrwałe nurkowania. Plany głębokiego nurkowania nie obejmowały po prostu harmonogramu nawadniania organizmu, nie mówiąc już o jedzeniu”.

Było to moje drugie głębokie nurkowanie obliczone za pomocą programu Dr. X, opracowanego przez Shecka na podstawie algorytmu Bühlmanna. Przed wyjazdem Shecka rok wcześniej wymieniałem jeden z moich zegarków Casio na kopię

programu. Wyglądało na to, że program się sprawdza. Nadal żyłem.

We wrześniu 1994 roku, pięć miesięcy po śmiertelnym wypadku Shecka Exleya na głębokości 278 metrów, do którego doszło podczas jego próby osiągnięcia magicznych 300 metrów, nasz zespół ponownie znalazł się w Boesmansgat. Plan przewidywał nurkowanie na 250 metrów. Po 9 godzinach i 21 minutach nurkowania osiągnąłem faktyczną głębokość 252 metrów. Nurkowanie przebiegło niesamowicie gładko i po wyjściu na powierzchnię czułem się doskonale, prawie jak po zwykłym nurkowaniu z kursantami w Miracle Waters. Zobaczyłem swoją ówczesną żonę, Liz, oraz Craiga Kahna, Vernę van Schaik, Craiga Newhama, Theo van Eedena i Iana Riphagena; wszyscy śmiali się i wiwatowali. Czegoś mi jednak brakowało. Jakby ktoś wyłączył dźwięk. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie doszło do tego na powierzchni, lecz znacznie wcześniej. Kiedy przeprowadzałem dekompresję na 12 metrach, irytujący dźwięk unoszących się ku powierzchni bąbelków nagle zniknął. Raptownie zapadła cisza. Cudownie, pomyślałem. Byłem naprawdę szczęśliwy. Świat nagle umilkł. Znalazłem się w świecie ciszy.

Tak naprawdę byłem głuchy jak pień. Nie wiedziałem dlaczego, ale zamierzałem się tego dowiedzieć. Nie miałem pojęcia, że głębokie nurkowanie może doprowadzić do głuchoty bez żadnych innych objawów towarzyszących. Zespół spędził kilka godzin nad brzegiem wody, podczas gdy ja oddychałem czystym tlenem i zastanawiałem się nad tym, jak zmieni się moje życie. Całkowita głuchota ograniczała mi w zasadzie do zera możliwość dalszego nurkowania, nie mówiąc już o kontynuowaniu kariery zawodowej. Nie potrafiłem sobie wyobrazić życia bez nurkowania. Nie potrafiłem sobie również wyobrazić, jak miałbym pracować dalej jako inżynier. W perspektywie miałem naukę języka migowego i pogodzenie się ze świadomością, że nigdy więcej nie usłyszę głosów mojej żony i dzieci. Rozgrywkom piłkarskim w telewizji już nigdy nie miały towarzyszyć okrzyki kibiców ani słowa komentatora. Wyglądało na to, że nadal będę mógł prowadzić swoje bmw, ale będę musiał pogodzić się z tym, że już nie usłyszę jego silnika. Dalsze życie miało ode mnie wymagać większej czujności i nauki polegania na innych zmysłach.

Oczywiście zobaczyłem nagle wyraźnie bohaterów wszystkich koszmarnych historii spychanych zazwyczaj do podświadomości. Mojego przyjaciela, który po nurkowaniu na 140 metrów, wkrótce po wyjściu z wody, stracił poczucie

równowagi i nigdy nie odzyskał pełnej sprawności. Nurka ustanawiającego rekordy świata, Jochena Hasenmayera, który doświadczył barotraumy kręgosłupa i uległ trwałemu paraliżowi po przeprowadzeniu nurkowania na 70 metrów. Davida Wildera — opisanego przez swojego przyjaciela Richarda L. Pyle'a w książce *Confessions of a Mortal Diver: Learning the Hard Way* — który został unieruchomiony na resztę życia po nurkowaniu po rybki akwariowe w Palau.

Wiedziałem, że dopadła mnie jakaś rzadka forma choroby ciśnieniowej. Poprosiłem Craiga Newhama, żeby zawiózł mnie do Pretorii, do najbliższej komory dekompresyjnej. Razem ze mną pojechała butla z tlenem i automat. Kiedy teraz o tym myślę, trudno mi pozbyć się wrażenia, że mieliśmy sporo szczęścia, iż w ogóle dojechaliśmy tam żywi. Jechaliśmy 5 godzin, rzadko otwierając okna. Przez prawie cały ten czas (dopóki nie skończył się gaz w butli) oddychałem czystym tlenem, wydychając go z niewielką, może 4-procentową domieszką dwutlenku węgla do kabiny jadącego samochodu. Naprawdę niewiele trzeba, żeby w takich warunkach doszło do eksplozji i pożaru, który mógłby się skończyć naszą śmiercią.

Kiedy dotarliśmy do Pretorii, usłyszałem, że doktor Frans Cronje z organizacji DAN wyjechał do Johannesburga na coroczne pokazy nurkowe. Na pokazy zabrał mnie mój syn, Nuno Junior, nie byłem bowiem gotów zawieźć się sam. Potężne nagłośnienie towarzyszące imprezie potwierdziło, że naprawdę nic nie słyszę, gdyż rozpoznawałem jedynie wątle, niewyraźne bzyczenie w tle. „Muszę zostać poddany leczeniu w komorze” — powiedziałem doktorowi Cronje. „Teraz?” — zapytał. „Tak, bardzo proszę!”. Zgodził się i pojechaliśmy bezpośrednio do komory, gdzie przeprowadziliśmy trwające 285 minut leczenie zgodne z tabelą 6 amerykańskiej marynarki wojennej. Noc spędziłem pod obserwacją w domu doktora, znajdującym się w pobliżu komory, czytając do poduszki książkę profesora Bühlmanna *Decompression: Decompression Sickness*. Następnego ranka bez wahania powtórzyłem sesję w komorze. Nie zastanawiałem się, dlaczego dopadł mnie DCS, ale raczej jakiego rodzaju urazu dekompresyjnego doznałem. Bühlmann twierdził: „Jeśli przedziały tkankowe 10, 11 i 12 modelu ZHL-16 nie zostaną poddane wystarczającej dekompresji, mogą wystąpić objawy urazu ciśnieniowego ucha wewnętrznego. Możliwe objawy to między innymi utrata słuchu, utrata równowagi, brzęczenie w uszach, zawroty głowy, nudności i wymioty; zazwyczaj występuje kilka objawów łącznie”. Don Shirley, który zanurkował na 240 metrów, próbując ocalić Dave'a Shawa, czytał pewnie ten sam ustęp. W jego przypadku wystąpiły prawie wszystkie objawy. Całkowicie

utracił poczucie równowagi, w efekcie czego obracał się w kółko i wymiotował, a do tego DCS uszkodził mu lewą stronę mózgu. Miałem znacznie więcej szczęścia. Wyjawszy uszkodzenie słuchu, byłem w całkiem niezłej formie.

Aby odzyskać sprawność, przeszedłem łącznie dziesięć sesji w komorze i terapię kortykosteroidami i kortyzonem. Z czasem wydobrzałem, ale minęło dobre kilka miesięcy, zanim całkowicie odzyskałem słuch (w zasadzie prawie całkowicie, bo nadal nie słyszę w lewym uchu bardzo wysokich dźwięków). Odzyskałem słuch w każdym razie na tyle, że w Instytucie Medycyny Lotniczej w Pretorii, w którym przechodziłem leczenie w komorze, zdałem testy słuchu, którym poddawani są piloci myśliwców.

Sześć tygodni później wykonałem pierwsze próbne nurkowanie. Kolejne sześć tygodni później zacząłem stopniowo schodzić coraz głębiej, starając się zachować większą ostrożność. Ten wypadek nauczył mnie większego respektu dla mieszanek gazów oddechowych. Z helem nie ma żartów — wymaga ścisłej dyscypliny i nie wybacza błędów. Musisz zachować znacznie większą staranność na etapie planowania i być przygotowanym na dużo, dużo większe ryzyko. Zacząłem surowiej traktować ludzi i procedury. Zdałem sobie również sprawę, że wielu rzeczy po prostu nie wiemy. Kiedy dochodzi do zatrzymania akcji serca, to zabierają cię do szpitala i wykonują pomostowanie tętnic wieńcowych. Obecnie jest to operacja niemal rutynowa, ponieważ od lat 60. została przeprowadzona tysiące razy. Głębokie nurkowanie i choroba dekompresyjna to zupełnie co innego. Niewiele osób nurkuje na głębokość 200 metrów i nie wszystkie doznają urazu ciśnieniowego ucha wewnętrznego.

Po dwóch latach rekonwalescencji zacząłem wracać do poważnego głębokiego nurkowania. Nadal byłem jednak bardzo ostrożny, gdy chodziło o nurkowanie na głębokość przekraczającą 150 metrów. Wsłuchiwałem się w swoje ciało, ćwiczyłem na siłowni i czekałem z niepokojem, kiedy da o sobie znać kolejny uraz dekompresyjny. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Wykonałem wszystkie możliwe badania mózgu i innych organów. Wygląda na to, że znów jestem w stu procentach sprawny.

W 1996 roku zespół nurkowy liczył tylko siedmiu członków. W skład zgranej grupy weszli: Elizabeth Gomes, Craig Kahn, Lionel Brink, Joseph Emmanuel, Theo van Eeden, Sean French i ja. Jak na nurkowanie na głębokość prawie 300 metrów, był to niewielki zespół. Niewielką liczebność zespołu uzasadniało

między innymi to, że obszar wokół jeziora w zapadlisku Boesmansgat jest dość ograniczony. Ponad krawędzią zapadliska jest jednak mnóstwo miejsca i tam właśnie zazwyczaj umieszcza się cały ciężki sprzęt. Dave Shaw podczas swojego nurkowania miał do dyspozycji pełnowymiarową, wieloosobową komorę dekompresyjną, która była w stanie zasymulować zanurzenie nurka do głębokości 100 metrów. My natomiast mieliśmy jedynie niewielką, przenośną jednostkę dla jednego nurka, zdolną zasymulować warunki panujące na głębokości 18 metrów. Poza zespołem nurkowym towarzyszyli nam również Peter i Stefania Lamberti z MNET oraz ekipa filmowa z SABC TV.

Nurkowanie w jaskini ma zupełnie inną dynamikę niż nurkowanie w morzu. Środowisko jest znacznie bardziej ograniczone i raczej mało prawdopodobne jest, by jaskinia — w przeciwieństwie do morza — okazała się niemal bezdenna. Nie występują fale ani sztormy, które mogłyby uniemożliwić nurkowanie; mogą występować prądy, ale nie dorównują one zazwyczaj prądom morskim. Podjęta przez polskiego nurka Marcina Chochorowskiego próba bicia rekordu, o której usłyszałem we wrześniu 2006 roku, spełzała na niczym ze względu na silny prąd w miejscu zwanym The Bells, w pobliżu egipskiego Dahabu; Chochorowski chciał zejść na głębokość 220 metrów. Mnie również wzburzone morze podczas moich rekordowych nurkowań w 2004 i 2005 roku wykonanych w Egipcie nie ułatwiło zadania. Z drugiej strony nie należy nie doceniać jaskini Boesmansgat. Jest zimna: przez cały rok temperatura wody wynosi około 16 stopni, a na dnie jest jeszcze niższa. Boesmansgat jest ogromna i budzi grozę. Nurkowanie w 1996 roku przeprowadzaliśmy ze świadomością, że zginęło w niej już dwóch nurków: Deon Dreyer i Eben Leyden.

Nasza wyprawa miała dwa cele: zanurkować na największą osiągalną w tej jaskini głębokość i znaleźć ciało Deona Dreyera. Nurkowałem nie dla przyjemności, lecz dla samego nurkowania. Nikomu nie sprawia przyjemności doświadczanie objawów zespołu neurologicznego wysokich ciśnień (HPNS) ani marznięcie w zimnej wodzie. Nie ma nic przyjemnego w niekontrolowanych drgawkach ani zagrożeniu poważną chorobą dekompresyjną. Podczas tego samego nurkowania w El Zacatón, w trakcie którego zginął Sheck, Jim Bowden zszedł na głębokość 281,9 metra na wysokości 50 metrów n.p.m. (skorygowana głębokość wyniosła zatem 284 metry). Rekord Jima został uznany przez *Księżę rekordów Guinnessa*. Aby poprawić rekord Jima, musiałem zejść jeszcze głębiej. Boesmansgat, o potwierdzonej pomiarami sonaru głębokości 290 metrów, idealnie się do tego nadawała.

Niektóre z rekordów odnotowanych w *Księdze rekordów Guinnessa* są

zdumiewające lub zabawne. Z pewnością żadnego z owych wyczynów nie było łatwo dokonać, ale najdłuższy pocałunek jest jednak prawdopodobnie przyjemniejszy niż zejście na 282,6 metra w jaskini. Ustanowienie rekordu wymaga determinacji. W moim przypadku musiałem się przekonać, że mogę to zrobić. Znalezienie się w tej samej księdze co kobieta o największych piersiach (obwód biustu na poziomie brodawek: 177,8 centymetra) i kobieta z największą liczbą kolczyków w ciele (łącznie 9000 kolczyków i kolekcja ta cały czas się powiększa) jest zdecydowanie dość dziwnym uczuciem. Z drugiej strony znalazłem się w tej samej księdze co Neil Armstrong, pierwszy człowiek, który przespacerował się po powierzchni Księżyca, i Chuck Yeager, pierwszy pilot oblatywacz, który przekroczył prędkość dźwięku. Wykonanie najgłębszych nurkowań w jaskini i w morzu postawiło mnie w jednym rzędzie z tymi wybitnymi postaciami. Ludzkość nieodmiennie dążyć będzie do eksploracji nieznanego i przesuwania granic poznania.

Nurkowaniem interesuje się mnóstwo ludzi. Mówią: „No dobra, nurkuję na 40 metrów, ale jest taki facet, który nurkuje znacznie głębiej”. To ci sami ludzie, którzy mają motory i chcą zobaczyć, jak szybko potrafią pojechać ich maszyny w MotoGP. I może — może! — taki, który zobaczy to jeszcze jako dzieciak, zbuduje kiedyś coś, co mknie szybciej, wznosi się wyżej, pozwala zejść głębiej. Wszystko, co widzimy wokół siebie — sklepy, drogi, domy — da się udoskonalić. I zostanie to udoskonalone. I nawet mój rekord zostanie kiedyś poprawiony — czy mi się to podoba, czy nie.

Księga rekordów Guinnessa ma niesłychanie rzetelne procedury sprawdzające, czy rzeczywiście doszło do ustanowienia nowego rekordu — robią to w końcu od 1955 roku. Wymagają niezależnych świadków, fizycznych dowodów i czasu na potwierdzenie faktycznego ustanowienia rekordu. Nie można się tak po prostu pewnego ranka obudzić i powiedzieć: „A może byśmy tak ustanowili nowy rekord? Jaki jest obecny rekord? 320 metrów głębokości? Super, zanurkuję na 330 metrów”. Wymagany jest dowód i nie wystarczą zeznania przyjaciół. Rekordy ustanowione przez takich ludzi jak Jim Bowden i John Bennett zostały potwierdzone w *Księdze rekordów Guinnessa*, podobnie jak rekordy Verny van Schaik i mój własny.

Nurkowania w Boesmansgat są unikalne ze względu na dużą wysokość nad poziomem morza, na jakiej położona jest ta jaskinia. W 1996 roku nie istniały tablice dekompresyjne ani programy pozwalające oszacować dekompresję niezbędną podczas głębokiego nurkowania na wysokości 1550 metrów n.p.m. Nie było żadnych algorytmów pozwalających zaplanować nurkowanie na głębokość

339 metrów (głębokość nurkowania skorygowana do poziomu morza). Nawet Dr. X, program Exleya, nie potrafił wyliczyć profilu dekompresji.

Potrzebowaliśmy nowego oprogramowania. Program Tricomp został napisany w 1995 roku przez jednego z moich nurkujących studentów na bazie algorytmów Bühlmanna. Larry Holding, inżynier elektryk, miał ograniczoną wiedzę na temat nurkowania, ale dostarczyłem mu wszystkich niezbędnych danych i warunków brzegowych. Jak każde oprogramowanie dostępne wówczas na rynku, Tricomp obliczał harmonogramy dekompresji, ale tym, co różniło go od późniejszych programów, była głębokość pierwszego przystanku dekompresyjnego. Dopiero w 1997 roku na rynku pojawiło się powszechnie dostępne oprogramowanie dekompresyjne Z-Planner, które ze względów bezpieczeństwa proponowało wprowadzenie głębokich przystanków dekompresyjnych. Nasza aplikacja nie obliczała głębokich przystanków dekompresyjnych, ale miała funkcje pozwalające zwiększyć bezpieczeństwo, co w efekcie sprowadzało się właśnie do ustalenia głębokich przystanków dekompresyjnych.



GUINNESS[®] WORLD RECORDS

CERTIFICATE

On 23 August 1996
Nuno Gomes (South Africa)
scuba-dived to a world record
depth of 282.6 metres at the
Boesmangat Cave in South Africa

Keeper of the Records
GUINNESS WORLD RECORDS LTD

A handwritten signature in black ink, appearing to read 'John Newson', is written over the printed name of the Keeper of the Records.

THIS CERTIFICATE DOES NOT NECESSARILY BORROW AN ENTRY INTO ANY
PRODUCTS DISTRIBUTED OR OWNED BY GUINNESS WORLD RECORDS LTD

Podczas konferencji OZTek w Australii w 2000 roku spotkałem Richarda L. Pyle'a, który zaprezentował mi koncepcję głębokich przystanków bezpieczeństwa. Chociaż stojąca za nią teoria nie wydała mi się szczególnie przekonująca, zwiększała bezpieczeństwo i choćby z tego względu warta była włączenia do planu nurkowania. Pyle, amerykański ichtiolog, poszukiwał w Oceanie Spokojnym gatunków ryb występujących głównie na głębokości 60–120 metrów. Po niektórych nurkowaniach czuł się wyczerpany, inne natomiast znosił bardzo dobrze. Dobrze znosił nurkowania, podczas których robił przystanki, by spuścić powietrze z pęcherza pławnego schwytanej ryby; przystanki te wypadały głębiej niż normalne przystanki wynikające z tabel dekompresyjnych. Niebawem zaczął stosować krótki przystanek w połowie drogi ku powierzchni podczas wszystkich swoich nurkowań i nabrał silnego przekonania, że dzięki temu po nurkowaniu czuje się znacznie mniej zmęczony. Podzielił się tym doświadczeniem z nurkującymi kolegami i praktyka zatrzymywania się na głębokich przystankach bezpieczeństwa zaczęła się upowszechniać.

Warto pamiętać, że algorytm głębokich przystanków bezpieczeństwa Pyle'a nie został naukowo udowodniony; opiera się na spostrzeżeniu, że „to zdaje się działać”. Zazwyczaj głębokie przystanki bezpieczeństwa trwają 2 minuty. Pierwszy głęboki przystanek bezpieczeństwa wypada w połowie odległości między maksymalną osiągniętą głębokością i głębokością pierwszego pierwotnie obliczonego przystanku dekompresyjnego. Punkt znajdujący się w połowie drogi między tymi dwiema głębokościami będzie pierwszym głębokim przystankiem bezpieczeństwa. Wystarczy przeliczyć profil dekompresji, biorąc pod uwagę głęboki przystanek bezpieczeństwa. Jeśli odległość dzieląca pierwszy głęboki przystanek bezpieczeństwa i pierwszy wymagany przystanek dekompresyjny przekracza 10 metrów, dodaje się drugi głęboki przystanek bezpieczeństwa w połowie drogi między tymi dwoma punktami. Następnie powtarza się tę procedurę, dopóki nie zmniejszy się do 10 metrów odległość dzieląca nurka od pierwszego tradycyjnego przystanku dekompresyjnego.

Głębokie przystanki bezpieczeństwa wynikają z chęci zwiększenia bezpieczeństwa dowolnego wyliczonego profilu dekompresji. Z mojej perspektywy służą przede wszystkim do tego, by spowolnić wynurzanie się. Większość nurków wynurza się zdecydowanie za szybko nie tylko na głębokość swojego pierwszego przystanku dekompresyjnego, ale i pomiędzy przystankami. Model Bühlmanna zaleca wynurzanie w tempie 10 metrów na minutę, jednak nikt nie wynurza się tak wolno. W przypadku nurkowania na 300 metrów oznaczałoby to dramatyczne wydłużenie całkowitego czasu nurkowania. Model marynarki

wojennej USA, oparty na badaniach Haldane'a, zaleca wynurzenie w tempie 18 metrów na minutę, czyli prawie dwa razy szybciej, ale i tak nurkowie wynurzają się jeszcze szybciej. Jedyną metodą spowolnienia tych szybkich wyjść wydają się obowiązkowe głębokie przystanki bezpieczeństwa. I najwyraźniej to działa.

Kolejne źródło kontrowersji to czas oczekiwania między ostatnim nurkowaniem a spodziewanym lotem. W praktyce okres dzielący wyjście z wody od wejścia na pokład samolotu w wielu okolicznościach pozostawia się do uznania samym nurkom. Przed 1991 rokiem organizacja Divers Alert Network (DAN) ustaliła czas do lotu samolotem na 24 godziny; przyjęta wartość wynikała nie tyle z dowodów naukowych, ile z szacunków eksperckich. Dane, na których opierała się ta decyzja, obejmowały 31 przypadków, przy czym szacuje się, że w latach 1987–1990 po nurkowaniu latało samolotem około 2 milionów nurków. Na podstawie tych danych można oceniać, że choroba dekompresyjna występuje u 1–2 nurków na 100 tysięcy. W odpowiedzi na głosy środowiska związanego z nurkowaniem rekreacyjnym, obawiającego się, że tak długi okres oczekiwania na bezpieczne wejście na pokład samolotu skróci wyjazdy nurkowe i zmniejszy zyski właścicieli centrów nurkowych, czas do lotu samolotem został skrócony do 12 godzin. Aby potwierdzić i uzasadnić konieczność odczekania co najmniej 12 godzin do lotu samolotem, DAN przeprowadził w latach 1993–1999 badania na ludziach. Wyniki tych badań spowodowały wydłużenie czasu do lotu samolotem z 12 do 18 godzin w przypadku powtarzających się nurkowań rekreacyjnych. W przypadku nurkowań technicznych nawet 24 godziny okazały się niewystarczające — za minimum należy uznać 48 godzin.

Oprogramowanie takie jak Tricomp — opracowany przez Larry'ego Holdinga program dekompresyjny, z którego korzystałem podczas swoich rekordowych nurkowań — nie ostrzegają człowieka przed potencjalnymi komplikacjami, takimi jak bardzo wysokie ciśnienie parcjalne tlenu, bardzo wysoka równoważna głębokość narkotyczna lub czas pozostały do podróży samolotem. Program nie ma żadnych obiektywnych kryteriów, by pozwolić nurkowi zejść na głębokość 400 metrów na powietrzu. Tricomp ułatwił nam zwizualizowanie obszarów potencjalnie problemowych, pokazując wszystkie pułapy dekompresyjne. Przez cały czas pokazywał nam również minimalną bezpieczną głębokość tkanki wiodącej. Jest to tkanka, w której z największym prawdopodobieństwem wystąpią objawy choroby dekompresyjnej, gdyby nurek przekroczył najmniejszą osiągalną głębokość, czyli pułap dekompresyjny, czasem określany mianem sufitu. Program pozwalał zobaczyć całkowity profil nurkowania w kategoriach głębokości, czasu oraz tkanek wiodących w każdej fazie nurkowania.

Tricomp Holdinga nie był dostępny w sprzedaży, ponieważ zaspokajał potrzeby chyba zaledwie kilku nurków na świecie. Nie korzystał z niego żaden z członków mojego zespołu; podczas swoich nurkowań używali oni głównie komputerów nurkowych takich jak VR3. W każdym razie odnosi się to do moich głębokich nurków zabezpieczających: Iana, Craiga, Josepha i Pietera. „Nigdy nie prosiłem Nuna o ten program, bo go nie potrzebowałem. Kiedy potrzebny był mi jakiś specjalny profil nurkowania, prosiłem Nuna, który zawsze go dla mnie przygotowywał” — wyjaśnia Pieter Venter. Kiedy już przygotowałem najważniejszy profil nurkowania, skonsultowałem się z zespołem. Pokazałem im profil i poprosiłem o zadawanie pytań. Dlaczego ten gaz na tej głębokości, a nie inny? A co z kontrdyfuzją izobaryczną? Dlaczego nie przełączyć się na powietrze na mniejszej głębokości? Wolałem nie omawiać planu nurkowania z lekarzami nurkowymi, chyba że ogólnikowo; doktor Frans Cronje i doktor Hermie Britz nie byli tak naprawdę zaangażowani w opracowywanie profili nurkowania w Boesmansgat. Większość lekarzy nie nurkowała na trimiksie. Zazwyczaj mieli do czynienia z problemami występującymi po nurkowaniu i radzili sobie z nimi na bazie informacji dotyczących tego, ile czasu spędzono na konkretnej głębokości i jakie mieszanki gazów wykorzystywano.

Pieter miał rację, mówiąc, że nigdy nie prezentowałem profilu nurkowania jako „ostatecznego planu”. „Mówi, w jaki sposób chciałby to zrobić, i słucha propozycji. Jeśli uzna je za słuszne, odpowiednio zmienia plany” — twierdzi Pieter, który podobnie jak ja korzysta podczas większości swoich nurkowań z komputerów nurkowych. Kiedy korzysta się z programów komputerowych, większość nurkowań do głębokości 120 metrów jest względnie bezpieczna — dekompresja jest obliczana na podstawie rzeczywistego profilu nurkowania i odzwierciedla różnice między faktyczną a zaplanowaną głębokością oraz wszystkie zmiany gazów dokonane pod wodą. Zazwyczaj korzystam z komputera nurkowego VR3. Ma ustawiony konserwatyzm na poziomie 30–40 procent i uwzględnia głębokie przystanki bezpieczeństwa Pyle’a nałożone na model Bühlmanna.

Generalnie staram się zachęcać ludzi do samodzielnego myślenia. Większości instruktorów bliższa jest postawa „albo robisz, co ci mówię, albo droga wolna”. Oto bezpieczne, sprawdzone podejście, a jak ci się nie podoba, możesz sobie poszukać innego instruktora. Tymczasem człowiek może zginąć właśnie dlatego, że nie wie, dlaczego jest ono bezpieczne i sprawdzone. Wiedza jest zawsze lepiej przyswajana, kiedy człowiek posługuje się własną inteligencją do rozwiązania problemu. Dlatego właśnie najlepsi instruktorzy wolą zadawać pytania, a nie

bezpośrednio na nie odpowiadać. Co ważniejsze, pozwalają swoim kursantom popełniać błędy — najlepiej w bezpiecznych warunkach. W wymagającym, niewybaczającym błędów podwodnym świecie łatwo jest ulec obsesji kontroli — jest to po prostu wygodniejsze. Kursanci niewiele się jednak przy tym uczą.

Większość członków mojego zespołu podziela zasadniczo moje poglądy na konfigurację sprzętową. Odzwierciedla ona lokalne środowisko i lata głębokiego nurkowania. Nurkuję zazwyczaj z niezależnymi butlami, podobnie jak robiła to większość Anglików i Francuzów zanurzających się wiele lat przede mną w syfonach jaskiń. Nie mocuję ich natomiast z boku, tylko do płyty na plecach. W RPA niewiele jest syfonów, a większość jaskiń to studnie krasowe lub sztuczne kopalnie, w których korytarze są na tyle szerokie, że nurek swobodnie może przez nie przepłynąć z butlami na plecach. W Wetsgat montowałem nawet pod ziemią zestawy poczwórne, dla czystej przyjemności sprawdzenia, czy to w ogóle możliwe. Udało nam się wnieść zestaw do suchej części jaskini przez wąskie wejście, jedna butla po drugiej, i złożyć to do kupy przy świetle latarek. Po nurkowaniu rozłożyliśmy wszystko z powrotem i wynieśliśmy na zewnątrz. W pogoni za głębokością nie chodziło jedynie o faktyczne zejście, ale — może przede wszystkim — o eksperymenty z konfiguracją sprzętową. Zawsze skłaniałem się ku analizie tego, z czego ludzie korzystali wiele dekad wcześniej, starając się nie wymyślać na nowo koła. Zawsze starałem się zrozumieć, dlaczego dana część została umieszczona właśnie w tym, a nie w innym miejscu, i może jedynie odrobinę zmienić jej położenie zgodnie z osobistymi upodobaniami.

Larry Sim i Andre Vosloo, moi sponsorzy i właściciele firmy High Pressure Systems, zrobili dla mnie odwrócony niezależny zestaw dwubutlowy. Zawory znajdowały się na dole — w ten sposób mogłem korzystać z konfiguracji bocznej i bez trudu zamykać zawory. „Firma miała swoją siedzibę w Johannesburgu i zdarzało się, że Nuno wpadał do nas prawie co tydzień — wspomina Larry. — Pukał do drzwi i prosił, żebyśmy mu zrobili jakąś przejściówkę czy ośkę. Ciągłe coś nowego”. Przed 1995 rokiem RPA objęta była międzynarodowymi sankcjami i niektóre importowane części po prostu nie były dostępne. Larry i Andre robili te części dla mnie. „Naszym typowym środowiskiem było 300 barów. Kiedyś zrobiliśmy specjalny manifold i przetestowaliśmy go pod ciśnieniem 1500 barów. To, czego potrzebował Nuno, nie przekraczało naszych możliwości, przynajmniej w kategoriach ciśnienia” — mówi Larry. Jako dystrybutorzy Bauer Kompressoren zasponsorowali mi sprężarkę, z której korzystam do dziś. Dla tak niewielkiej firmy była to pokaźna inwestycja, a przede mną otworzyło to zupełnie nowe możliwości.

Kolejnym oprócz posiadania właściwego sprzętu i opracowania bezpiecznego czasu nurkowania problemem, który ujawnił się podczas nurkowania w 1996 roku, było ubezpieczenie nurkowe. Przy przekraczających głębokość 100 metrów nurkowaniach ubezpieczanych przez DAN wymagane jest wcześniejsze zatwierdzenie profilu nurkowania. W niektórych przypadkach konieczna jest też konsultacja certyfikowanego lekarza. Nurkowania nieprzekraczające 100 metrów — chyba że ciśnienie parcjalne tlenu przekracza 1,6 ATA — objęte są standardową polisą. W 1996 roku doktor Hermie Britz, lekarka DAN, samodzielnie podjęła decyzję i zwolniła mnie z wszelkich kosztów, które mógłbym ponieść podczas wyprawy lub po jej zakończeniu. Dziewięć lat później, po przeprowadzeniu drobiazgowego, kilkugodzinnego wywiadu, polisę zatwierdził doktor Adel Taher z egipskiego oddziału DAN. Tak naprawdę był to rodzaj testu mającego potwierdzić, że jestem wystarczająco kompetentny, by przeprowadzić takie nurkowanie. Obecnie plany nurkowania przesyła się do weryfikacji do siedziby DAN, a organizacja może wycofać swoje wsparcie ze względu na brak odpowiedniego doświadczenia nurka. Jeśli planujesz zejść na 300 metrów, a twoje ostatnie nurkowanie zostało wykonane na głębokość 200 metrów, prawdopodobnie nie zostaniesz ubezpieczony.

Wypełnione powietrzem 4-litrowe butle mocowane na piersi zabrały mnie na głębokość 70 metrów. Na tej głębokości przełączyłem się na jeden z moich dwóch gazów podróżnych znajdujących się w butlach mocowanych z boku. Butlę z powietrzem zostawiłem na opustówce. Na głębokości 160 metrów ponownie zmieniłem gazy, przełączając się na ostateczny gaz dennej z jednej z czterech zamontowanych na plecach butli, co zapewniło mi czynnik oddechowy na pozostałą część zejścia. Butle w poczwórnym zestawie — dwie 18-litrowe butle stalowe i dwie 14-litrowe butle aluminiowe — zostały połączone manifoldem. Theo w taki sposób połączył ten poczwórny zestaw, że tak naprawdę trzy butle były połączone manifoldem, a czwarta była od nich zupełnie niezależna. Wolałbym, żeby cały zestaw składał się z butli stalowych, ale w Boesmansgat tylko taki zestaw był dla nas dostępny. Co ciekawe, aluminiowe butle prawdopodobnie ocaliły mi życie. Miały znacznie lepszą pływalność niż stalowe, a na dnie miało się to okazać kluczowe.

Na głębokości 160 metrów było ciemno — jak to zawsze w jaskini. Nawet gdybym miał potężny reflektor Dive Rite wyprodukowany specjalnie na

nurkowanie Shecka na głębokość 263 metrów, nie zobaczyłbym ścian studni krasowej — na tej głębokości średnica jaskini bliska była 300 metrów. Niezależnie jednak od tego, jakie miałbym światło, nie było tu nic do oglądania. A trzeba przyznać, że według dzisiejszych standardów moje latarki były żałosne. Na kasku miałem zamontowane dwie latarki Sabrelite i dwie latarki Underwater Kinetics; maksymalny zasięg światła nie przekraczał 7 metrów. Nurkowanie przetrwały tylko latarki Sabrelite Pelicana, a korpusy latarek Underwater Kinetics zostały zmiażdżone ciśnieniem.

W 14. minucie nurkowania w moim polu widzenia pojawiło się dno. Przed oczami miałem księżycowy krajobraz pokryty szarym osadem, spod którego tu i ówdzie wystawały niewielkie skały. Lina była luźna i w mulistym osadzie dostrzegałem dziury, w które wpadły ciężarki. Była również niewielka półka, na którą musiałem dotrzeć, by znaleźć się w najgłębszym punkcie jaskini. Nie była zbyt daleko, zaledwie 5 metrów ode mnie. Jedyną metodą dostania się na nią było płynięcie przy jednoczesnym wybieraniu luzu z liny. Ponieważ miałem ujemną pływalność i nie miałem czasu dopompować skrzydeł, musiałem obrócić dłoń, zmieniając chwyt na linie, i szybko popłynąć, by trafić w miejsce znajdujące się mniej więcej 2 metry za półką, gdzie wylądowałem na czworakach.

A zatem spełnił się mój najgorszy koszmar. Podniosłem chmurę osadu na dnie bardzo głębokiej jaskini, mając luz na linie; znarkotyzowany i wstrząsany drgawkami wywołanymi oddychaniem helem klęczałem na czworakach. Moja równoważna głębokość narkotyczna (END) — biorąc pod uwagę tylko azot — wynosiła 64 metry. Ugrzęzłem w mule, połowa latarek nie działała, do powierzchni miałem 12 godzin i nie widziałem nic kompletnie. Nie widziałem dosłownie nic: ani instrumentów pomiarowych, ani inflatorów, ani butli zamocowanych przy boku, ani automatów oddechowych — kompletnie nic, więc wszystko musiałem robić na wyczucie. Najpierw obróciłem dłoń, kierując kciuki w górę. Zgodnie z początkowym planem miałem wylądować pewnie na stopach. Aby powrócić do pierwotnego planu, musiałem stanąć na nogi i się obrócić. Obrócić się w prawo, nie w lewo, ponieważ nadal trzymałem w ręku to, co nurkowie z Florydy nie bez przyczyny określają mianem „liny życia”. Zgubienie jej albo zaplątanie się w nią byłoby wyrokiem śmierci. Musiałem znaleźć wyjście z tej sytuacji i przede wszystkim rozpocząć wynurzenie. Musiałem się dostać do butli dekompresyjnych, znajdujących się na równoległej linie, ale znacznie wyżej. Próbowałem popłynąć w górę, ale nie pozwalał na to ciężar poczwórnego zestawu i butli podróżnych. Podjęty wysiłek wywołał zawroty głowy. Rozluźniłem się i zacząłem powoli dopompowywać skrzydła; na

dużej głębokości to bardzo czasochłonny proces. Dopóki nie uzyskałem wystarczającej pływalności, wkładałem dużo wysiłku w utrzymanie równowagi — nie chciałem przewrócić się na plecy i skończyć jak żuk na plaży.

Mój suchy skafander i oba skrzydła połączone były z poczwórnym zestawem oraz gazem dennym zawierającym hel. W przeciwieństwie do Dave'a Shawa i Shecka Exleya w ogóle nie używałem argonu. To gaz znacznie gęstszy od powietrza czy helu, a przy tym wysoce narkotyzujący, który teoretycznie może przeniknąć przez skórę i trafić do krwiobiegu. Eksperymenty z jajkiem w komorze wypełnionej argonem dowiodły, że gaz przenikał przez skorupkę jajka. Jeśli może przeniknąć przez skorupkę jajka, to bez wątpienia może przeniknąć przez skórę i do naczyń krwionośnych.

Miałem wrażenie, że czekam całą wieczność, aż pierwsze skrzydło zostanie w końcu maksymalnie wypełnione gazem, ale napompowanie jednego skrzydła najwyraźniej nie wystarczało. Czas było znaleźć drugie. Oba inflatory znajdowały się na moim lewym ramieniu — nurkowałem w takiej konfiguracji setki razy i teraz okazało się to bardzo przydatne. Gdybym zaczął się zastanawiać, co mam teraz zrobić, albo próbował wymacać inflatory, mogłoby mnie to kosztować życie. Zacząłem dopompowywać drugie skrzydło i nagle zacząłem się unosić znad mułu. Początkowo bardzo powoli, ale już po chwili wznosiłem się o wiele za szybko. Moje skrzydła nie miały górnych zaworów upustowych, więc musiałem unieść inflatory nad głowę i wypuścić gaz, by odzyskać kontrolę nad tempem wynurzania.

Dziś nadal oczyma duszy widzę wyraźnie wydarzenia, do których doszło na dnie Boesmansgat. Miałem 4 minuty, by dopłynąć do najgłębszego punktu, wylądować we właściwej pozycji, we właściwy sposób trzymając linę, nadmuchać oba skrzydła jedno po drugim i wydobyć się z mułu, nie zaplątując się w luźną linę. Wszystko to zrobiłem w kompletnych ciemnościach, wyłącznie na wyczucie. Było mi zimno i dotkliwie odczuwałem skutki narkozy azotowej (łączy wpływ narkotyczny wszystkich gazów był równoważny nurkowaniu na powietrzu na 100 metrów). Cały się trząsałem pod wpływem HPNS. Wiedziałem, że nawet jeśli uda mi się odbić od dna, to i tak mogę zginąć podczas dekompresji, nawet na śmiesznej głębokości 3 czy 6 metrów, na płytszych przystankach dekompresyjnych. Nadmuchiwana komora, którą mieliśmy w Boesmansgat, choć bardzo użyteczna, miała bardzo ograniczone możliwości. Pozwalała sprężyć mnie zaledwie do głębokości 18 metrów, nie mogła więc posłużyć do leczenia cięższych przypadków choroby dekompresyjnej. Dave Shaw spędził 9 ostatnich minut swojego życia na dnie Boesmansgat; jego END wynosiła zaledwie 39

metrów. Byłem tam przez 4 minuty, do tego 13 metrów głębiej. Moja END wynosiła 64 metry, co oznacza, że od śmierci dzieliło mnie prawdopodobnie jakieś 5 minut.

Dopiero po pokonaniu 15 metrów ku powierzchni wody wypłynąłem z chmury wzbitego osadu w czystą wodę. Znow coś widziałem. Nadal miałem linę w prawej dłoni, ale wynurzałem się o wiele za szybko, musiałem więc spowolnić wyjście. Moim celem było dotarcie na głębokość 160 metrów w 21. minucie nurkowania. Wyglądało na to, że to przeżyję. Wszystko wracało do względnej normy.

Przyszła kolej na drugą, trudniejszą część nurkowania: dekompresję. Na 120 metrach dostrzegłem Craiga Kahna, pierwszego nurka głębokiego zabezpieczenia. Nie wiedziałem, kto bardziej się cieszył: on czy ja. Pokazałem mu odwróconą literę T, co miało oznaczać, że sięgnąłem dna jaskini. Zapytał, czy widziałem ciało Deona Dreyera. Potrząsnąłem przecząco głową. Spędziliśmy razem 4 minuty, po czym Craig popłynął w górę, by przeprowadzić własną dekompresję. Kiedy dotarłem na głębokość 60 metrów, tuż przed przełączeniem się na powietrze założyłem neoprenowe rękawice grubości 7 milimetrów. Wiedziałem już wówczas, że zaraz doświadczę ostrej narkozy azotowej. Wiele nurków technicznych, podobnie jak ja, podpisuje się pod koncepcją możliwie szybkiego wypłukania z organizmu helu i zastąpienia go azotem. Podstawowa wynikająca z tego korzyść polega na skróceniu czasu dekompresji, a poza tym człowiek z powrotem zaczyna się rozgrzewać. Azot, jako gaz gęstszy od helu, nie przewodzi ciepła tak dobrze jak hel. Możliwym efektem ubocznym jest kontrdyfuzja izobaryczna (ICD) zachodząca w bardziej wrażliwych częściach ciała. Ruch w dwóch przeciwnych kierunkach dwóch gazów obojętnych, z których jeden (na przykład hel) wchodzi do obiegu, podczas gdy drugi (na przykład azot) go opuszcza, zachodzi w płucach, między pęcherzykami płucnymi, a krwią, oraz w innych organach, między pozostałymi tkankami i krwią. Szczególnie interesujący jest uraz dekompresyjny ucha wewnętrznego ze względu na spektakularne objawy, takie jak utrata równowagi i słuchu. Chociaż nie ma na to niezbitego dowodu, często ICD uznaje się za sprawcę urazów dekompresyjnych ucha wewnętrznego.

Również suchy skafander miałem wypełniony gazem dennym, więc hel otaczał mnie ze wszystkich stron. DAN cytuje za pozycją *Diving and Subaquatic Medicine* autorstwa doktora Carla Edmondsa i innych, że „DCS może być wywołany lub jego objawy mogą ulec zaostrzeniu w wyniku przełączenia się przez nurka oddychającego helioksem na powietrze. Chociaż trudno jest to

wyjaśnić mechanizmem kontrdyfuzji izobarycznej, przełączenie się może mieć wpływ na układ przedsionkowy, co wywołuje ryzyko wystąpienia DCS na dużej głębokości ze względu na możliwą kontrdyfuzję pomiędzy uchem środkowym i płynami ucha wewnętrznego”. Właśnie to przydarzyło mi się rok wcześniej, kiedy straciłem słuch. Dla Exleya, Bowdena i dla mnie ryzyko oddychania helem do pierwszego przełączenia się na EAN50 na 21 metrach było wyższe niż ryzyko ICD wynikające z przełączenia się z helu na powietrze. Powietrze jest powszechnie dostępne, więc nie ma potrzeby mieszania gazów. Pozwoliło mi nurkować i rozwiązywać problemy na większych głębokościach, w przeciwieństwie do trimiksu. Przełączałem się z helu na powietrze wielokrotnie.

Trzymałem więc linę obiema rękami, koncentrując się na zamianie. Pierwszy wdech powietrza i nagle zawęża się pole widzenia i pojawiają się zawroty głowy, a nawet uczucie obracania się. W 1993 roku Sheck nie przypiął swojej butli właściwie do liny i stracił ją tuż po przełączeniu się na powietrze. Narkoza powoli jednak mija i człowiek odzyskuje na powrót względnie normalne samopoczucie.

Później, na 60 metrach, dostrzegłem schodzącego w dół Josepha Emmanuela, który miał dla mnie ciepłe napoje i świeże źródła światła. Moje były już albo bliskie wyczerpania, albo zgniecione ciśnieniem. W przeciwieństwie do Craiga inni nurkowie zabezpieczający schodzili na powietrze i mogli wykonać w zasadzie dowolnie dużo zejść bez konieczności mieszania gazów czy szczególnego planowania. Kiedy wynurzyłem się na powierzchnię, byłem zmarznięty i zmęczony, ale sprawny. W stu procentach. Nawet usłyszałem gratulacje. Całkowity czas nurkowania wyniósł ostatecznie 12 godzin i 15 minut. Maraton. Czas dennej wyniósł 18 minut, chociaż czas spędzony dosłownie na dnie wyniósł 4 minuty. Ustanowiłem swój pierwszy rekord świata — najgłębsze nurkowanie jaskiniowe, a do tego na dużej wysokości.

Podczas tego nurkowania nie posługiwaliśmy się znacznikami. Nie było sensu przyczepiać znacznika do liny przymocowanej do beczki pod sklepieniem. Kiedy pojawił się Craig, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku, pokazałem mu komputer, na którym widniało niepozostawiające wątpliwości 918 stóp. W tamtym czasie szwajcarski UWATEC sprzedawał komputery i zegarki nurkowe. Amerykańska wersja komputera UWATEC była skalibrowana w stopach i po przekroczeniu granicy 1000 stóp resetowała się na 0. Model europejski był skalibrowany w metrach i odczytywał głębokość tylko do 100 metrów. Komputery nurkowe, podobnie jak sonary i zdalnie sterowane pojazdy do

przeprowadzania badań i prac pod wodą (ROV), wskazują często przybliżoną głębokość. Sonar wskazał głębokość 290 metrów, ROV pokazał 282 metry, a komputer UWATEC 279,9 metra. Którą z nich wybrać? Musieliśmy zmierzyć linę. Najpierw część od beczki do dna, którą później dodaliśmy do głębokości zanurzenia beczki, a następnie samą opustówkę bez luzu biegnącą pod kątem 7 stopni od dna do powierzchni przez szczelinę w sklepieniu. Dysponując wszystkimi tymi pomiarami, rzeczoznawca wykonał kilka obliczeń trygonometrycznych, których efektem była średnia głębokość wyliczona na 282,6 metra (927 stóp); maksymalną możliwą głębokość oszacowano na 283,19 metra (929,15 stopy). Była to głębokość nieco przekraczająca głębokość nurkowania Jima Bowdena, wykonanego na 925 stóp w El Zacatón w 1993 roku. Ogromną różnicę stanowiła jednak wysokość nad poziomem morza wynosząca 1550 metrów, w wyniku której równoważna głębokość wyniosła 339 metrów.

Chociaż media były obecne, wydarzenie to nie zostało szczególnie nagłośnione. Discovery Channel wyprodukował film dokumentalny, a SABC TV podała informację o nurkowaniu w wiadomościach. Kilka lat później mieli również opisać nurkowanie Dave'a Shawa. Ktoś zapytał: „No i co dalej?”. Odpowiedziałem: „Osiągnąłem granice swoich możliwości. Nie zrobię tego jeszcze raz”. Byłem zmarznięty i wyczerpany, wręcz wykończony. Zatruty tlenem. Przekonałem się na własnej skórze, dlaczego w języku niemieckim tlen to „Sauerstoff”, co w tłumaczeniu dosłownym oznacza „kwaśną substancję”. Tak właśnie smakuje tlen, kiedy oddychasz nim bez przerwy przez 5 godzin z okazjonalną przerwą na powietrze. Tego dnia w 1996 roku nastąpiło moje pierwsze spotkanie z naprawdę głębokim nurkowaniem. Zrozumiałem, czego wymaga przeprowadzenie dekompresji przy nurkowaniu na głębokość bliską 340 metrów.

Byłem szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy. Nie tylko zanurkowałem w najgłębsze miejsce trzeciej wówczas pod względem głębokości zalanej jaskini świata, ale również pobiłem rekord mojego mentora o 20 metrów. Jim Bowden, mój przyjaciel, nie był już taki szczęśliwy. Spotkaliśmy się osobiście w Australii podczas konferencji nurkowej OZTek w 2000 roku. Powiedział wówczas: „Jeśli naprawdę ustanowiłeś ten rekord, udowodnij to komisji *Księgi rekordów Guinnessa*”. Zrobiłem to. W 2002 roku moje nazwisko pojawiło się w księdze po raz pierwszy. Pobiłem rekord Jima Bowdena, ale przecież rekordzista pozostaje rekordzistą tylko tak długo, dopóki ktoś nie ustanowi nowego rekordu. W 2001 roku John Bennett został pierwszym człowiekiem na świecie, który zszedł na głębokość 300 metrów, i jego nazwisko pojawiło się w księdze w 2003 roku.

Ustanowił rekord głębokości nurkowania z akwalungiem w morzu.



Mój zespół w 2005 r.

ROZDZIAŁ 5

PRZYJACIELE

Z Leszkiem Czarneckim

w kotlinie Kalahari

Moja kariera nurkowa rozpoczęła się w 1977 roku w klubie podwodnym działającym przy Uniwersytecie Witwatersrand w Johannesburgu. Trzy lata później, w 1980 roku, zostałem instruktorem nurkowania w wodach otwartych. Musiało minąć kolejnych 12 lat, zanim w 1992 roku zostałem trenerem instruktorów Światowej Federacji Działalności Podwodnej (Confédération Mondiale des Activités Subaquatiques — CMAS). Była to naturalna droga rozwoju, wynikająca z coraz silniejszego zaangażowania w ten sport; nie goniłem za kolejnymi certyfikatami i uprawnieniami.

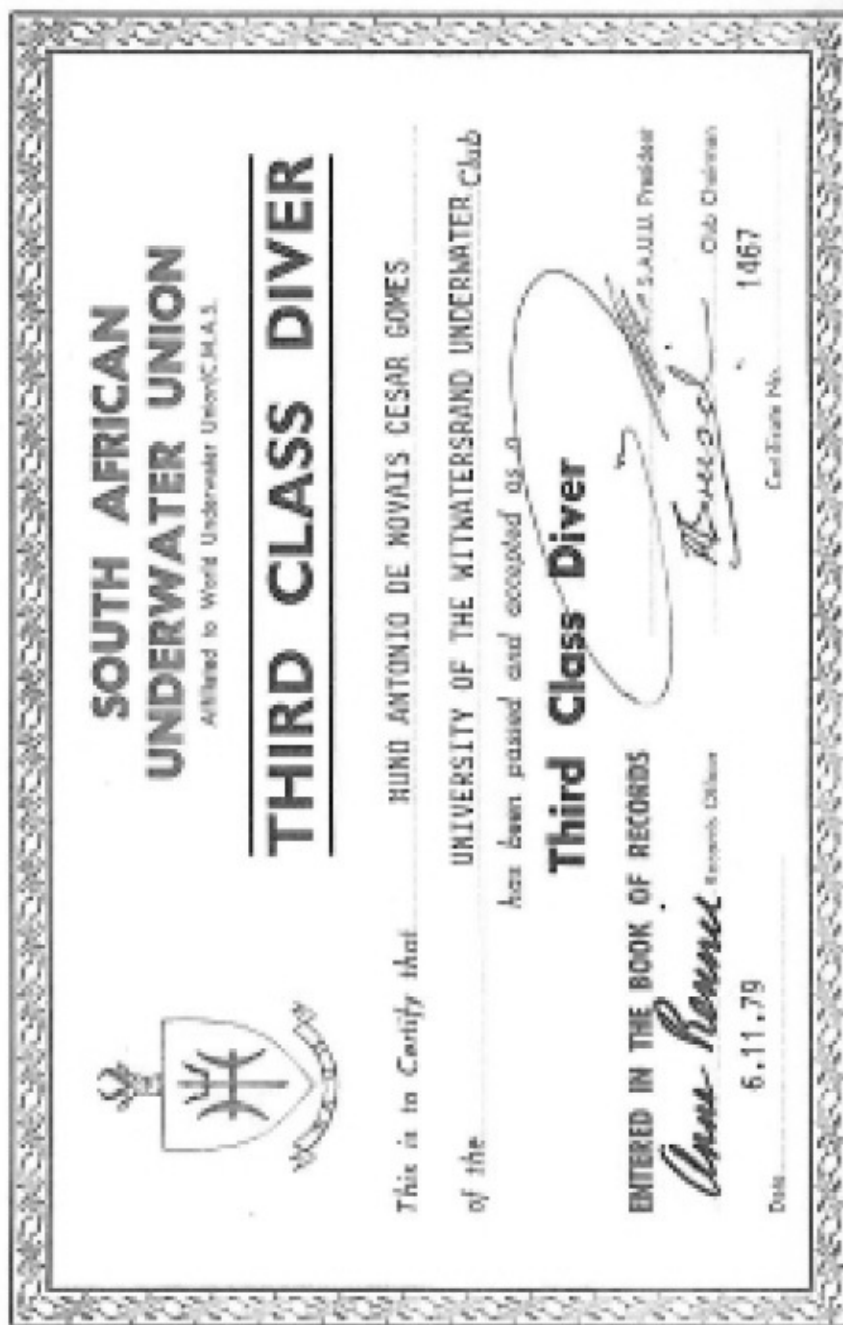
Lenné, z którą łączyła mnie wieloletnia relacja nawiązana tuż po rozpadzie mojego małżeństwa, wspomina: „Nie byłam nurkiem, kiedy poznałam Nuna w listopadzie 1999 roku na przyjęciu w Sandton, peryferyjnej dzielnicy Johannesburga. Po kilku tańcach i kilku drinkach wypłynął jednak temat nurkowania i Nuno powiedział mi, że ustanowił światowy rekord głębokości nurkowania. Od tego wieczoru zaczęliśmy się spotykać. Nie miałam pojęcia, czym jest głębokie nurkowanie, i Nuno zaczął mnie uczyć: najpierw w wodach otwartych, potem w jaskiniach, z wykorzystaniem mieszanek gazów oddechowych. Szybko zdałam sobie sprawę, że dla Nuna nie ma nic ważniejszego od nurkowania. Nie potrafił mówić o niczym innym. Oddychał nurkowaniem i karmił się nim. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto do tego stopnia angażowałby się w jakiekolwiek działanie”.

Nurkowanie z akwalungiem przypomina dowolny inny sport. Najpierw człowiek zapisuje się na kurs dla początkujących i wszystko jest dla niego nowe. Zabawnie jest obserwować, jak przyszli nurkowie po raz pierwszy oddychają pod wodą z automatu. Kiedy dociera do nich, że naprawdę mogą oddychać pod wodą, w ich oczach nieodmiennie maluje się zaskoczenie. Nie da się tego zapomnieć. Nie byłem wyjątkiem — złapałem bakcyła po odbyciu pierwszego kursu. Chciałem zdobyć wszystkie stopnie wtajemniczenia i nurkować we wszystkich rodzajach wód: w zbiornikach słodkowodnych, w otwartym morzu, w studniach krasowych, jaskiniach, zalanych kopalniach i jeziorach. Pierwszy kurs nurkowy zapoczątkował niekończącą się pogoń za nowymi doświadczeniami owocującymi nową wiedzą. Z każdym kolejnym rokiem i z każdym nowym certyfikatem rosła moja chęć zdobywania nowej wiedzy i poprawiania własnych wyników. Kursy, w których brałem udział, kończyły się przyznaniem niewielkiej plastikowej karty, która teoretycznie potwierdzała moje świeżo zdobyte umiejętności. Niektórzy nurkowie kolekcjonują „plastiki” i biorą udział we wszystkich kursach, jakie tylko można sobie wyobrazić. Organizacje nurkowe odpowiadają na to zapotrzebowanie, wydając pożądane certyfikaty nurkowe i wymyślając potrzebę

uruchamiania nowych kursów. Można otrzymać kolejny stopień nurkowy dosłownie za każdą podwodną aktywność — o ile jest się gotowym za to zapłacić. Wiele z tych specjalnych kursów to tylko powtórka wcześniej zdobytych umiejętności, ale zapotrzebowanie na nie jest ogromne. Zwłaszcza na kursy, w których tytule występuje magiczne słowo „Pro”.

Każdemu wydaje się na początku, że nurkowanie jest przede wszystkim zabawne. Później pojawia się konstatacja, że prawdopodobnie da się połączyć nurkowanie z zarabianiem pieniędzy, i tym sposobem wielu nurków wstępuje w szeregi zawodowców. Wiele agencji szkoleniowych zdecydowanie zachęca nurków do zdobywania stopni instruktorskich — za odpowiednią opłatą, oczywiście. Kursanci słyszą, że każdy nowy instruktor bez trudu znajdzie pracę. Dzięki temu dodatkowemu źródłu przychodów agencje nurkowe szybko się rozwijają. Jeśli o mnie chodzi, wcale nie musiałem zostawać instruktorem. Zostałem instruktorem, bo tak się akurat złożyło, że byłem najbardziej doświadczonym nurkiem w klubie i pojawiła się potrzeba podzielenia się wiedzą z innymi. Było to nieuchronne. Nigdy nie miałem złudzeń, że wykonując tę pracę, będę w stanie utrzymać rodzinę. Wiedziałem, że nawet odnosząc duże sukcesy jako instruktor, nie będę mógł pozwolić sobie na kupno domu czy opłacenie szkoły moich dzieci. Wiedziałem doskonale, że tylko garści nurków udało się osiągnąć finansową stabilność. Jednym z tych nielicznych był Witold Śmiłowski, który założył w RPA ośrodek nurkowy i po wielu latach ciężkiej, uporczywej pracy powrócił do Polski, by dalej realizować swoje marzenia. On akurat odniósł ogromny sukces — zarówno w RPA, jak i w Polsce — ale setki młodych kobiet i mężczyzn, którzy widzieli *Wielki błękit* Luca Bessona i przeczytali książkę *The Silent World*

Jacques’a Cousteau, nie mogło tego powiedzieć o sobie. Przenosili się do jednej z wielu nadbrzeżnych fabryk nurkowania w wodach otwartych tylko po to, by kilka lat później wrócić do domu. Większość prędzej czy później doznawała przykrego przebudzenia, orientując się, że ma górę rachunków do zapłacenia, za to nie ma dyplomu wyższej uczelni.



Spełniałem się w roli instruktora nurkowania — w każdym razie zazwyczaj. Nadal prowadzę kursy nurkowania w wodach otwartych, nurkowania jaskiniowego, kursy techniczne i instruktorskie. Mam dużo szczęścia. Żaden z moich kursantów — a miałem ich tysiące — nie zginął. Nurkowanie pozostało moim hobby i nigdy nie przynosiło mi znaczących zysków; kiedy uczę innych, staram się na tym nie tracić, ale też nie zarabiam. Wynagrodzenie za kursy

pokrywa mi koszty benzyny, a czasami też obiadu. Największą nagrodą jest widok dwóch świeżo upieczonych nurków, którzy po raz pierwszy w życiu schodzą na głębokość 18 metrów. Pod tym względem nurkowanie bardzo się różni od wielu innych sportów, jak choćby piłka nożna, w której przypadku można zacząć od trenowania East Stirlingshire F.C. za 40 funtów tygodniowo, a skończyć na trenowaniu Manchester United za pensję na poziomie 7,6 miliona funtów rocznie. Kluby nurkowe CMAS są dumne z tego, że są organizacjami non profit i zatrudnieni w nich ludzie otrzymują jedynie zwrot kosztów bezpośrednich. Jak zauważa Krzysztof Starnawski w przedmowie do autobiografii Verny van Schaik *Zanurzona* (Mayfly, 2012), nurkowanie to bardzo nudny sport. A nuda rzadko idzie w parze z pieniędzmi.

Po raz pierwszy spotkałem nieżyjącego już dziś Witolda (dla przyjaciół Witek) w jego sklepie nurkowym w Pretorii w RPA i to spotkanie otworzyło mi oczy. Witek kochał sporty ekstremalne — wyścigi motocyklowe i skoki spadochronowe — nurkowanie natomiast traktował jako przedsięwzięcie komercyjne. Świetnie mu to wychodziło. Byłem jednym z jego pierwszych gościnnych wykładowców wygłaszających odczyty na temat głębokiego nurkowania, a z biegiem lat moje wykłady przerodziły się w coroczne szkolenia. W tamtych czasach Profesjonalne Stowarzyszenie Instruktorów Nurkowania (Professional Association of Diving Instructors — PADI) całkowicie odrzucało koncepcję nurkowania dekompresyjnego. Jak to jednak bywa w przypadku dużych organizacji, zawsze pojawia się ktoś, kto podziwia dokonania głębokich nurków. Szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Witek wrócił później do Polski, sprzedawszy udziały w sklepie nurkowym swojemu partnerowi biznesowemu, ale nasza przyjaźń przetrwała tę rozłąkę.

Na długo przed tym, jak PADI zainteresowało się nurkowaniem technicznym, Witek opowiedział o mnie Leszkowi Czarneckiemu. Pewnego dnia odebrałem telefon z Polski. Dzwonił Witek. Powiedział mi, że ma znajomego, który chciałby zejść na głębokość 200 metrów. „Nie można tak po prostu zejść sobie na 200 metrów” — odpowiedziałem i zapytałem go, jak głęboko ten jego znajomy dotychczas nurkował. „Mniej więcej na 70 metrów” — odparł Witek. Różnica między 70 a 200 metrów to jak stąd do Księżyca. Lubilem Witka i chciałem mu pomóc, a przy tym chciałem wrócić do Boesmansgat, by przygotować się do ustanowienia nowego światowego rekordu głębokości nurkowania. Potrzebowałem pieniędzy na nurkowania przygotowawcze. Może te dwa przedsięwzięcia dałoby się połączyć? Postanowiliśmy zatem, że Leszek i Witek zanurkują

w Wondergat, a później w Boesmansgat.

Witek zadeklarował, że jego klient sfinansuje wyprawy nurkowe wymagane do tego, by „bezpiecznie” osiągnąć głębokość 200 metrów.

Leszek pod wieloma względami różnił się od innych nurków — bezpieczeństwo było dla niego najistotniejsze. Chciał po prostu dotrzeć w jaskini na głębokość 200 metrów bez ofiar w ludziach. Chciał być najgłębiej nurkującym w jaskiniach Polakiem, a przy tym życzył sobie, by nie towarzyszył temu rozgłos w mediach.

Boesmansgat leży na południowym krańcu Kalahari, w centrum południowej Afryki. Jedynym topograficznym wyróżnikiem w brązowo-czerwonawym płaskim krajobrazie krasowym jest Mount Carmel. Na wyschłej sawannie pojawiają się tu i ówdzie kolczaste krzewy i krótka trawa, ale występują rzadko, zwłaszcza w zimie. Nazwa „Kalahari” pochodzi od słowa „kgala”, które w języku plemienia Tswana oznacza „wielkie pragnienie”. Zdecydowanie jest to nazwa właściwa — roczna suma opadów równa jest tutaj dziennemu opadowi w rejonach tropikalnych.

Kalahari była kiedyś znacznie bardziej wilgotna. Starożytne wewnętrzne jezioro Makgadikgadi zdominowało niegdyś region, pokrywając obszar 275 tysięcy kilometrów kwadratowych. W zamierzchłej przeszłości utworzył się zbiornik zasilany przez trzy afrykańskie rzeki: Okavango, Zambezi i Kuando, a wody tych trzech rzek zostały uwięzione w strefie uskoku tektonicznego znanego pod nazwą osi Kalahari – Zimbabwe. Na przestrzeni milionów lat rozpadliny wcinały się w osady, co prowadziło do erozji krasowego podłoża geologicznego; pozostawały jedynie niewielkie, wyłaniające się od czasu do czasu góry, zbudowane ze skał osadowych.

Właścicielami farmy, na której znajduje się Boesmansgat, jest rodzina van Zyl. Posiadłość nazwano słusznie „Mount Carmel” od nazwy najbliższego wysokiego szczytu w łańcuchu górskim przebiegającym przez jej teren. Początkowo na farmie hodowano bydło, ale z biegiem lat Andries van Zyl przerzucił się na bardziej zyskowną działalność, a mianowicie polowania. Farma stała się mekką — zależnie od pory roku — myśliwych i miłośników dzikich zwierząt.

Aby dostać się z farmy do studni krasowej, trzeba było przejechać — najlepiej samochodem terenowym — mniej więcej 10 kilometrów gruntową drogą. Na miejscu wysiadałeś z auta pokrytego grubą warstwą pyłu, więc opłacało się utrzymywanie rozsądnej odległości między kolejnymi pojazdami w kolumnie i przykrywanie sprzętu nurkowego plandeką. Kiedy patrzy się z dużej odległości, nic nie wskazuje na istnienie w tamtym miejscu jakiegokolwiek jaskini. Trzeba stanąć tuż nad krawędzią zapadliska, aby dostrzec w płaskim krajobrazie tę

niesamowitą wyrwę, gdzie grunt urywa się niespodziewanie 60-metrowym urwiskiem. Zapadlisko krasowe ma około 250 metrów. Za wskaźnik nieuchronnej bliskości ogromnego krasowego leja służy beczka po benzynie umieszczona na jego krawędzi i robiąca za śmietnik. Po zejściu na dół urywa się zasięg telefonów komórkowych.

Nazwa „Boesmansgat” (czyli „dziura Buszmena”) nawiązuje do rdzennego ludu Buszmenów zamieszkującego kotlinę Kalahari od tysięcy lat. Plemiona Buszmenów, które żyły w znajdujących się w pobliżu jaskiniach, czerpały z tych „studni” wodę. Znalezione wiele niepozostawiających wątpliwości śladów ich osad z czasów poprzedzających napływ na te ziemie współczesnych rolników.

Nie wszystkie studnie krasowe przypominają Boesmansgat. Niektóre z nich, takie jak Harasib, potrafią naprawdę dać w kość, zanim w ogóle dotrzesz do lustra wody. Nie zmienia to faktu, że wędrówka w dół

Boesmansgat nie jest prosta. W dół prowadzi wąska, stroma ścieżka i miałem okazję nie raz widzieć nurka, który stracił równowagę i poważnie się potłukł. Po drodze są półki i gwałtowne uskoki, co utrudnia przenoszenie sprzętu na dno zapadliska i z powrotem; pod koniec wyprawy człowiek ma zazwyczaj parę solidnych siniaków i zadrapań. Na jednym ze zdjęć zrobionych podczas tragicznej wyprawy Dave’a Shawa do Boesmansgat widać strażaków wynoszących nosze z „poszkodowanym” nurkiem z dna zapadliska — była to część poprzedzających wyprawę ćwiczeń. Nie domyślali się wówczas, że zaledwie kilka dni później ocalą w ten sposób życie Dona Shirleya.

W jednej trzeciej drogi w dół zapadliska rozstawia się obóz na platformie mierzącej 23 na 13 metrów; musi się tam znaleźć miejsce na mnóstwo sprzętu. Tam również przeprowadza się podstawowe przygotowania do nurkowania. To wygodne miejsce jest przystankiem dla osób noszących sprzęt w górę i w dół, kiedy zostaną wezwane przez polowy telefon łączący jeziorko na dnie z terenami ponad zapadliskiem. Przechowywane są tutaj na stałe lub przejściowo butle, sprężarki, zbiorniki z helem i tlenem, setki metrów węży odpornych na wysokie ciśnienie, sprzęt osobisty, automaty, maski, pianki i suche skafandry, płetwy i rękawiczki. W obozie sprawdza się sprzęt. Co jakiś czas nieoczekiwanie rozlega się gwałtowny syk sprężonego gazu usuwanego z butli, migają wyświetlacze komputerów nurkowych i monitorów analizujących skład mieszanek oddechowych. Dalej idą już tylko ci, którzy mają „to coś”. Kiedy patrzę na fotografie zrobione na tej platformie częściowo przykrytej plandeką dla ochrony przed słońcem, widzę ludzi o skupionych, zaabsorbowanych twarzach, na które z wysiłkiem przywołali uśmiech — tylko do zdjęcia. Mężczyzn i kobiety z misją.

Zanim powstała możliwość nocowania w domku na farmie, obozowaliśmy na platformie, skuleni w śpiworach pod rozgwieżdżonym niebem. Z głębokiego snu budził nas poranny chłód, a czasami nawet przymrozek. W świetle dnia zapadlisko robi wrażenie ogromem. W nocy, kiedy odblaski płomieni tańczą na ścianach, a śmiech odbija się wielokrotnym echem, wydaje się bardzo małe.

Nic nie wskazuje na to, że pod dnem niewielkiego, pokrytego zazwyczaj rzęsą jeziorka zamieszanego przez zielone żabki znajduje się gigantyczna zalana otchłań. To paradoks wszystkich wielkich systemów jaskiń. Niektóre z nich zaczynają się wejściem tak wąskim, że musisz klęknąć lub wręcz położyć się na brzuchu, by stanąć w obliczu ogromnej niczym katedra pustki, otwierającej się zaledwie kilka metrów od wejścia. Wejście do Boesmansgat, czyli najgłębszej studni krasowej na kontynencie afrykańskim, mieści się w jeziorku o średnicy 10 metrów, którego głębokość waha się od 3 do 6 metrów. Co 15 lat lustro wody sięga najwyższego poziomu. Patrząc na przekrój jaskini, można ocenić ogrom komory, w której mieści się mniej więcej 4,5 miliona metrów sześciennych wody. Chociaż przekrój może wydawać się prosty, od wejścia do jaskini nie można tak po prostu opaść na jej dno. Po drodze jest zbyt wiele przeszkód i pól.

Theo van Eeden i James Cairns zbadali jaskinię po raz pierwszy w maju 1974 roku, podczas nurkowania na głębokość 40 metrów. Poziom wody był wówczas wyższy i maksymalna głębokość jaskini została oszacowana na 290 metrów. „Nazywano ją wówczas Boesman’s Pit — wspomina van Eeden, który nurkował w pobliskiej zalanej kopalni w Kimberly w poszukiwaniu skradzionych dóbr. — O Boesmansgat powiedział mi Louis Kok, inspektor policji. Pojechalismy tam i pomogliśmy farmerowi wydobyć z tej dziury silnik Diesla. Kiedy spuściliśmy 60-metrową linę na dno jeziorka i dalej przez wąskie wejście do jaskini, nie byliśmy w stanie wyczuć dnia. W ten właśnie sposób zorientowaliśmy się, że Boesmansgat to coś więcej niż zwykła jaskinia”. Kolejnym nurkiem, który pojawił się w jaskini, był Charles Maxwell, który we wczesnych latach 80. zszedł tam na powietrze na głębokość 60 metrów. W 1988 roku wykonałem serię nurkowań z Diaanem Hanekonom, sięgając w obszernej komorze głównej jaskini głębokości 123 metrów.

Dla Leszka Czarneckiego nie było to pierwsze spotkanie z Republiką Południowej Afryki. „W połowie lat 90. zatrudniałem pewną liczbę osób niepełnosprawnych i wpadłem na pomysł wysłania ich w jakieś miejsce, żeby mogli ponurkować. Uznałem RPA za odpowiedni kierunek” — mówi Leszek, opisując jeden ze swoich wczesnych, cieszących się dużym uznaniem programów motywacyjnych. Leszek kilkakrotnie musiał zrezygnować z wyjazdu i grupę zabrał

do RPA Remek Baliński, jego długoletni przyjaciel i współpracownik. „Kontaktowałem się z Witkiem, a on już brał na siebie organizację wyjazdu dwudziestu osób z firmy razem z lekarzem za granicę” — wspomina Leszek.

Leszek jest nie tylko miliarderem — czego dowiedziałem się znacznie później od Władimira i Eleny Konstantinou Gusinski — ale też zaawansowanym nurkiem. Przed ukończeniem 22 roku życia nurkował już zawodowo i miał certyfikat instruktora nurkowania w wodach otwartych, był również instruktorem nurkowania technicznego certyfikowanym przez IANTD. W momencie naszego spotkania miał odnotowanych w książeczce nurkowej około 3 tysięcy nurkowań, z których większość przeprowadził w trudnych warunkach, przy ograniczonej widoczności. Pasja nurkowania doprowadziła go do założenia w 1986 roku firmy związanej z zawodowym nurkowaniem, Przedsiębiorstwa Techniki Alpinistyczno-Nurkowej TAN S.A. Teraz chciał zostać najgłębiej nurkującym nurkiem jaskiniowym w Polsce.

Na początek musiał zdobyć podstawy głębokiego nurkowania w jaskiniach. Był trzy lata młodszy niż Wiktor Bolek, nurek z jego rodzinnego Wrocławia posiadający największe osiągnięcia. Niektórzy „młodzicy” z sekcji taternictwa jaskiniowego Polskiego Związku Alpinizmu mieli niebanalne osiągnięcia. Prace rozpoczęte w połowie lat 80. zaowocowały połączeniem dwóch tatrzańskich systemów jaskiniowych, Jaskini Śnieżnej i Jaskini Wielkiej Litworowej, tworzących razem najdłuższy system suchych jaskiń w Polsce, mierzący 17 kilometrów. W 1990 roku Leszek sprzedał TAN, będący wówczas największym przedsiębiorstwem prowadzącym prace podwodne w Odrze. Zarzucił nurkowanie zawodowe w 1991 roku,

żeby założyć swoją pierwszą firmę finansową — Europejski Fundusz

Leasingowy. „Nie powiedziałbym, że spóźniłem się na wielkie odkrycia w tatrzańskich jaskiniach — mówi Leszek. — Byłem po prostu bardzo, bardzo zajęty”. Udało mu się jednak przeprowadzić kilka wypadów jaskiniowych z Włodkiem „Spryčiułą” Szymanowskim, legendarnym grotołazem z Wrocławia, którego osiągnięciom z lat 80. w systemie Jaskini Śnieżnej nadal trudno jest dorównać. „Było to trudne i ryzykowne — mówi Leszek o swoich doświadczeniach w Jaskini Zimnej, kiedy to wykonał solowe nurkowanie do trzeciego syfonu. — Nurkowaliśmy na automacie Łukasika, jednym z pierwszych automatów dwustopniowych o stopniach rozdzielonych. Automat był na tyle zawodny, że niektórzy określali go mianem »zardzewiałej śmierci«. Po całym dniu jazdy i kilku godzinach ciężkiej wspinaczki zanurzyliśmy się w lodowato zimnej wodzie. Po jednym dniu miałem dość” — stwierdza Leszek, którego pasja

popchnęła jednak do nurkowania nawet w dzień po własnym ślubie.

Pierwsza firma Leszka była komercyjnym odzwierciedleniem historycznych osiągnięć Wrocławia na polu eksploracji jaskiniowej, nurkowania jaskiniowego i wspinaczki górskiej. Miasto kojarzone było z największymi polskimi grotolazami oraz światowej klasy wspinaczami wysokogórskimi takimi jak Wanda Rutkiewicz, pierwsza kobieta, która wspięła się na K2, czy Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy, którzy jako pierwsi wspięli się zimą na Everest. W tym środowisku miłośników sportu firma Leszka rozkwitała, zdobywając nowe biznesowe szczyty. Pochłaniała mu jednak, czemu trudno się dziwić, większość czasu i nie pozostawiała go wiele na nurkowanie jaskiniowe.

Od czasu do czasu udawało mu się mimo wszystko nurkować w tatrzańskich jaskiniach. W niezwykle trudnych warunkach potrzebne są czas i cierpliwość. „Spodziewałem się pewnych problemów. W oceanie człowiek może się czuć jak ryba, a tymczasem w ciasnych, zalanych jaskiniach dopada go klaustrofobia. Nie ma prostego, szybkiego wyjścia. Sama ta masa skał i nieodmiennie obecne nad głową sklepienie nie sprzyjają człowiekowi. Jeśli pozwolisz swoim myślom błądzić swobodnie, podsuną ci obraz tego, jak giniesz, zmiażdżony pod tonami skał” — mówi Leszek. Dotarcie do pierwszego syfonu w Jaskini Kasprowej Niżniej wymaga co najmniej dwóch godzin, czterech zabezpieczających grotolazów i doskonałej kondycji fizycznej — a wszystko po to, by jeden nurek mógł się zanurzyć w wodzie o temperaturze 4 stopni Celsjusza. Odcinki pozwalające na nurkowanie są relatywnie krótkie i z jednego syfonu do drugiego przeskakuje się za pomocą sprzętu wspinaczkowego. Najdłuższy polski syfon, Syfon Warszawiaków, według standardów meksykańskich czy francuskich jest stosunkowo krótki — 333 metry. Przenurkowanie go nie jest jednak łatwe i dotarcie na nieznany teren, na którym nikt nigdy nie postawił stopy, daje poczucie dokonania czegoś niezwykłego. To nagroda za ciężką pracę.

Ani o Syfonie Warszawiaków, ani o nurkowaniach przy zerowej widoczności w Odrze nie miałem zielonego pojęcia, spotykając Leszka. Bałem się, że może podzielić losy setek nurków, którzy nieoczekiwanie zdają sobie sprawę, iż ta kupa kamieni oddzielająca ich od powierzchni może się na nich zawalić. Najczęściej już po wejściu do wody — i wtedy po ich ciała trzeba wysłać wyspecjalizowane ekipy ratunkowe. Taki sygnał dostaliśmy z Malcolmem Keepingiem podczas pobytu w Wondergat, kiedy niespodziewanie podeszła do nas grupa zatroskanych osób. W Jaskini Południowej na głębokości 60 metrów zaginął nurek. Znaleźliśmy jego ciało pod sklepieniem, mniej więcej 75 metrów od wejścia. Chciał się wydostać na powierzchnię, próbując przebić się przez sufit

na linii uskoku. Nie on jeden. Niestety ponad 30 nurków zginęło w tej jaskini na głębokości nieprzekraczającej 50 metrów.

Zawodowa kariera nurkowa Leszka przyzwyczaiła go — tak jak mnie — do niewielkiej widoczności pod wodą. Zrozumiałem to, kiedy uczyłem jego i Witka podstaw nurkowania jaskiniowego w Wondergat, gdzie widoczność często jest niezbyt dobra. Metoda szkoleniowa opierała się — i nadal się opiera — w dużym stopniu na amerykańskich standardach Krajowego Towarzystwa Speleologicznego (National Speleological Society — NSS) i Krajowego Stowarzyszenia Nurkowania Jaskiniowego (National Association for Cave Diving — NACD). Klasyczna pozycja napisana przez nieżyjącego już Shecka Exleya, *Basic Cave Diving: A Blueprint for Survival*, pozostaje biblią wszystkich nurków jaskiniowych.

Przećwiczyliśmy wykorzystanie poręczówek na powierzchni i na suchym lądzie, w czarnych maskach, a następnie pod wodą — najpierw w Wondergat, a później w Boesmansgat. Obie te jaskinie nie są idealnym miejscem do prowadzenia kursów nurkowych ze względu na swoją głębokość. Wondergat, oprócz głębokości, stawia też wyzwania takie jak zaciski Jaskini Lamparta. Zaciski są tak ciasne, że nieomal nie sposób się przez nie przecisnąć; konieczne jest przepchanie najpierw kasku, a potem pojedynczej butli. To stosunkowo krótki korytarz, na którego końcu znajduje się komora, ale potrafi być sporym wyzwaniem. Z kolei Boesmansgat ma ogromną komorę, która wymaga prowadzenia poręczówki w pozycji dosłownie do góry nogami, i to na znacznej głębokości. Sklepienie jaskini znajduje się na głębokości między 50 a 70 metrów, a w wyniku jakiegokolwiek pomyłki człowiek może wylądować na głębokości 270 metrów albo jeszcze głębiej. Naszym celem było głębokie nurkowanie w jaskini i bezpieczny powrót — i nad tym właśnie pracowaliśmy.

W moim nurkowym świecie Leszek był wyjątkiem od ogólnej zasady. Zazwyczaj nie ustanawiam wspólnych rekordów, nie nurkuję z nikim na duże głębokości i nie przyjmuję zaproszeń do eksplorowania rozmaitych zakątków Afryki. Nie lubię też komentować zaplanowanych profili nurkowania i harmonogramów dekompresji innych nurków. Myślę, że należy mieć na tyle dużo doświadczenia, by móc samodzielnie opracować własny profil nurkowania — albo nie należy tego nurkowania wykonywać. Nie sprawia mi przyjemności myśl, że mógłbym być odpowiedzialny za czyjąś chorobę dekompresyjną. Co więc skłoniło mnie do nurkowania z Leszkiem? Głębokość? Możliwość podzielenia się wiedzą i doświadczeniem? Tak naprawdę mój zespół i ja musieliśmy przeprowadzić nurkowania przygotowawcze. Poza tym Leszka wiele różni od

innych nurków. No i był przyjacielem Witka. Bardzo pedantycznie podchodzi do planowania nurkowania, jest ambitny, ale nie jest fanatykiem, i w fantastycznym tempie się uczy. W środowisku bankowców zajmuje znaczącą pozycję. Przypomina mi mnie samego — z tą jedynie różnicą, że nigdy nie wyraził chęci zdobycia tytułu najgłębiej nurkującego człowieka na świecie.

„Każdy ma coś, czym może się podzielić. Coś, w czym jest dobry. Lepszy niż inni. Szanujemy to” — mówi Leszek. Prawdopodobnie dlatego trzech ówczesnych posiadaczy rekordów świata — Czarnecki (najdłuższe nurkowanie w jaskini), Starnawski (najgłębsze nurkowanie na rebreatherze) i ja (najgłębsze nurkowanie w jaskini i najgłębsze nurkowanie z akwalungiem) — mogło w 2011 roku spędzić tydzień na łodzi na atolu Bikini i wzajemnie się nie pozabijać. Po prostu uczestniczymy w innych wyścigach. Chyba dlatego nie nurkowałem na tak wielkie głębokości z nikim poza Leszkiem. Zanurkowaliśmy razem na 127 metrów, 158 metrów i 194 metry. Połączyła nas silna więź, najsilniejsza wyobrażalna dla mnie więź, jaka może powstać między ludźmi, którzy zawierzyli sobie własne życie. Poprosiłem go, żeby został drużbą na moim ślubie, który odbył się w Kalifornii w czerwcu 2007 roku. Trudno mi było wyobrazić sobie w tej roli kogoś innego niż nurek.

Rekordowe nurkowanie Leszka różnił od innych nurkowań, które robiłem w przeszłości na podobną głębokość, producent mokrego skafandra. Miałem na sobie skafander Cressi, natomiast Leszek ubrany był w zrobiony na zamówienie skafander Eques. Klatkę piersiową pokrywało mu 25 milimetrów neoprenu — ale nadal był to mokry skafander. Na początku wypraw do RPA nurkowaliśmy w mokrych skafandrach głównie ze względu na moje przekonanie, że jeśli tylko woda nie jest zbyt zimna, nurkowanie w mokrym skafandrze jest bezpieczniejsze niż w suchym. Pod koniec kursu nurkowania jaskiniowego, biorąc pod uwagę poczynione postępy, mogliśmy przerzucić się na suche skafandry. Nie zrobiliśmy tego. Leszek nie wyraził chęci zmiany, a ja nie pytałem. Nurkowanie szło nam bardzo dobrze w piankach, więc po co coś zmieniać? Witek również nurkował w piance i też nic nie mówił. Wiem tylko, że Eques robi bardzo dobre mokre skafandry (mam jeden). Leszek dowiódł tego swoim nurkowaniem.

Wiedziałem, że da się zrobić zaplanowane przez Leszka nurkowanie w mokrym skafandrze, bo w Boesmansgat wykonałem już nurkowanie na 177 metrów w skafandrze Cressi kryjącym klatkę piersiową 14 milimetrami neoprenu. Uważam, że dobra znajomość własnego sprzętu jest jednym z warunków sukcesu. Suchy skafander może, eufemistycznie rzecz ujmując, stać się bardzo groźnym elementem wyposażenia nurkowego. Kiedyś z powodu wadliwego inflatora

suchego skafandra otarłem się o śmierć. Niezamierzone napełnienie suchego skafandra gazem wypchnęło mnie nieoczekiwanie w górę szybu. Zdołałem odczepić inflator, ale nie zmieniało to faktu, że rozpocząłem już wynurzenie ze 100 metrów. Chybiona próba uchwycenia się poziomej belki biegnącej w poprzek szybu obróciła mnie do góry nogami. Wynurzałem się nogami do przodu, nie mając możliwości opróżnienia suchego skafandra, bo zawór upustowy znajdował się na moim ramieniu. Nurkowanie nie skończyło się nekrologiem tylko dlatego, że na 6 metrach zdołał mnie złapać Craig Kahn, wiszący tam na dekompresji. W tym samym szybie nieomal zginęła Verna van Schaik, kiedy straciła płetwę i utknęła na głębokości 152 metrów.

Polska wyprawa, której celem było ustanowienie rekordu nurkowania w jaskini, poprzedzona została dwoma wyjazdami do RPA. Pierwszy z nich, zrealizowany na początku 2002 roku, trwał dwa tygodnie i wykorzystaliśmy go na przećwiczenie z Witkiem i Leszkiem podstawowych procedur; zaczęliśmy w Wondergat, po czym przejechaliśmy na farmę Mount Carmel. Podczas drugiej wyprawy, w październiku

2002 roku, całe dwa tygodnie spędziliśmy w Boesmansgat. Leszek wspomina: „Między wyprawami zanurkowałem na 160 metrów w komorze doktora Zdzisława Sićki. Aby wiedzieć, czego się spodziewać, jeśli chodzi o wymagania dekompresyjne, wykonałem suche nurkowanie razem z doktorem Jackiem Kotem, który odczuwał wyraźne objawy HPNS”. Kiedy w 2003 roku nadszedł czas wyprawy po rekord, Leszek był gotów. Przyjechał razem z Witkiem. Cały mój zespół czekał w gotowości. W jego skład weszli: doktor Hermie Britz, doktor Gareth Lowndes, Theo van Eeden, Pieter Venter, Craig Kahn, Joseph Emmanuel, Lenné Foster-Jones i ja. Sumiennie przygotowywaliśmy się do próby bicia rekordu zaplanowanej na 2004 rok — im lepiej człowiek jest przygotowany, tym więcej ma szczęścia.

Oplaciło się, bo zszedłem razem z Leszkiem na głębokość 194 metrów. Po korekcie do poziomu morza głębokość wyniosła 232 metry. Z powodzeniem wystarczyło to do pobicia rekordu ustanowionego przez Krzysztofa Starnawskiego w 2000 roku w Hranickiej Propasti na głębokości 179 metrów. „Moim celem było 200 metrów, ale po przeprowadzeniu nurkowania na 127 metrów i 158 metrów nie miałem poczucia, że jestem w stanie go osiągnąć — powiedział później Leszek. — Z perspektywy sędzę, że była to mądra decyzja. Zawsze sobie powtarzam, że jeśli człowiek ma jakieś wątpliwości, to lepiej tego nie robić. Zawsze można spróbować później”.

Preferowany przez Leszka na to nurkowanie gaz denny składał się z 5% tlenu,

20% azotu i 75% helu; powszechnie określa się go mianem trimiksu 5/75. Ta mieszanka gazów daje równoważną głębokość narkotyczną (END) na poziomie 42 metrów i całkowitą głębokość narkotyczną (TND) na poziomie 62 metrów. Teoretycznie ta mieszanka pozwala bezpiecznie nurkować do głębokości 270 metrów. Łatwo ją zmieszać w terenie: 150 barów helu i 50 barów powietrza pozwala napełnić butlę, osiągając ciśnienie 200 barów.

Większość nurków technicznych uważa azot za jedyny gaz przyczyniający się do wystąpienia narkozy, ponieważ jest to najgęstszy z gazów obojętnych powszechnie występujących w mieszankach gazów służących do głębokiego nurkowania. A jednak na wystąpienie narkozy mogą także mieć wpływ zarówno tlen, jak i hel. Na mniejszych głębokościach można jej nie doświadczyć, ale na większych skumulowany efekt może mieć poważne konsekwencje. Zdecydowanie zalecam wzięcie pod uwagę podczas obliczania END i TND wszystkich gazów wykorzystywanych pod wodą. Prezentacja koncepcji całkowitej głębokości narkotycznej była przedmiotem wielu moich publicznych wystąpień, a stosowne równanie włączono do kilku programów pozwalających wyliczać dekompresję.

Ostatecznie na swoje rekordowe nurkowanie Leszek wybrał gaz denny w proporcjach 7% tlenu, 27% azotu i 66% helu (trimix 7/66), aby skrócić czas dekompresji i ograniczyć utratę ciepła; dzięki temu nie zmagał się z hipotermią. Delikatna zmiana w proporcjach mieszanki gazu dennego skróciła nurkowanie o pół godziny. Spadek zawartości helu i wzrost zawartości azotu miał swoją cenę: END nurkowania na 194 metry wzrosła z 42 do 60 metrów, a TND z 62 do 78 metrów.

Wchodzenie do Boesmansgat przypomina przekraczanie łuku w Blue Hole, studni morskiej znajdującej się w pobliżu egipskiej miejscowości Dahab. Różnica szybko staje się oczywista: komora Boesmansgat jest wielka i bardzo ciemna. Oddychanie w jaskini zimną jak lód mieszanką helu ma swoje reperkusje, wśród których nie bez znaczenia jest całkowita toksyczność gazu. Nietrudno popełnić na 194 metrach błąd prowadzący do śmierci. To, co robimy, wykracza poza nurkowanie techniczne — to nurkowanie eksperymentalne. Próbuje przesunąć wytyczone wcześniej granice, ustanawiając nowe. To niebezpieczne.

„To było szybkie. Schodziliśmy w tempie 40 albo nawet 50 metrów na minutę” — wspomina Leszek. Na 187 metrach zatrzymałem się, jak to pierwotnie zaplanowaliśmy. Leszek zszedł niżej, mijając mnie. Zrównałem się z nim na 194 metrach, gdzie obaj przerwaliśmy zejście. Cieszyliśmy się tą chwilą. Było to dość głębokie zejście jak na trimix 7/66, znacznie poniżej zalecanego END na poziomie 40 metrów. Było to równoważne nurkowaniu na powietrzu na głębokość

78 metrów (według wyliczonej wartości TND). Ciśnienie parcjale tlenu sięgnęło granicy

1,4 at. „Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że dążyłem do przekroczenia granicy 200 metrów, ale to nieprawda. Proces napełniania skrzydła wypornościowego na tej głębokości jest tak niezdolnie powolny, że zanim się zorientowałem, minąłem znacznik 190 metrów” — mówi Leszek.

W 2003 roku nurkowanie Leszka na 194 metry nie było już najgłębszym przeprowadzonym kiedykolwiek przez Polaka nurkowaniem. Rok wcześniej nieżyjący już Grzegorz „Banan” Dominik zanurkował na głębokość 208 metrów w Egipcie, nurkując wcześniej na 120 metrów na powietrzu. Nurkowanie Leszka było jednak najgłębszym nurkowaniem w jaskini. Przebijało o 15 metrów rekord 179 metrów ustanowiony przez Krzysztofa Starnawskiego w 2000 roku w Hranickiej Propasti. Rekord został pobity dopiero dziewięć lat później, kiedy to w 2012 roku Starnawski zanurkował w Hranickiej Propasti na 217 metrów. „Mam nadzwyczajną okazję nurkować z najlepszymi nurkami na świecie. Cieszę się, że mogę im pomóc osiągnąć to, o czym marzą. W przypadku Krzysztofa jest to zdecydowanie kwestia dumy narodowej. Krzysztof dokonuje rzeczy niezwykłych” — mówi Leszek, dodając, że w 2012 jako pierwszy pogratulował Starnawskiemu pobicia jego jaskiniowego rekordu. Leszek obiecał również sfinansować próbę pobicia rekordu przez Darka Wilamowskiego w jeziorze Garda pod warunkiem, że wykorzysta sprzęt Eques produkowany przez przyjaciela i partnera Leszka, Ryszarda Paluszkiewicza.

Czas dekompresji Leszka podczas jego nurkowania w Boesmansgat wyniósł 4 godziny i 48 minut, nieco dłużej niż pierwotnie planowaliśmy. Leszek był szczęśliwy i nadal powinien się cieszyć swoim prawdziwym rekordem, który — po uwzględnieniu wysokości — wynosi 232 metry. Po nurkowaniu Leszek wyznał mi, że jego nowy limit głębokości wynosi 100 metrów. Nie zamierzał powtarzać tego doświadczenia. Mądry facet.

Tego wieczoru, gdy zajadaliśmy kiełbaski przy ognisku rozpalonym na farmie Mount Carmel, Leszek obiecał, że zasponsoruje moją próbę pobicia rekordu świata w 2004 roku. Byłem zaskoczony. Nigdy bym się tego nie spodziewał.



Wieczór z Leszkiem Czarneckim po nurkowaniu w 2004 r.

ROZDZIAŁ 6

CIENKA CZERWONA LINIA

Pierwsze podejście do rekordu świata

Moja próba ustanowienia rekordu podjęta w 2004 roku w Morzu Czerwonym nie była niczym więcej jak próbą zdobycia tytułu najgłębiej nurkującego z akwalungiem człowieka na świecie. Mogłbym opisywać swój rekord jako próbę pokonania własnych ograniczeń lub podróż ku samopoznaniu — którą na pewno był — ale tego nie robię. Dla inżyniera szpadel to szpadel. Ostatecznie był to zwykły konkurs, kto najgłębiej zanurkuje w morzu.

Nurkowanie miało zostać przeprowadzone na środku Morza Czerwonego, z dala od lądu, w miejscu, w którym morze jest tak głębokie, że nie widać dna ani z powierzchni wody, ani z żadnej głębokości, na którą schodzi nurek. W tamtym miejscu nie byłbym w stanie dotrzeć na dno morza. Nie zdołałbym pokonać nawet połowy dystansu dzielącego powierzchnię wody od dna akwenu. Było to prawdziwe nurkowanie w „wielkim błękanie”.

Nie było tam nic, a w każdym razie nic, co mogłoby wzbudzać moje zainteresowanie. Nie polowałem na nieuchwytną kałamarnicę olbrzymią czy wstęgora królewskiego ani nawet na rekinka brunatnego szukającego pożywnej przekąski. Jestem pewien, że James Cameron zgodziłby się ze mną, iż szanse dostrzeżenia czegokolwiek były raczej marne. Jacques Piccard i Don Walsh dostrzegli w Rowie Mariańskim przynajmniej ryby i krewetki, Cameron nie zobaczył dosłownie nic. Ja też nic nie widziałem poza kilkoma przepływającymi obok małutkimi meduzami. Z tyłu głowy miałem głębokość docelową, która w idealnej sytuacji powinna przekroczyć 307,8 metra. Była to głębokość, na którą cztery lata wcześniej dotarł nieżyjący już dziś John Bennett, ustanawiając rekord oficjalnie uznany przez *Księgę rekordów Guinnessa*.

Podążałem ścieżką wyznaczoną przez Jima Bowdena, wcześniejszego posiadacza rekordu Guinnessa. Kiedy spotkaliśmy się w Australii w 2000 roku, powiedział mi: „Jeśli naprawdę ustanowiłeś rekord, udowodnij to komisji *Księgi rekordów Guinnessa*”. Wiem, że zawsze znajdzie się chętny do pobicia wyniku poprzedniego rekordzisty. Może jakiś bogaty dzieciak, który ma wystarczająco dużo uporu, by wytrzymać 12 godzin dekompresji, i odpowiednio bogatego tatusia. Nie mieściłem się w tej kategorii. Nie miałem bogatego tatusia.

Potrzebowaliśmy gigantycznego zaplecza. Musiałem mieć zespół złożony z piętnastu oddanych nurków, bilety lotnicze, zakwaterowanie, gazy, butle, sprzęt, łodzie, pieniądze na szkolenia i jedzenie. Mnóstwo jedzenia. Herbert Nitsch, posiadacz światowego rekordu głębokości w nurkowaniu na wstrzymanym oddechu, twierdzi, że podjęcie w 2012 roku próby pobicia rekordu kosztowało go 136 tysięcy dolarów własnych oszczędności. Nie liczyłem tego wszystkiego. Zbyt wiele osób partycypowało w kosztach tej próby, włączając w to członków

mojego zespołu. Jedno jest pewne: nie miałem tyle pieniędzy, by móc to wszystko sfinansować samodzielnie.

Nie ma sensu rozpoczynać wyprawy, nie zapewniwszy sobie możliwości pokrycia wszystkich jej kosztów, lecz niestety nikt nie wystawi ci czeku in blanco, który umożliwiłby sfinansowanie wszystkich spodziewanych i niespodziewanych wydatków. Mimo to nigdy nie pojawiłem się na miejscu nurkowania bez środków pozwalających na osiągnięcie tego, co zaplanowałem.

Wyprawa z 2004 roku nie była wyjątkiem od tej reguły. Właściciele bazy Planet Divers zasponsorowali zakwaterowanie, Afrox (African Oxygen) dostarczył gazy, Poseidon zatroszczył się o automaty, Delta P Technology i Casio przysłali zegarki i komputery nurkowe, a South African Airways zapewniły nam transport sprzętu nurkowego z Johannesburga do Szarm el-Szejk. Co więcej, DAN objął cały zespół ubezpieczeniem medycznym, a Bauer Kompressoren sprezentowali sprężarkę, której używam do dziś. Jednak nie oszukujmy się, znacznie trudniej zainteresować sponsorów głębokim nurkowaniem niż tak popularnymi dyscyplinami sportowymi jak, dajmy na to, MotoGP; wysokość wsparcia również jest nieporównywalna. Valentino Rossi na przykład podpisał ostatnio dożywotni kontrakt reklamowy z Monster Energy i Hewlettem-Packardem. Wyczynowi nurkowie schodzący z akwalungiem czy na bezdechu nie mogą liczyć na takie nagrody. W naszym przypadku niezależnie od tego, jakie profity mogłyby się łączyć z ustanowieniem rekordu świata, nie mają one z pewnością wymiaru finansowego.

Z pełnym przekonaniem podpisuję się pod tym, co powiedział Herbert Nitsch: „W nurkowaniu nigdy nie chodziło o pieniądze. Dla mnie był to zawsze sposób spędzania wolnego czasu”. Im większe pieniądze, tym większa presja na osiągnięcie wyniku. Im większa presja, tym większe prawdopodobieństwo wystąpienia problemów. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym podpisywać kontrakt ze sponsorami o drugiej nad ranem w noc poprzedzającą nurkowanie, a jednak tak właśnie postąpił Nitsch na Santorini w 2012 roku. Miałem szczęście, że nie byłem zmuszony rozstrzygać takich dylematów. W życiu każdego sportowca osobiste spotkania ze sponsorami to chleb powszedni. Odnosi się to zwłaszcza do takich ludzi jak ja czy Herbert Nitsch, którzy przykładają wagę do najdrobniejszych szczegółów wyprawy — mamy po prostu świadomość, że kładziemy na szali własne życie. Lepiej się wcześniej przyłożyć niż później żałować. Obaj widzieliśmy wiele nieszczęśliwych zbiegów okoliczności wynikających z łatwych do uniknięcia błędów, a perfekcjonizm pozwala oddalić widmo śmiertelnej w skutkach pomyłki. Nigdy nie należy obdarzać nikogo

bezgranicznym zaufaniem. Zrozumieliśmy to wszyscy w 2002 roku po tragicznej śmierci nurkującej na wstrzymanym oddechu Audrey Mestre.

Sponsorzy interesują się sportowcami, którzy są widoczni i budzą pozytywne skojarzenia. Tym, czego poszukują sponsorzy, jest przewidywalność — najlepiej w długim okresie. Potrzebują pracującego na pełny etat ambasadora czy wręcz sprzedawcy swoich produktów. Są jednak ostrożni: nie szukają podopiecznego, którego śmierć mogłaby położyć się cieniem na ich produkcie. Zanim Dave Shaw wykonał swoje tragicznie zakończone nurkowanie na dno Boesmansgat, Afrox, będący częścią British Oxygen Company (BOC), przeprowadził analizę ryzyka, by podjąć decyzję dotyczącą sponsorowania tego wydarzenia. Zastanawiając się, jaką dać odpowiedź Australijczykowi, przeprowadzili ze mną czterogodzinną rozmowę, po której doszli do wniosku, że ryzyko jest zbyt wysokie. Przyznali, że tak właśnie podejrzewali, i oczekiwali jedynie potwierdzenia, ale było już za późno, by wycofać się ze sponsoringu. Jest dla mnie oczywiste, że sponsorzy zachowują się jak inwestorzy giełdowi: „Twój wcześniejszy rekord wynosił 282,6 metra — bardzo dobrze”, „Próbowaleś zanurkować na 320 metrów, ale zawróciłeś na 271 metrze — bardzo źle”, „Może w następnym kwartale?”. Miałem szczęście, że moje wcześniejsze dokonania mówiły same za siebie i sponsorzy uznali, iż ryzyko jest akceptowalne. Tylko ja wiedziałem, że głębokie nurkowanie jest grą do pewnego stopnia losową, a żywych od martwych dzieli tylko cienka czerwona linia.

W 2000 roku zacząłem rozważać możliwość porzucenia głębokiego nurkowania w jaskiniach i ustanowienia rekordu głębokości w morzu. Szukałem ciepłych, głębokich, spokojnych mórz, w których nie występowałyby prądy, a pogoda byłaby przewidywalna. Potrzebowałem dobrej infrastruktury nabrzeżnej, komory dekompresyjnej i miłej atmosfery. Położony nad Oceanem Południowym Kapsztad nie wchodził w grę. Morze jest tam zbyt zimne — na interesującej mnie głębokości temperatura wynosi zaledwie 7 stopni Celsjusza. Poza tym występują silne prądy i najczęściej widoczność jest stosunkowo słaba. Chociaż nigdy nie przejmowałem się szczególnie rekinami, żarłaczce białe pojawiają się bardzo często u kapsztadzkich wybrzeży i są niezwykle skuteczne w pozbawianiu ludzi różnych części ciała. Makabryczna kolekcja zdjęć Theo van Eedena ilustruje to bardzo szczegółowo.

Dlaczego morze? A dlaczego nie? W pewnym momencie swojego życia wszyscy

zdają się zwracać ku morzu. W jaskini Boesmansgat nie zostało już nic do zbadania — sięgnąłem jej najgłębszego punktu. Morze, w którym nie brakowało niezbadanych głębin, narzucało się w sposób naturalny. Po zakończonej sukcesem wyprawie po latimerie, którą zrealizowaliśmy w 2001 roku w Zatoce Sodwana w RPA, zespół stał w gotowości, żądny kolejnych wyzwań. Przeprowadziliśmy bez ofiar w ludziach serię głębokich nurkowań, jakich prawdopodobnie nikt nigdy wcześniej w tak silnym prądzie nie wykonywał.

W 2004 roku miałem 53 lata. Nie jest to może najlepszy wiek, by bić na bieżni rekordy Usaina Bolta, ale przecież nie byłem zgrzybiałym staruszkiem. Oscar Swahn, kiedy w 1908 roku zdobył złoty medal olimpijski w strzelaniu, miał 60 lat. I wcale nie powiedział wówczas ostatniego słowa, bo 12 lat później, a więc w wieku 72 lat, zdobył srebrny medal na olimpiadzie w Antwerpii. Kiedy Ian Millar w 2008 roku na letnich igrzyskach w Pekinie poprowadził do zwycięstwa kanadyjskich jeźdźców biorących udział w konkursie skoków przez przeszkody, miał 61 lat. Najbardziej jednak niesamowitym przykładem jest urodzony w 1949 roku Larry Holmes, który powrócił na ring w 1991 roku, aby 7 lutego 1992 roku pokonać Raya Mercera, niepokonanego złotego medalistę olimpijskiego z 1988 roku. Natomiast 18 czerwca 1999 roku powstrzymał Jamesa Smitha w ośmiu rundach, a rok później pokonał Mike'a Weavera w sześciu rundach. Jego ostatnia walka miała miejsce 27 lipca 2002 roku w Norfolk w stanie Virginia. Jednogłośnie decyzją sędziów pokonał wtedy Erica Escha w dziesięciu rundach. Larry miał wówczas 53 lata, czyli tyle samo co ja w 2004 roku. Nie byłem zresztą jedyną w świecie głębokiego nurkowania osobą, która cieszyła się wiekiem dojrzałym. Mój przyjaciel Jim Bowden ustanowił światowy rekord Guinnessa w nurkowaniu głębokim w meksykańskim cenocie El Zacatón w 1994 roku, mając 54 lata.

Wykonując głębokie nurkowania w Boesmansgat, ścigałem się nie tyle z innymi, ile z samym sobą. Hasenmayer, Exley i Bowden wyprzedzali mnie zawsze o kilka długości i byłem przekonany, że to właśnie do nurków takich jak ja skierowana była sarkastyczna uwaga Jima Bowdena, którą opatrzył swój profil dekompresji z rekordowego nurkowania, opublikowany w październikowo-listopadowym numerze magazynu „AquaCORPS” z 1995 roku: „Nie próbujcie tego w domu, dzieciaki!”. Exley, jego nauczyciel, był ostrożniejszy w ocenie potencjalnej konkurencji. Po nurkowaniu ze mną w Boesmansgat przyspieszył projekt w jaskini El Zacatón — wiedział, że raczej prędzej niż później zacznę mu deptać po piętach.

Kiedy ustanawiałem swój pierwszy rekord Guinnessa, obrałem za cel 290

metrów. Łatwo obliczyć, że planowana głębokość przekraczała zaledwie o 8 metrów rekord ustanowiony przez Bowdena na głębokości 281,9 metra. Gdyby jaskinia Boesmansgat sięgała 330 metrów, czy zmieniłbym zaplanowaną głębokość nurkowania? Pewnie w końcu taki właśnie postawiłbym sobie cel — zakładając, że przeżyłbym nurkowania poprzedzające finalne zejście na tę głębokość. Miałem wówczas 44 lata, a zatem już tylko rok dzielił mnie od osiągnięcia średniej długości życia nurków schodzących na duże głębokości, zarówno bowiem Exley, jak i Bennett zginęli w wieku 45 lat. Sądziłem wówczas, że mam wystarczająco dużo wytrwałości, by przynajmniej dotrzeć na dno. Powrót był już zupełnie inną kwestią, ale szczęśliwie dla mojej przyszłej córeczki dno znajdowało się mniej więcej na głębokości 282,6 metra, a nie głębiej. W 1996 roku wiedziałem, że będzie to jedno z najgłębszych — o ile nie najgłębsze — nurkowań jaskiniowych w historii, a przy tym najgłębsze nurkowanie z akwalungiem. Wiedziałem, że jeśli przeprowadzę to nurkowanie i przeżyję, to znajdę się w tej samej lidze co trzej pozostali nurkowie. Byłaby to bez wątpienia kulminacja mojej kariery nurkowej.

Abstrahując na chwilę od rekordów i medali, nie ulega wątpliwości, że głębia zawsze mnie kusila. Wystarczyło, żebym spojrzał na powierzchnię jakiegokolwiek zbiornika wodnego, a zaczynałem się zastanawiać, co kryje się w jego czeluściach. Czy jest tam dno, ściana czy korytarz prowadzący ku nieznanemu? Jak można go zbadać? Jakie przygotowania przedsięwziąć? Nurkowie i wędkarze mają wiele wspólnego: zawsze patrzą na wodę z tym samym zainteresowaniem. Polować znaczy badać. Poszukiwanie nadaje odkryciom wartość. Znalezieniu odpowiedzi zawsze towarzyszy spadek nastroju — pojawia się dziwne uczucie braku wynikające ze spadku poziomu adrenaliny. Do czasu rozpoczęcia kolejnej przygody człowiek popada w przygnębienie. Na szczęście zawsze coś czai się za horyzontem.

W głębokim nurkowaniu poszukiwanie jest częścią projektu. Nurkowaniu towarzyszy takie samo podniecenie jak planowaniu kolejnej wyprawy. We wszystkim tym chodzi oczywiście o zobaczenie czegoś, czego nikt jeszcze nigdy nie widział, ale też o jazdę po bandzie, na granicy ludzkich możliwości. Kiedy ocierasz się o śmierć, czujesz, że naprawdę żyjesz. To niepowtarzalne doświadczenie: zrobiłeś coś, co mogło cię zabić. Jeśli przeżyjesz, zdobędziesz większą pewność siebie — i być może fałszywe poczucie bezpieczeństwa. W moim przypadku wszystkie projekty były zawsze starannie zaplanowane. Człowiek bardzo szybko zdaje sobie sprawę, że bicie rekordów jest niebezpieczne. Naprawdę głęboko nurkując, zaczynasz przekraczać granice

własnych możliwości, a przy tym granice możliwości ludzi, których w wielu przypadkach prawie nie znasz. Na początku kariery nurkowej gromadzisz doświadczenia, podążając śladami innych. Ich ścieżki mogą być bardziej strome niż twoja i łatwo jest popełnić błąd.

W każdej dyscyplinie do większości wypadków dochodzi w drugim roku jej uprawiania. Myślisz, że już wszystko wiesz, i próbujesz prześcignąć kogoś, kto przez wiele lat przygotowywał się do pokonania ścieżki, którą właśnie zamierzasz podążyć. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale jeśli pójdziesz na skróty, noga może ci się powinąć. Usain Bolt, w przeciwieństwie do mnie i Herberta Nitscha, nie zginie, jeśli nie uda mu się przebiec 100 metrów w czasie 9,8 sekundy. Dlatego Mark Ellyatt słusznie nazwał się morskim gladiatorem. W przeciwieństwie do lekkoatletów my zazwyczaj nie dostajemy drugiej szansy. Szansę na przeżycie daje jedynie wycofanie się, zanim człowiek popełni śmiertelny w skutkach błąd.

Kiedy po raz pierwszy nurkowałem w systemie jaskiń Guinas w Namibii, nie doceniano zagrożeń, z którymi wiązało się głębokie nurkowanie. Wszyscy byliśmy w tym sporcie nowi. Nurkowałem z Dave'em Culverwellem, drugą parę tworzyli Mike Bailey i Sandy Murray. Cała grupa miała tylko dwa głębokościomierze, oba moje, i jeden z nich działał zaledwie do głębokości 60 metrów. Drugi głębokościomierz, wyprodukowany przez firmę Dacor, był lepszy, działał bowiem do 90 metrów, co jak na tamte czasy było ekstremalną głębią. Zanurkowałem pierwszy z Dave'em i przekroczyliśmy 90 metrów (dysponowaliśmy tym lepszym głębokościomierzem). Podczas wynurzenia, na naszym pierwszym przystanku dekompresyjnym, minęliśmy się z drugim zespołem, który wziął nasz „głęboki” głębokościomierz i zszedł na 90 metrów. Podczas schodzenia mieli nam przekazać swój „płytki” głębokościomierz, abyśmy według jego wskazań przeprowadzili swoją dekompresję, ale tak się nie stało. Przeprowadzaliśmy dekompresję i nie mogliśmy za nimi popłynąć. Na linie opustowej nie było żadnych znaczników głębokości, więc przesuwaliśmy się w górę liny, mierząc sobie odległości dłonią i zgadując w przybliżeniu aktualną głębokość, by wyznaczyć kolejne przystanki dekompresyjne. Drugi zespół dobił do nas w końcu na ostatnim przystanku dekompresyjnym, na głębokości 3 metrów. Nie pomyliliśmy się za bardzo, szacując głębokość tego ostatniego przystanku.

Nigdy nie nurkowaliśmy z myślą, żeby się znarkotyzować — problem polegał na tym, że byliśmy znarkotyzowani, ale dotarło to do nas znacznie później, kiedy próbowaliśmy wykonywać prace na dużych głębokościach. Te pierwsze doświadczenia z głębokim nurkowaniem na powietrzu były jednak nieocenione.

Podobnie jak Dan Manion, który w 1994 roku ustanowił światowy rekord nurkowania na powietrzu, osiągając głębokość 155 metrów, byliśmy niemal całkowicie obojętni na narkozę i nie pamiętaliśmy czasu spędzonego na głębokości dennej ani nawet faktycznie osiągniętej głębokości (głębokościomierze nie zapisywały maksymalnej osiągniętej głębokości). Nasze marne nurkowanie na 90 metrów na powietrzu niewiele pozwoliło nam zobaczyć, ale po wynurzeniu się na powierzchnię mogliśmy się puszyć do woli. Dzielił się emocjami przy ognisku, podsmażając na węglach skwierczące steki i popijając piwo. Niewielu moich przyjaciół, włącznie ze mną, interesowało się jakimikolwiek innymi sportami poza nurkowaniem. Na nic innego nie mogliśmy sobie pozwolić, gdyż nurkowanie było wystarczająco kosztowne. Wyjątkiem był Witek Śmiłowski, bo poza sportami motorowymi uprawiał też skoki spadochronowe. Inny słynny nurek głęboki, Hal Watts, jest również kolarzem.

Z punktu widzenia mediów próba pobicia rekordu świata podjęta w 2004 roku dotyczyła przede wszystkim wykorzystania nowego automatu oddechowego. Nie chodziło o żaden z moich starych automatów Poseidon Cyklon 5000 z pozdrapywanym i wyblakłym logo, które zaliczyły wiele nurkowań, w tym rekordowe w Boesmanskogat w 1996, ale o nowiutki Poseidon Xstream. To jedyny automat na rynku, którego producent gwarantuje bezawaryjne działanie do głębokości 200 metrów. Istnieje kilka modeli, które odróżniają się kolorem: zielony do nitroksu i czystego tlenu, czarny do głębokiego nurkowania i żółty octopus do nurkowania na powietrzu. O ile pamięć mnie nie zawodzi, zawsze nurkowałem z automatami Poseidona. Nieżyjący już dziś John Bennett zawsze nurkował z automatami Apeks. Wszystko jest kwestią upodobań.

Kiedy zacząłem nurkować, kupiłem jedną butlę, jeden automat, piankę, płetwy i maskę. W przeliczeniu na obecne ceny kosztowało mnie to najwyżej 700 dolarów. Wówczas wszystko było prostsze i tańsze. Dzisiaj, aby wykonać proste nurkowanie, należy kupić mnóstwo drogiego sprzętu nurkowego, przez co ten sport robi się zaporowo drogi i niewiele osób może sobie na jego uprawianie pozwolić. Niektóre konfiguracje sprzętowe kosztują od 5 tysięcy dolarów w górę.

O ile sobie przypominam, moją pierwszą maską był Technisub Falco, który wybrałem ze względu na niewielką objętość. Moim pierwszym automatem był na pewno Poseidon Cyklon 300. Największą z mojego punktu widzenia zaletą automatów Poseidona jest to, że można je wkładać do ust dowolną stroną.

Niezależnie od tego, jak jesteś zestresowany czy zdezorientowany (ty albo twój partner), nie popełnisz błędu, gdyż po Poseidona można sięgać z dowolnej strony i używać go w dowolnej pozycji, przy czym zawsze jest właściwą stroną do góry. Wyklucza to możliwość zachłyśnięcia się wodą, do którego dochodzi, gdy automat zostanie wsunięty do ust odwrotnie — po prostu nie istnieje taka pozycja. Wydychane powietrze tworzy bąbelki z boku, a nie przed maską. Xstream, który testowałem przed nurkowaniem w 2004 roku, był następcą Tritona, z którym bez żadnych problemów zszedłem na 120 metrów. Ku mojemu zaskoczeniu podczas jednego z kolejnych nurkowań Triton zawiódł na zaledwie 15 metrach bez żadnego oczywistego powodu. Wkrótce został wycofany przez Poseidona z oferty i tym samym stracił okazję, by stać się bohaterem jednego z moich rekordowych nurkowań. Jego miejsce podczas najgłębszego fragmentu nurkowania w 2004 roku zajął jego młodszy brat, Xstream.

W każdej dyscyplinie sportu toczą się dyskusje na temat przewagi świeżo wypuszczonych na rynek produktów nad ich starszymi odpowiednikami. Poseidon reklamował Xstream jako pierwszy na świecie automat o gwarantowanej sprawności działania przy nurkowaniu do głębokości 200 metrów. Certyfikat został wystawiony przez NOROK, norweską jednostkę certyfikacyjną specjalizującą się w testowaniu sprzętu wykorzystywanego na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Po nurkowaniu w 2004 roku przypadek automatu Xstream wyglądał jednak na powtórkę słynnej katastrofy napoju New Coke. W kwietniu 1985 roku Coca-Cola Company zmieniła smak standardowej coli, co wywołało gwałtowne protesty setek tysięcy konsumentów. Niecałe trzy miesiące później firma wróciła do „prawdziwej” coli, sprzedając ją początkowo pod nazwą Cola-Cola Classic, i wycofała nowy napój z większości rynków. Podczas nurkowania mało kto z nas zdaje sobie sprawę z tego, że korzystanie z dopiero co wypuszczonego na rynek, intensywnie reklamowanego, ale jeszcze nieprzetestowanego w praktyce sprzętu może mieć śmiertelnie poważne konsekwencje. Picie nowej coli przynajmniej cię nie zabije.

Trudno w to uwierzyć, ale nigdy w życiu nie nurkowałem tak naprawdę z pojedynczą butlą. Urodzony nurek techniczny? Może i tak. Prawdziwym powodem był sposób, w jaki zacząłem nurkować. W początkach swojej przygody z nurkowaniem głównie wyławiałem zatopione przedmioty z mętnych wód sztucznie utworzonego zalewu na rzece Vaal. Pojedyncza butla nie zawierała wystarczająco dużo powietrza, stąd wybór podwójnej. Swoją pierwszą twinset znalazłem w gazetowym ogłoszeniu. Był to połączony manifoldem zestaw dwóch galwanizowanych stalowych butli US Divers o pojemności 10 litrów; nie były

szczególnie drogie. Manifold pozwalał na wykorzystanie tylko jednego automatu. Później zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie lepiej jest mieć dwa automaty, i wyposażyłem się w nowiutki twinset butli Spirotechnique z dwoma zaworami i gniazdami INT. Była to solidna inwestycja do dnia, w którym jakiś nurek podczas wchodzenia do wody z pontonu (które wykonuje się z pozycji siedzącej, odchylając się do tyłu i wpadając do wody plecami naprzód) potracił jeden z moich pierwszych stopni dokręconych do manifoldu — wystarczyła minuta, żeby z twinsetu uleciał cały gaz.

Na szczęście ten drobny wypadek miał miejsce na powierzchni i trudno go porównać z doświadczeniem Shecka w jaskini wulkanicznej na hiszpańskiej wyspie Lanzarote. Jego partner, Ken Fulghum, z powodu podobnej usterki manifoldu stracił cały posiadany gaz na głębokości około 50 metrów, w odległości 1300 metrów od wejścia do jaskini. Skłoniło mnie to do zastanowienia się nad tym, jak niebezpieczne jest nurkowanie z jednym tylko źródłem gazu. Po tym wypadku Sheck napisał: „Czasem się zastanawiam, czy tak naprawdę nie utonąłem w Tunelu Atlantydy. Może wszystko, co przydarzyło mi się od tamtego dnia w 1982 roku, było tylko snem. Tak czy inaczej, po takim wydarzeniu z pewnością łatwiej jest pogodzić się z rozczarowaniami, jakie niesie ze sobą codzienna egzystencja. W końcu mógłbym się przecież teraz unosić bez życia w wulkanicznym Blue Hole na Lanzarote i w ogóle nie mieć żadnych życiowych dylematów”. Ucząc się na własnych błędach i czerpiąc z doświadczeń Shecka, zastąpiłem swój dwubutłowy zestaw Spirotechnique z manifoldem zestawem dwóch niezależnych butli. Przerzuciłem się również z gniazd INT na DIN. Mniejsze jest prawdopodobieństwo, że o-ring puści.

Aż do 1993 roku mocowałem butle do standardowej kamizelki wypornościowej. Swój pierwszy zestaw skrzydeł, wyprodukowanych przez Dive Rite, kupiłem wkrótce po nurkowaniu Shecka w Boesmansgat. Podobnie jak on, dla zwiększenia bezpieczeństwa korzystałem z dwóch oddzielnych skrzydeł. Później używałem skrzydeł robionych na zamówienie przez Triple L. Chodziło o to, by po każdej stronie znajdował się jeden inflator, przy czym lewy inflator był podłączony do lewej butli, a prawy do prawej. Żadnego krzyżowania się węży. Kolejnym elementem, który podpatrzyłem u nurków reprezentujących amerykańską szkołę nurkowania jaskiniowego, był brak pasa balastowego. Normalnie podczas nurkowania w słodkiej wodzie nie korzystam w ogóle z pasa balastowego. Mocowana na plecach płyta waży około 2 kilogramów, a stalowe butle mają ujemną pływerność, dokładając kolejne 5 kilogramów. Całkowity ciężar na poziomie 7 kilogramów wystarczy, by podczas dekompresji nie zostać

wyrzuconym na powierzchnię.

Inne kwestie konfiguracyjne są znacznie prostsze. Nie korzystam z argonu, by napełnić gazem swój suchy skafander, bo jest to gaz wysoce narkotyzujący, który może przenikać przez skórę. Tym samym modna 1-litrowa butla nie jest częścią mojego wyposażenia. Nie korzystam również ze sprzączek pozwalających dopasować uprząż, chociaż pod tym akurat względem nie różnię się od większości nurków technicznych. Noszę kask nurkowy, w czym upodabnam się do wszystkich grotołazów z całego świata (możecie mi wierzyć albo nie, ale w Wetsgat i wielu innych jaskiniach zdarza się, że kawałki skał odrywają się od sklepienia). Jak wszyscy, mam przy sobie nóż, kieszeń na pasie, maskę i płetwy. Moimi pierwszymi płetwami były Jet Fins produkcji ScubaPro, ale już ich nie używam, bo właściwie sprawdzają się dość słabo. Są ciężkie, co akurat nie jest takie złe, ponieważ ich waga równoważy dodatnią pływalność suchego skafandra. Dość nieefektywnie wykorzystują jednak energię nurka, nie pozwalając szybko odpłynąć w razie konieczności. Po zużyciu drugiej pary zastąpiłem je płetwami Mares Avanti Quattro i naturalnie zerwałem tym samym wszelkie związki łączące mnie z ubranymi od stóp do głów na czarno nurkami, w których drżem i niespełnieni komandosi — abstrahując od tego, że moje quattro faktycznie były czarne. Mój prehistoryczny akumulator do latarki w społeczności nurków technicznych wywołuje słabo maskowane uśmieszki. Jest niemal równie duży i ciężki jak 6-litrowa butla, ale ma unikalną cechę: kilka lat temu kupiłem go od Jarroda Jablonskiego, słynnego z rekordowego nurkowania w Wakulla Springs na Florydzie.

Przeglądając swoje zapasy sprzętu nurkowego, zdałem sobie sprawę z tego, że istnieją dwa typy sportów: niesprzętowe i sprzętowe. Niektórych ludzi pociąga bieganie, a aby je uprawiać, wystarczy para butów i krótkie spodenki. Nurkowanie z akwalungiem jest inne. Przywołując wypowiedź Michaela Menduno, redaktora magazynu „AquaCORPS”, z 1992 roku: „Trzeba mieć tonę sprzętu”. Niektórych z nas to akurat bawi.

Okolo roku 2000 Poseidon zastąpił model Triton modelem Xstream i dał mi egzemplarz pokazowy do przetestowania. Wykonałem z nim dziesiątki przekraczających 100 metrów nurkowań, podczas których sprawdzał się bardzo dobrze i nie sprawiał żadnych kłopotów, aż w końcu zszedłem przy jego pomocy na 194 metry z Leszkiem Czarneckim. Poddawaliśmy te automaty wszechstronnym testom i uznaliśmy, że spełniają pokładane w nich nadzieje. W 2004 roku miałem nurkować z automatem Xstream, przy czym Cyklon 5000 i Cyklon 300 miały pełnić funkcję automatów zapasowych; przetestowano je już na głębokościach

przekraczających 280 metrów. Chociaż automaty Xstream były mocowane na większości moich butli z gazem podróznym, na pojedynczej butli awaryjnej zamocowałem Cyklon 5000. Uznałem, że nawet jeśli wszystkie nawalą, zawsze będę miał coś, co do tej pory nigdy nie zawiodło.

W kwestii sprzętu jedno jest pewne: prędzej czy później zawiedzie. Nie zliczę, ile komputerów nurkowych Uwatec implodowało na dużej głębokości podczas przeprowadzanych przeze mnie nurkowań. VR3? Przynajmniej cztery: jeden rozpadł się w komorze dekompresyjnej, sprężony na głębokość 300 metrów, w drugim elektronika została całkowicie zalana wodą po tym, jak wrzuciliśmy go na podobną głębokość na końcu liny, a pozostałe dwa pękły podczas bardzo głębokich nurkowań (zapisały głębokości, na których uległy awarii: jeden 282 metry, a drugi 291 metrów). W 2004 roku założyłem na prawy nadgarstek komputer Parkway Uwatec, a na lewy standardowy Uwatec. Co ciekawe, Parkway przetrwał. Pokazał 280 metrów w słodkiej wodzie, chociaż faktyczna głębokość w słonej wodzie wyniosła 271,6 metra. W przypadku bardzo głębokich zejść nigdy nie polegałem wyłącznie na komputerach. Mogę wręcz powiedzieć, że podczas moich rekordowych nurkowań urządzenia te nie odegrały żadnej istotnej roli. Kluczowe znaczenie ma zawsze harmonogram dekompresji opracowany na moim laptopie przed nurkowaniem. Aby określić głębokość, posługuję się opustówką ze znacznikami głębokości, czas określam natomiast za pomocą zegarków Casio. Ta prosta metoda dobrze się sprawdza.

W początkach swojej kariery nurkowej byłem miłośnikiem zegarków nurkowych Omega — w końcu poleciały przecież nawet na Księżyc. Kupiłem uwieczniony na nadgarstku Jamesa Bonda w filmie *Golden Eye* zegarek Seamaster 200, który został zaprojektowany w 1968 roku i wszedł do produkcji dwa lata później. Producent gwarantował sprawność jego działania do głębokości 200 metrów, a tymczasem mój egzemplarz rozszczelił się podczas stosunkowo płytkiego nurkowania na 60 metrów w Boesmangat. Wysłałem go do Szwajcarii i natychmiast otrzymałem od producenta nowy. Wróciłem do Boesmangat i zanurkowałem na 90 metrów — tym razem zegarek kompletnie zaparował od środka. Wysłałem go z powrotem i wymienili mi go jeszcze raz, ale straciłem już cierpliwość i zaufanie do marki Omega i wybrałem się do przedstawiciela Casio. Zadeklarowali, że będą mnie sponsorować, ale muszę natychmiast, jeszcze przed wyjściem z ich biura, wyrzucić swoją omegę do kosza. Niewiele myśląc, tak właśnie zrobiłem, a Casio zgodnie z obietnicą obdarowało mnie i mój zespół zegarkami, które zaspokoiły nasze potrzeby podczas wszystkich kolejnych wypraw. W ten właśnie sposób zacząłem kolekcjonować zegarki Casio. Po

bardzo wielu wyprawach i naprawdę głębokich nurkowaniach, jak choćby to z 2004 roku, muszę przyznać, że nigdy nie mieliśmy z tymi zegarkami żadnych problemów. W ramach testów wrzuciłem kiedyś do morza na końcu długiej liny, na głębokość 345 metrów, zegarek Casio atestowany do 200 metrów. Po wyciągnięciu nadal działał bez zarzutu.

Zawodzą nawet nowoczesne, rozreklamowane komputery nurkowe. Widziałem, jak kilka komputerów Liquivision padło podczas rekordowego nurkowania wrakowego we włoskim jeziorze Maggiore. Szczerze mówiąc, bardzo niewiele osób potrzebuje komputera nurkowego przetestowanego do głębokości 200 metrów, a jeszcze mniej do 300 metrów. Tak samo jak niewiele osób będzie kiedykolwiek prowadzić Bugatti Veyron Super Sport z prędkością 460 kilometrów na godzinę, ale dla właściciela miła jest świadomość, że posiadany przez niego samochód potrafi tak zawrotną szybkość osiągnąć.

Nurkowanie bez komputera jest moim zdaniem absolutnie możliwe. Nurkowie z amerykańskiej organizacji Global Underwater Explorers (GUE) robią to z powodzeniem. W ten sposób nurkowanie staje się prostsze i tańsze. Biorąc pod uwagę, że koszt najnowocześniejszego komputera przekracza 1300 dolarów, pozwala to na znaczne oszczędności. Spędzanie czasu pod wodą nie jest tanie, a rezygnacja z zakupu komputera pozwala przeznaczyć ograniczone zasoby na sprzęt o naprawdę krytycznym znaczeniu (a jest go sporo). Członkowie GUE uczą również upraszczania konfiguracji sprzętu i jego standaryzacji w ramach zespołu. Wdrożyłem tę koncepcję podczas wyprawy po latimerie w 2001 roku. Jest to praktyka z pewnością bezpieczna. Uzupełnienie jej zastosowaniem trimiksu na bardzo niewielkich głębokościach, począwszy już od 30 metrów, zasadniczo czyni nurkowanie bezpieczniejszym. Jeśli zaczynasz swoją karierę ze standardową konfiguracją sprzętową GUE, będziesz względnie bezpieczny. Kiedy nauczam nurkowania technicznego, przybliżam kursantom dwa systemy, a mianowicie system manifoldowy Hogartha (przejęty przez GUE) z automatem na długim wężu i system dwóch niezależnych butli mocowanych na plecach lub z boku. Jeśli jednak chcesz bić rekordy głębokości, nie będziesz korzystać z uznanych konfiguracji sprzętowych. Będziesz musiał opracować własny system.

Nie jestem zwolennikiem głębokiego nurkowania z nieprzetestowanym sprzętem, bo zawieść może nawet dobrze przetestowany sprzęt, a od tego zależy przecież ludzkie życie. Słynny niemiecki nurek jaskiniowy Jochen Hasenmayer od czas wypadku w 1989 roku, kiedy to prawie zginął w położonym na wschód od Salzburga jeziorze Wolfgangsee, przykuty jest do wózka inwalidzkiego. Przyczyną wypadku było nieprawidłowe działanie głębokościomierza, w wyniku czego

Hasenmayer przeprowadził dekompresję nie na 40, lecz na 25 metrach. Sprzętu nurkowego nie da się naprawić na poczekaniu i od ręki. Nawet jeśli chodzi o jakiś drobiazg, inżynier w fabryce będzie musiał rozebrać, złożyć i przetestować ponownie sprzęt, zanim będzie można mówić o uzyskaniu jakiegokolwiek pewności co do jego niezawodności. Odnosi się to również do oprogramowania nurkowego. Ostatnia wersja programu Z-Planner została wydana w 1996 roku i od tamtego czasu wypuszczono na rynek wiele innych programów, z których sporo robi wrażenie wyglądem, oferowanym wsparciem technicznym i regularnymi aktualizacjami. W oparciu o profile opracowane z wykorzystaniem Z-Plannera wykonano setki tysięcy nurkowań i sporadycznie się zdarzało, by nurkowie cierpieli później z powodu objawów choroby dekompresyjnej. Lepsze jest wrogiem dobrego. To trochę jak z telefonami komórkowymi: co kilka miesięcy pojawia się „nowy”, „lepszy” — i oczywiście droższy — model, ale to jeszcze nie powód, żeby go kupować.

Moje przekonanie, że w nurkowaniu nie dostajesz drugiej szansy, odzwierciedla się w moim podejściu do ludzi i sprzętu. Theo van Eedena zapytano kiedyś, czy zdarzyło mu się widzieć mnie rozzłoszczonego, na co odpowiedział: „Tylko raz, w 1996 roku, kiedy Craig Newham pomieszał butle z gazem dekompresyjnym Nuna. To było podczas bicia rekordu świata w Boesmansgat. Mieszaliśmy nitrox. Butle — dziesiątki butli — ustawione były razem po jednej stronie, a na każdej z nich były wyraźne oznaczenia: EAN50, EAN35 i tak dalej. Nuno je napełniał, a później analizował. Po przeprowadzeniu analizy umieszczał nową naklejkę wskazującą maksymalną głębokość operacyjną (MOD) i faktyczne parametry nitroksu. Nagle przyszedł Craig i wziął jedną z butli, które miały jeszcze zostać dopełnione. Było na niej jeszcze stare oznaczenie EAN35, ale na tym etapie w środku znajdował się tylko czysty tlen. Craig odszedł może 20–30 metrów, kierując się ku brzegowi jeziora, kiedy nagle Nuno zorientował się, co się dzieje. Pamiętam, jak wrzeszczał z wściekłością: »Czy ty chcesz mnie zabić?! Czy ty naprawdę chcesz mnie zabić?!«. Nigdy więcej nie widziałem już Craiga na żadnej głębokiej wyprawie nurkowej”. Ludzie są czasem nieświadomi tego, że nawet niewielki błąd w tak złożonym przedsięwzięciu może w ciągu kilku sekund doprowadzić do śmierci lub trwałej niepełnosprawności nurka. Gdybym w porę się nie zorientował, to po nabraniu w płuca czystego tlenu na głębokości 35 metrów dostałbym napadu drgawek i utonął.

Wielu nurków padło ofiarą nieprawidłowo oznaczonych butli. Jednym z nich był Knut Aksel Isaksen, instruktor PADI z Norwegii, który zginął w 2000 roku po przełączeniu się na czysty tlen na głębokości 21 metrów. Przez pomyłkę wziął

dwie butle stage z tlenem; jedna z nich powinna być wypełniona nitroksen 50. W 2011 roku w zbiorniku Whiskey Still doświadczony nurek WKPP Jim Miller odetchnął nitroksen 50 na głębokości 70 metrów i zmarł. Tego samego roku Robert Klein, instruktor NACD nurkujący z rebreatherem Tres Presidentes PSCR we francuskiej jaskini Saint-Sauveur, prawdopodobnie na głębokości 35 metrów wciągnął do płuc czysty tlen, w wyniku czego poniósł śmierć. Inny instruktor, Jeffrey Mitchell, z platynowym plastikiem SSI, zginął z powodu nieprawidłowo oznaczonych butli na wraku Hydro Atlantic w 2012 roku. Audrey Mestre, żona słynnego nurka swobodnego Pipina Ferrerasa, zginęła dlatego, że podczas jej próby bicia rekordu świata w nurkowaniu na wstrzymanym oddechu ktoś zapomniał napełnić powietrzem butlę służącą do napełniania balonu wynoszącego nurka na powierzchnię. Dave Shaw zginąłby, oddychając swoim gazem awaryjnym (który omyłkowo miał bardzo wysokie ciśnienie parcjale tlenu), gdyby nie dopadł go najpierw HPNS. Po przeczytaniu wszystkich tych raportów robisz się przewrażliwiony. Przed nurkowaniem stanowiącym rekord świata zawiadomiłem cały zespół, że musimy poświęcić przynajmniej 24 godziny na to, by wspólnie z Krzysztofem Hryncyszynem na spokojnie napełnić butle, przeanalizować mieszanki i je oznaczyć. „Każda butla co do jednej została przeanalizowana i odpowiednio oznaczona przez samego Nuna. Wkrótce znaleźliśmy już wszystkie butle i ich zawartość na pamięć — mówi Hryncyszyn, odrobinę tylko przesadzając. Napełnienie wszystkich butli przeznaczonych na to nurkowanie i właściwe ich oznaczenie zajęło dwa dni. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że coś może się z nimi stać podczas transportu, ale wszyscy byliśmy niesłychanie ostrożni. W większości centrów nurkowania technicznego obowiązuje zasada, że jedyną osobą, która zajmuje się sprzętem, jest jego właściciel. Konfigurowanie twinsetu przypomina składanie spadochronu — jeśli zrobisz to źle, to właśnie ty poniesiesz konsekwencje. Nikogo poza tobą nie będzie można obarczyć winą. Niektórzy szczególnie nieufni instruktorzy w bazie Planet Divers umieszczają na swoich rzeczach naklejki z napisem „nie dotykać”. Ja tego nie robię, bo prawdopodobnie bardzo szybko zabrakłoby mi naklejek. Jest to jeden z powodów, dla których spośród wielu ośrodków nurkowych wybrałem Dahab i jego bazę Planet Divers.

„Dlaczego nie Szarm el-Szejk?” — zapytał doktor Adel Taher i początkowo nie potrafiłem podać mu najistotniejszej przyczyny. Pytanie zostało zadane ze względu na komorę dekompresyjną, a raczej jej brak, w Dahabie w 2004 roku. Pomijając kwestię komory, leżący w zatoce Akaba Dahab był idealnym miejscem. W tej osłoniętej zatoce — przynajmniej teoretycznie — nie występują podwodne

prądy, silne wiatry ani wysokie fale. Woda jest ciepła i krystalicznie czysta, morze przy brzegu głębokie (100 metrów i więcej), a otchłań — w zasadzie na wyciągnięcie ręki. Dahab oferuje unikalną atmosferę zastygłej w czasie rybackiej wioski doprawioną subkulturą europejskich hippisów. Miejsce to odkryto we wczesnych latach 80.; Dahab jest blisko i znacznie łatwiej do niego dotrzeć niż odbyć kosztowną podróż do indyjskiego Goa. Egipska oaza wydaje się idealnym miejscem na imprezę. Niewiele osób wie — prawdopodobnie nie wiedzieli o tym również hippisi — że historia Dahabu rozpoczęła się w czasach Mojżesza, a miasto wspomniane jest w *Biblii* pod nazwą „Di Zahab”. Krótki spacer od miejsca o nazwie Lighthouse ku południowej części miasta pozwala obejrzeć pozostałości osiedli Nabatejczyków z I wieku przed Chrystusem.

Aż do 1982 roku niewielka społeczność ludzi z całego świata mieszkała w Masbat, prawdziwym centrum miasta, gdzie większość turystów rozpoczyna swoją przygodę z nurkowaniem i zdobywa pierwsze szlify. Na północ od Masbat leży Assalah. Kiedyś do tej beduińskiej wioski nie było wstępu, teraz znajduje się tam lokalny targ. Można wynająć pokoje w niewielkich, cudownych hotelikach lub nawet całą willę z oszałamiającym widokiem na zatokę. Dalej na północ miasto się zwęża, przyjmując w końcu postać żwirowej drogi prowadzącej do słynnego Blue Hole. W Assalah i Masbat roi się od nurków, natomiast południowa część Dahabu o nazwie Medina jest mekką wysokiej klasy windsurferów. W tak niewielkiej odległości od Europy nie ma drugiego takiego miejsca, w którym silne, stałe wiatry w połączeniu z niewielką głębokością tworzyłyby równie doskonałe warunki do uprawiania windsurfingu. Pomiędzy oboma miastami leży Mashraba, dla odwiedzających Dahab ostatni przystanek, na którym w niezliczonych sklepach mogą się zaopatrzyć w pamiątki.

Kiedy w kwietniu 1982 roku półwysep Synaj został zwrócony Egiptowi na mocy porozumienia w Camp David, cudzoziemcy wyjechali z Dahabu i przez prawie pięć lat miasto zamieszkiwali wyłącznie beduini. Rząd Mubarak zaczął odbudowywać infrastrukturę miasta w 1987 roku i wkrótce potem dociągnięto elektryczność do pierwszych domów, hoteli i kawiarni. Otwarto pierwsze sklepy nurkowe, Inmo i Nesima, i wkrótce Dahab stał się międzynarodowym ośrodkiem nurkowym i windsurfingowym.

„Był taki moment — wspomina Krzysztof „Junior” Hrynczyszyn z polsko-egipskiej bazy Planet Divers — że dziennie napełnialiśmy więcej butli niż wszystkie pozostałe bazy nurkowe razem wzięte”. W szczytowych tygodniach baza obsługiwała nawet 280 nurków. Aby ich wszystkich sprowadzić pod wodę, potrzebowała ponad 300 butli, około 30 twinsetów i 20 przewodników

nurkowych. Nie różniło się to specjalnie od centrów nurkowych w pobliskim Szarm el-Szejk. Bilet lotniczy z Europy do Szarm i z powrotem kosztuje około 400 dolarów i co wtorek minivany Planet Divers zabierają z lotniska około 60 osób. Wszystkie pokoje mają zawsze pełne obłożenie; w 2006 roku w pobliżu starego hotelu Planet Oasis zbudowano nowy, Sea Relax. Baza nurkowa ma wszystko, czego potrzeba: hel, tlen, twinsety, ciężarówki pozwalające przewozić nurków z jednego miejsca w drugie, kierowców oraz wielu polskich, czeskich i egipskich instruktorów.

„200 ludzi tygodniowo było normą. Napełnianie dziennie do 730 butli było potężną, ale dającą się opanować operacją” — wspomina Hrynczyszyn. Zarządzający bazą Piotr Paszek, Ivo Kollár i „Sheikh” Mohammed wybrali najlepsze — zdaniem Hrynczyszyna — miejsce i czas, by wystartować ze swoim przedsięwzięciem. Polska przeżywała okres prosperity i port lotniczy w Szarm el-Szejk co miesiąc dostarczał tysiące klientów. „W Dahabie żniwa przypadały na październik i listopad, mieliśmy wtedy komplet klientów” — mówi Hrynczyszyn. W kulturze, w której ludzie nie noszą zegarków, wyrafinowana logistyka bazy Planet Divers sprawiała, że jej wybór jako miejsca próby ustanowienia nowego rekordu narzucał się w sposób naturalny. „Jeszcze przed Gomesem w Planet Divers ustanawiane były mniejsze, lecz znaczące rekordy krajowe” — mówi Hrynczyszyn. Większość z nich ustanawiano w rejonie The Bells/Blue Hole, gdzie w odległości zaledwie 30 metrów od brzegu głębokość może przekraczać 200 metrów. „Prawdopodobnie niezbyt daleko od brzegu można znaleźć miejsca o głębokości 300 metrów” — potwierdza Marcin Chochorowski, który przeprowadził tam wiele głębokich nurkowań.

Niezwykła głębokość przyciągnęła setki nurków technicznych. Wielu nigdy nie opuściło Blue Hole, a dziennikarze zaczęli nazywać to miejsce cmentarzem nurków. Tarek Omar, nazywany przez niektórych kolekcjonerem ciał, częściowo utrzymuje się z wydobywania w Dahabie zwłok nurków. Szacuje się, że na przestrzeni ostatnich 15 lat życie straciło w Dahabie ponad 130 nurków. Byli wśród nich tak znani jak Krzysztof Benducki, który zginął podczas nurkowania na 160 metrów (był on mężem obecnej rekordzistki Polski w nurkowaniu głębokim, Elżbiety Benduckiej). Brigitte Lenoir zginęła w Dahabie w 2010 roku, przygotowując się do pobicia kobiecego rekordu głębokości nurkowania na rebreatherze. Pascal Bernabé, głęboki nurek zabezpieczający, nie zdołał jej ocalić. Zginął tam również James Paul Smith, szkoleniowiec instruktorów PADI, którego życiowe credo zawierało się w słowach: „Nie pozwól, by strach przeszkodził ci w realizacji marzeń”. Większość z nich zginęła w podwodnej

studni krasowej na głębokości około 130 metrów. Główna komora jaskini łączy się z otwartym morzem tak zwanym łukiem, czyli tunelem długości 26 metrów, którego sklepienie wypada na głębokości 56 metrów. Dean's Blue Hole na Bahamach jest niemal dwukrotnie głębsza, ale nie ma łuku. Większość żądnych przygód nurków stawia sobie za cel przepłynięcie łuku Blue Hole i powrót przez płytką przełęcz w rafie koralowej. Niestety nazbyt często nurek oddychający powietrzem ląduje na głębokości około 70 metrów, gdzie dopada go narkoza azotowa.

Blue Hole może być śmiertelnym zagrożeniem również dla doświadczonych nurków technicznych. Jedno z naszych nurkowań przygotowawczych w 2004 roku Pieter Venter nieomal przypłacił życiem. Zeszliśmy na dno, żeby sprawdzić działanie ultranowoczesnej kamery Pietera, która była ponoć w stanie wytrzymać ciśnienie panujące na 120 metrach. Na głębokości około 110 metrów, gdy dotykaliśmy już niemal dna, usłyszałem naprawdę głośny huk i zobaczyłem leżącego na dnie Blue Hole półprzytomnego Pietera. Obudowa kamery implodowała, tworząc potężną falę szokową, co daje efekt podobny do wybuchu granatu. Implozja rzuciła Pietera na dno, a mnie kompletnie zdezorientowała. Najpierw sądziłem, że Pieter nie żyje, ale wkrótce odzyskał panowanie nad sobą i przeprowadziliśmy prawidłowe wynurzenie. Kamera uległa całkowitemu zniszczeniu. Do zespołu dołączył Artur Pazzi, który został później kierownikiem wyszkolenia TDI, a bez którego mielibyśmy bardzo ograniczony materiał wideo, zwłaszcza z głębokości 50 metrów. Przed erą GoPro naprawdę trudno było o dobre podwodne obudowy wytrzymujące ciśnienie na dużych głębokościach.

Po pierwszej dekadzie nowego tysiąclecia kryzys finansowy i arabska wiosna ograniczyły wzrost gospodarczy miejsc takich jak Dahab. „Większość moich przyjaciół wyjechała z bazy Planet Divers i przeniosła się do Szarm albo Marsa Alam. Teraz działa tam mniej więcej ośmiu przewodników nurkowych” — mówi Marcin Chochorowski, który przez kilka lat pracował w bazie Planet Divers i nadal prowadzi tam szkolenia z nurkowania technicznego. Jednak w 2004 roku nurkowanie w Dahabie przeżywało okres swojej świetności, czego byliśmy obserwatorami i uczestnikami.

Żaden członek mojego zespołu nigdy wcześniej nie był w Egipcie. Co więcej, żaden nigdy nie nurkował w Morzu Czerwonym. Ale jak powiedział Hrynczyszyn: „Nurkował z nami Leszek Czarnecki, więc nie było żadnym zaskoczeniem, że mnie wysłali, żebym odebrał Gomesa z lotniska”. Leszek wypowiadał się na temat Dahabu w samych superlatywach, ale w końcu woda to tylko woda i wszędzie jest taka sama. Dlaczego Bennett wybrał Filipiny? Dlaczego Exley

i Bowden postanowili nurkować w El Zacatón? Dlaczego Starnawski robi wyprawy nurkowe do Hranickiej Propasti, a Wilamowski lubi jezioro Garda? Każdy z nas potrzebuje miejsca, które mógłby nazwać domem. Moim przybranym domem był Dahab. Idąc więc w ślady Mojżesza, który wspomniał o Dahabie, przemawiając do ludu Izraela na pustyni za Jordanem („Już dość waszego pobytu na tej górze. Ruszajcie, idźcie (...)), nasz mały zespół nurkowy z RPA opuścił Johannesburg i poleciał na północ, do Egiptu. Dahab nie sprawiał wówczas wrażenia wielkiego ośrodka turystycznego, co uznaliśmy za duży plus.

W 2004 roku włoscy potentaci nie zlokalizowali jeszcze Dahabu na swoich mapach i nie zbudowano jeszcze większości z 49 hoteli all inclusive. Działała już jednak niemiecka piekarnia Ralph's, w której można było dostać prawdziwe cappuccino, włoska pizzeria Eldorado i nieistniejący dziś bar Adam's z nieograniczonymi zapasami piwa Stella i tańczącymi od czasu do czasu derwiszami. Spośród kilku mieszczących się nad samym morzem knajpek najbardziej przypadła nam do gustu restauracja Shark. Jedząc tu późny obiad, można było dostrzec pod wodą światła latarek wskazujące lokalizację nurków przeprowadzających nocne nurkowanie. Uwielbiałem to. Było naprawdę idealnie.

Nam, którzy wychowaliśmy się w południowej Afryce, znajdujący się w północnej części kontynentu Dahab wydawał się bardzo odmienny. Dobiegająca o świcie z pobliskiego meczetu modlitwa przypominała nam, że jesteśmy w państwie muzułmańskim, a posterunki na wszystkich głównych drogach wychodzących z miasta potwierdzały, że jest to państwo policyjne. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Dahabu, by dotrzeć do Blue Hole lub nurkowiska Shark Caves, musieliśmy okazać paszporty, a czasem dać się obwąchać psom. Napięcie panujące w stosunkach pomiędzy beduinami a pozostałymi Egipcjanami nie było tak wyczuwalne jak później, gdy nie-Egipcjanie zaczęli padać ofiarą grup związanych z Al-Kaidą. W październiku 2004 roku islamiści przeprowadzili w egipskim kurorcie Taba zamach bombowy, w którym zginęły 34 osoby. Rok później, w lipcu 2005 roku, 88 osób zostało zmasakrowanych w Szarm el-Szejk. W 2006 roku w Dahabie dokonano trzech zamachów bombowych, w których śmierć poniosły 23 osoby, a 80 zostało rannych. Bomba wybuchła w pobliżu restauracji Nelson, którą mijaliśmy setki razy. Chociaż rząd Mubaraka uznał za sprawców zamachu organizację terrorystyczną obecnie funkcjonującą pod nazwą Państwo Islamskie, prawdziwą siłą, która stała za atakami, byli beduini rozwścieczeni polityką decydującą o kształcie lokalnego rynku pracy. Cudzoziemcy tacy jak my o niczym nie mieli pojęcia. Egipcjanie, z którymi spędzaliśmy czas, uważali się za Europejczyków, podobnie jak reszta z nas.

Bardzo rzadko wstępowaliśmy do prawdziwie arabskich restauracji jak te w pobliżu wejścia do bazy Planet Divers; menu było w języku arabskim i nikt go dla nas nie tłumaczył. W Dahabie zajmowaliśmy się przede wszystkim nurkowaniem, a nie rozwiązywaniem kulturowych dylematów. Może szkoda.

W 2004 roku w Dahabie dostępna była tylko jedna łódź, Ganet Sinai, która mogła przetransportować nurków kilka kilometrów od brzegu. Wszystkie centra nurkowe wypożyczały ją na jednodniowe safari na Rafie Napoleona i podmorskiej wyspie Forth Island. Z Dahabu można było dopłynąć łodzią do wraku brytyjskiego statku handlowego SS Thistlegorm, chociaż było to dość daleko. Wiedzieliśmy od samego początku, że nurkowanie zostanie przeprowadzone z wykorzystaniem obciążonej opustówki na otwartym morzu, w samym centrum zatoki Akaba, między Arabią Saudyjską i Egiptem, gdzie maksymalna głębokość sięga 1829 metrów. Musieliśmy znaleźć odpowiednio głębokie miejsce, w którym przeprowadzenie nurkowania nie byłoby zbyt trudne. Schodzenie w bezdennej toni jest znacznie trudniejsze niż nurkowanie, podczas którego wyraźnie widać dno. Po przyjrzeniu się linii brzegowej i odbyciu wyprawy na morze znaleźliśmy wreszcie miejsce położone mniej więcej 6 kilometrów od brzegu, z widokiem na hotel Hilton. Wykonana przez Theo opustówka, którą przywieźliśmy z RPA, miała długość 345 metrów. Przyczepione były do niej znaczniki głębokości: do 21 metrów co 3 metry, a niżej co 10 metrów. To Sheck zwrócił mi uwagę na to, że jeśli komputery i głębokościomierze zawiodą, zawsze pozostaje oznakowana lina pozwalająca zorientować się przynajmniej w głębokości. Na końcu liny, na głębokościach od 300 do 330 metrów, Theo umieścił cztery dające się odczepić znaczniki opatrzone podpisami doktora Ehaba Tomouma i doktora Zdzisława Sički.

Nurkowania przygotowawcze były w większości zejściami na powietrzu na głębokość maksymalnie 100 metrów. Po nich wykonaliśmy nurkowania na trimiksie na głębokości około 150 metrów. I ja, i członkowie mojego zespołu zdecydowanie zaczynaliśmy się przyzwyczajać do oddziaływania na nasze organizmy zarówno azotu, jak i helu. Byliśmy skoncentrowani na osiągnięciu wspólnego celu. Wszystkie kwestie personalne — jeśli takie były — zostały odłożone na bok. Przywiązywaliśmy dużą wagę do punktualności, trzeźwości i wysokiego poziomu kompetencji. Jeśli ktoś nie przestrzegał zasad, byliśmy w stanie zastąpić go bardziej skłonny do współpracy nurkiem, nie zaburzając przy tym pracy zespołu. Wtorek nie różnił się specjalnie od soboty. Wszyscy mieliśmy pracę do wykonania i wiedziałem doskonale, że nie tylko mój budzik dzwoni o piątej rano. Nadszedł wreszcie 23 lipca 2004 roku. Dzień nurkowania.

Najlepszą częścią każdego głębokiego nurkowania jest zawsze zejście w nieznane. Niezależnie od tego, jak szybko schodzisz, nie może się to równać ze skokiem Feliksa Baumgartnera ze stratosfery ani nawet z osiąganą przez Herberta Nitscha prędkością 100 metrów na minutę. Przed 2004 rokiem przeprowadzaliśmy czasem w komorze suche nurkowania na 100 metrów przy tempie zejścia wynoszącym przynajmniej 50 metrów na minutę. Przewyższało to znacznie zalecane maksymalne 30 metrów na minutę i człowiek miał poczucie, że wsiadł do kolejki górskiej. Nie można tego porównywać z zejściami podczas nurkowań na wstrzymanym oddechu Nitscha, ale dało nam to pewne wyobrażenie o bardzo szybkich zejściach. W kategoriach fizjologii jego trwające 4 minuty i 24 sekundy nurkowanie na wstrzymanym oddechu na głębokość 214 metrów w greckim Spetses było szaleństwem. Podczas zanurzania ciśnienie rośnie w oszałamiającym tempie. Jeśli nie wyrównujesz ciśnienia wystarczająco szybko, może zmiażdżyć ci czaszkę. Puste przestrzenie w czaszce, takie jak zatoki czołowe, znajdują się tuż przed mózgiem. Ich zmiażdżenie może mieć wpływ na wszystko, od widzenia po oddychanie. Kiedy zanurzasz się tak szybko, trzymasz dłonie na nosie i wyrównujesz ciśnienie co kilka sekund. Wystarczy nie wyrównać go raz, by doprowadzić do natychmiastowego popękania bębenków. Nitsch przyznaje, że się tego spodziewał: „Sądziłem, że bębunki mi popękają, ale oznaczałoby to najwyżej kilka tygodni bólu”. Jeśli zanurzasz się w tempie dwukrotnie szybszym niż to, w którym schodziliśmy w komorze, i nie wyrównasz ciśnienia choćby raz, doświadczysz obrażeń wewnętrznych. W komorze możesz przynajmniej z kimś porozmawiać, ale kiedy zanurzasz się, ciągnięty przez obciążoną windę, nie możesz natychmiast przerwać zejścia — kilka sekund opóźnienia jest nieuchronne i te kilka sekund może kosztować cię życie. Nurkowanie Nitscha trwało zaledwie kilku minut. To samo nurkowanie w komorze zajęłoby 4 do 5 godzin.

Na przestrzeni wszystkich tych lat przeprowadziłem bardzo wiele nurkowań w komorze hiperbarycznej. To znakomita metoda zaaklimatyzowania się i sprawdzenia, jak człowiek radzi sobie na dużej głębokości. Nigdy jednak nie zanurkowałem w komorze na 300 metrów. Nie ma bowiem w RPA komór, które mogłyby sprężyć nurka do 31 atmosfer czy choćby do 21 atmosfer (co odpowiada głębokości 200 metrów). Nawet gdyby były takie komory, suche nurkowanie nie jest całkowicie porównywalne z faktycznym nurkowaniem w wodzie. Wszystkie

swoje nurkowania w komorze wykonywałem głównie po to, by przyzwyczaić się do narkozy. Byłem ciekaw i chciałem się dowiedzieć, co można zrobić w warunkach wysokiego ciśnienia, oddychając różnymi mieszankami gazów. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że nawet oddychanie trimiksem na głębokości 50 metrów obniża co najmniej o 15 procent możliwości intelektualne. Na powietrzu lub nitroksie ten spadek możliwości jest znacznie większy i wynosi co najmniej 25 procent w przypadku doświadczonego nurka, a nowicjusze mogą doznać spadku swoich możliwości nawet o połowę. Przekonanie się na własnej skórze o spadku swojego potencjału intelektualnego pozwala nabrać pokory.

Tego dnia moje zanurzenie przypominało zjazd windą. Zamiast obserwować numery kolejnych pięter nieustannie wyrównywałem ciśnienie w uszach, sprawdzając liczby na komputerach VR3 i Parkway Uwatec i poprawiając sprzęt. Gdyby w tym momencie obok mnie przepływał wieloryb, to chyba bym go nie zauważył. Otaczała mnie oceaniczna pustka, wielkie nic przy widoczności przekraczającej 50 metrów. Podobnie jak Wielka Rafa Koralowa, Morze Czerwone przyciąga jak magnes wielkie stworzenia. Głębiej i dalej nie ma już nic — tylko pusty błękitny przestwór oceanu. Zejście na 300 metrów może zająć około 15 minut, czyli nieco więcej niż wykonany w 1999 roku przez Adriana Nicholasa najdłuższy na świecie lot swobodny w specjalnym kombinezonie (ang. *wingsuit*), trwający 4 minuty i 55 sekund. Miałem tempo wynoszące między 20 a 40 metrów na minutę, a więc znacznie wolniejsze niż Nicholas, który spadał ze średnią prędkością około 140 kilometrów na godzinę. Na 70 metrach przełączyłem się z powietrza na podróźny trimix z trzech niezależnych butli. W sumie miałem przy sobie trzy mocowane z boku 14-litrowe butle z gazem podróźnym i mocowany na plecach zestaw czterech 18-litrowych butli (łącznie to wszystko ważyło 150 kilogramów, nie licząc automatów i płyty — całkowita waga całości sprzętu, który miałem na sobie, bliższa była 200 kilogramom). Moje wszystkie 23 butle depozytowe z gazami dekompresyjnymi wisiały na opustówce.

Pierwszy depozyt dekompresyjny, pełniący funkcję zapasu względem trimiksu podróźnego, znajdował się na 160 metrach; w razie konieczności mogłem go wykorzystać zamiast gazu podróźnego, który miałem przy sobie. Na głębokości 20 metrów wystarczyłby na wieczność, ale na 160 metrach starczał najwyżej na 6 minut oddychania. Na początku nurkowania nie spodziewałem się, by cokolwiek mogło pójść niezgodnie z planem. Kiedy osiągnąłem głębokość 271 metrów, automat nagle zaczął się krztusić, wydając co jakiś czas głośnie trzaski, po czym kompletnie przestał działać. Poseidon xstream zgodnie z zapewnieniami producenta przekroczył z powodzeniem barierę 200 metrów, po czym zawiódł na

większej głębokości. Zdecydowanie nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, a moje życie zawisło na włosku. Zawartość trzech wypełnionych dennym trimiksem 18-litrowych butli, które miałem na plecach, natychmiast stała się dla mnie niedostępna. Została mi tylko jedna 18-litrowa butla awaryjna, do której zamocowany był mój stary poseidon cyklon 5000. Moje życie zależało od tego, czy zadziała.

Ostrożnie zaczerpnąłem powietrza i stwierdziłem z ulgą, że działa. A zatem była jeszcze nadzieja, chociaż szanse na to, że dotrę do pierwszego depozytu zamocowanego na 160 metrach, były marne lub żadne. Mój rekord w pływaniu dynamicznym z płetwami (na wstrzymanym oddechu) przekracza 100 metrów, a mój rekord w statycznym wstrzymywaniu oddechu uzyskany po oddychaniu czystym tlenem wynosi 11 minut i 45 sekund. Oba te wyniki uzyskałem w kontrolowanym otoczeniu basenu pływackiego, a nie na głębokości 271 metrów ze 150 kilogramami sprzętu na plecach. Nie mogłem się posłużyć posiadanymi gazami podróznymi, bo na tej głębokości byłyby hiperoksyczne, a butla awaryjna zarezerwowana na sytuacje tego rodzaju wystarczyłaby zaledwie na 5 minut. Normalnie pokonanie 111 metrów podczas wynurzenia powinno trwać co najmniej 11 minut, a ja musiałem to zrobić w ciągu 5 minut. Miałem do wyboru albo utonąć, próbując dotrzeć do depozytu na głębokości 160 metrów, albo zginąć z powodu zatrucia tlenowego, posługując się gazem podróznym z jednej ze swoich butli. Wybrałem pierwszą opcję. Wybrałem śmierć nurka z wysokim prawdopodobieństwem zmartwychwstania. Zdarzały się bowiem przypadki skutecznej reanimacji nurka, który przebywał w zimnej wodzie przez godzinę — co prawda nie w Morzu Czerwonym, ale nie traciłem nadziei. W literaturze nie wspomniano o jakichkolwiek zakończonych sukcesem akcjach ratunkowych po nurkowaniu na blisko 300 metrów, ale był to mało znaczący szczegół, nad którym w tamtej chwili nie miałem czasu rozmyślać.

Dla większości znanych mi ludzi nurkowanie na 100 metrów jest uwieńczeniem kariery nurkowej, a wyjście awaryjne z tej głębokości to już czyste science fiction. Musiałem na kilku oddechach dokonać czegoś znacznie większego; gdyby mi się udało, nadal znajdowałbym się na głębokości jedynie o kilkanaście metrów mniejszej niż kobiecy rekord w nurkowaniu z akwalungiem. Oczywiście rzeczywistość nie była tak brutalna — nie było to wyjście awaryjne na powierzchnię, które zabiłoby mnie z mgnienu oka, ponieważ różnica ciśnień jest najwyższa na najmniejszych głębokościach. Na 10 metrach ciśnienie jest dwukrotnie wyższe niż na powierzchni — dlatego właśnie musimy często wyrównywać ciśnienie w uszach podczas zanurzania. Poniżej 200 metrów

głębokości w zasadzie nie wyrównuje się ciśnienia. Jakby jednak na to nie patrzeć, nadal miałem do pokonania 111 metrów. W tym właśnie momencie opłaciły się wszystkie podwodne mecze hokeja i wakacje spędzane na uprawianiu podwodnego łowiectwa. Opracowany naprędce plan awaryjny sprawdził się do tego stopnia, że kiedy dotarłem do znacznika na 200 metrach, na której to głębokości mój gaz podróżny przestawał być toksyczny, postanowiłem go nie używać, kierując się ku depozytowi na 160 metrach. Nie chodziło jedynie o to, że w ten sposób jeszcze bardziej zaburzyłbym swój plan dekompresji, ale i o to, że pomiąłem już przystanki dekompresyjne na 190, 180 i 170 metrach i przewidywałem, iż gaz podróżny odegra swoją rolę później, dlatego nie chciałem go wyczerpywać. Kiedy zobaczyłem depozyt na 160 metrach, uznałem, że prawdopodobnie uda mi się jeszcze trochę w życiu ponurkować. Nie rozwiązałem jednak wszystkich bieżących problemów. Butla na 160 metrach, której zawartość miała mi posłużyć do oddychania do głębokości 120 metrów, miała tak mocno zakleszczony karabinek, że nie miałem siły go odpiąć. Ponieważ wyjście było szybsze, niż zaplanowałem, musiałem spędzić na 160 metrach dodatkowe 5 minut oraz przynajmniej jedną dodatkową minutę obowiązkowej dekompresji. Wspomnienia mojego 6-minutowego wyjścia zbladły. Następny depozyt znajdował się 40 metrów wyżej. Ponieważ nie mogłem odczepić depozytu ze 160 metrów od opustówki, musiałem zacząć korzystać z gazu podróżnego — to była moja ostatnia nadzieja. Dotarłem na 120 metrów i szczęśliwie tym razem karabinek łatwo dał się otworzyć. Pozostawała zatem tylko jedna drobna kwestia: czy podczas wynurzania i kolejnych przystanków dopadnie mnie choroba dekompresyjna, czy nie?

Odpowiedź na to pytanie miałem poznać 10, a może i więcej godzin później. Moje szanse zwiększało z pewnością zrealizowanie pełnego harmonogramu dekompresji opracowanego z myślą o nurkowaniu na głębokość przekraczającą 300 metrów. Po wszystkich podwodnych przygodach tego właśnie postanowiłem się trzymać. Wkrótce nad moją głową zmaterializowała się gorąco wyczekiwana sylwetka i na głębokości 120 metrów spojrzałem w oczy Pietera Ventera. Był jedynym głębokim nurkiem z zespołu, który miał pełnić funkcję głębokiego zabezpieczenia, chociaż pracowałem z innymi nurkami, którzy również byli w stanie zejść na głębokość 120 metrów. „Nuno uczciwie powiedział na początku: głębokie zabezpieczenie jest dla Pietera, głębokości do 60 metrów są dla pozostałych nurków zabezpieczających” — wspomina Hrynczyszyn.

Dopiero później się okazało, że w 2004 roku dowodziłem zespołem przyszłych gwiazd nurkowania. Wielu z nich ujawniło swój talent dopiero po paru latach.

Kilku Polaków uznaje się obecnie za najlepszych aktywnych nurków na świecie. Zbigniew Stychno został trenerem instruktorów IANTD, a Cezary Abramowski, Jerzy Błaszczyk i Artur Pazzi idą w jego ślady. Jurek Błaszczyk ustanowił w 2007 roku na 231 metrach rekord Polski (obecny rekord, 264 metry, należy do Dariusza Wilamowskiego), a Czarek Abramowski i Artur Pazzi asystowali przy biciu kobiecego rekordu Polski, który Agnieszka Łotocka ustanowiła na 154 metrach w 2007 roku. Czarnecki i Starnawski mają na koncie polskie rekordy głębokości w nurkowaniu jaskiniowym, a kilka lat później Czarnecki ustanowił światowy rekord długości nurkowania jaskiniowego. „Wiele się wówczas nauczyłem — potwierdza Krzysztof Starnawski, który w 2011 roku wykonał najgłębsze w dziejach nurkowanie na rebreatherze, schodząc na 283 metrów i poprawiając rekord nieżyjącego już dziś Dave’a Shawa o 12 metrów.

Zgodnie z planem na przystanku dekompresyjnym na 120 metrach obecny był tylko Pieter. Pokazałem mu, że nawalił automat, i podsunąłem mu pod oczy swój głębokościomierz, który zarejestrował głębokość 279,8 metra. Pokazał, że szkoda, ale ucieszył się, że nadal żyje. Wystrzelił boję sygnalizacyjną, która była pierwszą wysłaną na powierzchnię informacją powiadamiającą zespół i załogę łodzi, że rozpocząłem wynurzenie.

„Wyskoczyła boja, do której przymocowana była tylko tabliczka »OK«. Wiedzieliśmy, że coś się stało, ale przynajmniej Nuno żyje — wspomina Theo van Eeden. — Idealnie byłoby, gdyby pojawiły się dwie tabliczki: »OK« i »rekord świata«”. Tabliczka „nie OK” oznaczałaby, że się nie wynurzyłem. Miałem przed sobą jeszcze co najmniej 10 godzin w wodzie. Chociaż nurkowanie było płytsze, niż zamierzaliśmy, zdecydowałem się trzymać pierwotnie opracowanego profilu.

Na kolejnych pięciu przystankach nie wydarzyło się nic niezaplanowanego. Byłem sam. Rozmyślałem nad tym, że niewiele w sumie brakowało, i analizowałem świeżo zdobyte doświadczenia. Zastanawiałem się też, co się stało z moim automatem Xstream, który tak świetnie się sprawdził podczas rekordowego nurkowania przeprowadzonego rok wcześniej z Leszkiem. Celowo nie zaplanowałem obecności innych nurków zabezpieczających na głębokości między 60 a 120 metrów. Był to wynik wieloletnich doświadczeń, i to nie tylko moich, ale też takich moich poprzedników jak Sheck czy Jochen. Nauczyliśmy się, że każde nurkowanie w wodzie na trimiksie niesie ze sobą dodatkowe potencjalne ryzyko. Człowiekiem, który zapamiętał to najlepiej, był prawdopodobnie Hannes Keller, 3 grudnia 1962 roku zszedł bowiem w towarzystwie Petera Smalla na rekordową głębokość 1000 stóp, czyli 300 metrów, u wybrzeży amerykańskiej

wyspy Santa Catalina. Na osiągnięciu Kellera położyły się cieniem tragiczne wydarzenia, do których doszło podczas tej misji. On sam miał szczęście przeżyć, lecz zginęli zarówno Small, dziennikarz, jak i Chris Whittaker, młody student UCLA pełniący funkcję nurka zabezpieczającego. Cała wyprawa przypominała mający miejsce siedem lat później spacer Neila Armstronga po Księżycu. Podobnie jak Armstrong i Aldrin, Small i Keller zeszli w dzwonie nurkowym o nazwie Atlantis na dno morza, na głębokość ponad 300 metrów. Keller otworzył właz, planując wbić szwajcarską i amerykańską flagę w dno, podobnie jak Armstrong i Aldrin wbili amerykańską flagę w powierzchnię Księżyca. I tutaj kończą się podobieństwa, bo Keller zaplątał się we flagi.

Kiedy już wrócili do dzwonu nurkowego, Keller nie zauważył, że koniuszek jego płetwy uniemożliwia prawidłowe zamknięcie i uszczelnienie włazu. Kolejny problem polegał na tym, że zamiast wypełnić ponownie aparat o obiegu półzamkniętym mieszanką przygotowaną przez doktora Bühlmanna otworzył przedni iluminator swojego hełmu nurkowego i odetchnął wypełniającym dzwon powietrzem. Niemal natychmiast i Keller, i Small stracili przytomność. Załoga na powierzchni od razu zaczęła podnosić Atlantis z dna morza, obserwując na ekranach telewizji przemysłowej rozwój wypadków w jego wnętrzu. Wynoszenie komory na powierzchnię przerwano na 61 metrach i pod wodę zeszli Dick Anderson i Whittaker, by sprawdzić stan obu nurków. Zeszli dwukrotnie, potwierdzając, że właz jest częściowo zamknięty i obaj mężczyźni są nieprzytomni. Whittaker nie powrócił jednak z drugiego nurkowania, a jego ciała nigdy nie wydobyto. Small zmarł prawdopodobnie jeszcze podczas dekompresji w komorze, natomiast oficjalnie jego zgon potwierdzono 7 godzin później na okręcie szpitalnym marynarki amerykańskiej USS Haven.

Zbliżając się do głębokości 60 metrów, byłem pewien, że przynajmniej nie umrę w samotności. Gareth Lowndes miał być pierwszym z szeregu nurków zabezpieczających, którzy po kolei mieli mi asystować w drodze na powierzchnię. Plan wymagał ode mnie przeprowadzenia dekompresji na powietrzu na głębokościach pomiędzy 40. a 60. metrem, co miało mi zająć 40 minut. Narkoza nie obezwładniała, w każdym razie nie mnie. W ustalonym czasie znalazłem się na umówionej głębokości, ale Garetha tam nie było. Pomyślałem, że może coś opóźniło jego zejście, być może problemy z wyrównaniem ciśnienia albo utrzymaniem właściwego trymu. Wszystko zostało wcześniej wielokrotnie przećwiczone, ale przy nurkowaniu wszystko może się zdarzyć (wyrównywanie ciśnienia jest zazwyczaj pierwszym podejrzanym, ale zdarzają się również awarie sprzętu). Tak czy inaczej, nie mogłem pomóc Garethowi w rozwiązaniu jego

problemów, bo miałem wystarczająco dużo własnych. Byłem zdany wyłącznie na siebie i niewidoczny dla ludzi na powierzchni.

Po 15 minutach zacząłem się denerwować. Nie było szans, by 10-litrowa butla, którą zostawiłem na opustówce podczas zanurzania, mogła starczyć na długo. Przy normalnej częstości oddychania gaz zużywa się na tej głębokości w tempie około 20 litrów na minutę, zatem mogła wystarczyć na jakieś 15 minut, a nie na zaplanowane 40. Tym bardziej że nie była pełna — część gazu zużyłem podczas zejścia. Jedyną metodą przeprowadzenia z powodzeniem tych przystanków dekompresyjnych było spowolnienie oddychania, jednak na tej głębokości zużywanie zaledwie 6 litrów na minutę graniczy z cudem i właściwie równoznaczne jest ze wstrzymaniem oddechu. Największym problemem jest retencja dwutlenku węgla, która może prowadzić do utraty przytomności i dramatycznie zwiększyć podatność na narkozę.

Najpierw musiałem natlenić krew i głęboko położone tkanki, wykonując powolne, wymierzone, głębokie wdechy i bardzo powoli wydychając powietrze. Musiałem zamknąć oczy i skoncentrować się, by zyskać pewność, że nie napinam mięśni. Musiałem spowolnić akcję serca. Retencja dwutlenku węgla pobudza jednak odruch oddychania, zmuszając do zaczerpnięcia oddechu. Może się to wydawać zaskakujące, ale podobnie jak można zmusić swoje ciało do ruchu, można je również skłonić do spoczynku. Miguel Indurain, hiszpański kolarz, który pięciokrotnie zwyciężył w Tour de France, miał tętno spoczynkowe na poziomie 28 uderzeń na minutę, co było jedną z najniższych kiedykolwiek odnotowanych częstotliwości akcji serca zdrowego człowieka. Tętno spoczynkowe Lance'a Armstronga jest niewiele szybsze: 32 uderzenia na minutę. Podczas ekstremalnego wysiłku tętno Armstronga wzrasta do 201 uderzeń na minutę. W moim przypadku niższe tętno oznaczało mniejsze zużycie czynnika oddechowego, a mniejsze zużycie dawało mi szansę na przeżycie tego nurkowania.

Kiedy się odprężasz, sprawdzasz jednocześnie stan swojego ciała i umysłu. Zaczynasz od palców u nóg, a kończysz na szyi, upewniając się, czy wszystkie części twojego ciała funkcjonują prawidłowo. Aktywny umysł zużywa mniej więcej 40 procent metabolizowanego tlenu i bez wątpienia ciągle rozmyślanie o tym, ile jeszcze powietrza zostało ci w butli, nie poprawia sytuacji. Zazwyczaj odpływam myślami — na niczym się szczególnie nie koncentruję i pozwalam sobie na mentalną beczynność. Najlepsza część bezdechu kończy się wraz z mimowolnymi skurczami przepony. W ten właśnie sposób ciało sygnalizuje ci, żebyś przestał wstrzymywać oddech i zaczerpnął świeżego powietrza. Skurcze

przepony można po prostu starać się zignorować lub skoncentrować się na ich rytmie. Od momentu pojawienia się skurczów można zazwyczaj wytrzymać na bezdechu jeszcze drugie tyle. Skurcze należy jednak w jakiś sposób kontrolować, by ograniczyć wysiłek mięśni, a tym samym zmniejszyć zużycie tlenu. Zaburzenia widzenia lub dezorientacja są sygnałem, że należy podjąć oddychanie. Zlekceważenie tego sygnału oznacza utratę przytomności, a utrata przytomności bez Garetha i dekompresyjnej butli z powietrzem oznaczała pewną śmierć.

Jeden z najbardziej niesamowitych wypadków związanych z wyczerpaniem gazu zdarzył się na polu naftowym Huntington na Morzu Północnym, 185 kilometrów na wschód od szkockiego miasta Aberdeen. Opisał go Nathaniel Rich w artykule *Diving Deep into Danger*, zamieszczonym w czasopiśmie „New York Book Review”: „Dnia 25 września 2012 roku nurek satuirowany o nazwisku Chris Lemons przeprowadzał inspekcję prowadnicy wiertła — dużego metalowego urządzenia prowadzącego wiertło. Urządzenie znajdowało się na głębokości 91 metrów. Dzwon nurkowy Lemonsa został opuszczony ze statku DSV Bibby Topaz. Kiedy Lemons i jego partner nurkowy przeprowadzali testy prowadnicy, nawalił GPS pokładowy Bibby’ego Topaza i statek zaczął odpływać z prądem, ciągnąc za sobą dzwon nurkowy. Lemons i jego partner zostali odciągnięci od prowadnicy za swoje wiązki kablowo-przewodowe zapewniające im gazy oddechowe, komunikację z powierzchnią i bezpieczeństwo. Drugi nurek popłynął z powrotem do dzwonu nurkowego, ale przewód Lemonsa zaczepił się o prowadnicę i uległ rozerwaniu. Pięć minut później dryfujący z prądem Bibby Topaz był już prawie 250 metrów dalej, zostawiając Lemonsa samego przy prowadnicy, bez zapasu powietrza i ciepłej wody. Lemons miał dostęp do awaryjnej butli z gazem oddechowym, ale zapas w butli wystarczał do utrzymania go przy życiu przez 15 minut. Aby zachować rezerwy tlenu, Lemons usiadł na środku urządzenia i spróbował, pomimo lodowatego zimna, trwać w maksymalnym bezruchu. Kiedy skończył mu się zapas powietrza, zemdlął. Minęło kolejnych 15 minut, zanim został znaleziony przez wysłanego na ratunek nurka i wciągnięty do dzwonu nurkowego. Choć Lemons nie oddychał przez ponad 15 minut, jakimś cudem przywrócono go do życia”.

Nigdy nie pisałem sobie na zapas nekrologu, ale zespół, podchodząc do życia bardziej realistycznie niż ja, przygotowany był na najgorsze. Na szczęście gdybym umarł poniżej 60 metrów, opadłbym na dno morza, oszczędzając innym kłopotu z wydobywaniem ciała. Nie ma siły, by ktokolwiek zdołał wysłać zdalnie sterowany pojazd do prac podwodnych na głębokość 1500 metrów po moje zwłoki. Gdyby coś poszło nie tak na mniejszej głębokości, zespół miał worek na

ciało. Theo, jako nurek policyjny, który wydobył w swoim życiu ponad 300 zwłok, na pewno poradziłby sobie z jeszcze jednym. Lenné poinformowałaby moją rodzinę i prasę. Podśluchałem, jak mówiła o transporcie mojego ciała do RPA — po skremowaniu, żeby taniej wyszło. Mój zespół, przygotowując się na najgorsze, nie był wyjątkiem. Partnerzy nurkowi Shecka również poczynili przed zakończonym jego śmiercią nurkowaniem w El Zacatón odpowiednie przygotowania, uzgadniając możliwość transportu jego ciała z Meksyku do USA.

Gareth pojawił się dopiero na kilka minut przed końcem mojego przestanku dekompresyjnego na 40 metrach. W butli zostało mi mniej niż 50 barów. Pojawiłby się wcześniej, gdyby Pieter Venter, który odbywał dekompresję po swoim głębokim nurkowaniu, nie zatrzymał go po drodze i nie poprosił o powrót na powierzchnię i przyniesienie mu czegoś z góry. Później, wściekły i rozgoryczony, odkryłem również, że kierownik nurkowania błędnie odczytał profil. Gareth miał się pojawić na samym początku moich powietrznych przystanków dekompresyjnych, a tymczasem pojawił się pod sam koniec. Nie okazałem złości. To nie miało sensu, zwłaszcza w wodzie. Obiecałem sobie jednak wszechstronnie omówić i przeciwwić jeszcze raz każde zejście z zespołem. Na przyszłość.

Po Garecie zeszła Lenné Foster-Jones, po niej Artur Pazzi i Zbyszek Stychno, po nich Craig Kahn, Bogusław Ogrodnik i Krzysztof Hrynczyszyn. Potem jeszcze raz Craig i na 12 metrach Gareth. Następnie Ryszard Paluszkiewicz, a nawet Stewart Dowds, kanadyjski operator kamery, na 9 metrach. W pewnym momencie wszyscy nurkowie zabezpieczający byli już zbyt wyczerpani, by nurkować, i część ostatnich zmian wziął na siebie filmowiec National Geographic. Zatopiony we własnych myślach, zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nieprzerwany strumień nurków wspierających przerywał jednak monotonię oddychania, popijania płynów, zmieniania automatów i wpatrywania się w bezkresną, błękitną pustkę.

Bez punktu odniesienia trudno jest ocenić wysokość fal na powierzchni. Powyżej 21 metrów zacząłem odczuwać gwałtowność fal, które na powierzchni przewalały się białymi bałwanami. Cały czas czułem się tak, jakby niewidzialny potwór bujał mnie na jakiejś gigantycznej huśtawce. Z każdym metrem bliżej powierzchni huśtawka bujała się coraz dalej i szybciej. Wkrótce ogarnęły mnie mdłości i zacząłem zwracać płynne posiłki, które przyjąłem wcześniej, nieco opijając się przy tym słoną wodą. Każdej kolejnej fali towarzyszył dźwięk obijających się o siebie depozytów z gazem dekompresyjnym. W końcu Krzysztof zanurkował i powiązał je wszystkie ze sobą, żeby przestały tak dzwonić.

Sądziłem, że wszystko się zmieni, kiedy przeniosę się z pionowej opustówki na trapez dekompresyjny skonstruowany przez Theo podczas naszego pobytu w Egipcie. Był to rodzaj drabinki z trzema grubymi, równoległymi, poziomymi szczeblami wiszącymi na głębokościach 9, 6 i 3 metrów. Moje nadzieje okazały się płonne. Trapez bujał się w rytm przewalających się nad moją głową fal. Powierzchnia wody była już boleśnie blisko, lecz chociaż wisiałem na głębokości zaledwie 9 metrów, przed sobą miałem jeszcze połowę nurkowania.

Na głębokości 6 metrów dostrzegłem nagle dwóch przepływających obok beduinów w czerwonych kefijach. Przeraziłem się, że mam przywidzenia wywołane chorobą dekompresyjną, ale na szczęście były to tylko wygłupy Craiga i Garetha. Fundowane mi przez nich rozrywki pomogły jakoś zabić czas i wkrótce zapomniałem o tym, że po raz kolejny w życiu otarłem się o śmierć. Dziesięć minut później pojawili się znowu, tym razem z czerwonymi fezami na głowach. Tak się uśmiełem, że aż się opilem słonej wody.

Z każdą godziną trzymania się drążków dekompresyjnych coraz bardziej słabły mi ręce. Poza nurkami zabezpieczającymi dotrzymywały mi towarzystwa podczas tych żałosnych godzin jedynie błękitne meduzy i małe dania pręgowane w czarno-niebieskie paski, które całymi stadkami gromadziły się wokół zaworów moich butli.

Po 10 godzinach i 45 minutach, odwodniony, zmęczony, ale mniej więcej żywy, wynurzyłem się obok łodzi Ganet Sinai. „Był biały jak papier — wspomina Hrynczyszyn. — Dopiero wówczas zrozumiałem, jakiego wysiłku wymaga tak głębokie nurkowanie”. Na pokładzie wypłatałem się ze swojego suchego skafandra i zdałem relację z nurkowania załodze łodzi. Doktor Hermie Britz zdecydowała o konieczności uzupełnienia płynów kroplówką. Nie było mi zimno, ale byłem kompletnie wyczerpany. Jediną rzeczą, której naprawdę potrzebowałem, był sen.

Często się mówi, że uczymy się na błędach, a najcenniejsze doświadczenia zdobywamy na własnej skórze. Z tego wszystkiego wyciągnąłem naukę o konieczności posiadania dodatkowej butli z gazem podróznym. Do wystąpienia problemów przyczyniło się również niewystarczające przećwiczenie pełnych nurkowań i zbyt płytkie umieszczenie depozytów. Na szczęście popełnione przeze mnie błędy nie zmieniły wyniku nurkowania. Niezależnie od tego, co bym zrobił, automat Xstream przestałby działać. Musiałem się zmierzyć z problemami, które

napotkaliśmy w 2004 roku, i je rozwiązać. W następnym roku zamierzaliśmy podjąć kolejną próbę i nie chcieliśmy, by zakończyła się tragedią.

Społeczność nurkowa często skłonna jest z szacunku dla zmarłych tuszować błędy, które stały się przyczyną czyjejś śmierci. Nie ma sposobu, abyśmy poznali całą prawdę o tym, co tak naprawdę się zdarzyło w przypadku Agnieszki Milówki, Artura Dąbrowskiego, Roberta Kleina, Grzegorza Dominika, Audrey Mestre, Brigitte Lenoir, Shecka Exleya czy nawet Dave'a Shawa, którzy zginęli w wypadkach nurkowych. Kiedy tylko ktoś pyta o szczegóły, społeczność albo nabiera wody w usta, albo zaczyna się wrogo odnosić do zbyt dociekliwego badacza. Analizę przyczyn wypadku odbiera się jako atak na jednostkę. Krąg nieśmiertelnych gotowy jest bronić za wszelką cenę innego nieśmiertelnego, podejrzewając, że zagrożona jest ich własna nieśmiertelność. Wszyscy po cichu przyznają jednak, że uczenie się na czyichś błędach jest znacznie łatwiejsze i mniej ryzykowne niż na własnych. Nie potrafimy wskrzesić zmarłych, ale możemy wyciągnąć wnioski z ich śmierci i zapobiec kolejnym ofiarom.

W 2013 roku śledziłem z zainteresowaniem konferencję prasową na temat polskiego zimowego wejścia na Broad Peak, podczas którego zginęli Maciej Berbek i Tomasz Kowalski. Najbardziej zwróciła moją uwagę uczciwość analizy zdarzeń, do których doszło podczas wyprawy, oraz prawdopodobnych przyczyn śmierci dwóch wspinaczy. To zdumiewające, ale po śmierci Brigitte Lenoir, która próbowała pobić kobiecy rekord świata w nurkowaniu na rebreatherze, nie przeprowadzono żadnego śledztwa. Nie przeprowadzano śledztwa również po nurkowaniu Herberta Nitscha w 2012 roku, kiedy to podjął próbę pobicia rekordu głębokości nurkowania na bezdechu w kategorii no limits; próba ta nieomal zakończyła się jego śmiercią. Zagrożenie, z którym oboje zdecydowali się zmierzyć, leży w kręgu zainteresowania nie tylko społeczności sportowej, tematem tym interesują się bowiem także inwestorzy, przedsiębiorcy i ekonomiści. W London School of Economics skrupulatnie analizuje się i przedstawia zarówno tragedię na Evereście, do której doszło w 1996 roku, jak i antarktyczną wyprawę sir Ernesta Shackletona. W obu tych przypadkach można odnaleźć zupełnie inne style przywódcze. W obu przypadkach wiedza została zdobyta bardzo wysokim kosztem i warto się nią dzielić.

Niefortunne zdarzenia, do których doszło podczas naszej wyprawy, nauczyły nas, że niekorzystny obrót spraw rzadko jest wynikiem pojedynczego błędu. Pojedyncze błędy rzadko stają się pod wodą przyczyną śmierci. Dochodzi raczej do popełnienia sekwencji błędów, a ten ostatni okazuje się gwoździem do trumny. Dnia 10 kwietnia 2010 roku rozbił się samolot Tu-154 z prezydentem Polski na

pokładzie. Wszyscy pasażerowie zginęli. Pierwsze raporty przedstawione po katastrofie przypomniały mi wypadek nurkowy Dave'a Shawa w Boesmanską pod koniec 2005 roku. On również był pilotem linii lotniczych. Zarówno Shaw, jak i major Protasiuk mieli przed oczami błyskające na czerwono kontrolki alarmowe ostrzegające ich o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Obaj postanowili je zlekceważyć. Shaw znał uczucie narkozy azotowej, nurkował na 270 metrów trzy miesiące wcześniej. Wiedział, że jego sprzęt nie nadaje się na to nurkowanie. Wiedział, że napotka problemy związane z tak podstawową funkcją organizmu, jak oddychanie. Mimo to wyszedł z pomysłem, by samodzielnie umieścić w worku ciało zagrzebane w mule i osadzie. Na tej głębokości sama zamiana automatów jest zadaniem ponad ludzkie siły, nie wspominając już o radzeniu sobie z luźną liną. Postanowił zlekceważyć te fakty i zapłacił najwyższą cenę. Protasiuk, pilot prezydenckiego samolotu z 96 osobami na pokładzie, wiedział, że gęsta mgła uniemożliwia lądowanie, wiedział, że pozostali piloci i personel naziemny powiadomili go, iż jest to trudne, widział instrumenty ostrzegające go, że za moment uderzy o ziemię, a jednak zdecydował się je zignorować. Shaw, który rozpaczliwie próbował przeciąć linę, dopiero w ostatnim momencie zdał sobie sprawę, że właśnie umiera. Drugi pilot Tu-154, kiedy systemy krzyczały: „Terrain ahead. Pull up. Pull up”, najwyraźniej stwierdził: „To normalne. A kiedy samolot faktycznie uderzył w ziemię, krzyknął: „Kurwa mać!”.

Żaden z nich nie był głupi. Obaj wielokrotnie stawali w obliczu sytuacji zagrożenia życia, symulowanych lub rzeczywistych. Obaj przeszli bardzo trudne szkolenia. W krytycznym momencie ich przeładowane mózgi zdecydowały się zlekceważyć oczywiste fakty.

Herbert Nitsch, również pilot, musiał mieć podobne myśli przed swoją próbą bicia rekordu świata podjętą 6 czerwca 2012 roku. Powiedział później: „Podjąłem na Santorini próbę bicia rekordu świata, chociaż pojawił się niejeden zły omen. Nie powinienem był tego robić. To był łańcuch nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, prawo Murphy'ego w najczystszej postaci. Pogoda była zła. Łódź odpłynęła, bo nie została właściwie zacumowana. Cuma zahaczyła się o kuter rybacki, który odciągnął ją od brzegu. Z powodów finansowych nie mieliśmy na miejscu komory dekompresyjnej. Wycofali się nasi partnerzy. W fazie przygotowań mieliśmy sporo problemów organizacyjnych, nieoczekiwanych kłopotów z władzami, nieporozumień w relacjach ze sponsorami. O drugiej w nocy, kilka godzin przed wypadkiem, nie spałem, bo podpisywałem kontrakt. Myślę, że mogę powiedzieć, że gdyby nie wydarzyła się

choć jedna z tych rzeczy, być może do mojego wypadku wcale by nie doszło. Nad zwykłym brakiem szczęścia dałoby się jakoś zapanować”. Nie oznacza to, że Nitsch i jego zespół nie byli profesjonalistami. Przećwiczyli ewakuację nieprzytomnego nurka z powierzchni wody do przystani, osiągając czas poniżej 10 minut. Myślę, że był to znacznie lepszy czas niż ten osiągnięty podczas ćwiczenia ewakuacji Shawa z dna Boesmansgat do przenośnej komory dekompresyjnej. Ich specjalne nosze zostały wszechstronnie wypróbowane od czasu pierwszych nurkowań w Austrii, a komunikacja na pokładzie była na medal.

Niezależnie od tego, ile trenujesz i jakie masz zabezpieczenie, ten sport nieuchronnie wiąże się z ryzykiem. Zbyt wiele środków bezpieczeństwa również może zagrozić powodzeniu nurkowania. Im więcej nurków zabezpieczających na trimiksie, tym więcej potrzeba nurków zapasowych. Im więcej automatów, tym więcej sił i środków pochłania ich utrzymanie i tym więcej może się pojawić usterek. Im więcej masz sprzętu i im bardziej jest on skomplikowany, tym więcej rzeczy może zawieść. Podczas nurkowania w 2004 roku wykorzystałem 30 butli. To było naprawdę dużo, prawie za dużo. Zamiast więc umieszczać w wodzie kolejnych nurków i kolejne zaczepy na opustówce postanowiłem podjąć to precyzyjnie oszacowane ryzyko.

Wielkość projektu zmusza do postawienia pytania, jak czysta jest to gra. Jeśli jedynym elementem wyznaczającym granicę między życiem i śmiercią jest pojedyncza 10-litrowa butla z helem zamocowana na opustówce, to dlaczego jej tam nie umieścić? Herbert Nitsch wymyślił niesamowitą metodę przeciwdziałania barotraumie płuc podczas imprez z kategorii no limits. Otóż wydychał cały zgromadzony w płucach gaz do małej plastikowej butelki przyczepionej bezpiecznie do swojego nadgarstka. Podczas wynurzania pobierał powietrze z powrotem, niewielkimi haustami. Czy jest to jeszcze nurkowanie na bezdechu czy już prymitywny akwalung? Nikt cię nie napiętnuje za wykorzystanie 50 albo 100 butli. To nie Everest. Kiedy tam wspinasz się bez tlenu lub szpery, jesteś prawdziwym sportowcem, a kiedy z nich korzystasz, jesteś po prostu turystą. W gruncie rzeczy „więcej” nie oznacza „bezpieczniej”. Byłem świadkiem, jak 10 maja 2008 roku trzech nurków, Pim van der Horst, Mario Marconi i Alessandro Scuotto, biło rekord świata w najgłębszym nurkowaniu wrakowym we włoskim jeziorze Maggiore. Zeszli na wrak Milano spoczywający na głębokości 236 metrów w słodkiej wodzie, korzystając z rebreatherów obiegu zamkniętego Ouroboros. Kompleksowość logistyki przygotowań do tego wyczynu naprawdę robiła wrażenie. Włoska społeczność nurkowa bardzo mocno zaangażowała się w ten projekt, i to zarówno nurkowie sportowi i ratownicy nurkowi, jak

i instruktorzy prowadzący nurkowania komercyjne. Przedsięwzięcie zostało starannie zaplanowane i przeprowadzone z pomocą wielu wolontariuszy. Na głębokości 236 metrów mieli do dyspozycji pojazd do prowadzenia badań podwodnych wyposażony w kamerę, a także dzwon nurkowy z ciepłą wodą i doprowadzeniem gazów z powierzchni oraz komunikację zarówno audio, jak i wideo. Całkowity czas nurkowania, łącznie z dekompresją, wyniósł 7 godzin. Chociaż Pim dotarł zgodnie z planem na 120 metrów, jego suchy skafander został zalany wodą o temperaturze 6 stopni Celsjusza. Później, podczas wynurzania, Pim był już bardzo słaby i nie był w stanie wejść do dzwonu nurkowego bez pomocy nurka zabezpieczającego, Remko van de Peppela. Na 100 metrach, w trakcie wynurzania, Alex zaczął odczuwać zawroty głowy i z powodu wymiotów musiał się awaryjnie przełączyć na obieg otwarty. Po wynurzeniu został ewakuowany do komory w celu przeprowadzenia dalszego leczenia — razem z Pimem, którego wzięto na obserwację. Tylko Mario wynurzył się cały i zdrowy.

Doświadczeni nurkowie, tacy jak Krzysztof Starnawski, który zszedł na 283 metry w 2011 roku, i Leigh Cunningham, który nurkował na 240 metrów w 2003 roku, pewnie zgodziliby się ze mną, że każdy rekord można pobić. Prawdopodobnie potwierdziliby również, że dla człowieka przypuszczalnie istnieje granica nurkowania. Dla Nitscha, który prawdopodobnie skończył karierę nurkowaniem w 2012 roku, granicą było 214 metrów. Dla Exleya było to 276 metrów. Dla Dave'a Shawa było to 271 metrów. Kiedy wynurzyłem się w pobliżu Ganet Sinai po 10 godzinach i 45 minutach, powiedziałem Theo van Eedenowi: „Dotarłem do granicy swoich możliwości. Więcej tego nie zrobię”.



Pieter i ja podczas nurkowań treningowych przed ekspedycją w 2001 r. W tle Craig de la Hunt.

ROZDZIAŁ 7

TRZY SETKI

300 metrów poniżej poziomu morza

18 września 2014 roku Egipcjanin Ahmed Gabr wykonał rekordowe nurkowanie na obiegu otwartym, osiągając głębokość 332,35 metra. Rekord został oficjalnie uznany przez *Księgę rekordów Guinnessa*. Wydarzenie to miało miejsce już po ukończeniu tej książki.

Może odpowiedziałem zbyt szybko. Nie wydobrzałem jeszcze po tym nurkowaniu. Po mojej próbie pobicia rekordu świata w 2004 roku, którą nieomal przypłaciłem życiem, jedliśmy kolację w restauracji Shark położonej przy dahabskim bulwarze. Kiedy Leszek Czarnecki zapytał: „Spróbujesz jeszcze raz?”, prawie natychmiast odpowiedziałem: „Tak”. Zadane przez niego pytanie nie dotyczyło tak naprawdę tego, czy wykonam kolejne nurkowanie — wiedział, że jestem zdecydowany pobić ten rekord niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało. Pytał raczej o to, kiedy chcę przeprowadzić kolejną próbę, a konkretnie o to, czy mam w planach rok 2005 czy bardziej odległą datę. Nie przejmowałem się specjalnie złożoną wówczas deklaracją, bo musiały minąć co najmniej trzy miesiące, zanim można było zacząć mówić o przygotowaniach do kolejnego wielkiego nurkowania. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, w co się tak naprawdę pakuję. Znowu.

Oglądając piłkarskie mistrzostwa świata, które w 2010 roku odbywały się w RPA, można było policzyć, że Hiszpanie, którzy odnieśli zwycięstwo w sześciu z siedmiu rozegranych spotkań, wychodzili na boisko co cztery dni. W przerwach między meczami rozgrywali taktyczne mecze treningowe i podtrzymywali formę. Zwykły kibic rzadko myśli o tym, że zawodnik podczas takich rozgrywek musi być w stanie wytrzymać ogromną fizyczną i psychiczną presję, a przy tym nadal być w stanie bronić bramki i strzelać gole.

Ci sami kibice sportowi przyglądają się nurkowaniu, oceniają moją kondycję i zaczynają zadawać pytania. Dlaczego nurkujesz tylko na 271 metrów, a nie na 300? Dlaczego musisz czekać kilka miesięcy z powtórzeniem tego rodzaju nurkowania? Jeśli ci się nie udało, to dlaczego — mając do dyspozycji wszystkie te zgromadzone środki — nie podejmiesz po kilku dniach kolejnej próby? Jedyna odpowiedź, której potrafię udzielić, brzmi: „Nie mogę”. Nikt nie może. Hiszpański strzelec, David Villa, który walczył przyczynił się do zwycięstwa Hiszpanii, strzelając pięć z ośmiu goli zdobytych przez zespół w tamtym turnieju, przebywał na boisku w sumie 635 minut. Piętnaście razy został sfaulowany, co z pewnością odbiło się na jego organizmie. Nawet supersprawni sportowcy są tylko ludźmi.

„W 2004 roku czuł się dobrze. Możliwe, że po nurkowaniu był nieco słabszy, ale poza tym nic mu nie było — wspomina Theo van Eeden. — Rok później widziałem, jak z łodzi zwieźli go na wózku do przewożenia sprzętu nurkowego. Nawet nie chodził. Lekarze wbili mu kroplówkę i wysłali go do pokoju hotelowego”. „Nigdy w życiu nie widziałem, by ktoś wyglądał tak jak Nuno w 2005 roku. Mężczyzna, który poleciał z nami do Dahabu, był kulturystą w znakomitej

kondycji fizycznej. Po nurkowaniu wyglądał jak cień człowieka” — dodaje Jurek Błaszczak.

Prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który zrozumiałby moją gehennę, był nieżyjący już John Bennett, który zginął 15 marca 2004 roku podczas komercyjnego nurkowania w Korei Południowej, kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Dahabu. Może powinienem był się wtedy wycofać? Muhammad Ali nie wycofał się, przyjął o jeden cios za dużo od Shaversa, Holmesa i wreszcie od Antonio Inokiego, adepta wschodnich sztuk walki, który dosłownie zmiażdżył mu nogi. Później Ali zachorował na parkinsona. Czy miało to związek z jego karierą bokserską? Gdzie dziś jest Jochen Hasenmayer? Gdzie jest Herbert Nitsch? I mnie, i ich nic nie pobudza do działania bardziej niż porażka. Twierdzenie, że przeprowadzone w 2004 roku nurkowanie w Morzu Czerwonym było porażką, jest przesadą. Nie osiągnęliśmy zaplanowanej głębokości 321 metrów, ale i tak było to bardzo głębokie nurkowanie.

Podczas nurkowania w 2004 roku niewiele brakowało, bym przeniósł się na tamten świat. Awaria automatu skłoniła mnie do zastanowienia się i uświadomiła mi, że nawet jeśli pobiję rekord, to już po wszystkim mogę nie być w stanie udzielać wywiadów. Aby w 2005 roku zwiększyć swoje szanse na przeżycie, narzuciłem sobie rygorystyczny reżim ćwiczeń. Nie to, żebym był w kiepskiej formie, zawsze bowiem starałem się utrzymywać niezłą kondycję. Bohaterowie, na których się wzorowałem, byli bardzo sprawni, mój ojciec był zawsze bardzo aktywny, a moi przyjaciele chętnie chodzili na siłownię. Zgodnie z moim wyobrażeniem świata dobra kondycja fizyczna pozwalała po prostu cieszyć się życiem, poszerzać zakres swojej wolności, dobrze się czuć, uprawiać rozmaite dyscypliny sportu i docierać tam, gdzie wielu ludzi nie jest w stanie dotrzeć ze względu na swoje fizyczne ograniczenia. Przyjemność odczuwania ciągłej pracy mięśni podczas zwykłego biegu lub podnoszenia ciężarów, ekscytacja przeskakiwaniem przez przeszkody albo radość ze zjeżdżania po schodach na rowerze, zdrowy, głęboki sen po późnowieczornych ćwiczeniach, zajądanie się z przyjaciółmi smakowitym stekiem grillowanym na ogniu po dniu dobrego nurkowania — to proste przyjemności. Wyrobienie sobie kondycji pozwalającej na bicie rekordu świata wymagało zwiększenia liczby treningów, wydłużenia czasu snu i powstrzymania się od objadania się śmieciowym jedzeniem, opijania piwem i innych drobnych grzeszków.

Święty Paweł w liście do Koryntian napisał: „Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, którego macie od Boga? Chwalcie więc Boga w waszym ciele!”. Chociaż nie jestem szczególnie religijny, trudno mi zachować

szacunek dla ludzi, którzy nie ćwiczą i nie dbają o swoje ciała.

W pewnym momencie zacząłem naśladować pięć lat ode mnie starszego Arnolda Schwarzeneggera. Podobnie jak ja wychowywany był w katolickiej rodzinie. Kiedy zdecydował się wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, również był biedny i słabo mówił po angielsku. Jak pisze w swojej autobiografii: „Przyjechałem tu wreszcie w 1968 roku. To był wyjątkowy dzień. Pamiętam, że pojawiłem się w Stanach z pustymi kieszeniami, ale z głową pełną marzeń, przepełniony determinacją i rozpalającymi mnie pragnieniami”. Dla jego rodziny wielkim świętem był zakup lodówki, wielką tragedią śmierć brata Arnolda, Meinharda, w wypadku samochodowym.

W Stanach Schwarzenegger zrobił między innymi doktorat na kursach korespondencyjnych. Wszystko, czego się tknął, zamieniał w czyste złoto, i dotyczyło to w równej mierze polityki, rynku nieruchomości i jego kariery filmowej. Większość mężczyzn zna Schwarzeneggera z jego pierwszego kasowego filmu *Conan Barbarzyńca*. Sławę aktora ugruntował *Terminator*, który wszedł na ekrany dwa lata później. Nie powtarzam z upodobaniem pochodzących z tego filmu kwestii „I’ll be back” ani „Hasta la vista, baby”, twierdząc natomiast, że nikomu nie udało się dorównać Schwarzeneggerowi w rolach Mr. Universe i Mr. Olympia.

Kulturystyka łączy dwa elementy, które doceniam: fizyczną sprawność i wygląd. Kiedy dodasz do tego inteligencję, otrzymujesz człowieka doskonałego. Niektórzy ludzie nie lubią kulturystyki, bo często kojarzy się z narcyzmem, który czasem urasta do takich rozmiarów, że troska o ciało ustępuje jego destrukcji. Nierzadko kulturystykę łączy się również ze stosowaniem sterydów i głodzeniem się w celu eliminacji tłuszczu z organizmu. Nie jest to jednak jedyna dyscyplina sportowa nękana tego rodzaju problemami. Podobne mają skoki narciarskie, judo i podnoszenie ciężarów. Kiedy wyłączysz się element rywalizacji, każda dyscyplina ujawni swoje piękno; dotyczy to również naturalnej kulturystyki.

W arkana kulturystyki wprowadził mnie Deon van Niekerk przy okazji treningów hokeja podwodnego. Kulturystyka doskonale przysłużyła się mojemu nurkowaniu, ułatwiając zwłaszcza noszenie ciężkiego sprzętu. Niektórzy nurkowie, na przykład Leigh Cunningham, jeżdżą na motocyklach, uprawiają skoki spadochronowe albo chodzą na strzelnicę. Leżąca na mojej półce książka Schwarzeneggera *The New Encyclopedia of Modern Bodybuilding: The Bible of Bodybuilding* opisuje męskość, którą podziwiam, i dopełnia mój styl życia. Oznaką mojego przywiązania do tej dyscypliny jest nadruk na T-shircie upamiętniającym ustanowione przeze mnie rekordy Guinnessa, który przedstawia

kulturyście z założonym sprzętem nurkowym i zestawem czterech butli. „Niektórzy są zdania, że to najbardziej męski sport na świecie — napisał Luc Besson w scenariuszu do kultowego filmu *Wielki błękit*. — Nie sposób się z tym nie zgodzić, widząc tych mężczyzn nurkujących głową naprzód w otchłań błękitnego oceanu, obserwując ich napięte mięśnie tworzące jeden nadludzki mięsień...”.

Może jestem nieco staroświecki, oceniając mężczyzn wedle ich siły. Kiedy po jednej stronie staje Sylvester Stallone, a po drugiej Shaun White... Albo Arnold Schwarzenegger i Robert Pattinson... Ich dokonania są porównywalne, ale... Może jednak nie są.

Chociaż jest nas niewielu, nie jestem jedynym nurkiem, który uprawia kulturystkę. Inni, włącznie z Johnem Bennettem, również uprawiają tę dyscyplinę, by przygotować się do głębokiego nurkowania. Kulturystyka poprawia moje możliwości zarówno w głębokim nurkowaniu, jak i w podwodnym hokeju, który pozostaje jedną z nielicznych czystych dyscyplin sportowych. Zasady podwodnego hokeja, w którym kontakt zawodników jest ograniczony, są proste: dwie drużyny dążą do umieszczenia w bramce drużyny przeciwnej krążka, przesuwając go po dnie basenu niewielkimi kijami hokejowymi. Sport ten narodził się w Anglii w 1954 roku. Wymyślił go założyciel nowo utworzonego Southsea Sub-Aqua Club jako metodę podtrzymania motywacji i zaangażowania nurków zrzeszonych w klubie w chłodnych zimowych miesiącach, kiedy nurkowanie w wodach otwartych było niemożliwe. W hokeju podwodnym nie korzysta się z żadnych butli ani skafandrów, jest to czyste nurkowanie swobodne. Pierwsze światowe mistrzostwa w hokeju podwodnym rozegrano w Kanadzie w 1980 roku i od tego momentu dyscyplina zaczęła się popularyzować.

To wyczerpujący sport wymagający ustawicznego wstrzymywania oddechu i — podobnie jak głębokie nurkowanie — trudno go zaprezentować szerszej publiczności. Miałem w nim pewne osiągnięcia, grając dla South African Springboks, i wygrałem trzy puchary w mistrzostwach świata CMAS. Po drodze zdobyłem dwa złote medale i jeden srebrny.

Udział w rozgrywkach hokeja podwodnego był dla mnie stosunkowo łatwy, bo na początku lat 80. CMAS był zaangażowany we wszystkie podwodne dyscypliny: nurkowanie z akwalungiem (w tym nurkowanie techniczne), łowiectwo podwodne, hokej podwodny i podwodną orientację. Brałem udział w rozgrywkach krajowych we wszystkich wymienionych dyscyplinach i wszedłem do reprezentacji RPA w łowiectwie podwodnym i podwodnej orientacji.

Liczba podwodnych sportów, którymi się interesowałam, wymagała ode mnie ciągłego utrzymywania świetnej kondycji. Nie ograniczało się to do zwykłych ćwiczeń na siłowni czy porannej przebieżki, żeby się rozruszać przed przyjściem do biura. Wiedziałam, że każde opuszczone ćwiczenia na siłowni zwiększają prawdopodobieństwo kontuzji, która utrudni mi powrót do formy. Kiedy się powiedziało A, trzeba powiedzieć B, a w końcu i C. Kiedy zacząłem ćwiczyć, musiałem też zacząć myśleć o tym, co jem, jak śpię, jak się relaksuję. Dzisiejsza zawartość mojej lodówki nadal jest dowodem wybranego przeze mnie stylu życia. Butelki soku (w RPA produkuje się prawdopodobnie najlepsze soki na świecie), płatki owsiane, chude mięso, owoce i warzywa. Żadnych tłuszczów, żadnego cukru, niewielka zawartość węglowodanów. Torbę na siłownię mam zazwyczaj wypchaną batonami białkowymi i napojami izotonicznymi. Aby ćwiczyć, musisz jeść, a kiedy zaczynam ćwiczenia na siłowni, zdecydowanie nie jestem głodny. „To było niesamowite zobaczyć Nuna w takiej formie podczas jego próby bicia rekordu — wspomina Andrzej Kruczkowski, jeden z wiodących członków zespołu podczas nurkowania w 2005 roku. — Fizycznie był lepiej przygotowany niż jego o 20 lat młodszy nurkowie zabezpieczający”.

Warto chodzić na siłownię z tego prostego powodu, że żadna dyscyplina nie ćwiczy wszystkich posiadanych przez człowieka grup mięśni. Możesz biegać albo grać w piłkę nożną, a i tak niektóre części twojego ciała pozostaną nieaktywne. Zazwyczaj rozpoczynam sesję na siłowni od 20 minut na rowerku albo na orbitreku (w tym czasie staram się spalić przynajmniej 200 kalorii). Potem robię ćwiczenia mięśni brzucha i dolnej części pleców. Potem ćwiczę mięśnie klatki piersiowej, a następnie mięśnie boczne i skośne brzucha. Potem przychodzi kolej na bicepsy i tricepsy, a następnie mięśnie ud i łydek. Na koniec robię przednie i tylne mięśnie barków. Każdą część ciała należy przećwiczyć przynajmniej trzema zestawami ćwiczeń. Pierwszy zestaw to 21 powtórzeń przy połowie maksymalnego obciążenia, drugi zestaw to 14 powtórzeń przy obciążeniu na poziomie 80 procent obciążenia maksymalnego, a ostatni zestaw to maksymalna możliwa liczba powtórzeń przy maksymalnym obciążeniu i można go kilkakrotnie powtórzyć. Każdego dnia robisz inne ćwiczenia na tę samą część ciała. Codzienny trening pochłania co najmniej dwie godziny. Wystarczy go wykonywać trzy razy w tygodniu, by z łatwością wytrzymać dwie godziny podwodnego hokeja dwa razy w tygodniu. W weekendy robię sobie przerwę od siłowni i podwodnego hokeja, rezerwując ten czas na nurkowanie z akwalungiem. Aby osiągnąć maksymalną korzyść z jakichkolwiek ćwiczeń, należy natychmiast po ich zakończeniu coś zjeść.

Podczas nurkowania sprawdzasz, czy w wyniku przeprowadzanych w tygodniu treningów twoja sprawność się poprawiła. Nurkowanie samo w sobie nie jest ćwiczeniem, bo podnoszenie twinsetów czy pływanie z ciężkim sprzętem nie wzmacnia cię — pochłania jedynie energię i jest sprawdzianem kondycji. To jak jazda na nartach. Kiedy jedziesz w góry nieprzygotowany i w kiepskiej formie, sam się prosisz o kłopoty. Kiedy jesteś sprawny, masz niemal nieograniczone możliwości. Wszystkie zdjęcia zrobione podczas rekordowo głębokich nurkowań — a nie jestem tu wyjątkiem — i tak przedstawiają skrajnie wyczerpanych ludzi na granicy ich fizycznych możliwości. Nurek w kiepskiej formie niczego nie osiągnie.

Ekstremalne nurkowanie techniczne jest nieporównywalne z zawodowym nurkowaniem saturowanym w kategoriach wysiłku fizycznego i częstości zanurzeń. Problemy z koncentracją, parestezje i osteoporoza to tylko niektóre przypadłości, jakie mogą dotknąć zapalonego nurka. Chociaż zdrowotne konsekwencje nurkowania pozostają tematem gorących dyskusji, znaczna liczba badań naukowych dowiodła, że u nurków saturowanych pracujących powyżej 3,5 roku dochodzi do umiarkowanego pogorszenia pamięci przestrzennej i spowolnienia reakcji, pojawia się również bezsenność. Wyniki konferencji na temat długofalowych zdrowotnych skutków nurkowania zorganizowanej w 1993 roku przywoływane były przez rząd norweski w 2000 roku, kiedy postanowił on przeznaczyć równowartość kilku milionów dolarów na odszkodowania dla nurków saturowanych, którzy pracowali w przemyśle naftowym rozwijającym się na Morzu Północnym w latach 1965–1990. Sześć lat później jednak Diving Medical Advisory Committee (DMAC), niezależne ciało składające się z europejskich ekspertów medycyny nurkowej, uznał, że „ostatnie badania możliwych długoterminowych skutków nurkowania dla zdrowia przeprowadzone na próbie nurków zawodowych dowiodło, że ogólnie rzecz biorąc, stan zdrowia nurków i nienurków nie różni się”. Dziś wśród naukowców nadal nie ma zgody co do zdrowotnych konsekwencji nurkowania saturowanego. Te sprzeczne opinie nigdy mnie nie uspokajały — wiem, że to, co robię, w długim okresie wywiera negatywny wpływ na moje ciało. Przypomina to gorącą dyskusję na temat promieniowania telefonów komórkowych. „Udowodniono” ponad wszelką wątpliwość, że fale wytwarzane przez telefony komórkowe nie wpływają niekorzystnie na ludzki organizm. A mimo to nikt nie śpi z telefonem komórkowym pod poduszką, prawda?

Tym, co rozbudziło moje zainteresowanie ćwiczeniami fizycznymi, było podświadome poczucie, że całe to głębokie nurkowanie odbija się na moim

organizmie i jedyną metodą zrównoważenia tego niekorzystnego wpływu jest solidne ćwiczenie mające na celu odbudowę tego, co zostało zniszczone. Kiedy rozważamy jakikolwiek sport na tym poziomie, to kontuzje — w moim przypadku barotrauma ucha wewnętrznego — są nieuniknione. Statystycznie rzecz biorąc, nie było to żadne nadzwyczajne wydarzenie, jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie głębokie nurkowania, które wykonałem wcześniej. Jedyną metodą uniknięcia kontuzji jest siedzenie na kanapie i oglądanie telewizji, ale w tym przypadku możesz z kolei dostać ataku serca. Nie czuję się jednak powołany do głoszenia zalet ćwiczeń fizycznych. Kiedy zamieszkaliśmy razem, Shareen, moja druga żona, też zaczęła chodzić na siłownię. Jeździ na rowerku stacjonarnym (ten rodzaj treningu nosi nazwę spinningu) z kilkudziesięcioma innymi osobami wykonującymi równoległe ćwiczenia na swoich rowerkach. Wiara w fitness bez wątplenia przynosi korzyści: może przedłużyć ci życie i zmienić sposób, w jaki zachowujesz się i myślisz. Przypomina to trochę pozytywne uzależnienie. Nawet kiedy się starzejesz, nie powinieneś zmieniać nawyków, lecz wręcz zwiększyć intensywność ćwiczeń, zwracając szczególną uwagę na unikanie kontuzji, które z wiekiem coraz gorzej się goją. W ostatecznym rozrachunku ćwiczenia fizyczne pomogą ci w nurkowaniu i zwiększą twoje szanse na przeżycie. Tym, co podtrzymuje moje silne postanowienie utrzymania sprawności fizycznej, jest bardzo, bardzo silna wola życia i przeżycia ekstremalnych nurkowań. Jeśli nie masz bardzo silnej woli życia, nie przeżyjesz. W głębokim nurkowaniu linia dzieląca żywych od martwych jest bardzo cienka.

W 2005 roku naprawdę chciałem to zrobić. Granicę 300 metrów miałem wdrukowaną w głowie tak silnie, że porażka, którą poniosłem rok wcześniej, odrobinę mnie jedynie zirytowała. Przypominała przejazd próbny. To było szaleństwo, biorąc pod uwagę, że 12 miesięcy wcześniej prawie się zabiłem. W nurkowaniu zachodzi zjawisko tak zwanej aklimatyzacji, nieco podobnej do aklimatyzacji w wysokich górach. Wszyscy poważni wspinacze wysokogórscy potrzebują aklimatyzacji. Wanda Rutkiewicz, pierwsza kobieta, która weszła na K2, w 1990 roku zapoczątkowała kontrowersyjny projekt „Karawana do marzeń”. Pomysł polegał na tym, by w ciągu 18 miesięcy zdobyć 8 z 14 ośmiotysięczników świata. Kontrowersje dotyczyły nie tylko samego projektu, ale również wieku Rutkiewicz, która miała wówczas 47 lat. Zginęła podczas wejścia na Kanczendzongę, trzeci szczyt na drodze prowadzącej ją ku realizacji marzeń. Kolejny wspinacz, Adam Bielecki, przedsięwziął podobny projekt w Pakistanie. Pod koniec sezonu wspinaczkowego wspiał się na Makalu, następnie na Gaszerbrum I w marcu, a później K2 w czerwcu — wszystkie trzy szczyty zdobył

w ciągu niecałego roku. A potem przyszło pierwsze zimowe wejście na Broad Peak w marcu kolejnego roku, kiedy to dwóch z jego towarzyszy wspinaczki zginęło podczas zejścia.

Moim zdaniem aklimatyzacja przed głębokim nurkowaniem jest nieco inna. Nikt nie myśli o zrobieniu dwóch lub więcej nurkowań poniżej głębokości 300 metrów w jaskini czy w morzu w tym samym roku. Nawet jeśli miejsca nurkowe są położone blisko siebie. Nie przypomina to scenariuszy podwójnych wejść na Lhotse/Everest lub potrójnych na Broad Peak/Gaszerbrum I/Gaszerbrum II. Niezależnie od tego, jak blisko siebie znajdują się dwa miejsca nurkowe i jak sprawny jest nurek, nurkowanie kończy się wówczas, gdy zostanie osiągnięty cel — bezpośrednio po nim nie są realizowane żadne kolejne przedsięwzięcia.

Dążąc do pobicia polskiego rekordu głębokości w nurkowaniu jaskiniowym, w 2003 roku zrobiliśmy razem z Leszkiem Czarneckim nurkowania na 100 metrów, 114 metrów, 123 metry i 157 metrów, zabezpieczani przez Witka Śmiłowskiego i mój zespół. Rok później wróciliśmy na kolejną wyprawę, podczas której zeszliśmy na 100 metrów i 123 metry, a następnie ustanowiliśmy rekord na 194 metrach i wyjechaliśmy z Boesmansgat.

Nurkowania przed faktyczną próbą pobicia rekordu pozwalają przygotować (zaaklimatyzować) zarówno ciało, jak i umysł. Służą również częściowemu przetestowaniu sprzętu — prawdziwym sprawdzianem jest nurkowanie na docelową głębokość. Nieżyjący już dziś Grzegorz „Banan” Dominik podobno ćwiczył przełączanie gazów na lądzie, śledząc na swoim komputerze symulację nurkowania w czasie rzeczywistym. Wśród wielu szalonych rzeczy, jakie robiłem, było między innymi chodzenie z poczwórnym zestawem butli na plecach. Przeszedłem co najmniej 100 metrów, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że jeśli stracę równowagę, to ryzykuję poważny uraz pleców — poczwórny zestaw ważący prawie 200 kilogramów złamałby mi kręgosłup jak słomkę.

Mentalne przygotowania do głębokiego nurkowania obejmują sesje terapeutyczne, medytację, a czasem nawet jogę. Wielkim entuzjastą jogi był Sheck Exley. Ja akurat nie miałem okazji spróbować jogi, ale nauka rozluźniania ciała i koncentracji na najbliższym zadaniu wydaje mi się bardzo przydatna. Niektórzy nurkowie schodzący pod wodę na bezdechu medytują przez 10 minut bezpośrednio przez zanurzeniem. Nie medytuję, ale bardzo intensywnie skupiam się na nurkowaniu. Minuty poprzedzające zejście pod wodę są bardzo ważne i tutaj właśnie pole do popisu ma dobry zespół, który troszcząc się o to, by nic nie odwracało twojej uwagi, pomoże ci skoncentrować się na czekającym cię zadaniu. W głębokim nurkowaniu żadna liczba wynajętych lekarzy, dietetyków,

psychologów, fizjologów i trenerów nie zastąpi dyscypliny w tej kwestii. Podczas nurkowania nikt ci nie towarzyszy — musisz zrobić to sam. Na szczęście za każdym razem, gdy przeprowadzaliśmy głębokie nurkowanie, w gotowości wraz z zespołem czekało wielu znakomitych lekarzy nurkowych. Nie angażowaliśmy innych specjalistów. W popularniejszych sportach, takich jak piłka nożna czy koszykówka, liczne zespoły specjalistów pomagają sportowcom podnosić poprzeczkę i osiągać lepsze wyniki w rywalizacji, ale nie sądzę, by mogło mi to w jakimkolwiek stopniu pomóc w ustanowieniu rekordu świata.

Przed południem 3 czerwca 2005 roku wypłynęliśmy z portu w Dahabie, by znaleźć w zatoce Akaba współrzędne geograficzne miejsca, w którym miało zostać przeprowadzone rekordowe nurkowanie. Musieliśmy znaleźć miejsce bardzo głębokie, a jednocześnie na tyle osłonięte, by wysokie falowanie nie zakłóciło nurkowania tak jak rok wcześniej. Najłatwiej było znaleźć takie miejsce za pomocą sonaru. Zbyszek Stychno przywiózł do Egiptu sonar umożliwiający pomiary do 400 metrów głębokości, ale urządzenie zatrzymano na lotnisku jako sprzęt wojskowy. Mieliśmy jeszcze sonar mierzący głębokość do 300 metrów. Mimo mniejszych możliwości i tak mógłby nam wskazać — poprzez brak odczytu — miejsce, w którym głębokość przekracza 300 metrów. W tym regionie po przekroczeniu granicy 200 metrów dno morskie opada niemal pionowo w dół, sięgając maksymalnej głębokości 1252 metrów. Zaczęliśmy od miejsca nazwanego przez nas Nuno 1, w którym rok wcześniej zszedłem na 271 metrów i w którym mieliśmy spory zapas głębokości, po czym popłynęliśmy dalej w kierunku Arabii Saudyjskiej do miejsca, które nazwaliśmy Nuno 2. Z obu tych miejsc widoczny był w oddali hotel Hilton, lecz ważniejsze niż obecność pięciogwiazdkowego ośrodka były wznoszące się na półwyspie góry, które osłaniają część zatoki Akaba od silnych wiatrów smagających wieczorami powierzchnię wody.

Tego roku wynajęliśmy inną łódź. Ganet Sinai, z której korzystaliśmy rok wcześniej, była niedostępna, więc wybraliśmy mniejszą, ale bardziej zwrotną łódź NABQ Explorer. Nietrudno było dokonać wyboru, bo w Dahabie w 2005 roku były tylko dwie łodzie. Obie, jak mieliśmy się o tym przekonać, nie były szczególnie dobrze przystosowane do wychodzenia na otwarte morze i silnego falowania, a Morze Czerwone nie zawsze jest spokojne, zwłaszcza gdy zerwie się wiatr. W 2004 roku podczas mojego nurkowania potężne fale roztrzaskały wał napędowy Ganet Sinai, a rok później, gdy po południu wiatr przybrał na sile, ogromne fale kilkakrotnie przewaliły się przez pokład NABQ Explorera. Wówczas łódź ocalała, lecz zatонуła dwa lata później podczas sztormu.

Współrzędne zostały zapisane w pamięci GPS-a i zespół zabezpieczający przeprowadził w wybranym miejscu nurkowanie próbne na 50 metrów. Pod wodę zeszła również ekipa filmowa, by przetestować kamery i światła. Kiedy się wynurzyli, okazało się, że odczepiła się lina łącząca łódź z opustówką. Gareth Lowndes wskoczył do wody i przyholował do trapu całą trzymającą się liny grupę wyposażoną w cztery ciężkie twinsety. Na pozostałych członkach międzynarodowego zespołu pokaz siły południowoafrykańskich mięśni zrobił duże wrażenie.

W międzyczasie pozostali członkowie zespołu przyciągnęli trapez dekompresyjny, który okazał się ogromnie pomocny w fazie dekompresji, bo znacznie wygodniej było trzymać się drążków trapezu niż pionowej liny. Trapez dekompresyjny składa się z trzech poziomych drążków długości około 3 metrów, umieszczonych na głębokościach 3, 6 i 9 metrów. Theo zmontował trapez w Dahabie z rurek PCV. Całe to ustrojstwo było niezależne i unosiło się swobodnie w morzu, wykorzystując boje, które Theo przywiózł z RPA. Aby zrównoważyć ruch fal i przesunąć trapez dekompresyjny bliżej brzegu, Zbyszek Stychno za pomocą skutera Aquazepp ustawicznie ciągnął trapez za sobą. W RPA rzadko mieliśmy do czynienia ze skuterami. Są drogie i żaden z nich nie działa na takich głębokościach, by mógł być użyteczny podczas bicia rekordów. Z pewnością mogliśmy je wykorzystać podczas wyprawy po latimerie, ale nawet dziś nie mam ani jednego. W gruncie rzeczy nie stać mnie na skuter i zawsze pojawia się coś innego, czego zakup wydaje mi się pilniejszy. Podczas wyprawy na atol Bikini Leszek był na tyle miły, że pożyczył mi skuter, i urządzenie to okazało się bardzo przydatne w nurkowaniu na wrakach takich jak na przykład Saratoga, która jest bardzo długa.

Pewnego wieczoru, a właściwie późną nocą, w bardzo imprezowym nastroju pojawiła się Ela Benducka, obecna posiadaczka kobiecego rekordu głębokości Polski. Aby trochę ją ostudzić, Lenné, moja ówczesna dziewczyna i jednocześnie kierownik nurkowania, poinformowała ją, że wprowadziliśmy prohibicję. Mieliśmy przed sobą bardzo pracowity dzień, więc Ela specjalnie nie protestowała.

Następnego dnia wzięliśmy się do roboty o siódmej rano. W bazie Planet Divers pojawiły się nowe twarze: Robert Drzewiecki, Jurek Błaszczyk, Dave Wilke, Tracey Medway i Shareen Anderson. Niektórzy byli nurkami zabezpieczającymi, inni należeli do ekipy filmowej. Popłynęliśmy łodzią w miejsce wskazane współrzędnymi GPS zapisanymi poprzedniego dnia — tylko po to, by stwierdzić, że chyba za dużo czasu zajęło nam spuszczenie liny

opustowej, która w efekcie zdryfowała w miejsce zbyt płytkie. Teraz część 350-metrowej liny leżała na dnie, a sama lina nie schodziła pionowo w dół — wciąż znajdowaliśmy się na szelfie kontynentalnym. Przenieśliśmy się 500 metrów na wschód, a potem jeszcze dla pewności kolejne 500 metrów i teraz znajdowaliśmy się dosłownie w połowie drogi między Egiptem i Arabią Saudyjską. Nowe miejsce miało ogromny zapas głębokości i bardzo skromną naturalną osłonę przed wpływem żywiołów. Wskoczyliśmy razem w Pieterem do wody, by zanurkować na 107 metrów (było to pierwsze z kilku zaplanowanych nurkowań przygotowawczych). Po nas, w ściśle określonych odstępach czasu, do wody zeszli inni nurkowie z zespołu zabezpieczającego. Ostatnia zanurzyła się grupa bardzo doświadczonych polskich nurków: Zbyszek Stychno, Ela Benducka i Andrzej Kruczkowski, którym później zostało powierzone też zadanie przyciągnięcia trapezu dekompresyjnego.

Doświadczenia z 2004 roku nauczyły nas, że jedzenie i picie pod wodą może nas wpędzić w prawdziwe bagno. Razem z napojami i posiłkami nurek połyka słoną wodę, przez co zamiast odzyskać siły może je stracić, zwłaszcza gdy dojdzie do wymiotów. Tym razem zamierzaliśmy się posłużyć bułakami wyposażonymi w rurki. Razem z Pieterem przetestowaliśmy je na przystankach dekompresyjnych podczas nurkowania na 100 metrów i jednogłośnie uznaliśmy je za znacznie wygodniejsze rozwiązanie, choć oczywiście popijanie płynu z bułaków nie mogło się równać z obiadem w restauracji Shark, podczas którego biesiadujących owiewa wieczorna bryza.

Rankiem 5 czerwca w bazie Planet Divers zjedliśmy z przyjemnością egipską jajecznicę, po czym zabraliśmy się do przygotowywania sprzętu na kolejny dzień nurkowania. Planowaliśmy zejście na 152 metry — jedno z dwóch nurkowań na trimiksie, które chciałem zrobić przed podjęciem próby bicia rekordu. Inaczej niż w przypadku rekonesansowego zejścia na 107 metrów, które zrobiłem z Pieterem, tym razem mieliśmy powtórzyć wszystkie procedury przewidziane na D-Day. Dopracowaliśmy wszystkie szczegóły, określiliśmy między innymi dokładne miejsca zamocowania na opustówce depozytów przeznaczonych na dekompresję, opracowaliśmy też kwestie przejścia z opustówki na trapez dekompresyjny oraz odpowiedzialności za dostarczenie depozytów. Na briefing dotarła ekipa filmowa wysłana przez Elenę Konstantinou. Sama Elena miała się pojawić dopiero po rekordowym nurkowaniu. Pieter i ja mieliśmy również okazję sprecyzować, jakie płynne posiłki i napoje chcielibyśmy dostać i na jakiej głębokości, co było kolejną nauką wyciągniętą z 2004 roku. Wszystko zostało zaplanowane w możliwie najdrobniejszych szczegółach.

W południe wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy do Szarm el-Szejk, gdzie Sean French, nurek marynarki RPA i ratownik DAN, przeszkolił nas z procedur rekompresji w komorze hiperbarycznej. W wykładzie brał udział również Leigh Cunningham, który próbował w 2003 roku zejść na 333 metry. Niestety podczas jednego z przygotowawczych nurkowań na głębokość 240 metrów dopadła go choroba dekompresyjna; nigdy nie udało mu się pobić rekordu świata. Leigh wraz z Markiem Andrewsem planowali ustanowienie rekordu świata od wielu lat. Później przeczucili się na nurkowanie wrakowe i w grudniu 2005 roku zanurkowali w Szarm el-Szejk na rekordową głębokość 205 metrów na wraku Yolanda.

Poniedziałkowe nurkowanie na 152 metry przebiegło bez problemów, chociaż w drugiej połowie dnia wiatr przybrał na sile. Valentina Cucchiara sfilmowała, jak schodzę razem w Pieterem na głębokość 60–70 metrów. Zawsze się zastanawiałem, do jakiej głębokości będzie za nami płynąć, jak głęboko zejdzie. Jej głębokościomierz był chyba jakoś inaczej skalibrowany, bo została na 65 metrach. Podczas wynurzania asystowali nam nurkowie zabezpieczający. Zbyszek zabrał nas na przejażdżkę trapezem dekompresyjnym za swoim skuterem Aquazepp, a Cezary i Andrzej dotrzywali nam towarzystwa na 6 i 3 metrach.

Może się to wydawać zaskakujące, ale w ciągu dwóch tygodni spędzonych w Dahabie Pieter i ja tylko trzykrotnie zeszliśmy na trimiksie. Niektórzy mogą to uznać za marnowanie dostępnych zasobów. Znajdowaliśmy się w międzynarodowym centrum głębokiego nurkowania, mieliśmy nieograniczony dostęp do helu i byliśmy w pobliżu takich miejscówek nurkowych jak Blue Hole i Kanion — nurkowisk, o których nurkowie techniczni z RPA mogą tylko pomarzyć. Rzeczywistość była jednak bezwzględna. Zwyczajne nurkowanie na 107 metrów na dno Blue Hole może przez wiele dni wpływać na organizm. Choćbyśmy chcieli ponurkować, nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Robiliśmy tylko z łodzi głębokie nurkowania w toni morskiej na powietrzu i przygotowawcze nurkowania na trimiksie. Muszę jednak powiedzieć, że na powietrzu, schodząc na głębokość 60–70 metrów, zrobiliśmy całkiem sporo głębokich nurkowań. Dziennie schodziliśmy pod wodę dwa, a nawet trzy razy, również nocą.

We wtorek zrobiliśmy sobie wolne, by przygotować się na Wielki Dzień zaplanowany na środę. Po naradzie o jedenastej zespół zabezpieczający wziął wszystkie twinsety wypełnione powietrzem na rekreacyjne nurkowanie w Kanionie. Nie mogłem im towarzyszyć. Razem z Krzysztofem „Juniorem” Hrynczyszynem zamknąłem się w kompresorowni w bazie Planet Divers

i zajęliśmy się napełnianiem butli. Po południu usiedliśmy z międzynarodową ekipą filmową Eleny Konstantinou oraz polską i rosyjską telewizją, by udzielić wywiadów. Dzień zakończył się uroczystą kolacją, którą uczciliśmy urodziny syna szefa kuchni.

Kiedy obudziłem się w środę rano, zobaczyłem palmy gnące się w podmuchach silnego wiatru. W taką pogodę łódź nie mogła wypłynąć na wzburzone wody zatoki Akaba, a nawet gdyby zdołała, nurkowanie byłoby niebezpieczne. Nurkom, podobnie jak wspinaczom wysokogórskim, potrzebna jest dobra pogoda. Czy przegapiliśmy nasze okno pogodowe? Czy wiatr ucichnie i pozwoli nam zanurkować? Mogliśmy tylko czekać. Pozwolenie na nurkowanie zostało wydane na czas nieokreślony, ale nie mogliśmy się spóźnić na lot powrotny do RPA i nie mogliśmy w nieskończoność trzymać w oczekiwaniu załogi wynajętej łodzi. Na szczęście Ryszardowi Paluszkiewiczowi udało się przejść kontrolę celną z drugim akumulatorem do skutera, a Andrzej Kruczkowski cały dzień pracował nad tym, by go uruchomić. Paluszkiewicz przywiózł też dla zespołu koszulki z napisem „No Bottom” wyprodukowane przez Equesa — chyba po to, by przypomnieć nam, że jak coś pójdzie nie tak, to na pewno nie będzie żadnej akcji wydobywania ciała z dna.

Dzień nie został jednak całkowicie zmarnowany. Zamiast przeprowadzić rekordowe głębokie nurkowanie zdołaliśmy znaleźć osłonięte miejsce w pobliżu miejscówki nurkowej o nazwie The Islands, gdzie maksymalna głębokość wynosi 20 metrów. Na tej płyciźnie było mnóstwo przepięknych koralowców i ogromne bogactwo podwodnego życia. W miejscu, w którym miałem zanurkować, niczego takiego nie było i głębokość też była nieco inna. Ze względu na brak naturalnego światła było tam kompletnie ciemno, zupełnie jak w jaskini.

W czwartek Dahab jeszcze spał, kiedy się obudziliśmy. Wiatr osłabł, przynajmniej na razie. Baza Planet Divers przypominała oazę: zapalono wszystkie światła a pracownicy i członkowie zespołu zajęli się pakowaniem sprzętu i czynieniem ostatnich przygotowań. Wszechobecne zazwyczaj kozy stały jeszcze w zagrodach w wąskich, ogrodzonych uliczkach miasteczka. Naszym przygotowaniom towarzyszyło wezwanie muezina do porannej modlitwy. O piątej rano konwój dżipów zamykany przez jadącego na motocyklu Hany’ego Tahe wyruszył z centrum w stronę nurkowiska.

Zatoka tonęła jeszcze w przedświcie, kiedy dotarliśmy do portu, w którym zacumowana była łódź. Miałem wrażenie, że obserwuję wszystko przez szybę. Nasze plany, to, do czego przygotowywałem się od tylu lat, wszystko zaczynało się urzeczywistniać. Ludzie przenosili swoje rzeczy osobiste z dżipów na łodzie,

warkot diesla tworzył tło dźwiękowe. Ktoś rozmawiał z irytującą rosyjską producentką, która w ostatniej chwili próbowała się dostać na pokład NABQ Explorera — wszystkie miejsca zostały zarezerwowane dużo wcześniej, więc musiała się zadowolić jedną z dwóch łodzi zabezpieczających. Wszystko to działo się gdzieś poza mną, przede mną zaś stali członkowie mojego zespołu: Lenné Foster-Jones odpowiedzialna za koordynację nurkowań, Pieter Venter, mój głęboki nurek zabezpieczający, doktor Gareth Lowndes zdolny rozśmieszyć grabarza, Christo Serfontein, jeden z nurków, którzy razem z nieodżałowanym Dennisem Hardingiem sfilmowali trzy latimerie, Joseph Emmanuel, który przed operacją serca cierpiał na przetrwały otwór owalny i koszmarne migreny, Zbigniew Stychno, mój długoletni przyjaciel i właściciel kilku przedsiębiorstw związanych z nurkowaniem, i Andrzej Kruczkowski, którego rok wcześniej poznałem na konferencji nurkowej w Bielsku-Białej, gdzie wygłosił prezentację na temat wraków zatopionych w głębinach Morza Czarnego. Byłem bliski powtórzenia za sir Ernestem Shackletonem: „Poszukiwani mężczyźni na ryzykowną wyprawę. Niska płaca, przejmujące zimno, długie miesiące ciemności. Bezpieczny powrót wątpliwy. Sława i uznanie w razie sukcesu”. Byłbyś zainteresowany?

Była z nami również Elżbieta Matuszewska-Benducka, uzależniona od nurkowania żona nieżyjącego już Krzysztofa Benduckiego, który pięć lat wcześniej, próbując pobić rekord Polski, zginął niedaleko miejsca, w którym miałem właśnie nurkować. Był Cezary Abramowski, który podobnie jak Artur Pazzi był wychowankiem Leigha Cunninghama i kilka lat później sam miał szkolić instruktorów IANTD. Przyjechał Dave Wilke, miłośnik przygód z Australii, dla którego nie było rzeczy niemożliwych i który w 2006 roku wziął udział w „The Big Splash”, jednoczesnym nurkowaniu ponad stu światowej klasy nurków technicznych w zimnych wodach włoskiego jeziora Maggiore. Był oczywiście Theo van Eeden, nurek policyjny i kierownik techniczny niemal wszystkich moich wypraw, Krzysztof „Junior” Hrynczyszyn i Muhammed „Butla” Ragab, który w bazie Planet Divers podniósł mieszanie gazów do rangi sztuki, Valentina Cucchiara, która w tamtym czasie niemal zamieszkała w Szarm i pisała pracę dyplomową na temat gadów i płazów, Shareen Anderson, producentka filmowa i moja przyszła żona, Robert Drzewiecki i Jurek Błaszczyk, dwóch znakomitych nurków technicznych, z których drugi ustanowił w 2007 roku nowy polski rekord głębokości, schodząc na 231 metrów, Tracey Medway, biolog morska zauroczona Wielką Rafą Koralową, Ryszard Paluszkiewicz, założyciel firmy Eques i producent sprzętu nurkowego, doktor Zdzisław Sićko, najwyższy w Polsce

autorytet w kwestiach dekompresji, i wielu, wielu innych, którzy przyjechali po prostu po to, by życzyć mi szczęścia. Prześlizgiwałem się po nich niewidzącym spojrzeniem. Byłem skupiony na swoim nurkowaniu.

Z powodu złej pogody nie nurkowaliśmy z Pieterem od trzech dni. W czwartek 9 czerwca prawie zeszliśmy pod wodę. Byłem już ubrany w suchy skafander, kiedy Zbyszek Stychno, który przeszedł w życiu kilka zabiegów ortopedycznych, powiedział, że ma przeczucie, iż pogoda się załamie. „Czuję w kościach zmianę ciśnienia” — zawyrokował. Z Szarm zadzwonił doktor Adel i powiedział, że według prognoz pogoda nie powinna się popsuć, ale zaczął wiać silny wiatr i wyglądało na to, iż będzie jeszcze gorzej, więc odwołaliśmy nurkowanie.

Woda się wzburzyła i wszędzie pojawiły się białe grzebienie fal. Wyciągnięcie z wody 350-metrowej liny zajęło godzinę. Kości Zbyszka dobrze wyczuły pogodę. Zespół ruszył na nurkowanie na Rafie Napoleona w osłoniętym miejscu w pobliżu Dahabu. Po południu zaczęliśmy pakować dzipy, w drugiej połowie dnia mniej istotne butle zostały przetransportowane na łódź. Uznałem, że trzeba zostawić na pokładzie kogoś, kto będzie pilnował sprzętu; obowiązywała zasada „niczego nie dotykać”. Tego wieczoru nie mogłem biesiadować do późna — w piątek 10 czerwca budzik miał zadzwonić o czwartej rano.

Wszystkie te przygotowania i falstarty pozwoliły zespołowi wielokrotnie wszystko przećwiczyć i nabrać pewności siebie. W tamtym momencie wiedzieliśmy już, jak zorganizować załogę, jak nią zarządzać i jak rozstawić sprzęt. Mieliśmy plan i sprzęt awaryjny na każdą sytuację. Mieliśmy także dodatkowy sprawny skuter i dwie dodatkowe łodzie oprócz łodzi głównej. Mieliśmy nawet zapasowych członków zespołu. Junior mógł w dowolnym momencie zamienić się z Butlą, Zbyszek z Nevine A. El Ghany, a Pieter Venter z Garethem Lowndesem. I tylko mnie nikt nie mógł zastąpić.

„Nikt nie znał pełnego harmonogramu dekompresji — mówi Cezary Abramowski, który zabezpieczał mnie na głębokości 25 metrów. — W każdym razie ja go nie znałem. Snuliśmy oczywiście pewne domysły, zgadując, że zawartość tlenu w mieszance dennej powinna wynosić 4%, może 4,5%. Jeśli chodzi o hel i azot, błędziliśmy po omacku, ale wiedzieliśmy, że Nuno zawsze decydował się na dość dużą zawartość azotu. Zasada była taka, że każdy nurek zabezpieczający, każdy, kto wspierał Nuna w wodzie, musiał być certyfikowany do korzystania z trimiksu, dysponowaliśmy więc wiedzą i narzędziami pozwalającymi nam dokonywać pewnych założeń. Były to jednak najwyżej teorie”. Jurek Błaszczuk, przyjaciel Abramowskiego i rekordzista Polski w głębokim nurkowaniu, nie miał pojęcia, jakie zaplanowałem gazy i profil

dekompresji. „W każdym razie przed nurkowaniem. Bo kiedy już Nuno podczas dekompresji dotarł do głębokości 60 metrów, każdy nurek zabezpieczający mógł nauczyć się profilu dekompresji na pamięć z wielkiej tabliczki przyczepionej do jego nadgarstka” — mówi Błaszczyk.

„Nie znaliśmy oprogramowania, które posłużyło do opracowania profilu nurkowania. Nie wiedzieliśmy, jaki został przyjęty poziom konserwatyzmu, jeśli w ogóle jakiś. Żadna ze znanych nam osób nie nurkowała tak głęboko. Żaden członek zespołu nie osiągnął jeszcze wówczas głębokości 200 metrów” — dodaje Zbyszek Stychno. „Kiedy zobaczyliśmy fragment profilu nurkowania opisujący płytką dekompresję, naprawdę nie mieliśmy żadnych więcej pytań — wspomina Andrzej Kruczkowski. — Wykraczało to jednak dalece poza naszą strefę komfortu i wszystko, co robiliśmy wcześniej”. Chociaż niektórym członkom zespołu zaprezentowałem pokrótce pełen profil nurkowania, nigdy nie został on nigdzie opublikowany. W filmie dokumentalnym Eleny Konstantinou *Beyond Blue: Mankind's Deepest Dive* jasno widać, że nie ujawniam części profilu nurkowania dotyczącej kluczowego etapu poniżej 200 metrów. Zasada ta nie uległa zmianie. Powinienem wspomnieć, że według oprogramowania, którym się posługiwałem, nurkowanie powinno trwać 14 godzin, ale nie mieliśmy aż tyle czasu. Nie wolno nam było nurkować z łodzi nocą, dlatego musiałem maksymalnie skrócić dekompresję, stosując mniejszy konserwatyzm — lub nie nurkować w ogóle.

Wszystko poza profilem nurkowania musiało być przejrzyste. Wiedziałem, że muszę udowodnić, iż naprawdę to zrobiłem. Przed próbą podjętą w 2004 roku i wkrótce po nurkowaniu z 2005 roku odzywały się głosy nurków utrzymujących, że przekroczyli granicę 300 metrów — nie byli jednak w stanie dostarczyć dowodów. Tego więc roku w Dahabie mieliśmy niezależnych świadków, nagrania wideo, podpisane znaczniki na głębokościach 315, 321, 325 i 330 metrów, dwie niezależne ekipy filmowe i czterech lekarzy nurkowych. Również lina została sfilmowana, sprawdzona i zmierzona na wydziale inżynierii Uniwersytetu w Pretorii. John Bennett powiedział kiedyś o nurku, który twierdził, że przekroczył głębokość 300 metrów, lecz nie był w stanie tego udowodnić: „Nie wierzę mu, bo byłem tam”. Nie miał nic więcej do dodania.

Kiedy Zbyszek Stychno zapytał: „Jak głęboko zamierzasz zejść tym razem?”, odpowiedziałem: „Spróbuję na 340 metrów”. Zapytał dlaczego. „Bo tam się kończy opustówka” — odpowiedziałem. Tak naprawdę specjalna, nierozciągalna lina, którą przywieźliśmy z RPA, odrobinę się rozciągała. Do liny przyczepione były cztery znaczniki; odczepienie ich i zabranie z powrotem na powierzchnię dowodziłoby głębokości, na którą zszedłem. „Komputery nie wchodziły w grę.

Gorączkowo korespondowaliśmy z Delta P Technology, brytyjską firmą, która dostarczyła na nasze nurkowanie pięć komputerów VR3. Zastąpiliśmy nawet plastikowe pokrywy baterii pokrywami aluminiowymi, ale czujniki ciśnienia tak czy inaczej zostałyby zmiażdżone na głębokości około 280–290 metrów panującym tam ciśnieniem” — wspomina Stychno.

„Nuno pokazał nam fragment swojego harmonogramu dekompresji od głębokości 60 metrów do powierzchni. Nikt z wyjątkiem Pietera nie zajmował się tym, co miało zdarzyć się głębiej. Nasza odpowiedzialność zaczynała się w momencie, w którym mogliśmy bezpiecznie zanurkować i pomóc komuś na powietrzu — wspomina Cezary Abramowski. — Podczas próby bicia rekordu w 2005 roku nie dostrzegłem niczego budzącego niepokój. Ciśnienie parcjalne nie przekraczało 1,6 at, mieszanki różniły się może nieco od typowych EAN50 czy OXY, z których normalnie korzystaliśmy, ale wszystko to mieściło się w akceptowalnych przedziałach. Jedynym elementem, który nie mieścił się w normie, była ogromna ilość tlenu, którą Nuno miał przyjąć”.

Nurek może śledzić ilość pochłoniętego tlenu, posługując się jednostkami toksyczności tlenowej płucnej (OTU). Jedna OTU odpowiada oddychaniu na powierzchni czystym tlenem przez minutę. Liczba OTU nie powinna przekraczać 850 jednostek dziennie przy założeniu, że w ciągu poprzedzających 48 godzin nie przeprowadzono żadnego nurkowania. Podczas dziesięciodniowej wyprawy, gdy nurkuje się codziennie, limit ograniczony jest do 310 jednostek dziennie, ponieważ z czasem zmniejsza się liczba jednostek, które organizm nurka jest w stanie bezpiecznie przyswoić. Czasem określa się to mianem zegara tlenowego. W nurkowaniu technicznym bardzo łatwo jest to przeoczyć, jeśli ktoś nie jest szczególnie metodyczny. Spędzenie 104 minut na tlenie na 6 metrach i 133 minuty na tlenie na 3 metrach wystarczy, by zegar zaczął dzwonić jak szalony. „W przypadku Nuna całkowita szacowana liczba OTU w przebiegu całego nurkowania wynosiła tego dnia 1251 OTU, co znacznie przekraczało zalecane limity — wyjaśnia Abramowski. — Ciśnienie parcjalne tlenu w płytkiej części fazy dekompresji nie budziło naszych podejrzeń, ale w głębokiej części nurkowania mogło to wyglądać zupełnie inaczej. Po prostu tego nie wiemy”. „Podczas nurkowania w 2005 roku kierowaliśmy z Andrzejem Kruczkowskim wsparciem z powierzchni. I muszę przyznać, że naprawdę na niczym nie oszczędzaliśmy: ani na helu, ani na łodziach, ani na nurkowaniach przygotowawczych. Porównując to z innymi nurkowaniem, które obserwowałem później w Dahabie, wszystko skupiało się na bezpieczeństwie — mówi Stychno. — Było to pokrzepiające doświadczenie”.

Czy podczas nurkowania w 2005 roku chciałem pobić rekord Bennetta ustanowiony na 307,8 metra? Chciałem to zrobić rok wcześniej. W 2005 roku chodziło już raczej o samą głębokość. Chciałem się przekonać, jak głęboko potrafię zejść i skąd zdolny jestem jeszcze powrócić na powierzchnię. Theo odczytał mój zamysł i wydłużył linę do 341 metrów. Odpowiednio przeliczyłem profil nurkowania i harmonogram dekompresji. Bennett, który był w swoim życiu kolejno spadochroniarzem, wykidajką i sanitariuszem w szpitalu psychiatrycznym, powiedział kiedyś Elenie Konstantinou, że kiedy idzie o rekord, „musisz chcieć go ustanowić. Naprawdę musisz tego chcieć. Jeśli masz jakiekolwiek wątpliwości, nie powinienes tego robić”. Phil Newsum, nurek saturowany i dyrektor Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Wykonujących Prace Podwodne (Association of Diving Contractors International — ADCI), mówi: „Musisz chcieć dostosować się do każdej sytuacji. Podejmując pracę nurka, z zasady zakładasz, że coś pójdzie źle”. Bardzo chciałem ustanowić ten rekord — być może tak bardzo, jak sam Newsum, który powiedział, że „głębokość przyciąga nieznanym”. Nie miałem takiej motywacji jak Bennett, który chciał dysponować wystarczającymi zasobami, by po pobiciu rekordu zanurkować na wraku Yamashiro. Naprawdę chciałem zejść tam, gdzie żaden człowiek nie był nigdy wcześniej. Wiedziałem jednak, że coś może pójść nie tak.

Czy się obawiałem? „Obawa to nie jest właściwe słowo — powiedział Bennett. — Jest nim strach. Schodzenie na zaplanowaną głębokość nie jest przerażające. W 2001 roku zamocowaliśmy do końca liny latarkę. Widziałem światło, widziałem swój cel, nie obawiałem się więc, zwłaszcza że dobrze się czułem. Kiedy jednak spojrzysz w górę i nie widzisz żadnego światła, to rzeczywiście zaczynasz się bać. Nie chodzi o to, że zacząłem się trząść w panice. Gdyby tak było, nie siedziałbym teraz tutaj. Byłem jednak bliski paniki i wszystko to było naprawdę dość przerażające. Musiałem jednak wrócić. Żywy”.

Co przyciągnęło mnie na powrót na powierzchnię? Bennett myślał o ucałowaniu swoich dzieci i o tym, że je opuścił. Powiedział: „Obiecałem, że w weekend się z nimi pobawię. Co by się z nimi stało, gdybym nie wrócił? To był moment rozpacz z rodzaju tych, nad którymi musisz zyskać kontrolę. Powrócę. Muszę. Nikt mnie nie zmuszał do tego, by się tu znaleźć. Więc weź się w garść, przestań narzekać i uzalać się nad sobą! A potem pojawił się ból. Morze bólu!”.

Bennett był pierwszym człowiekiem, który przekroczył granicę 300 metrów. Wykorzystał całość zgromadzonej dotychczas wiedzy na temat głębokiego nurkowania. Uważnie śledził osiągnięcia Exleya, Bowdena i moje. Ciekawie wypada porównanie jego i mojego nurkowania: rozpoczął swoją podróż ku głębi

o 9.10 rano, znacznie później niż ja (zacząłem się zanurzać o 7.04). Skończył o 18.50, już po zachodzie słońca, wcześniej niż ja, dlatego całe jego nurkowanie było krótsze niż moje.

Nurkowałem w czerwcu na półkuli północnej, on natomiast w listopadzie na półkuli południowej. Dni miały wówczas mniej więcej taką samą długość, ponieważ w obu przypadkach było to lato. Podobnie jak ja posłużył się obciążoną liną ze znacznikami. Nurkował z łodzi, ale lina była niezależna. Podobnie jak ja rozmiścił na linie butle dekompresyjne i awaryjne. Szybko, z prędkością 30 metrów na minutę, zszedł na oznaczoną głębokość — znacznie szybciej, niż robił to Exley. Obaj pod tym względem różniliśmy się od Shecka. Bennett posłużył się zestawem trzech mocowanych na plecach butli, na który składał się połączony manifoldem twinset i niezależna butla zapasowa — była to konfiguracja koncepcyjnie analogiczna do mojej. Wzorem Bennetta ja również zgłosiłem się do niemieckiego producenta sprzętu nurkowego Ocean Management Systems (OMS). Obiecali dać mi to samo co Bennettowi. Moim zdaniem ilość gazu zgromadzonego w trzech butlach była jednak zbyt mała, nie mówiąc już o tym, że schodziłem głębiej — dlatego skonstruowałem swoją unikalną konfigurację poczwórną.

Samotnego w ciemnościach Bennetta pocieszało jedynie światło migoczące na końcu liny. Wyznaczało mu cel podczas zejścia. Ja również przymocowałem na końcu liny źródło światła, mojego jedyne go sprzymierzeńca poniżej 200 metrów głębokości. HPNS dopadł Bennetta na 250 metrach. „Na głębokości 275 metrów obraz całkiem mi się zamazał” — powiedział po nurkowaniu w wywiadzie dla ekipy filmowej Calypso. Nie powstrzymało go to od rozpoczęcia napełniania skrzydeł ponad 30 metrów przed końcem opustówki. Wiedział, że w 1996 roku popełniłem błąd, który niemal pogrzebał mnie w mule Boesmansgat. Ja miałem przynajmniej dno jaskini, wyznaczające ostateczną granicę głębokości. On minąłby koniec liny i opadł ku wieczności. Kiedy Bennett osiągnął w końcu swój cel, ręce drżały mu wskutek oddziaływania gazu dennego — trimiksu 4/84 — lecz mimo to zdołał odczepić znacznik głębokości. W drodze powrotnej ku 150 metrom przełączył się na gaz podróżny, trimix 9/66. Nadal był sam. Jego nurkowie zabezpieczający, którzy korzystali z tej samej mieszanki, Ron Loos i Mark Andrews, czekali na głębokości 100 metrów, 23 metry płycej niż Pieter Venter. Bennett miał dwóch nurków wspierających, lecz tej części scenariusza postanowiłem nie powielać. Wszystko było dobrze, dopóki nie zdarzyło się coś niespodziewanego. Kiedy Bennett odkręcił zawór butli, automat wzbudził się wściekle, wysyłając na powierzchnię chmurę bąbelków. Bennett szybko zaczerpnął powietrza i zakręcił zawór, po czym odkręcał go tylko po to, by wziąć

kolejny wdech. Miałem podobny problem w 2004 roku, tylko że nie na głębokości 150 metrów, lecz 271 metrów.

Zgodnie z pierwotnym planem John miał wystrzelić na powierzchnię boję SMB sygnalizującą przyjęty przez niego profil nurkowania. Gdyby ustanowił rekord i przekroczył granicę 300 metrów, musiałby odbywać dekompresję trwającą blisko 10 godzin. Gdyby mu się to z jakiegoś powodu nie udało, plan zostałby zmieniony, a harmonogram dekompresji odpowiednio dostosowany. Mój zespół również planował wystrzelenie boi SMB na powierzchnię, ale zadanie to zostało przydzielone Pieterowi, nurkowi zabezpieczającemu mnie na głębokości 123 metrów. Mój pomysł polegał nie na tym, by dostosować dekompresję, ale na tym, by wysłać zespołowi znajdującemu się na powierzchni sygnał, że nadal żyję, a przy tym przekazać im informację o wyniku nurkowania. W 2001 roku John nie wystrzelił boi sygnalizacyjnej i jego zespół umierał z niepokoju. Właśnie z tego powodu Andy Pope, dyrektor kursów PADI, i Tony Gower wysłali na dół Axela Santosa, franczyzobiorcę IANTD Filipiny, by sprawdził wynik nurkowania. Axel spotkał się z Bennettem na 90 metrach i kiedy profil nurkowania został potwierdzony, wszystko wskoczyło z powrotem na właściwe tory, ale wysłanie pod wodę tak wielu głębokich nurków spowodowało późniejsze problemy logistyczne, ponieważ nurkowie ci potrzebowali własnych nurków zabezpieczających. Zdecydowałem się trzymać jednego, ustalonego profilu nurkowania, niezależnego od ostatecznie osiągniętej głębokości.

Nurkowanie Bennetta skomplikowało się na 66 metrach, gdy nieoczekiwanie doznał urazu ciśnieniowego ucha wewnętrznego. Człowiek czuje się jak w wirówce — nie wiadomo gdzie góra, gdzie dół. Don Shirley miał ten sam problem w 2004 roku podczas nurkowania w Boesmansgat na głębokość 250 metrów, co nieomal skończyło się jego śmiercią. To samo spotkało Marka Ellyatta. Bennett zaczął niepowstrzymanie wymiotować i całkowicie stracił poczucie kierunku i równowagi. Z pomocą Targa Mana, Axela Lechwarda i sanitariusza Joe McLary'ego Bennett zdołał przezwyciężyć mdłości i przeprowadził pod wodą w całości zaplanowaną dekompresję. Napady mdłości, zawrotów głowy i silnych wymiotów prześladowały go przez resztę nurkowania. „Jakoś wytrzymałem” — podsumował później. Najdłuższą część dekompresji przeprowadził na rozmaitych mieszankach nitroksowych, przełączając się co 15 minut na 5 do 8 minut na trimix 16/44. Te nitroksowe przerwy wykonywane były po to, by zatrzymać zegar tlenowy. Ja ich nie potrzebuję. Z jakiegoś powodu mam wysoką odporność na przewlekłą toksyczność tlenową. Minimalizowanie ryzyka zatrucia tlenem nie jest złym pomysłem, ale rozpuszczanie w tkankach

dodatkowego helu i późniejsze odgazowywanie tkanek z helu może najwyżej zwiększyć ryzyko choroby dekompresyjnej. Określa się to mianem kontryfuzji izobarycznej (ICD). Specjalista od dekompresji, B.R. Bienke, twierdzi, że „przełączanie się z gazu lżejszego na cięższy (na przykład z helu na azot) jest stosunkowo bezpieczne i często stosowane, ale w drugą stronę już nie. Każde przełączenie się z gazu cięższego na lżejszy (na przykład z azotu na hel) może być niebezpieczne”. Jestem przekonany, że obie te sytuacje są problematyczne i należy stopniowo przechodzić z jednego gazu na drugi.

Sheck Exley był tego świadomy na długo przed Johnem Bennettem. Wiedział o tym częściowo dlatego, że powiedział mu o tym Jochen Hasenmeyer, a ten rodzaj wiedzy przechodzi z ust do ust, z pokolenia na pokolenie i z kontynentu na kontynent. W książce *Autobiografia pod ciśnieniem* (Mayfly, 2009) Exley napisał na temat swojego nurkowania w Mante w 1989 roku: „Na głębokości 79 i 76 metrów zatrzymałem się i odliczyłem po sześćdziesiąt sekund. Potem zacząłem się martwić następnym problemem: przedsionkową postacią choroby dekompresyjnej opisaną przez Jochena i Gene’a. Na głębokości 73 metrów musiałem przełączyć się z mieszanki helowej (50 procent helu i 40 procent azotu) na zwykłe powietrze, które zawiera 79 procent azotu. Jak wynikało z informacji Jochena i Gene’a, nagły wzrost zawartości azotu mógł spowodować natychmiastową śmierć nurka. Co więcej, wszystkie autorytety medyczne przewidywały, że w tym momencie nastąpi nagły atak narkozy azotowej. Starając się przeprowadzać tę zmianę łagodnie i stopniowo, wziąłem tylko jeden oddech powietrza z butli, którą zostawiliśmy wcześniej 73 metry pod powierzchnią, a dwa kolejne oddechy z butli z helem. Potem nastąpiły dwa oddechy powietrza i jeden mieszanki helowej. W końcu przełączyłem się całkowicie na powietrze, przygotowując się w duchu na atak narkozy i przedsionkową postać choroby dekompresyjnej, a jednocześnie odliczając kolejne sekundy. Nic się nie wydarzyło, nie czułem żadnych objawów narkozy, nie straciłem przytomności.

Zrobiło mi się tylko cieplej, dzięki temu, że nie oddychałem już helem. Najwyraźniej moja strategia, polegająca na zachowaniu w mieszance helowej jak największej ilości azotu, przyniosła pożądany skutek”.

Wyznanie Shecka odzwierciedla jego głębokie przekonanie, że gaz denny musi zawierać dużo azotu. Częściowo dlatego, że minimalizuje to ryzyko wystąpienia zespołu neurologicznego wysokich ciśnień, a częściowo dlatego, że zmniejsza to ryzyko urazu ciśnieniowego ucha wewnętrznego. Profil dekompresji Shecka mówi sam za siebie. Podczas wynurzania już na 72 metrach Sheck zrezygnował z wykorzystywania jakichkolwiek mieszanek z helem i stopniowo podczas

wyjścia zastępował całość helu azotem, przechodząc z trimiksu 7/66 na trimix 12/40. Równoważna głębokość narkotyczna (END) najgłębszego nurkowania, jakie kiedykolwiek wykonał, wiele nam mówi o tym człowieku. Exley miał niesamowitą tolerancję na narkozę azotową i pójście w jego ślady nie zawsze jest łatwe. Podczas nurkowań Shecka w Mante i Boesmansgat jego END sięgała 84 metrów. Moja END podczas nurkowania w Boesmansgat wyniosła 64 metry. END Dave'a Shawa ustanawiającego w 2004 roku rekord głębokości nurkowania na obiegu zamkniętym wyniosła 39 metrów. Bennett podczas ustanawiania światowego rekordu Guinnessa doświadczał END na poziomie 38 metrów. W Dahabie moje wartości END w 2004 i 2005 roku wyniosły odpowiednio 47 i 40 metrów. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że im wyższa była równoważna głębokość narkotyczna, tym lepiej czułem się fizycznie po rekordowych nurkowaniach.

Niepokój o to, co dzieje się z Bennettem, popchnął do działania wszystkie osoby oczekujące go na powierzchni. Niemal natychmiast pod wodę zeszli na trimiksie trzech głębocy nurkowie zabezpieczający i zespół musiał wykombinować, kto będzie zabezpieczał Bennetta na mniejszych głębokościach. Ci, którzy nurkowali na helu, nie mogli wesprzeć rekordzisty, bo mieli do zrealizowania własny harmonogram dekompresji. Pierwotny zespół składający się z 10 osób wzrósł do niemal 30 osób po tym, jak gorączkowo ściągnięto z brzegu wszystkich dostępnych nurków. Razem z nurkami pojawiły się dodatkowe butle i rozmiary całej operacji przekroczyły wszelkie oczekiwania. Bennett wynurzył się na powierzchnię dwie godziny po zachodzie słońca, wyczerpany, ale szczęśliwy. Spędził 9 godzin i 35 minut w wodach u wybrzeży filipińskiej wyspy Mindoro. Przed upływem 24 godzin wszystkie jego dolegliwości w znacznej mierze ustąpiły.

W piątek 10 czerwca wypłynęliśmy z portu w Dahabie o 6.15 rano. Naprawdę chciałem przeprowadzić to nurkowanie. Mimo trzydniowego opóźnienia mój plan miał się wreszcie urzeczywistnić i zamierzałem zanurkować niezależnie od ewentualnych przeczuć Zbyszka Stychny. Nie mogliśmy już dłużej czekać. Bilety lotnicze zostały dawno kupione i potrzebowałem przynajmniej kilku dni, by po nurkowaniu odsycić całość helu i azotu z tkanek, zanim będę mógł wsiąść na pokład samolotu. Morze było względnie spokojne i nic — przynajmniej wówczas — nie wskazywało na to, by pogoda miała się zmienić. Dotarliśmy do miejsca Nuno 2, gdzie z pomocą Andrzeja Kruczkowskiego, Zbyszka Stychny i Lenné Foster-Jones w mgnieniu oka przygotowałem się do nurkowania. Miałem zestaw mocowanych na plecach czterech butli, do tego trzy przymocowane do ciała butle

z gazem podróznym. Do siedmiu butli przymocowanych było pięć automatów. Stary wierny komputer Uwatec, który sprawdził się w Boesmansgat, zapiąłem na prawym nadgarstku, a VR3 na lewym. Na lewym nadgarstku miałem też zegarek Casio G-Shock Frogman — ten sam, którego używałem w Boesmansgat podczas rekordowego nurkowania w 1996 roku. W kieszeni miałem również zapasowy Casio G-Shock. W skład mojego wyposażenia wchodził też kask z niewielkimi reflektorkami, suchy skafander i dwa niezależne skrzydła. Łącznie mieliśmy wykorzystać 100 butli, z czego 30 przeznaczonych było na moją dekompresję. Lenné, Andrzej i Zbyszek popchnęli mnie delikatnie do wody i o 7.04 wyruszyłem w podróż ku nieznanemu.

Im głębiej schodziłem, tym głębsza otaczała mnie ciemność — poniżej 200 metrów nie było już ani odrobiny naturalnego światła. Zrobiło się również zimniej. W końcu zacząłem dostrzegać łagodną poświatę latarki Tektite, którą przyczepiłem do liny na głębokości 325 metrów. To nikłe światło dodało mi otuchy i poprowadziło mnie, niemal zmusiło mnie do tego, by zanurzyć się głębiej w tym zimnym, ciemnym i bardzo nieprzyjaznym świetle pozbawionym jakichkolwiek widocznych oznak morskiego życia z wyjątkiem może kilku dziwnych, maleńkich meduz. Po przekroczeniu głębokości 250 metrów zacząłem odczuwać objawy HPNS, początkowo delikatne, z czasem przybierające na sile i wreszcie wstrząsające całe moje ciało niekontrolowanymi dreszczami. Nadal byłem w stanie myśleć, ale odczuwałem silną narkozę azotową znacznie przewyższającą END wyliczoną na poziomie 40 metrów.

Kiedy dotarłem do podpisanego znacznika na 315 metrach, zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie zejść niżej. Gdybym zszedł głębiej, nie miałbym pewności, czy zdołam wrócić. Nie byłem nawet pewien, czy z tej głębokości zdołam wypłynąć. Nigdy wcześniej nie zszedłem przecież tak głęboko, znajdowałem się prawie 40 metrów głębiej niż kiedykolwiek w życiu. Było to poważne wyzwanie. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Czy stracę przytomność, gdy zacznę się wynurzać? Drżałem tak mocno, że bałem się, iż automat wypadnie mi z ust. Byłem prawie pewien, że gdyby tak się stało, nie zdołałbym go podjąć i umieścić z powrotem we właściwym miejscu. Uznałem, że czas wracać do domu, ale najpierw musiałem zdjąć z liny podpisany znacznik głębokości. Musiałem go odczepić i nie upuścić. Był to mój żelazny dowód, że naprawdę tam byłem. Zacisnąłem lewą dłoń na linie w pobliżu pierścienia ze znacznikiem i przepiąłem znacznik z pierścienia do jednej z dziurek na ręczce mojego noża. Aby to zrobić, musiałem odciągnąć cyngiel karabinka tłokowego, po czym przepiąć znacznik. Trząsałem się tak bardzo, że kosztowało mnie to wiele

trudu, ale jakoś się w końcu udało. Byłem szczęśliwy, ale miałem bardzo niewiele czasu, by cieszyć się zwycięstwem. Skoncentrowałem się na przeżyciu tego nurkowania i rozpocząłem wynurzenie. Zmusiłem się, by zwolnić — na dużej głębokości każdy dodatkowy wysiłek fizyczny mógł spowodować utratę przytomności.

Przed podjęciem wynurzenia musiałem dopompować skrzydła, co zajęło mi dłuższą chwilę. Najpierw musiałem chwycić inflatory. Na tej głębokości gaz, nawet przy takiej zawartości helu, był bardzo gęsty i płynął do skrzydeł nieskończenie wolno, ale w końcu zacząłem się wynurzać — na początku bardzo powoli, po chwili nieco szybciej.

Z tego, co pamiętam, podczas płynięcia do pierwszego głębokiego przystanku dekompresyjnego na głębokości 190 metrów nic szczególnego się nie wydarzyło. Rok wcześniej stoczyłem tu walkę o życie, ale w ten czerwcowy piątek wszystko wydawało się o wiele łatwiejsze. W miarę wynurzenia symptomy HPNS słabły. „Kiedy zacząłem schodzić, bąbelki wypuszczane przez Nuna pojawiały się w niewielkim oddaleniu od liny. Trochę się zmartwiłem, ale kiedy zszedłem na mniej więcej 80 metrów, zobaczyłem jego latarki i zrozumiałem, że trzyma się liny — wspomina Pieter Venter. — Nieco wcześniej, niż zaplanowaliśmy, dotarłem na miejsce spotkania, więc musiałem poczekać, wisząc na głębokości około 125 metrów. Kiedy Nuno wreszcie dotarł, najpierw spojrzałem na jego głębokościomierz, ale wysokie ciśnienie zmiażdżyło oba. Potem Nuno pokazał mi znacznik potwierdzający ustanowienie rekordu świata i pogratulowałem mu, a potem sprawdziłem, czy wszystko z nim OK. Zostałem z nim przez chwilę. Bardzo się cieszyłem, że mu się udało. Widziałem w jego oczach, że był szczęśliwy”. Następnie Pieter wystrzelił boję z tabliczkami „OK” i „rekord świata”, dzięki czemu wkrótce potem wszyscy na powierzchni już wiedzieli, że mi się udało. Zespół na łodzi zaczął klaskać, skakać i ścisnąć się, a Lenné się rozpłakała. Sean French powiedział bardzo poważnym tonem, że gdyby w tym momencie cokolwiek mi się stało, zdoła wyciągnąć mnie żywego na powierzchnię. „Najgorsze za nami. Nuno żyje” — powiedział. Cała załoga była bardzo podniecona. „Tak się cieszę, że udało mu się tego dokonać — powiedziała Lenné przez łzy. — Tak ciężko na to pracował. Zasłużył na to”. A Theo dodał: „Nigdy w życiu nie byłem taki szczęśliwy. Cieszę się, że mu się udało”.

Pieter nadal się jednak martwił. „Przypomina to sytuację wspinacza, który dotarł na szczyt. Nie jest bezpieczny, dopóki nie zejdzie na dół. Wynurzenie jest częścią nurkowania i wcale nie jest łatwe” — powiedział, wypłynąwszy na powierzchnię po nurkowaniu na 125 metrów.

Na głębokości 60 metrów przypiąłem się do opustówki i natychmiast zrozumiałem, że powrót na powierzchnię będzie długi i męczący. Trzy przypięte do opustówki boje powierzchniowe, które pozwalały jej unosić się swobodnie w morzu, miały się na falach w górę i w dół. Każda fala pociągała mnie pionowo w górę, a potem rzucała w dół na odległość swojej amplitudy, która często przekraczała metr. Moje umiejętności w zakresie utrzymywania właściwego trymu przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Poczwórny zestaw całkowicie uniemożliwiał mi wykorzystanie tej kluczowej dla każdego nurka umiejętności. Cztery butle były tak ciężkie, że musiałem stale poruszać płetwami, by utrzymać poziomą czy nawet pionową pozycję. Ze względów bezpieczeństwa musiałem się przypiąć do opustówki, bo podczas dekompresji z wielu powodów można stracić przytomność. Gdyby tak się stało, opadłbym na głębokość jakiś 1250 metrów. Martwiłem się też możliwością wystąpienia choroby dekompresyjnej. Musiałem starać się pozostać na właściwej głębokości. Napad drgawek właściwy zatruciu tlenowemu lub uraz ciśnieniowy ucha wewnętrznego z utratą poczucia równowagi i kierunku mogły mnie dopaść bez ostrzeżenia. Nie zdołałbym na czas chwycić liny. Po utracie przytomności problemem byłoby również utrzymanie automatu w ustach. Po przypięciu się do liny bujało mnie jak na huśtawce w górę i w dół, a wraz ze mną moje cztery 18-litrowe butle. Jakie by te fale, prądy i wiatry nie były, nic nie mogło mnie oderwać od mojej opustówki — mojej liny życia. I wtedy rozpętało się piekło.

Pierwsze nurkowanie na głębokość 300 metrów — święty Graal wszystkich głębokich nurków — zostało wykonane w 1962 roku przez Hannesa Kellera, „żywiolowego 28-letniego szwajcarskiego matematyka” (jak znakomicie ujął to Nathaniel Rich w *New York Review of Books*), który nosił okulary w oprawkach półramkowych i codziennie wypijał na śniadanie butelkę coca-coli. Choć Keller wcale nie sprawiał takiego wrażenia, to nie książki, lecz przygody pociągały go najbardziej. Rok wcześniej zszedł we włoskim jeziorze Maggiore na głębokość 221 metrów. Był to ten sam akwen, w którym Claudia Serpieri, Australijczyk Dave Wilke, ja sam i kolejnych 97 nurków zeszło pod wodę podczas imprezy naukowej „The Big Splash” zorganizowanej przez Divers Alert Network (DAN) w 2006 roku.

Podobnie jak Exley, Keller był matematykiem. Wykładał dla studentów kierunków inżynierskich w swoim rodzinnym mieście Winterthur niedaleko Zurychu. Początkowo Keller interesował się lataniem, ale przy nauczycielskiej

pensji było to hobby zbyt kosztowne. Kiedy jego przyjaciel wprowadził go w arkana nurkowania w ABC (maska, fajka, płetwy), Keller uznał, że znalazł swoje powołanie. W listopadzie 1959 roku Keller, któremu na powierzchni towarzyszył doktor Albert A. Bühlmann ze szpitala uniwersyteckiego, zszedł w Jeziorze Zuryskim na głębokość 122 metrów. Podczas dekompresji wykorzystał w charakterze prymitywnego dzwonu nurkowego odwróconą do góry nogami 190-litrową beczkę po oleju obciążoną ciężkimi kamieniami. Większość sprzętu została pożyczona, a ze względu na nieustannie prześladujący zespół brak funduszy rolę urządzenia umożliwiającego awaryjne wyjście spełniała stara dętka z opony samochodowej. Było to, jak to określił Keller, „przerażające doświadczenie”. Wszystkie swoje nurkowania przeprowadził z wykorzystaniem dzwonu nurkowego, a w przypadku zejścia na 300 metrów wykorzystał również suchy skafander o stałej objętości oraz „sekretnie mieszanki gazów”. Na prestiżowym spotkaniu World Congress of Underwater Activities Hannes Keller ogłosił swój plan „dokonania historycznego wyczynu”: dotknięcia szelfu kontynentalnego na głębokości 300 metrów. Nie chciał jedynie dotknąć szelfu kontynentalnego — chciał przez 5 minut pochodzić po dnie. Wiele instytucji wyraziło zainteresowanie jego planami, ale tylko amerykańska marynarka wojenna poszła krok dalej, zapraszając go wraz z zespołem do swojego głównego ośrodka eksperymentalnego w Waszyngtonie. Shell Oil wynajął zespołowi statek wiertniczy Eureka, który miał przetransportować dzwon nurkowy Kellera na miejsce nurkowania. Profil jego nurkowania wskazywał, że zarówno Keller, jak i Bühlmann radzili sobie z HPNS, możliwie szybko przełączając się na mieszanki bogate w azot. Sztuczka polegała na tym, by w mieszance było na tyle dużo azotu, by przeciwdziałać HPNS wywoływanemu przez hel, nie powodując jednocześnie nadmiernej narkozy azotowej. HPNS nie był jeszcze wówczas znany pod tą nazwą.

Keller przeprowadził dekompresję na EAN30, poczynając od głębokości 50 metrów, natomiast wcześniej oddychał trimiksem z 15-procentową zawartością tlenu, który pełnił rolę gazu podróznego, a na dnie — helioksem 8 (8% tlenu i 92% helu). Na potrzeby tego nurkowania Keller i organizator Światowego Kongresu, dziennikarz Peter Small, zeszli na 76 metrów na powietrzu, które wypełniało również dzwon nurkowy, gdyż hel był zbyt drogi. Chociaż amerykańska marynarka przekazała Kellerowi 22 tysiące dolarów, wystarczyło to jedynie na zbudowanie dzwonu i najwyraźniej już nie na wypełnienie go helem. Nurkowanie skończyło się śmiercią Petera Smalla i Chrisa Whittakera, nurka zabezpieczającego, Keller natomiast odkrył, że azot jest najlepszym

sprzymierzeńcem nurka. „Pomysł był znakomity. Wykonanie poszło nieco gorzej” — podsumował w wywiadzie dla magazynu „Life” Kenneth MacLeish, redaktor, który towarzyszył Kellerowi podczas wcześniejszego nurkowania. Nurkowie reprezentujący kolejne generacje — Jochen Hasenmayer, Sheck Exley, Jim Bowden i w końcu ja — starali się o tym nie zapominać.

Przez wiele lat ludziom nie udawało się przekroczyć granicy 300 metrów. Po tragicznym nurkowaniu Kellera nurkowie saturowani zeszli na tę głębokość zaledwie kilka razy, i to na krótko. Amerykańskiej marynarce udało się to na początku 1968 roku w ramach eksperymentu Sealab, kiedy to rozwój podwodnych osiedli pomógł dowieść wykonalności nurkowań saturowanych i możliwości przetrwania przez ludzi dłuższych okresów w izolacji. Wkrótce potem marynarka powtórzyła eksperyment pod nadzorem Waltera F. Mazzone’a, oficera medycznego Sealab, i umieściła nurków na 13 minut na głębokościach sięgających od 251 do 312 metrów. Wystarczyło to, by wywołać coś, co naukowcy określili mianem drgawek helowych. Ramiona i dłonie nurków trzęsły się w sposób niekontrolowany, jakby było im potwornie zimno. Przeciwdziałano temu między innymi poprzez wolniejsze sprężanie — innymi słowy: spowalniając zanurzenie. W nurkowaniu saturowanym, nie mówiąc już o nurkowaniu sportowym, trudno było to jednak zrealizować w praktyce. Dodawanie kolejnych dni pod wodą do zaplanowanych już tygodni dekompresji nie mieściło się w planach firm takich jak Shell czy BP, zorientowanych ostatecznie na osiąganie zysków. Nurkowie saturowani zarabiali powyżej 1000 dolarów dziennie i dla potentatów przemysłu naftowego była to liczba pojawiająca się po stronie kosztów, nie zysków. Niemniej jednak firmy Comex i Taylor Diving & Salvage oraz amerykańska marynarka nie zaprzestały eksperymentalnych nurkowań i przeprowadzały zejścia na głębokości przekraczające 300 metrów. W 1970 roku nurkowie z Taylor Diving zeszli na 335 metrów, natomiast dwa lata później badacze Comexu osiągnęli w symulowanym środowisku komory hiperbarycznej niesamowitą głębokość 610 metrów. Dzięki temu wyczynowi francuska firma zapewniła sobie pierwsze zlecenie na głębokości 326 metrów, wyławiając dla BP Canada połączone kaskadowo zawory warte 10 milionów dolarów. W innym eksperymencie przeprowadzonym przez marynarkę amerykańską nurkowie spędzili trzy tygodnie w komorze z mokrym przedziałem symulującym prawdziwe warunki. Zostali sprężeni do prawie 50 barów, co odpowiada głębokości 490 metrów. W tych warunkach ujawniły się nie tylko symptomy HPNS, ale i duszność, objawiająca się trudnościami w oddychaniu i przytłaczającym poczuciem posiadania niewystarczającej ilości tlenu do oddychania. Był to

kolejny przykry aspekt oddziaływania wysokiego ciśnienia na ludzki organizm.

Przełom w ograniczaniu objawów HPNS nastąpił w 1988 roku — w tym samym roku, w którym w katastrofie na platformie wiertniczej Piper Alpha na Morzu Północnym zginęło 167 jej pracowników — kiedy to czterech nurków Comexu i dwóch nurków marynarki francuskiej przeprowadziło z powodzeniem u wybrzeży Marsylii sześciodniowe symulowane prace na głębokości 533 metrów. Nurkowie oddychali na dnie hydrelieksem (mieszaną zawierającą 49% wodoru, 50% helu i 1% tlenu), nieświadomi ciężkich zimowych warunków panujących na powierzchni, gdzie prędkość wiatru przekraczała 90 kilometrów na godzinę. Dotarcie na tę głębokość zajęło im 8 dni. Najpierw zostali sprężeni w komorze powierzchniowej, po czym zostali przeniesieni do znajdującego się pod ciśnieniem dzwonu nurkowego i opuszczeni na głębokość 533 metrów. Musiało minąć kolejne 18 dni dekompresji przeprowadzanej ponownie w komorze powierzchniowej, zanim nurkowie mogli wyjść na świeże powietrze.

W listopadzie 1992 roku miał miejsce kolejny — nazwany Hydra 10 — eksperyment w sucho-mokrej komorze Comexu: trzech ochotników zabrano na głębokość 675 metrów; dotarcie na tę symulowaną głębokość w suchej części komory zajęło im 18 dni. Oddychali hydrelieksem. Jeden z trzech nurków, Theodoros Mavrostomos, o którym wiadomo było, że jest najmniej wrażliwy na nieprzewidywalne skutki HPNS, przeszedł do mniejszego zbiornika i zszedł jeszcze niżej na niewiarygodną symulowaną głębokość 701 metrów. Spędził tam 3 godziny, wykonując rozmaite testy i zdradzając jedynie łagodne objawy „drgawek helowych”. Przeprowadzenie całej tej operacji trwało 43 dni. HPNS został teoretycznie opanowany. Testy na zwierzętach dowodzą, że ludzie teoretycznie mogą wytrzymać pobyt na głębokości do 760 metrów i wynurzyć się niemal bez urazów.

O wiele mniej wiadomo na temat mieszanek wykorzystywanych przez innego ekstremalnego nurka, Jochena Hasenmayera, który we francuskiej jaskini Fontaine-de-Vaucluse podobnie jak Keller oddychał helioksem do głębokości 205 metrów. Wiemy jednak, że podzielił się swoją wiedzą z Sheckiem i nawet nurkował z nim w latach 70. „Była to najzimniejsza woda, z jaką kiedykolwiek zetknąłem się w jaskini” — wspominał Sheck po nurkowaniu z Hasenmayerem w źródle rzeki Blau w krajobrazie krasowym Jury Szwabskiej.

Prawdopodobnie bliższe nurkowaniu z akwalungiem, przynajmniej w aspekcie zależności, było nurkowanie Sylvii Earle. Była pierwszą osobą, która zanurkowała solo na głębokość 381 metrów bez połączenia ze statkiem zabezpieczającym. Skafander JIM, w który była ubrana w 1979 roku podczas tego

historycznego nurkowania w pobliżu hawajskiej wyspy Oahu, został zaprojektowany do utrzymywania stałego wewnętrznego ciśnienia 1 atmosfery. Z tego względu nie było potrzeby stosowania specjalnych mieszanek gazów, nie było zagrożenia narkozą azotową ani chorobą dekompresyjną. Osoba ubrana w skafander głębinowy nie musiała przeprowadzać dekompresji przed powrotem na powierzchnię. Skafander wykorzystywany przez Earle został nazwany od imienia Jima Jarretta, głównego nurka Josepha Salima Peressa, projektanta Tritonii, skafandra poprzedzającego skafander JIM. Kombinezon Tritonia, wyglądający jak żywcem wzięty z ekranizacji książek Juliusza Verne'a, posłużył Jimowi Jarrettowi w 1935 roku do zbadania wraku RMS Lusitanii spoczywającego na głębokości 95 metrów.

Siedemdziesiąt lat później wspomina Andrzej Kruczkowski: „Mniej więcej 45 minut po tym, jak Nuno zniknął pod powierzchnią wody, pogoda gwałtownie się zmieniła. Boja, do której podczepiona była opustówka, do której z kolei przyczepiony był Nuno, dryfowała na otwarte morze z prędkością około 300 metrów na godzinę”. Sytuacja była poważna. „Gdybyśmy stracili wątle bezpieczeństwo półwyspu, nie bylibyśmy w stanie mu pomóc. Morze w zatoce było zbyt wzburzone — przyznaje Zbyszek Stychno. — Pierwotnym pomysłem na fazę dekompresji było przeciągnięcie Nuna za pomocą skutera w kierunku plaży i ukończenie nurkowania w miejscu, z którego widać dno. Mógłby się przenosić z jednego przystanku dekompresyjnego na drugi, płynąc. Morze w pobliżu brzegu zawsze jest znacznie spokojniejsze”. Przy dwumetrowych falach, w silnym prądzie, zespół był coraz dalszy od osiągnięcia tego celu.

Dziwiewięciu z 18 wytrawnych nurków morskich obecnych na pokładzie łodzi dotknęła choroba morska. Najbardziej cierpiał egipski kucharz, którego nieprzytomnego zabrano zodiakiem z łodzi na brzeg. Inni próbowali spać albo po prostu leżeli bez ruchu, czekając, aż dolegliwości ustąpią. Mimo wszystko po 9 godzinach przeniesiono mnie w końcu z opustówki na trapez dekompresyjny. „W tym momencie zdecydowałem się umieścić w wodzie jeden ze skuterów Aquazepp, który przeciągnął trapez dekompresyjny z powrotem bliżej zatoki. Wiedzieliśmy, że ciągnąc poziomo Nuna razem z trapezem jesteśmy w stanie zniwelować pionowy ruch sięgających 1,5 metra fal, które rzucały Nunem w górę i w dół” — wspomina Kruczkowski.

Kosztowało mnie to dużo wysiłku. Ze względu na ciężar poczwórnego zestawu i nieustanny ruch wody dekompresja stała się niemal nie do zniesienia. Tam na dole było tak zimno, że nawet teraz trudno to sobie wyobrazić. Hel — gęsty na dużej głębokości i świetnie przewodzący ciepło — wyczerpał moje rezerwy

energii. Oddychanie nim przypomina wciąganie w płuca kostek lodu. Kiedy Verna van Schaik wynurzyła się po rekordowym nurkowaniu w Boesmansgat, wymamrotała tylko przez zeszywniałe wargi: „Strasznie zimno”. Leszek i Sheck byli sini na twarzach. Nie różniłem się od nich, a zszedłem znacznie głębiej. Trzymałem się kurczowo opustówki i utrzymywałem pozycję pionową, chociaż słabłem z każdą minutą. Nie było wyjścia. Nie mogłem się przenieść do suchej komory. Nawet po 9 godzinach dekompresji nie było takiej komory, która mogłaby mnie ocalić, gdybym ewakuował się na powierzchnię. Nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć się w garść i jakoś znieść pozostałe do wynurzenia godziny.

Przejście z opustówki na trapez dekompresyjny poszło niemal bezproblemowo. Nie zdołałem się chwycić prawidłowo lewą ręką i wpadłem z impetem na poziomy drążek, ale w tamtym momencie zobojętniałem już na ból. Morze nadal bujało, ale było mi teraz znacznie wygodniej. Jednak to, co było początkowo zaledwie irytującą niedogodnością, teraz stało się zagrożeniem życia. Po tylu godzinach kurczowego trzymania się liny miałem obolałe i pocięte ręce i prawie odpadła mi część jednej płetwy z powodu nieustannego ruchu liny w górę i w dół. Kiedy Kruczkowski uruchomił skuter i ruszył naprzód, amplituda ruchu pionowego została niemal natychmiast zredukowana do może 1 metra. Było lepiej, ale ciągle miałem nadzieję, że uda nam się dotrzeć do lepiej osłoniętych wód przybrzeżnych i ukończyć nurkowanie we względnie spokojnych warunkach. Jazda trwała 40 minut, zgodnie z planem, a potem Andrzej musiał popłynąć na łódź, by wymienić skuter, któremu wyczerpał się akumulator. Odległość dzieląca boje powierzchniowe od brzegu nie zmieniła się znacząco, ale przynajmniej ruch naprzód w poziomie ograniczył bujanie się trapezu dekompresyjnego w pionie.

„Dzięki Ryszardowi Paluszkiewiczowi mieliśmy akumulator o wystarczająco dużej pojemności i byłem prawie pewien, że jesteśmy w stanie holować Nuna przez ponad godzinę. Druga jazda trwała jednak zaledwie 10 minut. Usłyszałem przytłumiony trask i skuter przestał działać” — wspomina Kruczkowski. Na łodzi oczom zespołu ukazała się wiązka spalonych kabli i zniszczony akumulator. Eksplozja była na tyle silna, że zniszczyła grodzie skutera i kompletnie go unieruchomiła. „Przesadziliśmy. Natężenie prądu elektrycznego w akumulatorze przekraczało możliwości cienkich kabli skutera. Kable się spaliły i całe urządzenie rozpadło się na kawałki” — mówi Kruczkowski.

„Mieliśmy dwa nieczynne skutery, a w wodzie jednego człowieka, który był tak słaby, że nurkowie zabezpieczający musieli mu przytrzymywać dłonie na trapezie dekompresyjnym, a do tego prąd morski, który szybko odsuwał nas od brzegu.

Stałem tak i zastanawiałem się, co dalej, kiedy podszedł do nas szyper i powiedział, że zamierza zawrócić i kierować się z powrotem do brzegu” — wspomina Stychno. Fale były tak wysokie, że dziesiątki litrów wody morskiej zalewały maszynownię, zagrażając łodzi i załodze. „Lenné powiedziała szyprowi, że w żadnym razie nie wolno mu tego zrobić. Uznałem, że spróbujemy holować Nuna zodiakiem, ale problem polegał na tym, i od początku byliśmy tego świadomi, że dwa potężne, 174-konne silniki nawet uruchomione z minimalną mocą momentalnie wyrzuciłyby Nuna z wody” — wyjaśnia Kruczkowski. W końcu zastosowali rozwiązanie, które polegało na tym, że Junior pilnował napięcia liny przymocowanej do zodiaka, a Andrzej Kruczkowski kontrolował napięcie po stronie trapezu dekompresyjnego. Na środku liny przymocowano 18 kilogramów balastu. „Gdybym zobaczył, że Nuno jest wyciągany z wody, odpiąłbym po prostu linę. Dzięki temu trapez dekompresyjny przestałby się wynurzać i natychmiast zanurzyłby się z powrotem” — mówi Stychno, który nurkował wówczas z rurką powyżej trapezu dekompresyjnego. W ten sposób zespołowi udało się zniwelować falowanie może o jakieś 10–15 centymetrów.

O 19.20, po 12 godzinach i 17 minutach spędzonych w wodzie, otoczony przez pięciu nurków zabezpieczających, ujrzałem cudowny zachód słońca nad zatoką Akaba. Pierwszą myślą, która przychodzi do głowy po takim nurkowaniu, jest: „Przeżyłem! Udało mi się!”. Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem. Mogłem już zapomnieć o walce z falami przy drażku dekompresyjnym i zacząć się rozgrzewać.

Na łodzi zbadali mnie Sean French, Adel Taher, Ehab Tomoum i Zdzisław Sićko. Byłem wyczerpany i dziwnie się czułem, gdy nie otaczała mnie już woda. Kiedy Lenné zapytała, czy po raz ostatni zdecydowałem się na coś podobnego, odpowiedziałem: „Tak”. To samo jednak powiedziałem w 1996 roku.

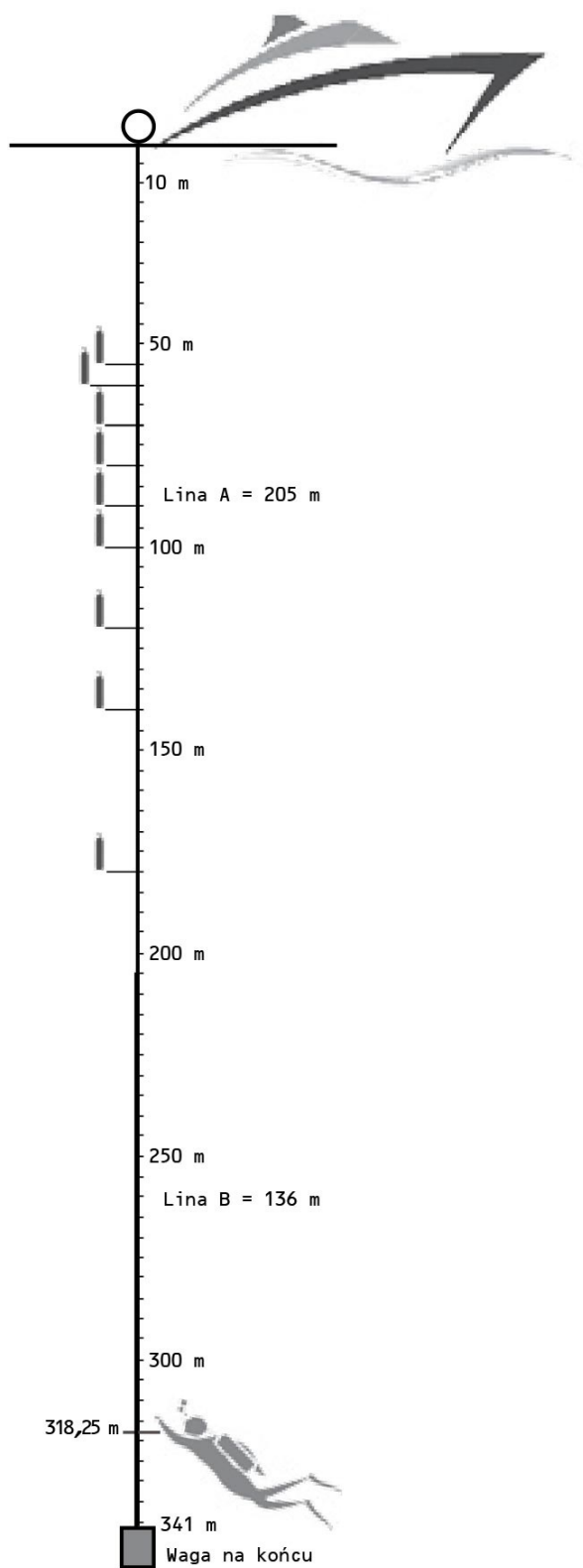
W dahabskim porcie powitały nas setki ludzi. Znalazłem dość sił, by wstać — z pomocą Leigha Cunninghama i „Sheikha” Mohammeda, jednego z menedżerów Planet Divers. Podziękowałem wszystkim, którzy mnie wspierali — wszyscy oni w taki czy inny sposób pomogli mi spełnić moje marzenia. Nadal żyłem, chociaż ledwo. Z kroplówką wbity w rękę przetransportowano mnie na wózek normalnie używany do przewożenia sprzętu nurkowego, a potem przewieziono do hotelu w bazie Planet Divers. W hotelu jeszcze raz przebadali mnie doktor Taher i doktor Sićko.

Następnego dnia niezależni świadkowie zabrali się do określania dokładnej głębokości, na którą zszedłem. Zabrałem na powierzchnię znacznik z oznaczoną głębokością 315 metrów, to fakt, ale kto powiedział, że pierścień, od którego

odpiąłem znacznik, rzeczywiście znajdował się na głębokości 315 metrów? Opustówkę, która posłużyła do przeprowadzenia rekordowego nurkowania, rozłożono na płaskim terenie i zmierzono bez rozciągania. Niezależni świadkowie stwierdzili zgodnie, że Theo zrobił zbyt długą linę. Chciał mieć pewność, że zejść wystarczająco głęboko. Rzeczywista długość liny do pierścienia ze znacznikiem 315 metrów, bez rozciągania, wynosiła 318,25 metra.

Kiedy już wróciłem do RPA, zaciekało mnie, jak głęboko tak naprawdę zszedłem. Wysłałem linę do laboratorium struktur Uniwersytetu w Pretorii, gdzie zasymulowano jej faktyczne obciążenie w dniu nurkowania. Profesor Walter Burdzik określił, że faktycznie osiągnięta przeze mnie głębokość wynosiła od 321,81 do 323,28 metra.

Dnia 20 lipca 2006 roku, ponad rok po nurkowaniu, *Księga rekordów Guinnessa* oficjalnie uznała mój rekord po weryfikacji wszystkich dowodów. Nie wzięli pod uwagę rozciągnięcia liny i z tego powodu oficjalnie uznana głębokość wyniosła 318,25 metra.





Z Lionelem Brinkiem podczas roznrkowania przed zejściem na dno Boesmansgat.

ROZDZIAŁ 8

POZA BŁĘKITEM

Moje życie rodzinne

Wszystkie życiowe doświadczenia wpływają na kształtowanie się naszej osobowości i stosunku do życia. W genach dziedziczymy pewną strukturę, ale to wydarzenia, w których uczestniczymy, napełniają ją treścią. Rodzina bez wątpienia wpływa na nasze życiowe osiągnięcia i przyczynia się do takich czy innych wyników — trudno tylko przewidzieć, w jakim stopniu. Wszystkie dokonane wybory i podjęte decyzje mają swoje konsekwencje w przyszłości.

Pewnego późnego popołudnia 2002 roku, w sobotę albo w niedzielę, byłem z Lenné, moją dziewczyną, na siłowni Virgin Active Health Club znajdującej się w dzielnicy Edenglen na przedmieściach Johannesburga. Ta sieć klubów sportowych jest jednym z południowoafrykańskich przedsięwzięć Richarda Bransona (zaangażował się w ten projekt na osobistą prośbę Nelsona Mandeli). Klub w Edenglen to ogrodzony, dwupoziomowy kompleks sportowy z przylegającym do Baker Street dużym parkingiem na co najmniej sto aut. Uczęszczaliśmy tam codziennie, dojeżdżając samochodem — niewiele osób chodzi piechotą na przedmieściach Johannesburga. Podczas treningu zapominaliśmy o całym świecie. Tego dnia zostawiłem telefon komórkowy w samochodzie.

„Kiedy wróciliśmy do samochodu, Nuno zobaczył, że ma kilka nieodebranych połączeń od córki. Pamiętam, że odsłuchał nagrania na poczcie głosowej, a potem oddzwonił. Powiedziała, że porwali ją i zostawili gdzieś na ulicy, że potrzebuje pomocy. Patrzyłam na pobladłą twarz Nuna, kiedy szukał kluczyków do stacyjki, nie odrywając telefonu od ucha. Był wściekły. Tak mocno zacisnął dłonie na kierownicy, że aż pobielały mu knykcie. Pędził w kierunku naszego mieszkania, mamrocząc coś o sprzedających jej narkotyki Nigeryjczykach i o tym, że marzy, żeby wszyscy wynieśli się z RPA” — wspomina Lenné.

Nigeryjczycy uczynili z RPA centrum przerzutu heroiny, kokainy, konopi indyjskich, metakwalonu i metamfetaminy. Plasujemy się w pierwszej piątce światowych producentów konopi, a przy tym jesteśmy największym rynkiem metakwalonu. Kiedy Holendrzy przeprowadzili na międzynarodowym lotnisku Schiphol w Amsterdamie eksperyment polegający na tym, że celnicy przeszukiwali wszystkich Nigeryjczyków przylatujących z Aruby albo Antyli Holenderskich, okazało się, iż 75 procent z nich szmugluje narkotyki.

Kilka chwil później znaleźliśmy się w naszym mieszkaniu. Mieszkaliśmy na dość skromnym, ale ściśle chronionym osiedlu w dzielnicy Edenglen. Moja córka mieszkała ze swoim chłopakiem w pobliżu. Zobaczyłem sąsiada, który prowadził ją w naszą stronę; był nauczycielem i mieszkał tuż obok z żoną i małym synkiem.

Moja córka czekała na nas w jego mieszkaniu. Ledwo trzymała się na nogach.

Trudno było cokolwiek zrozumieć z opowiadanej przez nią historii. Powiedziała, że jechała swoim volkswagenem poło peryferyjną dzielnicą Rosebank, kiedy zatrzymali ją jacyś ludzie. Odebrali jej kluczyki do samochodu i próbowali ją porwać. Wskoczyła z samochodu napastników, a potem ktoś — jakiś przypadkowy staruszek, na którego zamachała na drodze — wziął ją na stopa i podrzucił do naszego mieszkania. Zadzwoiłem na policję i zgłosiłem kradzież samochodu. Nie poinformowałem o tym zdarzeniu Liz, mojej byłej żony i matki mojej córki.

Chciałem porozmawiać z córką o tym, co zdarzyło się podczas weekendu, i poprosiłem ją, żeby następnego wieczoru do nas przyszła. Zanim się pojawiła, przyszedł mój syn ze znajomymi. Usłyszał o napadzie na siostrę i chciał się dowiedzieć, o co chodzi. W końcu w drzwiach stanęła moja córka. Wyglądała jak naćpana i była bardzo napastliwa. Krzyczała i przeklinała, nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie. Powiedziałem jej, że ma przestać pić i ćpać i ma wreszcie wziąć się w garść. Rzuciłem jeszcze, że jeśli nie posłucha, skończy jak mój brat. Wskoczyła na niski stolik do kawy i uderzyła mnie. Wymierzyłem jej policzek otwartą dłonią. Uderzyła mnie jeszcze raz, a ja wymierzyłem jej jeszcze jeden policzek. Zorientowała się, że w tym starciu nie wygra. Na ratunek przyszła Lenné, która kazała mi zadzwonić do Liz. Podniosłem słuchawkę i powiedziałem Liz, że właśnie uderzyłem naszą córkę w twarz, na co Liz odparła: „Powinieneś był to zrobić już dawno”.

Matka porzuciła nas, kiedy miałem zaledwie sześć lat. Kilka lat później spóźniła się na rozprawę w sądzie rodzinnym i sędzia przyznał wyłączne prawo do opieki nad nami mojemu ojcu, Nuno Seniorowi. Moja matka spóźniła się tylko pół godziny, ale sąd zdążył już wydać orzeczenie. Ojciec musiał się zająć naszą trójką: moim trzyletnim bratem Rui, moją pięcioletnią siostrą Teresą i mną, sześciolatkiem.

Już wcześniej nieczęsto widywaliśmy matkę. Na ostatnie spotkanie z nami, które zapamiętałem, przyjechała taksówką. Byliśmy dość zaskoczeni. Nie pamiętam, żebym się cieszył — w końcu przecież nas porzuciła. Krótko porozmawiała z moim ojcem, ucałowała nas, uściskała i wyjechała — jak zawsze. Tym razem jednak na dobre. Zanim nas opuściła, kłóciła się z ojcem tak, że w powietrzu latały talerze, szklanki i meble. Ojciec kiedyś rzucił o ścianę talerzem ze stekiem

i jajkami. Do dziś pamiętam spływające po ścianie jajka. Musiałem mieć wtedy z pięć lat. Dla nas, dzieci, to była udręka. Ciągłe się kłócili. Nie było w tym nic zabawnego. Byliśmy katolikami, zwłaszcza część rodziny ze strony mamy, ale z biegiem czasu stało się jasne, że tylko separacja i rozwód mogą położyć kres tym domowym walkom.

Moja matka była piękna. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Wychowywała się w wielkim luksusowym apartamencie w centrum Lizbony, gdzie chodziła regularnie z wizytą do mojej babci, moich ciotek i wujków. Babcia nie przepadała za moim ojcem. Uważała go za kobieciarza i próbowała odgrywać rolę naszej zastępczej matki, wpajając nam zasady dobrego wychowania i ucząc nas dobrych manier przy stole. Ojciec braki w wychowaniu starał się nadrabiać ciężką pracą. Został zatrudniony przez linie lotnicze jako kartograf, co było dobrze płatnym i bezpiecznym zajęciem o ewidentnie wojskowych zastosowaniach.

W latach 70. Portugalia pod rządami Antónia de Oliveiry Salazara i Hiszpania pod rządami generała Franco były dwoma ostatnimi dyktaturami faszystowskimi w Europie. Portugalia była również jedynym europejskim krajem, który nie porzucił aspiracji kolonialnych i podjął działania wojenne, by zabezpieczyć swoje posiadłości w Afryce, Indiach i Azji. Z punktu widzenia Portugalii nie było lepszego lekarstwa na polityczne niezadowolenie niż wojna. Mający na swoje usługi niezwykle skuteczne tajne służby rząd przez dziesięciolecia trzymał kraj w szachu. Hitler i Mussolini dawno już zeszli ze sceny — podobnie jak Gestapo i OVRA, włoska faszystowska tajna policja — gdy PIDE, portugalska tajna policja, przeżywała okres swojej świetności zarówno w kraju, jak i w koloniach. Dla nieposłusznych obywateli nieustających w walce z faszyzmem Salazar przewidział więzienie Caxias i obóz koncentracyjny Tarrafal na Wyspach Zielonego Przylądka, znany pod nazwą Campo da Morte Lenta, czyli Obóz Powolnej Śmierci.

Mój ojciec został sierotą w wieku zaledwie 11 lat, lecz w przeciwieństwie do swoich rodziców dożył prawie dziewięćdziesiątki. Moja cioteczna babka uznała, że powinien pójść do akademii wojskowej. Biorąc ślub z moją matką, wzenił się w arystokrację, ale okazało się to nieporozumieniem. Miał dobrą, stabilną pracę w branży lotniczej, ale czasy były niełaskawe — ludzie znikali co dzień w niewyjaśnionych okolicznościach, a potem gnili w więzieniach albo wysyłano ich na front, by ocalili resztki globalnego imperium kolonialnego. Ojciec nie wyobrażał sobie takiego życia dla siebie i swoich dzieci. Po rozwodzie łatwiej nam było opuścić Portugalię i dołączyć do wielkiej fali emigrantów, którzy od

1886 roku szukali lepszego życia w innych zakątkach świata. Do 1966 roku Portugalia straciła wskutek emigracji — głównie z przyczyn gospodarczych i politycznych — około 2,8 miliona obywateli, więcej niż jakikolwiek inny kraj zachodniej Europy z wyjątkiem Irlandii.

W tamtych czasach młodzi mężczyźni powoływani do wojska służyli nawet 10 lat — w dwóch okresach po 5 lat — na wojnach kolonialnych rozpętanych przez Portugalię. Był to jeden z głównych powodów, dla których mój ojciec opuścił kraj. Nie chciał, żebyśmy ja i mój brat tak długo służyli w siłach zbrojnych. Otrzymał kilka propozycji zatrudnienia z Brazylii i Kanady, ale w końcu zdecydował się osiedlić w RPA.

Od momentu rozstania nie wspominał często o mojej matce, chociaż czasem w rozmowie wymykały mu się jakieś uszczypliwe uwagi. Potem już nigdy nie związał się z nikim na dłużej, chociaż miał wiele kobiet i równie wiele żon. Wszystkie były młodsze od niego, niektóre nawet o 30 lat. Najdłuższy związek łączył go z Margaridą, która była stewardessą i z którą wspólnie spędził wiele lat życia. W końcu postanowili się pobrać, ale rozstali się zaledwie rok później.

„Nuno Senior uznał po prostu, że jego żona nie nadaje się do wychowywania dzieci, i zakończył ten związek” — mówi Liz, moja była żona, sugerując, że nie chciał również, by kontaktowała się z dziećmi.

Sięgam pamięcią aż do czasów, gdy mieszkaliśmy w Lizbonie, w mieszkaniu na parterze. Mieszkanie miało trzy sypialnie, kuchnię, pokój dzienny i naprawdę duży ogród. Pamiętam, że chciałem wyjść na dwór i pobawić się w parku, właściwie tuż przed drzwiami wejściowymi, ale czekało tam na mnie trzech potężnych kolesi, którzy chcieli mnie pobić. Matka zapytała: „Dlaczego nie pójdziesz pobawić się w parku?”. Odpowiedziałem, że się boję, na co odparła: „Idź tam i daj im nauczkę”, nie zdając sobie sprawy, że naprawdę zdolny jestem to zrobić. Byłem znacznie młodszy i drobniejszy niż oni, ale wybiegłem prosto na nich. Złapałem największego, obaliłem go na ziemię i stłukłem niemal do nieprzytomności. Dwóch pozostałych uciekło. Nikt już nigdy nie próbował mnie zaczepiać.

Ojciec pracował, a matki nie było, więc opiekowały się nami niezliczone nianie. Rodzina miała otwarty rachunek w sklepie spożywczym i wszystko dostarczano nam na telefon. Najbardziej lubiłem pomarańcze, które przywożono nam całymi torbami. Ponieważ ojca często nie było, wziąłem na siebie część obowiązków, włączając w to opiekę nad siostrą i bratem pod nieobecność dorosłych. Dzięki temu stałem się bardzo niezależny pod każdym względem. Zawsze dostawałem dobre oceny, a najbardziej lubiłem matematykę. Dorabiałem

sobie do kieszonkowego, pomagając szkolnym kolegom rozwiązywać niezliczone zadania. Byłem zajęty. Pewnie dlatego nigdy szczególnie nie tęskniłem za matką. Gdybym ją spotkał na ulicy, pewnie bym jej nie rozpoznał. Jest takie stare powiedzenie: jak nigdy nie miałeś roweru, to nie będzie ci go brakować. Tak samo jest z matkami...

Mój młodszy brat, Rui, bardzo za nią jednak tęsknił. Ożenił się i dochował trójki dzieci, ale jak sobie wypił, to zdarzało mu się znęcać nad własną rodziną. Próbowałem interweniować, nawet fizycznie, ale trudno jest walczyć z własnym bratem, a jeszcze trudniej z jego uzależnieniem. W końcu żona zostawiła go i przeniosła się do Wielkiej Brytanii. Nigdy powtórnie nie wyszła za mąż.

„Rozwód rodziców bardzo mocno odbił się na Ruim. Może dlatego popadł w alkoholizm — mówi Liz. — Nuno Senior wziął go pod swoje skrzydła i wspierał, ale ojcowska pomoc być może również przyczyniła się do jego upadku”.

Do przedwczesnej śmierci Ruiego doprowadził właściwie nie sam alkohol, ale AIDS. Zdradzał żonę i w końcu się zaraził (na szczęście jego żona nie). Wirusem HIV zarażonych jest blisko 6 milionów osób spośród 48-milionowej populacji RPA, głównie kobiety w wieku od 21 do 24 lat. Rząd przez długie lata bagatelizował rozwój epidemii. Minister zdrowia RPA w latach 1999–2008, Manto Tshabalala-Msimang, zalecała w leczeniu AIDS dietę bogatą w czosnek, oliwę z oliwek i cytryny, natomiast ówczesny prezydent kraju, Thabo Mbeki, powiedział, że nie ma bezpośredniego związku między HIV a AIDS.

Moja siostra, Teresa, wyszła z rozvodu rodziców bez szwanku. „Teresa jest w tej rodzinie niczym jasne światło, wszystkich ich do siebie zbliża” — mówi Lenné. Moja siostra była dla nas jak matka, a po śmierci Ruiego mocno zaangażowała się w wychowywanie jego dzieci. Podobnie jak nasz ojciec pracuje dla linii lotniczych. Kiedy przeniosła się do Niemiec razem z mężem Joergiem, inżynierem specjalizującym się w klimatyzacji, bardzo za nią tęskniliśmy. Z Frankfurtu znacznie łatwiej było jej podtrzymywać kontakty z naszą matką, która nigdy nie wyjechała z Europy. Teresa skłoniła nawet mojego brata do tego, żeby ją odwiedził, dzięki czemu mógł się zobaczyć z matką.

Po rozstaniu z moim ojcem matka rozpoczęła nowe życie w Anglii. Poznała kogoś, zaszła w ciążę, poświęciła się nowej rodzinie i prawdopodobnie o nas zapomniała. „Jej próby skontaktowania się z dziećmi były zawsze torpedowane przez ojca Nuna. Nuno Senior był bardzo silną osobowością, a w tamtych czasach był naprawdę czarującą osobą. Można było bez końca rozmawiać z nim na dowolny temat” — mówi Liz. W tamtych czasach, gdy nie było internetu, żeby się

z kimś zobaczyć, musiałeś gdzieś fizycznie pojechać. Dzieliło nas 8 tysięcy kilometrów, co oznaczało 11 godzin i 26 minut lotu samolotem. Odległość zatarła wspomnienia. Po wyjeździe z Portugalii nigdy już matki nie widziałem. Nigdy nie nawiązałem z nią ponownie kontaktu, a kiedy umarła w wieku 72 lat, nie pojechałem na jej pogrzeb. Zresztą dowiedziałem się o nim dopiero później.

Liz i ja poznaliśmy się w Pretorii, w mieszkaniu mojej poprzedniej dziewczyny, Marilize (później się dowiedziałem, że ta dziewczyna zginęła w wypadku nurkowym na Mauritiusie). Pewnego razu pojechałem zobaczyć się z Marilize, ale jej nie było. Do mieszkania zaprosiły mnie jej dwie współlokatorki, a jedną z nich była Elizabeth du Preez. Była młodsza ode mnie — ja miałem 20 lat, a ona 18. Liz ledwie co skończyła szkołę średnią i podjęła właśnie pierwszą pracę, w banku w Pretorii. Jej ojciec, były policjant, pracował jako szef ochrony kopalni diamentów De Beers w Cullinan, gdzie znaleziono słynny diament Cullinan. Uznał, że dla jego córki będzie lepiej, jak zamieszka bliżej miejsca pracy zamiast codziennie dojeżdżać z domu przy kopalni. Pamiętam jej długie blond włosy. Sprawiała wrażenie inteligentnej i bardzo miłej, raczej nie nieśmiałej, ale też nieszczególnie wylewnej. Wychowywała się w bardzo konserwatywnym środowisku. Zaczęliśmy grać w szachy. Dość dziwny wybór jak na randkę, ale może po prostu czułem się dość niepewnie, a szachy pozwoliły przełamać lody. Nie pamiętam, kto wygrał, chociaż pewnie ja, bo od dzieciństwa ojciec uczył mnie grać i rzadko przegrywałem, chyba że z nim.

Ze względu na konserwatywne wychowanie Liz zawsze chciała mieć rodzinę, dzieci i domek na przedmieściu. Rok po naszym poznaniu pobraliśmy się w katolickim kościele w Cullinan, co w tym kopalnianym miasteczku było dużym wydarzeniem, po czym przenieśliśmy się do Johannesburga, gdzie pracowałem.

W tamtych czasach uprawiałem przede wszystkim piłkę nożną, grając jako amator w A-Division. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Lizbonie, zajmowałem się łowiectwem podwodnym, które uprawiałem od 6. roku życia, ale w RPA mieszkaliśmy za daleko od wybrzeża. Kiedy jednak wyjeżdżaliśmy na wakacje nad morze, z przyjemnością wracałem do zarzuconego sportu. Gdy zmieniłem miejsce zatrudnienia i podjąłem pracę na Uniwersytecie Witwatersrand, razem z Liz zaczęliśmy nurkować z akwalungiem. Lubiliśmy rodzinne wyjazdy, świetnie się razem bawiliśmy, a później ogromną przyjemność sprawiało nam uczenie dzieci. W niedługim czasie zostaliśmy instruktorami CMAS.

Pod wodą Liz kilkakrotnie otarła się o śmierć. Kiedyś nurkowaliśmy w Wondergat na głębokości około 55 metrów, płynąc wzdłuż pionowej ściany prowadzącej do wielkiej komory. Płynąłem na tyłach grupy składającej się

z pięciu nurków. Gdy byliśmy już blisko końca jaskini, zobaczyłem, że ktoś błyska światłem w unoszącej się przede mną, zaledwie 5 metrów niżej, chmurze osadu. Nie mogłem rozpoznać nurka, ale popłynąłem w dół, żeby zbadać sprawę. Zorientowałem się, że to Liz, i serce mi stanęło. Najpierw próbowałem napompować jej kamizelkę nurkową, ale gaz uciekał przez zawór nadmiarowy. Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Liz utknęła w mule na dnie, na głębokości 60 metrów. Chwyciłem ją i napompowałem do granic możliwości własną kamizelkę. Na początku wydawało się, że to nie działa, ale w końcu wydobyła się z mułu. Całe zdarzenie trwało może kilka minut, ale dla nas była to cała wieczność. „Miło było cię tam zobaczyć” — powiedziała, kiedy wynurzyliśmy się na powierzchnię, ale po tym incydencie nigdy już nie zeszła poniżej 60 metrów. Jej kamizelka nurkowa próbowała ją zabić, tak jak moja mnie w zalanej jaskini krasowej Guinas w Namibii. Byłem na 123 metrach z Lionelem Brinkiem, kiedy nagle inflator zaczął samodzielnie napełniać mi skrzydło. Odłączyłem go, dzięki czemu nie wystrzelił mnie pod sklepienie jaskini. Innym razem cały wąż inflatora odczepił się od skrzydła i kompletnie utraciłem pływalność. Najbardziej najadłem się strachu, kiedy zawór nadmiarowy wypuścił cały gaz z mojego skrzydła na głębokości 177 metrów. Musiałem się podciągnąć na powierzchnię po opustówce. Gdybym miał wskazać, który element sprzętu jest najbardziej efektywnym zabójcą, padłoby zapewne na suchy skafander albo worek wypornościowy. Właściwie chyba chętniej postawiłbym na suchy skafander, który próbował mnie zabić przynajmniej dwukrotnie, próbując samodzielnie się napompować — raz w jeziorze Garda we Włoszech, a raz w Komati Springs. Problem polega na tym, że nie da się uprawiać nurkowania bez tych kluczowych elementów sprzętu.

Sam przywiązuję dużą wagę do systematycznego czytania raportów z wypadków i awarii nurkowych. Trzeba się uczyć zarówno na własnych, jak i na cudzych błędach. Można powiedzieć, że angażowanie się w ryzykowny sport, kiedy ma się żonę i dzieci, jest nieodpowiedzialne. Trudno to usprawiedliwić, ale na początku mojej kariery nurkowanie sprawiało mi ogromną przyjemność i nie zdawałem sobie sprawy, jakie naprawdę wiąże się z nim ryzyko. Liz prawdopodobnie czuła się zagrożona, jak większość żon w takiej sytuacji. Niektóre żony mówią po prostu: „Albo ja, albo nurkowanie”. Ale Liz nigdy tego nie powiedziała, w każdym razie nic takiego sobie nie przypominam. Ten temat nigdy nie wypłynął w rozmowie, chociaż może i tak, tylko po prostu tego nie pamiętam.

Przed 1996 rokiem w gruncie rzeczy nie uświadamiałem sobie stresów, jakie przeżywała moja rodzina, gdy wykonywałem głębokie nurkowania. Przed

zanurzeniem zespół był tak skoncentrowany na zbliżającym się wydarzeniu, że całą uwagę pochłaniały ostatnie przygotowania. „Napełniłeś to? Czy na 35 metrach jest depozyt? Czy wszystko zostało przygotowane?”. Kiedy koncentrowałem się na nurkowaniu, byłem kompletnie nieświadomy tego, co działo się w moim życiu osobistym. Skupiałem się wyłącznie na najbliższym zejściu. Gdy po zanurzeniu zawisałem w toni, świat na powierzchni przestawał istnieć. Dopiero kiedy się wynurzyłem, można było się cieszyć moim powrotem. Występowanie w filmach dokumentalnych nie było dla mnie nowością. Wystąpiłem w dokumencie Shecka o naszym nurkowaniu w Boesmangat w 1993 roku, jak również w wielu dokumentach dotyczących moich własnych nurkowań. Kiedy oglądałem filmy nakręcone przez Discovery Channel i South African Broadcasting Company (obie stacje sfilmowały mój jaskiniowy rekord Guinnessa), nagle coś zrozumiałem. Dokumenty z 1996 roku były pierwszymi, na których występujemy i ja, i Liz. Liz miała na sobie wówczas niebieską kurtkę przeciwdeszczową i wyglądała na zagubioną i przestraszoną. Jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Tuż przed nurkowaniem rozglądała się po zapadlisku i wpatrywała się w twarze otaczających ją ludzi, jakby odbierano jej męża na zawsze. Nawet po nurkowaniu, kiedy podała mi kubek gorącej herbaty, uśmiech na jej twarzy z trudem maskował podskórne napięcie. Przewidywała już kolejne głębokie nurkowanie, kolejny rekord, kolejny taki dzień.

Opowiadałem jej o większości moich bliskich spotkań ze śmiercią — przynajmniej o tych, o których pamiętałem. Byłem z nią szczery. Mówiła: „Musisz być ostrożny”, a ja odpowiadałem: „Będę”. Myślę jednak, że w gruncie rzeczy nie chciała wiedzieć. Nie była jak Ann Shaw, która podczas zejścia Dave’a na dno Boesmangat zamknęła się w ich mieszkaniu w Hongkongu, postanawiając nie wiedzieć i nie uczestniczyć. Liz postanowiła wziąć udział w tym przedsięwzięciu jako członek zespołu, bagatelizując zagrożenie i starając się ze wszystkich sił, by wyglądało to jak zwykły dzień w biurze. Widziałem jej smutną twarz i zaciśnięte usta, słyszałem jej zdławiony głos. Dlatego nigdy nie chciałem, by moje dzieci zajęły się głębokim nurkowaniem. Nie chciałem się poczuć jak ojciec Nitscha po nurkowaniu syna na Santorini: „To przywołuje koszmarne wspomnienia. Wyciągają go na łódź. Jedziemy z nim do szpitala w Atenach. Z wyrazu twarzy lekarza wnioskuję, że spodziewają się najgorszego. To było bardzo trudne. Powiedziałem mu, że następnym razem nie będę w tym uczestniczyć, że dla mnie to już koniec”. Zawsze starałem się trzymać swoje dzieci z dala od tego. Nigdy ich nie zachęcałem. Nie byłbym w stanie żyć z poczuciem winy.

Podczas nurkowania nigdy nie przewidywałem żadnych wypadków. Nie

zostawiałem pożegnalnych listów. Nie ja decyduję o tym, w jakich okolicznościach zginę, więc nie ma powodu, bym się nad tym nadmiernie rozwodził — podczas nurkowania muszę po prostu wykorzystać pełnię swojej wiedzy i możliwości, zachowując przy tym maksymalny możliwy margines bezpieczeństwa.

Mary Small, żona Petera, nurka, który zginął podczas nurkowania Kellera na 300 metrów, powiedziała w wywiadzie, że śmierć jej męża „była tylko jednym z tych nieszczęśliwych wypadków nurkowych”. Dziewięć tygodni później znaleziono ją martwą w jej londyńskim mieszkaniu. Leżała wśród rozrzuconych na podłodze zdjęć męża, a w mieszkaniu unosił się gaz.

Mój ojciec nazywał się Nuno Cesar Gomes. Ja również mam na imię Nuno, podobnie jak mój syn. Aby uniknąć nieporozumień, wszyscy mówimy na niego Nuno Junior. Sportowo związał się z koszykówką, chociaż był również w pełni wykwalifikowanym płetwonurkiem. W koszykówce odnosił ogromne sukcesy, w pewnym momencie był nawet jednym z najlepszych koszykarzy w RPA. Uzyskał stypendium jako jeden z graczy reprezentacji RPA, a następnie kolejne stypendium przyznane przez prywatną szkołę z Johannesburga. Jego kariera rozwijała się na tyle dynamicznie, że w wieku 19 lat otrzymał międzynarodowe stypendium w Barat College w Chicago w Stanach Zjednoczonych.

Nie chciałem, żeby wyjeżdżał za granicę. Pracowałem na Uniwersytecie Witwatersrand i wolałbym, żeby dostał stypendium właśnie tam. Wiedziałem jednak, że jest silny i potrafi zatroszczyć się o siebie. Liz i reszta rodziny popierali jego decyzję przeniesienia się do Chicago, światowej stolicy koszykówki, skoro zamierzał grać zawodowo. Któregoś roku przyjechał do domu na wakacje i podczas towarzyskiej gry zerwał sobie w kolanie więzadło krzyżowe przednie, co jest częstą kontuzją narciarzy i piłkarzy. Po kosztownej operacji i sześciomiesięcznej rehabilitacji udało mu się wrócić do zdrowia, ale nigdy nie odzyskał stuprocentowej sprawności kontuzjowanego kolana i musiał zakończyć karierę zawodową. Stypendium zostało ograniczone, co zmusiło nas do finansowania jego studiów. Później ożenił się z Amerykanką i osiadł na stałe w Stanach. Rozwiedli się.

Życie Juniora zawsze kręciło się wokół sportu, natomiast moja córka, która również jest w pełni wykwalifikowanym płetwonurkiem, interesowała się raczej czytaniem i pisanem książek. W tym wszystkim byłem ja, ojciec ześwirowany na

punkcie nurkowania. „Zacząłem nurkować, jak miałem 7 lat — wspomina Nuno Junior. — Pamiętam, jak nurkowaliśmy w Wondergat. Nie spędzaliśmy rodzinnych wakacji inaczej niż na nurkowaniu, któremu towarzyszyły wielkie emocje i liczne przygody. Trochę się baliśmy, ale obecność ojca dodawała nam otuchy. Pamiętam wyprawę na podwodne polowanie do Zatoki Sodwany, kiedy ogromna fala zmyła z pokładu łodzi wszystkich, łącznie ze mną i Malcolmem Keepingiem. Innym razem w nadbrzeżnym kurorcie w St Lucia mój ojciec, ja i chyba z dziesięciu studentów z college’u polowaliśmy pod wodą we wzburzonej części kanału. Musieliśmy popłynąć z powrotem do brzegu. Miałem może 14 lat i mój ojciec powiedział pozostałym: »Nie przejmujcie się nim, da sobie radę«. Byłem zaskoczony, kiedy moi rodzice się rozstali. Byłem wtedy w Stanach i ta informacja spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. A potem wszystkie drobne wydarzenia zaczęły się układać w spójną całość. Jego solowe nurkowania, jej łyzy na nurkowiskach, kiedy bił rekordy, wideo nakręcone w Boesmansgat, na którym widać, że ona dosłownie płacze, mówiąc coś, co było zapowiedzią rozvodu: »Ulga, którą poczułam, kiedy się dowiedziałam, że nic mu nie jest, była czymś, czego nigdy nie doświadczyłam i czego mam nadzieję już nigdy nie doświadczyć«. Mojego ojca nigdy nie było, ciągle wyjeżdżał na wyprawy nurkowe. Kiedy wróciłem do RPA i wszedłem do swojego pokoju, okazało się, że wszystko zniknęło. Wszystkie moje plakaty, książki, wszystkie rzeczy, na których mi zależało. Poczułem, że to się dzieje naprawdę. Nie miałem jednak wątpliwości, że niezależnie od okoliczności moja matka da sobie radę. Jest bardzo silną osobą, być może najsilniejszą, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem”.

Liz trzykrotnie przeżyła napad z bronią, ostatnio w 2012 roku, kiedy zatrzymała się przed domem i wysiadła z samochodu, żeby otworzyć bramę. Tuż za nią zatrzymał się samochód i wyskoczyło z niego trzech bandziorów, którzy ją zaatakowali. Związali ją w łazience i zabrali jej samochód. Przed odjazdem wrzucili do niego wszystko, co udało im się znaleźć. Policja nigdy nie schwytała sprawców.

Europejczyków przyjeżdżających do RPA uderza niewiarygodna ilość zabezpieczeń. W każdym oknie wstawione są kraty, każde ogrodzenie zwieńczone jest drutem pod napięciem. Prywatna ochrona patroluje przedmieścia z bronią półautomatyczną i strzelbami, a przy niektórych autostradowych rozjazdach stoją znaki z napisem „Uwaga na napady”. W domu, w którym mieszkała moja żona Shareen razem z moją młodszą córką, wynajęliśmy dwie firmy ochroniarskie: jedna patrolowała pieszo ulice, a druga w pełnym uzbrojeniu czekała na sygnał

z systemu alarmowego. W ogrodzie przed domem i na tyłach zainstalowane były czujniki podczerwieni, podobnie we wszystkich drzwiach, oknach i pokojach. Miałem dwa pistolety, których na szczęście nigdy nie musiałem użyć. Czy można się czuć bezpiecznie, gdy według oficjalnych danych mordowanych jest dziennie 50 osób? Szpitale podają, że ta liczba jest jeszcze większa i wynosi 89 osób, a według Interpolu liczba morderstw może sięgać nawet 100 dziennie. „Wszystko się teraz zmieniło — mówi Theo van Eeden, który mieszka na przedmieściach Kapsztadu. — Stopniowo strach wkradł się w nasze codzienne życie i coraz więcej naszych przyjaciół przenosi się za granicę”.

Kwestie bezpieczeństwa nigdy mnie specjalnie nie niepokoiły, ale Shareen, moja żona, która urodziła się i wychowała w Stanach Zjednoczonych, ma zdecydowanie inaczej zakreśloną strefę komfortu. Miałem do wyboru rodzinę albo RPA. Sprzedanie domu i samochodów, rozwiązanie umowy o pracę i przeniesienie się do Nowego Jorku zajęło mi dwa lata. W końcu to zrobiłem, planując wszystko równie starannie jak w przypadku projektów nurkowych. Po trzech latach studiów i przygotowań zdałem egzaminy zawodowe, dzięki którym mogę pracować na całym świecie jako inżynier lądowy i wodny. Wyremontowałem dom w Johannesburgu i pożegnałem się wreszcie z moim BMW M Coupe, którego zaledwie kilka egzemplarzy jeździ po południowoafrykańskich drogach. Było to konieczne, ale emocjonalnie wyczerpujące doświadczenie.

Rozmowy, które przeprowadziłem z Liz, powtarzały się niezliczoną ilość razy w historii nurkowania i niewątpliwie każdego sportu ekstremalnego. Gabby prawdopodobnie byłaby szczęśliwsza, gdyby jej mąż i ojciec Joshuy i Katie, John Bennett, nie próbował ustanowić na Filipinach rekordu nurkowania. Może Barbara nie rozwiodłaby się z Jochenem Hasenmayerem, gdyby jego pasja nie zaprowadziła go ku ciemnym wodom Fountain-de-Vaucluse. Trudno sobie wyobrazić, co musiała czuć Mary Ellen Eckhoff, gdy czekała, aż jej były mąż, Sheck Exley, wynurzy się ze studni El Zacatón tego chłodnego środowego poranka 6 kwietnia 1994 roku. Stała tam jak Barbara Hasenmayer, która spędziła całą wrześniową noc przy wejściu do Fountain-de-Vaucluse, czekając, aż Jochen zakończy swoje rekordowe nurkowanie na 205 metrów. Karen Hohle, kierownicze zespołu Jima Bowdena, było to prawdopodobnie znacznie łatwiej zrozumieć. Podobnie jak Mary Ellen była uznanym nurkiem technicznym. Ostatecznie jednak nie powstrzymało to Mary od rozwiedzenia się z Shekiem. Niełatwo było znieść los, który wybrały, stając u boku swoich partnerów.

Wszyscy oni prawdopodobnie zmierz yli się z wyborami, których musiałem w życiu dokonać. Nienurkowe wakacje z dziećmi. Nowy suchy skafander albo

nowy rowerek dla dziecka. Stała, bezpieczna praca i solidne wynagrodzenie albo sprawiające dużo frajdy, lecz sezonowe zatrudnienie w centrum nurkowym. Część decyzji, które podejmujemy jako głębocy nurkowie, z trudem daje się obronić. Trzeba mieć świadomość, że bez poświęceń, bez pełnego zaangażowania niewiele da się osiągnąć, lecz osiągnięcia mają swoją cenę, którą płacą nurkowie i ich rodziny.

Kiedy rozstałem się z żoną, starsza córka miała 26 lat, a Nuno Junior 22. Po powrocie z pokazów nurkowych i konferencji OZTek w Australii w 2000 roku stopniowo zaczęliśmy się z Liz oddalać od siebie. „Matka nigdy nie wyjechała na stałe z kraju, ale po tym, jak się rozstali, dużo podróżowała — wspomina Nuno Junior. — Kiedy ojciec się wyprowadził, zostawił wszystko: dom, samochody, nawet dobermanów”.

Kilka miesięcy później zacząłem spotykać się z Lenné i w 2001 roku Liz i ja wzięliśmy rozwód.

„Nuno się przejmował, ale nigdy tak naprawdę nie wtrącał się w życie swojej starszej córki. Jest typem człowieka, który raczej stara się przekonać innych, niż każe im coś robić. W tamtym czasie nie należało jednak ograniczać się do przekonywania” — mówi Lenné.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień związanych z moją córką to jej obraz, jak stoi na pokładzie mojego pontonu w zatoce False Bay niedaleko Kapsztadu, na otwartym morzu. Miała trzy lata i gotowa była zdobywać świat. Niczego się nie bała. Mała wodna nimfa. Najada. Jej dzieciństwo toczyło się zawsze blisko wody, lubiła jeść świeżo złowione ryby i homary. Podobnie jak jej brat i matka, nie tylko nurkowała, ale też grała w podwodnego hokeja. Zawsze była dobrą uczennicą i marzyła o karierze pisarki. Wymagałem od niej dobrych ocen i nigdy mnie nie zawiodła. Była bardzo wytrwała i nigdy się nie poddawała, choćby miała stanąć przeciw całemu światu.

„Nie przypominam sobie wakacji, które nie kręciłyby się wokół nurkowania. Podczas wszystkich naszych wyjazdów chodziło o to, by każdego dnia zrobić tyle nurkowań, ile tylko się da. Zawsze uwielbiałam wypływać na łodzi; lubiałam siadać na dziobie, żeby móc obserwować i czuć fale. Byliśmy szczęściarzami, że w dzieciństwie tyle czasu mogliśmy spędzać na plaży, pod gołym niebem” — mówi moja córka.

Lenné twierdzi, że nie byłem dobrym ojcem. „Nuno miał dziwaczną metodę opiekowania się swoimi dziećmi, kiedy wyjeżdżał na wakacje nurkowe. To Craig Kahn, jego partner nurkowy, zabawiał towarzystwo wieczorem przy ognisku, opowiadając historie o takich stworzeniach jak robaczki świętojańskie” — mówi

Lenné.

Patrząc wstecz, muszę przyznać, że jako ojciec byłem dość niedojrzały, ale byłem wówczas bardzo młody. W gruncie rzeczy dorastałem razem z moim synem i córką. Jestem prawdopodobnie lepszym ojcem dla Zoe, którą mam z Shareen, chociaż przez ostatnie dwa lata, przed przeprowadzką do Nowego Jorku, rzadko ją widywałem.

Moja starsza córka wspomina: „Czułam się źle. Czułam się wiecznie winna. Czułam, że upijając się i narkotyzując, ryzykuję własnym życiem, ale nie mogłam przestać. Kiedy wskoczyłam na ten stolik do kawy i zaczęłam wrzeszczeć na mojego ojca, to chyba tak naprawdę mówiłam: »Proszę, popatrz na mnie! Jestem twoją córką! Potrzebuję cię!«”.

Incydent ze stolikiem do kawy zdarzył się w 2002 roku, rok po rozwodzie. Wkrótce potem moja córka zdecydowała się pójść na odwyk. Mogliśmy ją odwiedzać raz w tygodniu i nie opuściłem żadnych odwiedzin. Wszyscy zrzuciliśmy się na jej odwyk, chociaż nie byłem wówczas w najlepszej sytuacji finansowej. „Ojciec bardzo mnie wspierał. Widziałam, że dręczyły go wyrzuty sumienia. Nie mówił o tym, ale widziałam w jego oczach, że żałuje, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły” — mówi moja Nuna.

Życie mojej córki odmieniło się na lepsze, kiedy poznała swojego męża i urodziła mojego pierwszego wnuka. Wkrótce potem się rozwiedli. Patrząc na historię rodziny, czego właściwie można się było spodziewać? Jakiś czas później pobrali się ponownie, co było prawdziwym darem niebios. Teraz cieszą się drugim synem.

„Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, że podejmowane przez nas decyzje mogą mieć taką wagę. Teraz rozumiem więcej. Jako osoba dorosła rozumiem i szanuję wybory dokonane przez mojego ojca. Zaprzyjaźniliśmy się”. W 2003 roku mojej córce¹ udało się z sukcesem odstawić alkohol i narkotyki.

¹ Nie wspominam w tej książce imienia i nazwiska mojej starszej córki, by chronić prywatność jej oraz jej męża i dzieci. (przyp. aut.)



Peter Verhulsel i ja tuż przed nurkowaniem na powietrzu na 90 m w Boesmansgat.

NURKOWANIA
PONIŻEJ 200 METRÓW

głębokość (m)	rok	nurek	kraj pochodzenia	zbiornik/kraj	rodzaj zbiornika	obieg
332,35	2014	Ahmed Gabr	Egipt	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
318,25	2005	Nuno Gomes	RPA	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
308,00	2001	John Bennett	Wlk. Brytania	Filipiny	wody otwarte	otwarty
290,00	2014	Will Goodman	Wlk. Brytania	Morze Flores	wody otwarte	zamknięty
283,00	2011	Krzysztof Starnawski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	zamknięty
282,60	1996	Nuno Gomes	RPA	Boesmansgat/RPA	jaskinia	otwarty
281,90	1994	Jim Bowden	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
274,00	2002	Gilberto Menezes de Oliveira	Brazylia	Lagoa Azul/Brazylia	studnia krasowa	otwarty
271,00	2004	Nuno Gomes	RPA	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
270,00	2004	David Shaw	Australia	Boesmansgat/RPA	jaskinia	zamknięty
267,00	1989	Sheck Exley	USA	Nacimiento del Mante/Meksyk	jaskinia	otwarty
266,00	2005	Pascal Bernabe	Francja	Morze Śródziemne	wody otwarte	otwarty/zamknięty
264,00	2010	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
263,00	1993	Sheck Exley	USA	Boesmansgat/RPA	jaskinia	otwarty
260,00	2003	Mark Ellyatt	Wlk. Brytania	Morze Andamańskie/Tajlandia	wody otwarte	otwarty
254,00	2001	John Bennett	Wlk. Brytania	Filipiny	wody otwarte	otwarty
252,00	1994	Nuno Gomes	RPA	Boesmansgat/RPA	jaskinia	otwarty
251,00	1993	Jim Bowden	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
245,00	2009	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
243,00	2012	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
242,00	2006	Andrei Chistyakov	Rosja	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
241,50	2005	Don Shirley	Wlk. Brytania	Boesmansgat/RPA	jaskinia	zamknięty
240,00	2003	Leigh Cunningham	Wlk. Brytania	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
240,00	2001	Jens Hilbert	Niemcy	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
240,00	1997	Pascal Bernabe	Francja	Fontaine de Vaucluse/Francja	jaskinia	otwarty
239,00	2007	Ben Reymanants	Belgia	Sra Keow/Tajlandia	jaskinia	otwarty
238,00	1988	Sheck Exley	USA	Nacimiento del Mante/Meksyk	jaskinia	otwarty
236,00	2008	Alessandro Scuto, Pim van der Horst, Mario Marconi	Włochy/Holandia/Włochy	Maggiore/Włochy	jezioro/wrak	otwarty/zamknięty/habitat
235,00	2008	Jacek Musiał	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
231,00	2007	Jerzy Błaszczyk	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
230,00	1994	Nuno Gomes	RPA	Boesmansgat/RPA	jaskinia	otwarty
227,00	1993	Jim Bowden	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
225,00	2014	Will Goodman	Wlk. Brytania	Morze Flores	wody otwarte	zamknięty
224,50	2003	Volker Clausen, Manfred Fuehrmann, Chris Ullmann	Niemcy	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	zamknięty
223,00	2012	Krzysztof Starnawski	Polska	Hranicka Propast/Czechy	studnia krasowa	zamknięty
222,00	2011	Krzysztof Starnawski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	zamknięty
222,00	2006	Andrei Chistyakov	Rosja	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
221,89	1961	Hannes Keller	Szwajcaria	Maggiore/Włochy	jezioro	otwarty
221,00	2004	Verna van Schaik	RPA	Boesmansgat/RPA	jaskinia	otwarty
220,00	2014	Ahmed Garb	Egipt	Morze Czerwone/Safaga	wody otwarte	otwarty
220,00	2006	Mohammad Khattam	Libia	Morze Śródziemne	wody otwarte	otwarty
220,00	2011	Dariusz Wilamowski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
220,00	2002	Leigh Cunningham	Wlk. Brytania	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
220,00	1998	Gilberto Menezes de Oliveira	Brazylia	Mysterious Lagoon/Brazylia	studnia krasowa	otwarty
220,00	1993	Sheck Exley	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
219,00	2003	David Shaw	Australia	Boesmansgat/RPA	jaskinia	zamknięty
217,00	2012	Krzysztof Starnawski	Polska	Hranicka Propast/ Czechy	studnia krasowa	zamknięty
216,00	2009	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
215,00	2014	Krzysztof Starnawski	Polska	Hranicka Propast/Czechy	studnia krasowa	zamknięty
212,20	2012	Michele Geraci	Włochy	Morze Śródziemne	wody otwarte	otwarty
212,00	2005	Grzegorz Dominik	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	zamknięty
212,00	2005	Andrei Chistyakov	Rosja	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
212,00	1994	Kostas Thoctarides	Grecja	Morze Śródziemne	wody otwarte	otwarty
211,00	2000	Claudia Serpieri	Włochy	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
211,00	2010	Dariusz Wilamowski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
210,00	2006	Grzegorz Dominik	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte/wrak	zamknięty
209,00	2005	Tarek Omar	Egipt	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
208,00	2002	Grzegorz Dominik	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty

205,00	2006	Mark Andrews, Leigh Cunningham	Wlk. Brytania	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte/wrak	otwarty
205,00	1982	Jochen Hasenmayer	Szwajcaria	Fontaine de Vaucluse/Francja	jaskinia	otwarty
202,50	2000	Ben Reymenants	Belgia	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty
202,00	1994	Jim King	USA	Deans Blue Hole/Bahamy	wody otwarte	otwarty
201,00	1987	Sheck Exley	USA	Nacimiento del Mante/Meksyk	jaskinia	otwarty
200,00	2011	Dariusz Wilamowski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	wody otwarte	otwarty

Niezależnie potwierdzone nurkowania. Źródła: Nuno Gomes, Scubarecords.com, 360stopni.org

NAJGŁĘBSZE
NURKOWANIA JASKINIOWE

głębokość (m)	rok	nurek	miejsce
282,6	1996	Nuno Gomes	Boesmansgat, RPA
281,9	1994	Jim Bowden	Zacaton, Meksyk
274,0	2002	Gilberto Menezes de Oliveira	Lago Azul, Brazylia
270,0	2004	Dave Shaw	Boesmansgat, RPA
264,0	1989	Sheck Exley	Nacimiento del Mante, Meksyk
263,0	1993	Sheck Exley	Boesmansgat, RPA
252,0	1994	Nuno Gomes	Boesmansgat, RPA
251,0	1993	Jim Bowden	Zacaton, Meksyk
241,5	2005	Don Shirley	Boesmansgat, RPA
240,0	2007	Cedric Verdier, Ben Reymenants	Sra Keow Cave, Tajlandia
240,0	1997	Pascal Bernabe	Fontaine de Vaucluse, Francja
237,7	1988	Sheck Exley	Nacimiento del Mante, Meksyk
230,0	1994	Nuno Gomes	Boesmansgat, RPA
227,0	1993	Jim Bowden	Zacaton, Meksyk
223,0	2012	Krzysztof Stamawski	Hranicka Propast, Czechy
221,0	2004	Verna van Schaik	Boesmansgat, RPA
220,0	1998	Gilberto Menezes de Oliveira	Mysterious Lagoon, Brazylia
220,0	1993	Sheck Exley	Zacaton, Meksyk
219,0	2004	Dave Shaw	Boesmansgat, RPA
217,0	2012	Krzysztof Stamawski	Hranicka Propast, Czechy
215,0	2014	Krzysztof Stamawski	Hranicka Propast, Czechy
212,0	2010	Luigi Casati	Matka Vrelo, Macedonia
209,0	2004	Sylvain Redoutey	Goul de la Tannerie, Francja
205,0	1983	Jochen Hasenmayer	Fontaine de Vaucluse, Francja
205,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo), Chorwacja
202,1		Jim King	Dean's Bluehole, Bahamy, USA
201,2	1987	Sheck Exley	Nacimiento del Mante, Meksyk
199,2	1981	Jochen Hasenmayer	Vaucluse, Francja
196,0	2012	Krzysztof Stamawski	Hranicka Propast, Czechy
193,0	2003	Leszek Czamecki	Boesmansgat, RPA
193,0	2014	Krzysztof Stamawski	Elefante Bianco, Włochy
192,0	2013	Krzysztof Stamawski	Goul du Pont, Francja
190,0	2007	Jerome Meynie	Font D'Estramar, Francja
190,0	2010	Luigi Casati	Matka Vrelo, Macedonia
186,0	2004	Verna van Schaik	Boesmansgat, RPA
186,0	2004	Luigi Casati	Elefante Bianco, Włochy
185,0	2006	Xavier Meniscus	Goul du Pont, Francja
184,0	2003	Jerome Meynie	Grand Souci, Francja
182,0		Gilberto Menezes de Oliveira	Aguailagrosa, Brazylia
182,0	2005	Jerome Meynie	Source de Saint-Sauveur, Francja
181,0	2000	Krzysztof Stamawski	Hranicka Propast, Czechy
180,0		Jerome Meynie	Font de Lussac, Francja
177,0		Rick Stanton	Pearse Resurgence, Nowa Zelandia
175,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo), Chorwacja
172,0		Jerome Meynie	Portiou, Francja
165,0	2001	Bradley Craven	Sinoia Caves (Chinoi, Chinhoyi) Zimbabwe
164,0	1996	Pascal Bernabe	Foux du Mas de Banal, Francja
163,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo), Chorwacja
160,0	2001	Luigi Casati	Divie Jezero, Słowenia
160,0	2006	Michael Walz	Source de la Chaudanne, Szwajcaria
155,0	2006	Luigi Casati	Sinjac, Chorwacja
154,0		G. Maude	Komati Springs, RPA
152,0		Gilberto Menezes de Oliveira	Ceito Core Cave, Brazylia
152,0	2004	Verna van Schaik	Badgat, RPA
152,0		Jerome Meynie	Le Bouillant, Touvre, Francja
150,0	2014	Krzysztof Stamawski	Elefante Bianco, Włochy
150,0		Jean-Jacques Bolanz	Resurgence de Lili, Grecja
147,8		Andreas W. Matthes	The Abyss, Lighthouse Reef, Belize
147,2		Andreas W. Matthes	Cenote Sabak Ha, Meksyk
146,9		Jim King	Red Snapper Sink, Floryda, USA
145,0	2001	Verna van Schaik	Badgat, RPA
143,0	1988	Cyrille Brandt	Chaudanne Spring, Szwajcaria
143,0	1981	Jochen Hasenmayer	Fontaine de Vaucluse, Francja
140,0	1987	Josef Schneider	Goul du Pont, Francja
140,0		Michael Gadd	Song Hong Sink, Tajlandia
138,0		Ludovic Giordano, Benoit Poinard	Fontaine des Chartreux, Francja
138,0	2005	Luigi Casati	Grava di San Giovanni, Włochy

137,0	1989	Claude Touloumdjian	Fontaine des Chartreux, Francja
137,0	1995	Luigi Casati	Source du Diable, Francja
136,0		Xavier Meniscus	Source de la Marnade, Francja
135,0	2006	Martin Burgui	Fuente Azul, Hiszpania
134,0	2013	Krzysztof Stamawski	Goul de Pont, Francja
132,9		Sheck Exley, Paul DeLoach, Alan Riggs	Devils Hole, Nevada, USA
132,0		Boetie Scheun	Lake Guinas, Namibia
131,0	1992	Jean-Jacques Bolanz	Gorgazzo, Włochy
130,0		Ludovic Giordano	Trou des Fees, Belgia
128,9		Sheck Exley, Paul DeLoach	Devils Hole Cave 2, Nevada, USA
128,3		Curt Bowen, Frank Richardson	Green Banana Sink, Floryda, USA
128,0		Paul DeLoach, Sheck Exley	Cenote Xkolak, Yucatan, Meksyk
127,0		Frank Vasseur, Mehdi Dighouth	Source aux Fees, Francja
126,0	1999	Benoit Poinard	Trou des Fees, Belgia
126,0		Giorgos Tzavelas	Sintzi Cave, Grecja
125,0		André Laban, Albert Falco	Great Blue Hole, Lighthouse Reef Atoll, Belize
125,0		Ludovic Giordano	Olhos de Agua de Alviela, Portugalia
125,0		Luigi Casati	Pollaccia, Włochy
125,0		Wiktor Bolek, Grzegorz Dominik	Vrulja, Chorwacja
124,0		Chris Brown, David Doolette, Tim Payne	The Shaft, Australia
123,0	2013	Krzysztof Stamawski	Saint-Sauveur, Francja
123,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo), Chorwacja
122,8		Brett Hemphill, Paul Heinerth, Corey Meams	Weeki Wachee Springs, Floryda, USA
122,0	1995	Jarrod Jablonski	Suluin, Turcja
121,0	2009	Alberto Cavedon	Grotta dei Fontanazzi, Włochy
121,0	2000	Verna van Shaik	Badgat, RPA
121,0		Uros Ilic, Matej Mihailovski	Izvir Doblice, Słowenia
120,0	2002	Martin Burgui	Fuente Azul, Hiszpania
120,0	1989	Luigi Casati	Fontaine de Vaucluse, Francja
119,0		Dan Lins, Steve Bogaerts	The Pit, Yucatan, Meksyk
119,0	2005	John Volanthen	Grotte de la Mescla, Francja
119,0		Robert Palmer	Luscas Breath, Bahamy, USA
118,0	1989	Jean-Jacques Bolanz	Le Ragas, Francja
118,0		Xavier Meniscus	Source du Durzon, Francja
117,9		Andreas W. Matthes	Cenote Ucil, Yucatan, Meksyk
117,0	1995	Jarrod Jablonski, Todd Kincaid	Gök Cave, Turcja
117,0	1995	Jean-Jacques Bolanz	Castelcivita, Włochy
115,0		Jozef Gliviak	Izvor Cetina (Izvor Glavas, Ilasevo Jezero) Chorwacja
115,0	1988	Claude Touloumdjian	Font D'estramar, Francja
115,0		Luigi Casati	Vouliagmeni, Grecja
113	2013	Krzysztof Stamawski	The Pit, Meksyk
112,0		Igor Vrhovc	Izvir Mrzlek, Słowenia
112,0		Jean-Jacques Bolanz	Source de St. Antoine, Francja
111,0		Dustin Clesi, Larry Green, Jim King, G. Watkins	Diepolder 2, Floryda, USA
111,0		Josi Olave	Cueva de la Mora, Hiszpania
111,0		Marc Douchet	Source de la Bueges, Francja
111,0		Richard Harris	Kija Blue Sinkhole, Australia
110,9		Dustin Clesi, Sheck Exley	Amberjackhole, Floryda, USA
110,0	1993	Massimo Bollati	Mulino Spring, Włochy
110,0		Guillaume Tixier	Source des Exals, Francja
109,8		Dale Sweet	Die Polder Sink no 2, Floryda, USA
109,8		Sheck Exley	Die Polder Sink no 2, Floryda, USA
109,0	2004	Luigi Casati	Cetina, Chorwacja
108,0		Bjarte Vestoe	Plura Cave, Norwegia
108,0		Michael Waldbrenner, Reinhard Buchaly	Resurgence de Gourieroux, Francja
108,0		Olivier Isler	Su Cologone, Włochy
106,0		Philippe Bertocchio	Puits des Bans, Francja
106,0	1992	Beaurir Pauwels	Trou des Fees, Belgia
105,0	2001	Luigi Casati	Vouliagmeni, Grecja
105,0		Alexander Braun, Sandro Madeo	Majerovo Vrelo, Chorwacja
105,0		Marcin Chochorowski	Rasamlakh, Egipt
105,0	2001	Michael Waldbrenner, Reinhard Buchaly	Source de Goumeyras, Francja
105,0	1992	Nuno Gomes, Rehan Bower	Harasib, Namibia
105,0		Reinhard Buchaly, Schieritz	Foux de la Vis, Francja
103,6		Sheck Exley	Boiling Hole, Bahamy, USA

103,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo), Chorwacja
102,1	1969	Roly Nyman, Ian Robertson, Johnny i Danny van der Walt	Sinoia Caves, Zimbabwe
102,0	1985	Jean-Jacques Bolanz	Grotte de Motiers, Szwajcaria
101,0	2013	Krzysztof Staniawski	Goul Tennerie, Francja
101,0	2003	Sylvain Redoutey	Notre Dame des Anges, Francja
100,0		Angel Ortego, Miguel Romans	Fuentona de Muriel, Hiszpania
100,0		Igor Vrhovec	Govic, Słowenia
100,0	1985	Claude Touloumdjian	Cents Fons, Francja
100,0		Mark Vandemeulen	Matka Vrelo, Macedonia
100,0		Stuart Clough, Robert Palmer	Great North Road, Bahamy, USA

Niezależnie potwierdzone nurkowania. Źródła: Nuno Gomes, Scubarecords.com, 360stopni.org

NAJGŁĘBSZE STUDNIE
KRASOWE ŚWIATA

lp.	głębokość (m)	nazwa jaskini	miejsce
1.	392	Pozzo del Merro (Merlo)	Włochy
2.	384	Hranicka Propast	Republika Czeska
3.	330	Vrelo	Macedonia
4.	319	Zacaton	Meksyk
5.	315	Fontaine de Vaucluse	Francja
6.	282	Boesmansgat	Afryka Płd.
7.	281	Crveno Jezero	Chorwacja
8.	274	Lago Azul	Brazylia
9.	264	Nacimiento del Rio Mante	Meksyk
10.	258	Goluboe Ozero	Rosja
11.	248	Kauhako Crater	USA
12.	240	Sra Keow Cave	Tajlandia
13.	220	Lagoa Misteriosa	Brazylia
14.	209	Goul de la Tannerie	Francja
15.	205	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)	Chorwacja
16.	202	Dean's Bluehole	USA
17.	195	Font d'Estramar	Francja
18.	186	Sorgente Elefante Bianco	Włochy

Zródła: 360stopni.org



9 788362 827268

Jeden człowiek, dwa rekordy, dziesiątki tysięcy godzin spędzonych pod wodą. Nurkowanie, w którym liczy się perfekcyjny plan i maksymalna osiągalna dla człowieka głębokość. Nurkowanie, które jest sensem życia. Przez biografię Nuna Gomesa przewijają się najciekawsze postaci nurkowego świata – niedościgty Sheck Exley, wytrwały Jim Bowden, nieustraszony John Bennett – ale też znakomici polscy nurkowie, dla których udział w przedsięwzięciach Nuna był początkiem ich własnej kariery nurkowej. Opowieści Nuna zabierają czytelnika do zmagającej się z AIDS i przemocą Republiki Południowej Afryki, do będącego niegdyś kwitnącym ośrodkiem nurkowym Dahabu i do Lizbony z czasów dzieciństwa autora, pozwalając zrozumieć drogę, która zaprowadziła Nuna Gomesa do dwóch światowych rekordów głębokości.

To nie jest kolejna książka o kolorowych rybkach i wielkim błękitcie, która ma zachęcić do kupna maski przed urlopem. Nuno Gomes opisuje najbardziej ekstremalne zanurzenia, które tak się mają do rekreacyjnego nurkowania w Egipcie, jak wyścig Formuły 1 do jazdy rodzinnym kombi.

PIOTR KOŚCIELNIAK
Rzeczpospolita

Wyprawy nurkowe do najgłębszych jaskiń świata są jak rosyjska ruletka – z tą różnicą, że rewolwer ma nie jeden, lecz więcej naboji. Co sprawia, że ludzie podejmują tak wielkie ryzyko?

MICHAŁ MATYS
Gazeta Wyborcza

Rewelacyjna! Nuno Gomes pisze tak, jak nurkuje: spokojnie, pewnie, konkretnie. W książce nie brakuje licznych polskich akcentów, co czyni ją dla nas wyjątkową.

MAŁGORZATA POPIENIA
Wielki Błękit



Zawsze wzorowałem się na Nuno. Jego osiągnięcia zmotywowały mnie do przeprowadzenia własnego rekordowego nurkowania.

AHMED GABR – rekordzista świata w nurkowaniu głębokim



Nuno to postać niezwykła, człowiek zawsze uśmiechnięty od ucha do ucha, bardzo życzliwy i pełen empatii.

LESZEK CZARNECKI – rekordzista świata w nurkowaniu jaskiniowym



Jestem przekonana, że głębocy nurkowie – schodzący pod wodę z butlami czy bez – ruszają w swoją podróż z tych samych powodów co ja. Podziwiam ocean i jego dary i cieszę się, że mogę czytać o doświadczeniach Nuna.

TANYA STREETER – rekordzistka świata w nurkowaniu bezdechowym w kategorii no limit



Nuno wyznaczył ścieżkę, którą podążają nurkowie techniczni na całym świecie. Trudno jest z niej zboczyć.

WILL GOODMAN – rekordzista świata w nurkowaniu na obiegu zamkniętym